



# DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga I ==

# DAR ANOMALII

---

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga I ==



YODGORLIK

TAKLIF

BOLGA

BOSHQALAR

TOGLI

PUSTKOWIA

KINDIK

DENGIZ

YER OSTI

MORZE  
WSCHODNIE

WYSPA  
NEUTRALNA

QIZIL  
MALIKA

LANGGAR

BEZKRESNE WODY

Ban Jodur

Khon Runar

Vexmire

Kargarum

Khon Farum

Buyuk Tog

Oltar

Meros

Ristartlik

Bozor

Thaq Daral

Cheqara

Umiid

Sharshara plaven

Shamol

Ulanish

Wuynder

Janubiyi

Chekka

Chorraha

Almashish

Ogiz

Albenurg

Ostatni magazijn

IV

III

II

I



Copyright © by Paweł Zbroszczyk, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś  
Korekta: Paulina Zyszczyk, Anna Hat – [Zyszczyk.pl](http://Zyszczyk.pl)  
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – [Zyszczyk.pl](http://Zyszczyk.pl)  
Ilustracja na okładce: Steve Stone  
Projekt okładki: Ilona Gostyńska

Wydawca: Wydawnictwo elfickie  
Kup książkę: [www.elfickie.pl](http://www.elfickie.pl)  
Zamówienia hurtowe: [zamowienia@elfickie.pl](mailto:zamowienia@elfickie.pl)  
Dystrybutorzy:  
Platon Sp. z o.o. – <https://platon.com.pl>  
Ateneum M. Kogut, A. Zegiel Spółka Komandytowa – <https://www.ateneum.net.pl>  
OSDW Azymut Sp. z o.o. – <https://www.azymut.pl>

Druk i oprawa: OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31

Wydanie I

ISBN 978-83-967187-2-3

Znajdziesz mnie:

[www.facebook.com/frazyfantasy](http://www.facebook.com/frazyfantasy)

[www.instagram.com/frazyfantasy](http://www.instagram.com/frazyfantasy)

[www.tiktok.com/@frazyfantasy](http://www.tiktok.com/@frazyfantasy)

[www.elfickie.pl](http://www.elfickie.pl)

<https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>

*Tobie, Czytelniku*

**CZEŚĆ I**

**SAMOTNOŚĆ**

## Rozdział 1

# Anomalia

### *Parkan*

Przypomniął sobie dzień, w którym wyparowały jeziora. Początkowo myślano, że woda zniknęła tylko z tego położonego najbliżej, lecz gdy dotarli wieści o kolejnych pustych akwenach obleczonych kobiercem martwych ryb, jego klan ogarnęła panika. Następnego dnia przyniósł większy szok – zniekształcenia. Odkryto miejsca, w których dźwięk wypowiedzianych słów przeobrażał się w niezrozumiały brzęk, wężowy grzechot, syk, a czasem zanikał zupełnie, jakby pożarty przez żywiącego się głosami potwora. Wysłannicy pozostałych klanów potwierdzili, że cokolwiek się dzieje, dotyczy wszystkich wysp. Znany świat nie wiedzieć czemu pękał, kalecząc myśli mieszkańców rysami chaosu i przerażenia.

Leba poczuł przyjemną falę ciepła i napiął potężne ramiona. Patrzył na promień słońca, który przesuwiał się po skrzydłach i barwił białe pióra dziesiątkami odcieni różu oraz fioletu. W okolicy bazaltowego nawisu nie było nikogo. Choć od katastrofy minęły trzy dni, większość Parkan wciąż nie opuszczała domów.

*Jednia, ręka bogów, będzie musiała coś postanowić. Wtedy wyjdą – pomyślał.*

Rozejrzał się. Wzruszył ramionami. Jeśli będzie miał kłopoty, trudno. Przyleciał tu dla anomalii. Święte symbole wiary, które czasami pojawiały się blisko morza, dawały poczucie stałości i sensu. Dzięki nim pamiętał, że bez względu na wszystko najważniejsza jest wędrówka. Kiedyś dostąpi zaszczytu podróży do innego świata.

Anomalia rozbłysła nieopodal, rzucając cień na pionową skałę. Brzęcząca kula migotała złowrogo przy każdym majestatycznym obrocie. Jej powierzchnię spowiła mieszanina nieznanego pochodzenia gazów i płynów, które kłębiły się zwiewnie. We wnętrzu kuli dostrzegł pomarańczowe kryształki. Być może to one dzwoniły, trącąc się nawzajem.

Podczas gdy większość rówieśników stroniła od anomalii, Leba lubił obserwować głębię barw oraz drobne iskry przy krawędziach zjawiska.

*Czarna, rzadka* – pomyślał, chwytając się pazurami skraju skały. Wiedział, że dopóki nie ukończy prób, powinien zachować bezpieczną odległość od bramy. Czy kiedykolwiek popłynie na wyspę z wieżą?

Serce Leby zadudniło szybszym rytmem. Pomiedzy mieszającymi się płynami pierwszy raz w życiu zobaczył prześwit, a w nim...

*To niemożliwe* – pomyślał, czując paraliżujący strach.

Zamarł i zmrużył oczy. W środku kuli dostrzegł postać bez skrzydeł. Brnęła przez biały puch, który prószył z każdej strony. Nieopierzony mężczyzna trzymał źródło światła i krzyczał. Tak, to musiał być krzyk. I te dziwne kolorowe tkaniny, w które był zawinięty...

Postać w anomalii rozejrzała się nerwowo.

– Co to jest? – syknął Leba.

Pchnięty instynktem skoczył z nawisu i zanurkował w przepaść, marszcząc powiekiem powietrza błyskającą kulę. Musi powiedzieć Uległym.

Napiął mięśnie, by lecieć szybciej.



## Rozdział 2

# Zamieć

### *Estepia*

– Umrę tu, to koniec – wycharczał Bren, próbując wstać ze zwału śniegu.

Mroźny podmuch szarpnął nim, kradnąc przerażającym wyciem resztki odwagi. Bren odchylił głowę, by złapać oddech i sprawdzić, czy upuszczona lampa oliwna nie zgasła. Na szczęście leżała na miejscu, dając nikły promień światła, a tym samym – nadziei. Zebrał siły, by ponownie wstać i krzyknąć. Zmierzchało, a noc w lodowych okowach to śmierć podczas snu.

*Jakiego snu? Co za bzdura!* – pomyślał. *A niby jak umiera się z zimna? Przynajmniej nie będę cierpiać.*

Strzepnął z twarzy warstwę śniegu i potrząsnął głową, chcąc pozbyć się złych myśli.

*Czy to koniec?*

Nagle dostrzegł w oddali sanie.

*To ten zakuty łeb!*

Splunął, obserwując, jak ślina powoli przymarza do śnieżnej hałdy. Uspokoił oddech i wstał, podnosząc lampę.

– Dray! – wrzasnął, a wiatr porwał krzyk i rozrzucił po okolicznych zaspach. – Dray! – Wymachiwał w kierunku wynajętego tragarza.

Zlustrował wszystkie strony, czując, że jest obserwowany. Czyżby widział załamujące się światło? Zmrużył oczy, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego. Dobiegło go paniczne rżenie koni, głośnie i pełne ostrzeżenia.

*Jeśli są konie, musi być jeździec lub choćby trakt* – pomyślał, po czym ruszył w tym kierunku.

Skupianie uwagi na przeżyciu dodawało otuchy, jak wiele razy wcześniej. Nie posiadał żadnego talentu, zawodu ani wykształcenia. Nie miał zamożnych rodziców ani wpływowych znajomych. Przez całe swoje nędzne życie ślizgał się, podpierając szczęściem i sprytem. Wykorzystywał innych i nigdy, przenigdy się nie poddawał. Zupełnie jak teraz.

Brodził po kolana w śniegu, unosił wysoko stopy, by po chwili wciskać je z uporem w głębokie zaspy. Pluł śnieżnymi drobinami i odgarniał lodowe płaty z czoła. Kiedy dotarł do sosnowego lasu na skraju jeziora, niebo obsypały pierwsze gwiazdy. Poczował ulgę, gdyż między drzewami nie wiało aż tak bardzo. Wicher strącał szyszki, lecz nie mroził twarzy. Zrobiło się ciszej niż na jeziorze, gdzie świst przeradzał się w jednostajne buczenie.

Po chwili przedzierania się przez krzaki jeżyn odkrył końskie szczątki. Zjedzone przez wilki. Na to przynajmniej wskazywały ślady.

– O tym też nie masz pojęcia, Bren – powiedział, rozglądając się w poszukiwaniu jakichkolwiek przedmiotów.

Nie znalazł nic godnego uwagi, więc ruszył dalej. Trop doprowadził go do niewielkiego traktu. Skrajnie wyczerpany, podparty resztką nadziei, za kolejnym zakrętem dostrzegł strużkę dymu, która toczyła nierówną walkę z burzą. Niedługo później ujrzał piętrowy budynek połączony z drugim, mogącym pełnić funkcję stajni. Kiedy zobaczył masywne drzwi oraz tablicę z napisem: „Karczma pod Tłustym Sumem”, klęknął z dogasającą latarnią w dłoni. Zabezpieczone deskami okna i buchający z komina dym utwierdzały go w przekonaniu, że wewnątrz są goście. I strawa.

\* \* \*

Po kilkunastu uderzeniach w dębowe drzwi odsłoniło się zakratowane okienko. Bren ujrzał obserwujące go oko, fragment kobiecej twarzy i żółte zęby.

– Ktoś ty? – usłyszał głos opleciony zapachem czosnku.

– Noclegu szukam, miej litość. Podróżuję do Plaven.

Niewiasta po drugiej stronie milczała przez chwilę, po czym odparła

sucho:

– Pięćdziesiąt srebrników za noc, ostatnie miejsce w stajni. W cenie posiłki i wino. Zgadza się na to?

– Pół złocisza? Toż to niedorzeczne!

Nieznajoma zatrzęsnęła okienko, zrzucając warstwę śnieżnego puchu z okutych drzwi.

– Czekaj! – krzyknął popychany ścianą lodowego wiatru. – Niech będzie.

Wiedział, że drzwi nie drgną, dopóki nie zapłaci, dlatego kucnął i rozpruł but. Był pewien, że kiedyś to nastąpi, ale nie przypuszczał, że tak szybko. Kiedy wyciągnął ostatnią złotą monetę i rzucił na tłustą dłoń, drzwi się przesunęły, a chłopak wskoczył do środka. Oparty o ścianę poczuł, jak wstążki ciepłego powietrza gładzą twarz, wlatują do mokrych rękawów i nogawek. Czuł je na karku i plecach. Stał, rozczapierzając palce, które – wciąż skostniałe – nie poddawały się wyższej temperaturze.

Właścicielka karczmy wręczyła mu resztę, po czym dała znak, by iść za nią. Owinięta w lepący się od wina szary fartuch szurała butami i sapała, przytrzymując ogromny brzuch. Z cienia korytarza wyłonił się ubrany na czarno młody chłopak. Uzbrojony w długi miecz przyglądał się z napięciem nowo przybytemu.

– Niech nie próbuje niczego głupiego, bo zna się na rzeczy – powiedziała kobieta. – I nie gada do niego, języka nie ma.

Bren spojrzał na niewiele młodszego od siebie chłopaka. Krępy osiłek nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Szedł z tyłu i przecierał spocone czoło barwną chustą. Był blady i roztrzęsiony.

*Jest chory?* – zastanawiał się, widząc, że dłonie ochroniarza drżą.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w oczach spoconego mężczyzny dostrzegł lęk.

– Jeśli pojawi się nowy gość – zaskrzeczała karczmarka – podniosę ceny i ten zostanie, co zapłaci. Pierwszeństwo dla tych, co wewnątrz. Tera komplet, ale codziennie nowi przybywają, więc uprzedzam.

Zatrzymała się, dostrzegłszy zaskoczony wzrok Brena. Miała tłuste, zniszczone włosy, drobne oczy i zaczerwienione poliki. Jej palec wskazywał

zabite deskami okno, za którym szalała lodowa wichura.

– Dla jednych to zagrożenie, dla innych interes – powiedziała, zbliżając twarz do nowego gościa.

Prócz intensywnej woni czosnku Bren wyczuł smród przetrawionego imbiru i cebuli. Kobieta się nie odsuwała. Patrzyła zachłannie na zapartego o ścianę wystraszonego chłopaka niczym głodny pies na soczystą polędwicę.

– Gdybyś chciał – wyszeptała i oparła dłonie o ścianę po bokach Brena – moglibyśmy omówić wysokość opłaty w moim pokoju. Tacy jak ty... – Przysunęła usta jeszcze bliżej.

Wtem wszystkie lampy w korytarzu zgasły. Nastąpiła ciemność. Bren usłyszał jęk ochroniarza, który dyszał i mamrotał coś niezrozumiale.

– Na wszystkie krosty na dupie i więcej! – krzyknęła gospodyni. – Ki czort, ki demon, tfu!

Odsunęła się, sapiąc, i odeszła kilka kroków, wodząc palcami po ścianie. Bren usłyszał trzask krzemienia i ujrzał iskry. Po chwili najbliższa z lamp rozbłysła ciepłym światłem. Kobieta opadła na pięty i przyjrzała się płomieniowi.

– Cugu ni ma, a znów zgasły – rzekła, po czym maznęła palcem metalową podstawę. – I oszronione, na Sempenę. Ki czort?

Odwróciła się w kierunku Brena.

– Idzie za mną, pokażę, gdzie będzie spał, a gdzie jadł.

\* \* \*

Pierwszym pomieszczeniem była stajnia. Pięć przywiązanych koni rżało, podjadając zawartość drewnianych paśników. Tuż obok, za solidnym przepierzeniem, usypano imponującą górę siana, na której leżały dwa sienniki. Przy pierwszym z nich przeszukiwał juki barczysty mężczyzna. Odziany był w tradycyjny strój górnika: wysokie buty, skórzaną ćwiekowaną kurtkę oraz szeroki pas z przytroczonym kilofem.

Nieznajomy krzyknął radośnie, unosząc dłoń z kośćmi do gry.

– Już myślałem, że zgubiłem je w tej nawałnicy.

– Tu będzie spał. – Gospodyni wskazała Brenowi wolną część siana.

Górnik zawiązał worek i wsunął kości do kieszeni spodni. Przeciągnął się, po czym wyszedł z pomieszczenia, pogwizdując.

– Śpią tu z bratem. Obaj to spokojne chłopcy, nie będą wadzić – wyjaśniła.

Bren nie odrywał wzroku od miękkiego siana, doceniając wszechobecne ciepło. Tak niewiele brakowało, a zamarzłoby w tej przeklętej zamieci. Pobiegł myślami do Draya.

*Idę o zakład, że nie dał rady. Muszę odnaleźć sanie i zabrać towar, zanim zrobi to ktoś inny.*

– A co tak stoi? – warknęła karczmarka. – Nie ma nic do rozpakowania, to idzie do izby.

W większym i lepiej ogrzonym pomieszczeniu dało się wyczuć aromat pieczonej szynki oraz ostry zapach octu. Wysokie na czterech ludzi, podparte kamiennymi kolumnami, z centralną częścią w postaci paleniska zwracało uwagę półokrągłym stołem zastawionym kuflami i mięsiwem. Stojąca tam kobieta przerwała krojenie sarniego udźca i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tu będzie jadł, zajmie miejsce – powiedziała właścicielka.

Bren przebiegł wzrokiem po sali. Wszystkie stoły były zajęte. Przy najbliższym rozpoznał sąsiada ze stajni. Stał z kubkiem w dłoni i potrząsał nim, wsłuchany w stukot wirujących kości. Obok siedział podobnie odziany mężczyzna z ciemną brodą. Ryczał tubalnie, machając palcem w stronę kompana, i trząsał białym, rozsypując brzęczące miedziaki.

Kolejny stolik, którego połamane nogi zastępowała drewniana skrzynia, zajmował starzec. Dłubał palcami w tłustym pieczonym kurczaku i wpychał do gardła spore kawałki, popijając obficie wodą. Za każdym razem, gdy połknął kęs, oblizywał palce i ponownie wbijał w rumiane mięso.

Przy przeciwległej ścianie Bren dostrzegł większy stół i dwóch mężczyzn. Jeden, wyglądający na kupca, odziany był w czerwony, bogato zdobiony kubrak. Drugi nosił strój myśliwski.

– Nie ma w księgach spisanej takiej zimy. Nocą godzinę wytrzymasz. Za

dnia sześć w dobrym okryciu – mówił kupiec. – Jedyne dach nad głową ratunkiem.

W rogu pomieszczenia siedział młody mężczyzna, który wskazywał wolne miejsce obok. Bren uśmiechnął się, po czym ruszył w tamtym kierunku.

– Siadaj. Jestem Triod – powiedział nieznajomy, podając mu szczupłą dłoń.

– Bren. Dziękuję za zaproszenie – odparł i odsunął się, robiąc miejsce dla kobiety z tacą.

Po chwili patrzył zachłannie na stojący przed nim talerz pełen parującego mięsa. Zanurzył zęby w sarninie, która stanowiła popularną potrawę w najeżonym lasami Kindik. Nie przeszkadzało mu, że była sucha i żylasta. Ciepła strawa i dach nad głową to zdecydowanie lepsza opcja niż śmierć w okowach lodu.

Triod obserwował go z kuflem w dłoni.

– Na zewnątrz wciąż taka zamieć? – spytał, zerkając w stronę okna.

– Okrutna – odparł Bren. – Bogowie nade mną czuwali, kierując mnie do tej karczmy.

Krótko ostrzyżony chłopak uśmiechnął się tajemniczo.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu – powiedział i odstawił pusty kufel.

– Ryby? Skoro wiosną da się je łowić, to zimę przeżyć potrafią.

Towarzysz skrzywił się, po czym machnął do barmanki. Podeszła, szorując długą suknią po posadzce. Zarzuciła ciemnymi włosami i poprawiła chustę na czole. Szerokie brwi i duży nos mogły wskazywać na to, że pochodzi z Langaru. Piracki kontynent nie cieszył się dobrą sławą, słynął za to z nietypowej urody zamieszkujących go kobiet. Bren patrzył, jak barmanka nachyla się nad sąsiadem. Poczul woń kwiatów zmieszana z zapachem tartych przypraw.

– Dotrzymasz mi towarzystwa w pokoju, zamorski skarbie? – spytał Triod, tracąc zainteresowanie nowo poznanym kompanem.

Spojrzała na niego i westchnęła.

– Jedynym skarbem, który dziś rozpakujesz, będą własne portki.

Triod wstał, energicznie odsuwając stołek, i odszedł bez słowa w stronę schodów. Kobieta w chuście zabrała się do przecierania blatu. Wgłębienia na policzkach i figlarny uśmiech potwierdzały, że świetnie się bawi.

– Kilka chwil temu czułem się podobnie jak ty – rzucił Bren ze śmiechem.

Podążyła za jego wzrokiem, w kierunku szwendającej się przy palenisku właścicielki przybytku.

– Hinda ma słabość do takich rudzielców jak ty – odparła. – Tak naprawdę to dobra, choć pogubiona kobieta. Wszyscy myślą, że jest chciwa, a prawda jest inna.

Nachyliła się, a Bren jeszcze wyraźniej poczuł kwiatową woń perfum, którymi musiała się spryskać.

– Kilka tygodni temu jej syn obudził się bez języka. Ona robi wszystko, by zebrać odpowiednią kwotę na opłacenie kapłana. Choć nie są tani, ponoć potrafią leczyć takie rzeczy.

– Ten ochroniarz to jej syn? Stracił język we śnie?

– Odpowiedź brzmi: dwa razy tak – wyszeptała, przecierając stolik bliżej Brena. – Nie draż, nie wnikaj. Ona tego nie lubi.

Kiedy odchodziła, kupiec wstał i również opuścił salę, zostawiając myśliwego. Nieznajomy poprawił kołnierz z górskich lisów, po czym zagadnął Brena:

– Z daleka przybywasz?

– Z Javdaru – odparł chłopak.

– To jeszcze za Shamol?

– Pięc staj na wschód.

Myśliwy pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym spojrzął w stronę zabezpieczonego workami okna. Wzrok Brena prześlizgnął się po obwiązany bandażem, obficie krwawiącym boku mężczyzny.

*Nie moja sprawa – pomyślał. Czas na sen. Oby jutro Pluron zesał już słońce.*

Zaraz po nim do stajni przyczłapali podpici górnicy. Zajęli pościelone

miejsca i błyskawicznie usnęli, pochrapując raz po raz.

Bren opadł na siennik i wyciągnął długie, patykowate nogi. Poprawił zaczesane w górę rude pukle odstające od wygolonych boków głowy i przyjrzał się swojej zapadniętej klatce piersiowej. Przyglądził młodzieńczy wąsik i podłożył dłonie pod głowę, jak miał w zwyczaju, gdy zasypiał. Pomyślał o barmance. Wyobraził sobie, że dziewczyna zgadza się być jego skarbem. Zamknął oczy, próbując odtworzyć kwiatowy zapach. Po chwili oczami wyobraźni ujrzał twarz ochroniarza.

*Jak można stracić język we śnie?* – pomyślał, zasypiając.

\* \* \*

Obudziło go rzenie głodnych koni. Przeciągnął się, poczuł na policzku zimno metalu. Otworzył oczy i ujrzał leżącą obok nieznaną mu broń przypominającą sztylet. Nietypowy oręż miał aż trzy pokryte krwią ostrza. Bogato zdobiona rękojeść zakończona połyskującym, zielonym klejnotem nie mogła pochodzić z Estepii.

Rozejrzał się zaskoczony. Promienie mroźnego poranka przecinały ciemność, wpadając do pomieszczenia przez szpary w drewnianych ścianach. Okryty płaszczem górnik chrapał w najlepsze, wydychając drobinki siana. Bren wstał i podszedł do drugiej osoby. Górnik leżał na wznak z otwartymi ustami. Nie oddychał. Wypełnione skrzepniętą krwią trzy dziury w tunice wskazywały na to, że biedak nie żył od co najmniej kilku godzin.

*Ktoś chce mnie zrobić* – pomyślał, czując, jak lęk paraliżuje mięśnie, a trzymany w dłoni oręż parzy.

Ruszył w stronę drzwi, wsłuchując się w szelest siana. Kiedy dotarł na korytarz prowadzący do drzwi wyjściowych, przyspieszył. Podbiegł do klamki. Szarpnął. Zamknięte. Kolejne szarpnięcie, uderzenie barkiem. Nic z tego. Oparł czoło o chłodne deski, zastanawiając się, co robić.

*Niedobrze. Jest bardzo źle. Bardzo.*

Usłyszał kroki i stłumione rzenie koni. Wyczekał moment, przenikając



wzrokiem szarość korytarza. Nic. Cisza.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki dla broni. Górna belka stropowa przecinała podtrzymujące dach krokwie. Podskoczył i umieścił sztylet na zakurzonej poprzecznej podporze. Po chwili wrócił na swoje posłanie.

*To jedyne wyjście.*

Westchnął.

– Pomocy! On nie żyje! – krzyknął, budząc śpiącego obok górnika.

## Rozdział 3

# Ręka boga

### *Parkan*

Eon znał wyraz twarzy przyjaciela. Nieobecne spojrzenie i zaciśnięte szczęki oznaczały wściekłość. Sięgające końca szyi pióra nastroszyły się, zachodząc na podbródek.

Leba siadł na przybrzeżnym piasku i oparł się o konar zwalonego drzewa.

– Cholerni Oddani! Doprowadzają mnie do szaleństwa! – Rzucił kamieniem w zacumowaną łódź. – Naprawdę widziałem to coś. Nie miało skrzydeł, ale twarz... była taka jak moja i twoja, Eon. Mam nadzieję, że choć ty mi wierzysz.

– Dlaczego na lekcjach wiary nie ma o tym ani słowa? – spytał przyjaciel.

Leba nie znał odpowiedzi. Uczono ich o zaślubinach krwi, wybrańcach płynących na Wyspę Prób. Pamiętał lekcje na temat rywalizacji i nagrody dla zwycięzców, lecz nikt nigdy nie zająknął się o istocie w anomalii.

Westchnął i pomyślał o nagrodzie, która czekała na wyspie. Cel parkańskiego istnienia. Wejście do anomalii. Podróż i możliwość niesienia wsparcia innym światom. Jak długo będzie musiał udowadniać, że jest już gotowy?

Spojrzał na przyjaciela, który gapił się na zachód słońc. Śledził, jak zanurzają się w oceanie i barwią fale krwawymi promieniami. Wiele razy przychodzili tu, by pomilczeć i nacieszyć oczy cudownym widokiem. Zatoka pożerała linię brzegową, opierała się lewym ramieniem o podnóże gór i formowała cypel wilgotnego piachu po prawej. Połączone pofałdowanymi spadkami górskie szczyty okraszone były poziomymi wrębami, śladami

muśnięć porywistego wiatru, który każdego roku żłobił nowe niecki.

– Jest piękna – powiedział Eon. – Zwłaszcza wieczorem.

Leba zmrużył oczy i również zerknął na ocean. Horyzont przecinał majaczący kształt wyspy z wysoką wieżą. Nawet przy doskonałej pogodzie nie dało się dostrzec wierzchołka budowli, który ginął w chmurach.

– Myślisz, że zaślubiny się odbędą? – spytał Eon.

– Słyszałeś słowa Jedni. Mamy żyć jak dawniej.

– Już za trzy lata będziesz mógł spróbować – wyszeptał, zobaczywszy zaciśnięte pięści kompana.

– Gówno! – Leba wstał i rozpostarł skrzydła. Trzepnął nimi, wzbijając w powietrze pomarańczowe pyłki limbarji. Gwałtowny podmuch rozrzucił długie blond włosy, zakrywając rozsierdzoną twarz. Był większy od rówieśników. Miał umięśniony, opierzony tors, szerokie ramiona i wydatną, kwadratową zuchwę. Stale ciekawe świata brązowe oczy patrzyły w dal, obserwując kontury Wyspy Prób.

– Chcesz go pomścić. O to chodzi, prawda? – zagadnął Eon.

Leba opuścił głowę i zacisnął wargi. Czuł, że zaraz wybuchnie i doprowadzi do bójki, jak wtedy, w wąwozie.

– Śmierć Niaka nie ma nic do tego.

Przypomniał sobie dzień, w którym dowiedział się, że jego brat zginął podczas jednej z prób. Pamiętał, że stał wtedy w wodzie i sprawdzał, co złapało się w sieć. Spojrzał na koniec zatoki, gdzie cypel lądu obmywały rozszalałe fale. To tam ujrzał łódź wracającą ze zhańbionymi. To oni opowiedzieli o Niaku...

– Porozmawiam z Jednią – rzekł z przekonaniem.

– Leba...

– Oddani mi nie uwierzyli! Zresztą oni nic nie mogą, ale Jednia... Jednia to co innego.

Eon wstał i spojrzał w zamyślane oblicze przyjaciela.

– Nie przedrzesz się przez strażników. Pilnują jej dzień i noc.

Leba chwycił towarzysza za ramiona i nim potrząsnął.

– Dlatego będę potrzebował twojej pomocy.

\* \* \*

Ponieważ najkrótsza droga do drzewa Jedni prowadziła przez wioskę, odczekali kilka godzin, aż mieszkańcy usną. Noc im sprzyjała. Pojawienie się na moczarach za dnia nie uszłoby uwadze zbieraczek psorników, których pola otaczały zakazane bagna w centralnej części wyspy. Spiętrzone chmury przysłaniające światło księżyca pozwalały na przemknięcie niezauważonym. Pomimo wyjątkowej ciemności lecieli wysoko. Kto wie, czy zabłąkana dusza nie złowi wzrokiem dwóch mknących cieni. Nie powinno ich tu być o tej porze. Jednia złagodziła zakaz opuszczania wioski, lecz nie dotyczyło to godzin nocnych.

Na szczęście większość mieszkańców nie oddalała się od domów, wybierając dobrą stawę i kubek trzeźwiącej mięty. Panika wciąż trzymała Parkan w swych szpiczastych łapach. Wyschnięcie jezior oznaczało brak słodkiej wody. Co prawda ruszyły prace nad uruchomieniem machin odsalających wodę oceaniczną, lecz nikt nie miał pewności, czy wystarczą, by napoić całą populację, a zapasy... cóż, kurczyły się w zastraszającym tempie. Problemy z dźwiękiem przerażały głównie starszych. Parkańskie dzieci wykorzystywały dziwne zjawisko do zabaw i prześcigania się w odkrywaniu nowych terenów ciszy. Dorośli zaś robili wszystko, by unikać odmienionych miejsc, i wychodzili z domów wyłącznie do pracy.

Leba dostrzegł dach strzelistej świątyni i płonące pochodnie rozświetlające rynek. Widział skupisko drzew cytrusowych oraz plac przeładunkowy, na którym stały wozy przygotowane do przewiezienia wędzonych ryb. Klan Yrga słynął z najlepszych rybaków. To tu szkolili się mistrzowie sieci, wybitni poławiacze pereł i nurkowie, dla których ocean był drugim domem. Wędzone na czarnym drewnie ryby Yrga bardzo szybko stały się rarytasem w całym świecie Parkan. Ponieważ nie używano waluty i każdy z klanów wyspecjalizował się w innej dziedzinie, społeczności wspierały się wymianą odzieży, warzyw, mięsa czy biżuterii.

Kiedy minęli ostatnie zabudowania, skręcili na zachód. Leba planował

okrążyć rozstaje, na których często stacjonował oddział patrolujący okoliczne tereny. Gdyby nie ciężki odór butwiejącej roślinności, zapewne minęliby czarną plamę moczarów. Smród gnijących drzew ormowych oraz nawoływania ropuszków potwierdzały, że zbliżali się do celu. Śmiertelnie niebezpieczne bagnisko zamieszkiwane przez aligatory i trzyroźce było porośnięte trującymi lastrucjami, których całe skupiska piętrzyły się wokół wypełnionych szlamem połaci. Poza Oddanymi, którzy komunikowali się z Jednią, nikt o zdrowych zmysłach nie przelatywał nad cuchnącym terenem, a już zwłaszcza tu nie lądował.

Leba się zawahał. Rozwahał, czy nie zmienić planu i nie polecieć prosto do drzewa, po namyśle jednak zrezygnował. Wibranty usłyszą trzepot skrzydeł i dopadną go tuż po tym, jak postawi stopę na ziemi. Będą musieli wylądować na granicy bagna i skradać się, by ominąć te cholerstwa.

Wielkie jak dwie dłonie pająki zwane wibrantami już u zarania dziejów upodobały sobie rolę strażników Jedni. Nikt nie był pewien, czy chroniły ją, czy drzewo. Starsi mieszkańcy twierdzili, że stworzenia słuchają tej, która zwie się ręką bogów, lecz Leba nie znał nikogo, kto mógł widzieć to na własne oczy. Okazji do spotkania z Jednią też było niewiele: symboliczne odcięcie kosmyka włosów po osiągnięciu pełnoletniości oraz śmierć, przy czym ta nie dawała możliwości zaobserwowania czegokolwiek. Wyłącznie Oddani mieli kontakt z Jednią. To oni przekazywali rozkazy i dostarczali wiadomości z zewnątrz. Leba uznał, że paskudne stworzenia muszą być jej posłuszne. Jak inaczej Oddani mogliby docierać do drzewa bez ukąszenia?

Nazwa włochatych stworzeń wzięła się od umiejętności wykrywania najmniejszych wibracji: odgłosu stóp, trzepotu skrzydeł, każdego fałszywego dźwięku w nieprzerwanej symfonii matki natury. Jakby tego było mało, dwa zakrzywione kolce na odwłoku skrywały niebezpieczny jad. Leba pamiętał dzień, w którym bezmyślny Yu i jego poplecznicy złapali w sieć jedno ze stworzeń. Głupi pomysł nieomal skończył się tragicznie. Ukąszony Naseth doszedł do siebie dopiero po dwóch dniach paraliżu, a przez kolejne trzy nie mógł nic przełknąć. Całe szczęście, że złapany okaz był młody. Kto wie, jakie konsekwencje czekałyby Parkanina po spotkaniu z dorosłym

wibrantem. Pechowiec wyrósł na zdrowego chłopaka, choć uwadze Parkan nie uszedł fakt, że niewiele mówi i zapomina ważne wydarzenia. Niejeden mieszkaniec twierdzi, że to nic innego jak efekt ukąszenia sprzed trzech lat. Leba nie wiedział, co o tym sądzić.

Obniżył lot i wpatrywał się w gęstniejące opary. Wylądowali na granicy bagniska, tuż obok spowitego ciemnością ostatniego żywego drzewa. Leba słyszał przyspieszony oddech Eona. Zastanawiał się, jak dodać mu otuchy. W ich duecie to on wychodził przed szereg, podsuwał niestandardowe rozwiązania, improwizował. Sceptyczny głos towarzysza chłodził najbardziej szalone idee i cofał o parę kroków doskonałe plany. Tym razem jednak najlepszy przyjaciel zaakceptował pomysł i pomimo ogromnego strachu zgodził się przylecieć.

Kucnęli i wpatrzyli się w mrok. A więc to prawda! Przysmakiem wibrantów były muszniaki, które zajadały się świeżymi owocami limbarji. W rezultacie wśród siwych wyziewów unoszących się nad bagniskiem dostrzegli rdzawe łuny jarzących się stworzeń.

– A co z tymi, które ostatnio nie jadły? – wyszeptał Eon.

– Będą mniej widoczne. Musimy mieć oczy dookoła głowy. Ja ruszę tędy, ty odczekasz chwilę i pójdziesz tam. – Leba wskazał dłonią mniej wodnisty teren. Spojrzał w oczy przyjaciela. – Będziemy się cały czas widzieć. Jeśli mnie usłyszają...

Eon westchnął.

– Lecę w górę i robię hałas. Wiem. Pamiętam.

Unieśli po jednym skrzydle, by dodać sobie otuchy, wyrównali oddechy i spojrzeli w stronę czerni bagniska rozświetlanej raz po raz drobnymi punktami światła.

– Już czas!

\* \* \*

Sunął powoli, zanurzony po pierś w gęstej brei pokrytej zielonym kożuchem. Po chwili dostrzegł, jak Eon rusza ścieżką. Przyjaciel szedł

wyprostowany i czujny. Uzgodnili, że czołganie się i chowanie za krzakami spowoduje więcej hałasu. Umówili się na ostrożne stawianie kroków i przerwy.

Zimny szlam oblepiał pióra Leby, brudząc ciało porowatą galaretą. Każdy krok uwalniał bąble, które pękały i roztaczały dławiący smród. Chociaż omijał zmurszałe pniaki podobne do wystających zębów, co rusz trącał dłońmi ukryte pod powierzchnią obślizgłe korzenie. Te otaczały go, dotykały, jakby cieszyły się z odwiedzin. Raz nawet miał wrażenie, że o jego rękę otarło się zwierzę. Znieruchomiał. Na szczęście okazało się wymiętoshonym przez szlam szkieletem wiewiórki.

Po jakimś czasie dostrzegł cel wędrówki – kontury wielkiego drzewa. Krok. Drugi. Trzeci. Sunął cicho jak duch. Wiedział, że wibranty preferują ścieżki i stronią od mokrych powierzchni.

Zamarł. W zwalonym drzewie obok dostrzegł norę, w której coś się poruszyło. Zaciągnął się bagiennymi oparami, lecz wyczuł jedynie słony zapach namorzynów oraz intensywną woń piżma.

*Piżma?*

Przełknął ślinę. Ponownie złowił wzrokiem nieznaczny ruch. Wstrzymał oddech i poszukał ślepi. Nieważne, co siedziało w środku – ważne, czy go dostrzegło. Ruch się nie powtórzył, więc wykonał krok, a potem drugi. Cisza. Ruszył dalej, wciąż wpatrując się w norę. Kątem oka ujrział światło wibranta na ścieżce. Pająk był blisko.

*Słyszał mnie?*

Po okolicy poniósł się trzepot skrzydeł wielkiego ptaszyska. Wibrant ruszył w kierunku Leby, a ten wolno zanurzył się po szyję. Po chwili dostrzegł drugą czerwoną łunę. Kolejny pająk nadciągał ścieżką z tyłu. Kiedy stworzenia podeszły bliżej, Leba zamarł. Chciał się zamienić w martwą, obślizgłą bryłę, której czubek wystaje znad powierzchni. Dostrzegł szorstkie włoski na odnóżach, pękate brzuchy pulsujące czerwoną poświatą, szpiczaste kolce jadowe. Jedno ze stworzeń wychyliło się na kosmatych odnóżach i dotknęło skorupy bagna. Leba dostrzegł trzy pary błyszczących oczu i ociekające śluzem szczypce. Choć wiedział, że to niemożliwe, był

pewien, że pająk mu się przygląda.

Czując, jak wychłodzone nogi drętwieją i zaczynają mrowić, Parkanin starał się nie drgnąć. Wibranty poruszyły się w tym samym momencie. Na bogów! Było ich sześć. Pozostałe cztery, których nie zauważył, wtopiły się w mrok. Poszły dalej ścieżką. Za nimi sunęły dwa jaśniejsze.

Leba usłyszał odgłos kroków. Ciche młaśnięcie stopy. Przerwa. Kolejny odgłos. Powoli odwrócił głowę. Ujrzał Eona, który stał pochylony przy niewielkim kamieniu i się rozglądał. Wibranty były coraz bliżej niego. Te jaśniejsze zatrzymały się, ciemne wciąż pędziły w stronę intruza.

*Eon! Leć!* – krzyknął w myślach Leba.

Wydawało się, że przyjaciel dostrzegł czerwone punkty, bo zastygł z rozłożonymi rękami. Stał pośrodku moczarów niczym niechciany pomnik. Najbliższe pająki dzieliło od niego parę kroków. Nie widział ich! Nie mógł ich widzieć!

*Leć!*

Leba zbliżył się do ścieżki, podniósł na rękach i wyczołgał z bagna. Chciał krzyknąć, lecz dźwięk ugrzązł mu w krtani. I wtedy zobaczył, jak wspinają się po nogach Eona. Ten kopnął niewidocznego wroga, rozchylił skrzydła i odbił się od podłoża, lecz ciałem Parkanina wstrząsnął nagły skurcz. Zamiast polecieć, poturlał się i upadł na brzuch. Znieruchomiał.

*Święty Solarze!*

Leba chciał ruszyć z pomocą. Wiedział jednak, że skończy podobnie. Odwrócił się w kierunku drzewa. Wykonał krok, potem drugi. Najpierw powoli, ujrawszy jednak, że większość czerwonych punktów zmierza w stronę Eona, przyspieszył.

*Pomóżcie mi, bogowie. Oby skończyło się tylko na paraliżu.*

Kiedy dostrzegł rzekę, która rozwidlała się i opływała polanę z prastarym drzewem, zaczął biec. Skąpane w mroku kontury drzewa stawały się coraz wyraźniejsze. Leba stracił równowagę i upadł, lecz błyskawicznie wstał. Skoczył, gdy wydawało mu się, że widzi czerwoną poświatę. Na szczęście wyglądała jak zwykła odłupana kora. Kora lub skorupa martwego żółwia. Przyspieszył. Usłyszał szum rzeki, tak blisko. Jeszcze chwila. Skok. Wartki



nurt lodowatej wody rzucił nim jak marionetką. Spiął mięśnie i dopłynął do brzegu polany. Wygramolił się na suchą trawę i spojrzął w kierunku Eona. Ścieżkę, którą tu przybiegł, pożerała ciemność. Nie dostrzegł nic prócz potarganych ruchem wyziewów, które kłębiły się niespokojnie.

\* \* \*

Drzewo wyglądało dokładnie jak na rycinach w księgach wiary. Dziesiątki gałęzi wyrastało z pnia szerokości domu, płacząc się i mieszając niczym rozczochrane wiatrem włosy potwora. Wszechobecne korzenie wiły się po ziemi, tworząc nieruchome fale węzłów pochłaniających polanę. Dziurawiły darń niczym nóż przebijający wierzch spieczonego ciasta. Wiatr smagał gałęzie, trącając przymocowane do ich końców kamienie Den.

Leba ujrzał ją wśród korzeni. Nie miał wątpliwości, że była to Jednia. Głowa kobiety zwisała na wygiętym karku. Rozchylone, napięte skrzydła były oplecione korzeniami i konarami. Pokryte ziemią pióra lepiły się od żywicy, tworząc porośnięty mchem roślinny twór. Bezwładne stopy nie dosięgały gruntu. Wisiała podtrzymywana pnączami przebijającymi skórę i wdzierającymi się pomiędzy żyły nabrzmiąłych rąk i nóg.

Dopiero teraz usłyszał stłumiony, jednostajny szum, który musiał być jej oddechem. Gałęzie odginały się i pochylały, jakby chciały gościa objąć, przytulić. Zrobił krok do tyłu. Jednia wyglądała na pogrążoną we śnie.

Przyjrzał się kamieniom Den. Setki odłamków dyndało na końcach konarów, stukając o siebie i kołysząc się na wietrze. Po zaślubinach kamienie wybrańców trafiały właśnie tu, gdzie spragnione krwi gałęzie wciskały się w wydrążony otwór odłamka.

*Któryś z nich należy do Niaka – pomyślał.*

Skrzypnęło, jak gdyby napięte gałęzie pękały, lecz tylko się przesunęły, gdy Jednia uniosła głowę. Białka oczu istoty zalśniły w ciemności, a szelest oddechu ucichł.

– Kim jesteś? – spytała zmęczonym głosem.

– Mam na imię Leba.

Twarz wiszącej stężała. Pod warstwą kory i napęczniałymi policzkami dostrzegł podobieństwo do parkańskiej kobiety. Czekał, lecz prócz oddechu drzewa i nawoływań ropuszków otaczała go cisza. Pokryte mchem usta się poruszyły.

– Jesteś tym, który od trzech lat prosi o wcześniejsze zaślubiny.

*A więc powiedzieli jej o mnie* – pomyślał.

Wiele razy złościł się na Uległych, zżymał na tajemnice, które nieustannie skrywali w księgach, kpił z dawkowania wiedzy na lekcjach wiary. Był przekonany, że ignorują jego prośby, a jednak wyglądało na to, że przekazywali je tej, która za każdym razem odmawiała.

Pochylił głowę, próbując uspokoić rozkołatanę serce.

– Obok dużej przepaści pojawiła się czarna anomalia. Ujrzałem w niej istotę bez skrzydeł.

Jednia poruszyła się i wykrzywiła usta.

– Z którym zhańbionym rozmawiałeś?

– Nie mam z nimi kontaktu. Nikt nie ma.

– Bzdura! Pomimo zakazu zdarza się, że po powrocie powiedzą to i owo, zanim zostaną odizolowani.

– Czyż ryzykowałbym podróż na moczary, by cię okłamywać?

Podciągnęła się na skrzydłach, wciąż wisząc na setkach trawiących ją gałęzi.

– Ta... istota w anomalii... Poczuleś coś wtedy? – odezwała się niepewnie.

– Bliskość. Bardzo chciałem to coś poznać – odparł bez namysłu.

– Kto wie... – wymamrotała i wzniosła oczy ku niebu.

Przez chwilę myślał, że zasypia, lecz przymknięte powieki się otworzyły, a usta złapały haust powietrza. Spojrzała na niego łagodniej.

– Kilka dni temu stało się coś, czego nie rozumiem – powiedziała. – Jakby konstrukcja światów zachwiała się w posadach.

– Jeziora, zanikający dźwięk...

Skinęła głową.

– Może fakt, że widziałeś go już teraz, to znak. Kto wie, kto wie...

Chciał o coś spytać, lecz spojrzała na niego w taki sposób, że połknął niewypowiedziane słowo.

– Staniesz do zaślubin. Krew prawdę powie. – Słowa Jedni eksplodowały w głowie Leby.

– Mój przyjaciel! – Klęknął. – Dopadły go wibranty! Musisz mu pomóc. Słyszysz?

Krzyczał, lecz Jednia nie reagowała. Głowa istoty opadła z chrzęstem, a skrzydła zwiotczały. Kiedy odlatywał, oddech kołysał nią w korzeniach drzewa, które skurczyło się pod ciężarem myśli wiszącej.

## Rozdział 4

# Kto jest kim?

### *Estepia*

Krępy ochroniarz Karczmy pod Tłustym Sumem przepchnął grupę gapiów i odciągnął górnika, który ścisnął sine gardło Brena. Początkowo to właśnie rudowłosy został uznany za głównego podejrzanego, lecz nie znaleziono narzędzia zbrodni, dlatego przyjęto, że mordercą może być ktokolwiek. Poza gronem podejrzanych została jedynie obsługa gospody.

W karczmie zagościły strach i nieufność. Właścicielka zażądała, by każdy oddał broń, co spotkało się z gwałtownym protestem większości. Ochroniarz uniósł długi miecz na wysokość biodra i zwrócił sztychem w kierunku zebranych. Zawziętość w oczach uzbrojonego niemowli zwiastowała krwawą potyczkę, na którą nikt nie miał ochoty. Ostatecznie goście ustąpili, a po sprawdzeniu okazało się, że żadna z broni nie mogła zadać nietypowej rany. Karczmarka zamknęła zebrany oręż w piwniczce, tłumacząc się względami bezpieczeństwa.

Kiedy goście ruszyli do sali jadalnej, ochroniarz i brat ofiary wytargali ciało na zewnątrz. Po powrocie górnik obserwował wszystkich i szczyrzył groźnie zęby, jakby liczył, że morderca sam się przyzna. Barmanka uciekła na górę i zabarykadowała drzwi swojego pokoju, Triod zaś chodził i obsesyjnie zaglądał we wszystkie kąty przybytku.

*Czego on wciąż szuka? – zastanawiał się Bren. Czyżby narzędzia zbrodni? W takim razie dlaczego zostawił je na moim sienniku?*

Dalsza część dnia upływała nerwowo. Goście omijali się wzajemnie szerokim łukiem, a dotychczasowy gwar zastąpiła cisza wypełniona

pytania: co dalej? Noc w karczmie zwiększała ryzyko stania się kolejną ofiarą, a opuszczenie przybytku gwarantowało rychłą śmierć.

Fatalnej atmosfery nie poprawiło przybycie najemniczki i jej niskiego pomocnika. Karzeł umościł sobie posłanie w stajni, zajmując ostatnie, oczyszczone z krwi miejsce obok Brena. Kobieta natomiast sypnęła złotem i zażądała noclegu w pokoju na górze. Zgodnie z zapowiedzią właścicielka podniosła opłatę za pobyt w pokojach, co wywołało falę siarczystych przekleństw.

Triod rozpoczął negocjacje, lecz po chwili machnął ręką i wyciągnął z sakiewki odliczoną kwotę. Myśliwy spojrzął na karczmarkę, a ta skinęła głową i go pominęła.

*Ciekawe, dlaczego nie płaci* – zastanawiał się Bren, stojąc w drzwiach izby.

– Precz z łapami! – usłyszeli krzyk starca. – Nie mam tyle!

Ochroniarz ścisnął wrzeszczącego i włókł niczym ciężkie kowadło.

– Nie ma złota, nie ma noclegu – sapała Hinda, idąc do drzwi wyjściowych.

– Muszę tu zostać – błagał starzec. – Skazujesz mnie na śmierć, suko!

Ochroniarz kierował się prosto do celu, unikając ciosów starucha. Zza uchylonych drzwi sypnęło śniegiem, temperatura w korytarzu błyskawicznie spadła. Mężczyzna cisnął starca na zewnątrz niczym worek mąki, po czym zamknął za nim i odwrócił się w stronę zaaferowanych gości. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, lecz mlasnął tylko kikutem języka i przekręcił klucz w zamku.

\* \* \*

Podczas kolacji wszyscy musieli zapłacić za kolejną dobę, przez co Bren został bez pieniędzy.

– Wiem, kim jesteś – wyszeptał Triod, dosiadając się do najemniczki.

*Jaka będzie tym razem strategia podrywu?* – zastanawiał się Bren, nadstawiając uszu. Pewnie nieznajoma podobała się młodzianowi, a ten

miał w zanadru kolejny głupi tekst o tym, że dziewczyna jest przeznaczeniem, które powinien spotkać w swoim pokoju.

*Czy coś w tym stylu* – pomyślał i opróżnił drugi kielich wina.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu.

Nieznajoma zmarszczyła czoło, obserwując go z pytaniem w oczach.

– A z początku wyglądałeś na normalnego – skwitowała.

Triod wstał bez słowa i odszedł, szorując dłonią po zakurzonej desce.

*Czy ryby oddychają pod lodem?*

Bren obserwował wiszący na ścianie obraz.

*Mnie pytał o to samo, dziwne. Może ten chłopak ma naprawdę nierówno pod sufitem? I czego wciąż szuka we wszystkich pomieszczeniach?*

Wieczorem do karczmy zawitał kolejny gość. Półelfka o twarzy pokrytej tatuażami bez słowa wręczyła karczmarce sakiewkę i poszła się ogrzać przy palenisku. Gospodyni ponownie podniosła ceny noclegów na piętrze, zbierając dopłaty od wszystkich poza myśliwym. Ostatnim, do którego podeszła, był Triod. Chłopak westchnął, pokręcił głową, spakował niewielki dobytek, wsiadł na konia i pogalopował traktem w śnieżną burzę.

Noc nadeszła szybko i niespodziewanie, szturchając podmuchami wiatru chwiejny budynek stajni. Bren leżał zawinięty w koc, pod którym ukrył drewnianą belkę końskiego boksu. Nie myślał o spaniu. Był pewien, że górnik poszuka zemsty. Wiedział też, że sam stanowi oczywisty cel.

\* \* \*

Czas do rana upłynął zaskakująco spokojnie. Bren oraz górnik nie zmrużyli oka. Obserwowali się nawzajem. Brodacz siedział oparty plecami o ścianę stajni i wyczekiwał potencjalnego ataku, rudowłosa zaś prężył mięśnie i szczyrzył groźnie zęby, choć w głębi duszy wiedział, że nie umie walczyć. Jedynie karzeł spał spokojnie, nieświadomy zajść z poprzedniej nocy.

Ranek przyniósł lepszą pogodę. Opady śniegu zelżały, a promienie słońca zaczęły się przedzierać nieśmiało przez burzowe chmury. Najemniczka oraz karzeł zjedli śniadanie, po czym zdecydowali się opuścić

gospodę. Niestety, kilka godzin po ich wyjeździe na zewnątrz znów rozpętało się piekło. Wicher świszczął w kominie, podrzucając drobinki żaru paleniska, grad bębnił w deski osłaniające okna, a w budynku zrobiło się zauważalnie chłodniej.

Po południu właścicielka otworzyła stajnię, by wprowadzić nowego gościa z dwoma objuczonymi końmi.

– Tu będzie spał, a tam będzie jadł. Przyjdzie zara na obiad. – To powiedziawszy, odeszła wraz z górnikiem.

Nieznajomy zdjął kaptur i strzepnął przyklejony do płaszcza śnieg. Po chwili oczyścił resztę odzienia, zanosząc się suchym kaszlem.

– Śnieżycy nie ustaje? – zagaił Bren, rozmasowując skostniałe nogi.

– Bynajmniej – wycedził przez zęby przybyły. Zdjął juki, zaniósł je na posłanie, a następnie rozłożył na sianie mokry płaszcz i buty.

– Z daleka jedziecie? – spytał Bren, podając mu jabłko, które wyturlało się z sakwy mężczyzny.

– Z daleka – odparł i przyjął owoc.

Szpiczasty nos drgał w trakcie obierania jabłka, a zarośnięta twarz sugerowała, że obcy dawno nie przebywał w cywilizowanych warunkach.

Zaległa cisza. Bren rozmyślał o wszystkim, co dotąd widział i słyszał.

*Morderstwo górnika, wyrzucony na pewną śmierć starzec i ten chłopak... Jak on miał na imię? Triod. Ciekawe, czy jeszcze żyje.*

Zaimponowały mu spokój i pokora, z jakimi opuścił karczmę. Bez awantur, burd i przepychanek.

*Być może znalazł to, czego szukał. A może właśnie mu się nie udało?*

Przełknął ślinę, czując, że intuicja popycha go w dziwną stronę. Dobrze znał to uczucie.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu – wypalił głośno.

Obcy wytarł nóż w podróżną chustę, schował do sakwy i odparł:

– Warto zrobić w lodzie trzy dziury ostrym narzędziem. Masz może takie?

Chłopak poczuł dudnienie w skroniach. Serce waliło niczym oszalałe. Wstał i przeciągnął się jakby od niechcienia. Robił wszystko, by opanować

drżenie żuchwy, która w takich chwilach podskakiwała mu mimowolnie. Spokojnym krokiem ruszył w stronę korytarza. Podskoczył, sięgnął belki stropowej i chwycił ostrze. Wylał zakrzepłą już krew o wewnętrzną część koszuli, po czym z duszą na ramieniu wrócił do nieznanego.

Mężczyzna obejrzał przedmiot, po czym spojrzał na Brena.

– Jestem Okiennikiem – powiedział, wyciągając dłoń. – Znasz hasło, więc ciebie szukam. Masz symbol, czyli pokonałeś innych. Dobra robota. Ruszamy, gdy tylko ustanie zamieć. – To powiedziawszy, poszedł do głównej izby.



## Rozdział 5

# Najmłodszy w historii

### *Parkan*

Po spotkaniu z Jednią Leba długo krążył nad moczarami w poszukiwaniu Eona. Nadszedł świt, a on wciąż nie widział przyjaciela, więc udał się do wioski, prosto do domu chorych.

Eon leżał na wznak w sali izolacji. Miał sztywne, uniesione ręce, jakby się przed czymś osłaniał. Rozchylone usta, zmarszczone brwi, pełne przerażenia oczy. Wszystko to spowiła woskowa maska. Leba pomyślał, że gdyby nie unosząca się klatka piersiowa, przypominałby jedną z figur w świątyni Solara.

Jak udało się ustalić, to Oddani znaleźli Eona i zanieśli do wioski. Zgodnie z wynikami badań życiu przyjaciela nie zagrażało niebezpieczeństwo, nikt jednak nie podejmował się oceny, kiedy mógł się wybudzić.

Tej nocy Leba nie zmrużył oka. Targany wyrzutami sumienia rzucał się na hamaku i rozmyślał o stanie zdrowia przyjaciela. Rano ponownie odwiedził dom chorych. Niestety Eon wciąż patrzył w sufit nieobecny wzrokiem. Nie przyjmował pożywienia ani wody.

„Czekać i modlić się, by jad opuścił żyły, zanim spustoszy organy wewnętrzne”. Ostatnie zdanie znachora kołatało w głowie Leby, kiedy stawiał się na placu świątynnym. Mimo że do zaślubin krwi zostało pół godziny, przy Domu Solara gromadziły się dziesiątki Parkan. Coroczny rytuał przyciągał nawet tych, którzy na co dzień stronili od tłumów. Plac okupowali chorzy i ranni, starsi i kobiety w połogu. Ciekawskie dzieciaki rozpychały

się, chcąc zająć miejsca najbliższej rytualnego stołu. Praktykowane od pokoleń misterium stanowiło nieodłączną część życia i religii Parkan. Tego dnia krew wskaże dwóch wybrańców spośród dziesięciu. To dziś dowiedzą się, kto wyruszy na Wyspę Prób, by stawić czoło wyzwaniom, a może nawet wejść do anomalii.

Gdy na placu pojawili się Oddani, sztandary klanu Yrga wzleciały ponad falujące morze głów. Najstarsi w posłudze nieśli kamienie Den oraz pergaminy z imionami kandydatów. Gromada gapiów rozstąpiła się, gdy kładli sześciokątne bryły na rytualnym stole.

Leba przyjrzał się kamieniom. Najtwardszy minerał, jaki znali. Den. Odłamywany co roku z pomnika Solara stanowił podstawę zaślubin. Ogromne podobizny boga wszechrzeczy stały w centralnych punktach stolic wszystkich klanów. Pomimo utraty fragmentów potrzebnych do zaślubin monumentalne rzeźby wciąż prezentowały się doskonale, a miejsca, z których pobierano materiał, maskowano liśćmi benabu. Czymże był kamień, na który oddziaływała parkańska krew? Darem bogów? Dziełem przypadku? Przepowiednią? Te oraz wiele innych pytań od lat pozostawały bez odpowiedzi. Faktem było to, że wśród dziesięciu nominowanych każdego roku trafiało się kilku, których kropla krwi drążyła w kamieniu otwór. Im głębiej wyżłobiona wnęka podczas zaślubin, tym większy potencjał przypisywano kandydatowi przed zmierzeniem się z wyzwaniami na Wyspie Prób.

Klan Yrga tylko raz nie posłał nikogo na wyspę. Dokładnie sześć lat temu krople wszystkich kandydatów spłynęły po brzegach kamieni. Leba pamiętał wszechobecny smutek, który panował wtedy w wiosce. Wejście do anomalii stanowiło ogromną nobilitację dla klanu, a bez wybrańców płynących na wyspę nie było możliwe.

– Mam zaszczyt ogłosić początek tegorocznego święta krwi. – Słowa jednego z Oddanych wybrzmiały głośno i wyraźnie. – Powitajmy kandydatów.

Tłum Parkan zakotłował się i wrzasnął z euforią.

– Santor, Haan, Puer. – Wyczytywane imiona witano gromkimi brawami

i okrzykami radości.

Stojący najbliżej stołu zakołysali się, popchnięci przez napierających z tyłu. Każdy chciał widzieć moment, w którym kandydat zajmuje miejsce przy kamieniu Den. Usta Oddanego wyrzucały kolejne imiona, lecz dudnienie w uszach Leby zagłuszało większość słów.

*Czy zostanę wezwany? A może Jednia kłamała, chcąc sprawdzić moją reakcję?*

– Hytta, Sytres, Nimon oraz Yu – zakończył odczyt.

Leba poczuł szturchnięcie łokciem.

– Mam nadzieję, że będziesz mi kibicował. – Twarz Yu przeszył cień sztucznego uśmiechu.

Leba znał ten wzrok. Spojrzenie wroga niosące pogardę. Pamiętał zniewagi, próby ośmieszenia i ciągłe wywyższanie się Parkanina.

Yu minął go i zajął miejsce za stołem.

– W tym roku decyzją Jedni do zaślubin dołączy jedenasty, niepełnoletni kandydat! – krzyknął Oddany.

Szept rozlał się rzeką domysłów. Mężczyzna trzymający pergamin stał niczym posąg i pożerał Lebę wzrokiem. Mówił coś, lecz Parkanin słyszał wyłącznie łomot serca. Poczul, że ktoś klepnął go w ramię. Rozejrzył się po przejętych twarzach. Czyjeś dłonie przyłgnęły do jego pleców i pchnęły go w stronę stołu.

– Lebo, synu Hoerna. Nie daj na siebie czekać – usłyszał wyraźnie.

Poczul w dłoni chłód rytualnego noża. Widział pełen zaskoczenia wzrok Yu. Gdy wchodził na podwyższenie, dotarło do niego, że Jednia mówiła prawdę. Oto stanął przed szansą dotarcia na Wyspę Prób.

\* \* \*

Nacięcie skóry wykonane przez pierwszego kandydata zawsze wywoływało grobową ciszę. Szyje zebranych wygięły się, gdy napierający na podest Parkanie usiłowali zobaczyć efekt spadającej kropli. Długie westchnienie oznaczało, że krew Santora nie spłynęła po brzegu kamienia. Leba wychylił

się, by spróbować dostrzec, jak głęboko wpadnie słomka, którą wsuwał do otworu Oddany.

– Jeden i pół pazura – oznajmił donośnie mężczyzna, a tłum ryknął, po czym błyskawicznie ucichł. – Cztery pazury. – Oddany ogłosił wynik drugiego kandydata.

Na placu gruchnął okrzyk euforii, a sztandary wzniosły się wyżej. Leba przypomniał sobie świetny wynik Niaka. Co prawda nie zbliżył się do rekordu wszech czasów, który wynosił osiem pazurów, ale i tak wygrał eliminacje i popłynął.

Popłynął, by zginąć podczas prób.

Zwiesił głowę. Tak bardzo chciał, by Niak żył i był tu razem z nim.

*Czy byliby ze mnie dumny?*

– Brak reakcji!

W tłumie rozległ się jęk zawodu.

– Nie pchać się, krok do tyłu!

– Do tyłu!

– Brak reakcji! – oznajmił ponownie Oddany.

– Znowu? To już dwa!

Leba spojrział przez ramię Yu. To Atoren, chłopak, z którym się wychował. Lubili się. Tylko tyle albo aż tyle.

*Jeszcze sześciu. Sześciu przede mną – pomyślał.*

Zamknął oczy. Przypomniał sobie wizytę na moczarach i ogromne drzewo Jedni, na którym wieszano kamienie wybrańców.

*Jak wielu Parkan popłynęło na Wyspę Prób? Jak wielu z nich przeszło przez anomalie?*

Stojący obok Yu uniósł dłoń i naciął skórę przedramienia.

*To już? – zdziwił się Leba. Jakie były wyniki pozostałych?*

Spojrział na morze wpatrujących się Parkan. Oczy każdego śledziły ostrze oraz kroplę spadającą na wyszlifowaną powierzchnię Den. Gęsta krew spieniła się i wgrzyła w kamień, co spotkało się z okrzykami zadowolenia i oklaskami.

– Cztery i pół pazura! – krzyknął Oddany, wyciągając słomkę

z zagłębienia.

– Popłyną Haan i Yu – powiedział jeden z gapiów stojący w pierwszym rzędzie.

– Pobił wynik Elanda! – wrzasnął ktoś.

– O dużo pobił?

Leba uniósł nóż, a tłum ucichł. Parkanin szukał wśród wpatrzonych czegoś, co doda mu otuchy, wesprze go w trudnym momencie. Spojrzał na przedramię, zbliżył końcówkę ostrza i wsunął między pióra. Docisnął, poczuł ukłucie. Kropla krwi spłynęła po rytualnym nożu prosto na kamień. Kapnęła dokładnie w jego centralnym punkcie.

Nic.

Nie stało się kompletnie nic.

– Brak reakcji! – powiedział Oddany.

Wtem kamień eksplodował, rozrzucając po zebranych drobinki miazgi. Huk był tak duży, że tłum się cofnął, a stojący obok kandydaci wpadli na siebie zaskoczeni. Na rytualnym stole nie było ani kamienia Den, ani kropli krwi.

Zapanowała cisza tak głęboka, że dało się usłyszeć, jak stojący na granicy wioski młyn uderza skrzydłami powietrze.

Oddany podszedł do miejsca, w którym przed chwilą leżał kamień, i przeciągnął dłonią po pustej powierzchni stołu. Spojrzał na Lebę, po czym odwrócił się do tłumu.

– O tym, co dalej, zadecyduje Jednia! – krzyknął.

\* \* \*

Decyzja nie mogła należeć do łatwych. Nigdy wcześniej nie widziano takiej reakcji kamienia. Część Parkan twierdziła, że zaślubiny Leby należy powtórzyć. Inni uważali, że zniszczenie kamienia oznacza wynik równy zero. Byli też tacy, którzy przekonywali, że eksplozja to najlepszy rezultat, gdyż kamień najmocniej zareagował na krew.

Skłócony tłum pogodziła Jednia, która opowiedziała się za tym, by Leba

jako trzeci wybraniec dołączył do najlepszych: Haana oraz Yu. Według Oddanych ręka bogów poinformowała już pozostałe klany o tym, że na wyspę popłynę wyjątkowo trzech Yrga.

Kiedy odbijali od brzegu, Leba patrzył w kierunku Wyspy Prób. Nie odwracał głowy, nie myślał o tym, co się dzieje. Odgłosy wiwatującego tłumu nikły w podmuchach przybrzeżnego wiatru. Ilekroć pojawiała się myśl, by spojrzeć w tył i pomachać jak stojący na rufie Haan, zaciskał pięści i jeszcze uważniej wpatrywał się w widniejącą na horyzoncie wieżę. Morze przyniosło zapach wodorostów, który oznaczał granicę głębszej wody. Granicę, którą być może przekraczał po raz ostatni.

Choć wciąż myślał o Eonie i o tym, że nie zdążył się pożegnać z przyjacielem, był z siebie dumny. Tajemnicza reakcja kamienia nie oznaczała niczego dobrego, ale koniec końców, podążał tam, gdzie od zawsze pragnął trafić.

\* \* \*

Płynęli dzień i noc, a Leba zrozumiał, dlaczego korzystali ze statku. Żaden, nawet najsilniejszy Parkanin nie przeleciałby takiej odległości. Gwałtowne podmuchy wiatru, zmienność pogody oraz gigantyczne fale skutecznie pokonałyby śmiałków.

Wraz z upływem czasu kontury wyspy stawały się wyraźniejsze, a rozświetlona wieża coraz bardziej górowała nad okolicą. W trakcie podróży pasażerowie unikali kontaktu. Każdy z wybrańców postawił na własne towarzystwo. Dopiero kolejnego wieczora Yu podszedł do Leby i zasypał go pytaniami.

– Kto ci pomógł? Jesteś zbyt młody na próby. Jak do tego doszło, że zostałeś nominowany do zaślubin?

Był wysoki, jak na Parkanina. Ogromne, białe skrzydła sterczały mu z pleców, sięgając od kolan znacznie ponad głowę. Umięśniony tors w całości pokrywały przylegające do siebie piórka. Opierzone ramiona napięły się złowieszczo, wtórując wiatrowi rozwiewającemu ciemne włosy

i zasłaniającemu wściekłe oblicze.

– Jesteśmy na miejscu! – krzyknął kapitan.

Ujrzeni kilka statków rozświetlonych lampionami. Płynęły z różnych stron, zdobiąc taflę barwnymi wstęgami. Wyspę, jakże bliską teraz, pokrywała nieznana Lebie bujna roślinność. Osadzona na ciemnym oceanie, falowała gąszczem drzew porastających wzgórze. Wysoka wieża, której setki razy przyglądał się z daleka, teraz robiła wrażenie niestabilnej. Bujała się, przechylała, jakby w każdej chwili miała runąć do oceanu. Wykonane z nieznanego materiału ściany odbijały światło, rozświetlając głębiny.

– Pamiętajcie, że jeśli zrezygnujecie, będę na was czekał. – Kapitan rzucił kotwicę.

Parkanie wznosili się w powietrze, po czym lądowali na plaży. Pośród zebranych grup spacerowały niewielkie, sięgające pasa postacie. Jaśniejące istoty nie przypominały niczego, co Leba widział do tej pory. Nieopierzone, chodzące na dwóch nogach, przyrodziane w tajemniczego pochodzenia tkaniny wyglądały na gospodarzy wyspy. Podbiegały do każdego uczestnika i barwiły ramiona niewielkim pędzelkiem, zachęcając, by przesunął się i zrobił miejsce kolejnym przybywającym.

W pewnym momencie jeden z gospodarzy odezwał się, nie wydając dźwięku:

– *Podążajcie za mną.*

Leba spojrział na pozostałych. Ci najwyraźniej również usłyszeli w głowach wibrujący głos, bo zebrali swoje rzeczy i ruszyli za korowodem świecących maluchów.

Kiedy dotarli na niewielką polanę, każdemu z klanów przydzielono osobne budynki sypialne. Zrozumieli, że kolor farby na ramieniu oddaje klanową barwę. Polecono im wypocząć i przybyć skoro świt na centralny plac.

## Rozdział 6

# Podróż mimo woli

### *Estepia*

Zamieć trwała jeszcze dwie doby. Kimkolwiek był obcy, który zwał się Okiennikiem, uregulował podniesiony przez karczmarkę koszt noclegu, uwzględniając zarówno siebie, jak i Brena. Właścicielka nie ukrywała zdziwienia, kiedy po pierwszej nocy otrzymała dwie zapłaty z rąk nowo przybyłego. Obserwowała obu przez chwilę i mamrotała coś pod nosem. Kiedy wyjeżdżali, stała przed budynkiem i podpierała tłuste boki, kręcąc głową.

Jechali traktem i obserwowali efekty kilkudniowej śnieżycy. Mróz wciąż szczypał policzki, ale wicher ustał, dzięki czemu opatulony skórami jeździec mógł podróżować bez obaw. Konie stąpały lasem pełnym zamarzniętych drzew, które lśniły rozjarzoną bielą potęgowaną ostrym zimowym słońcem. Wokół panowała głucha cisza. Zwierzęta prawdopodobnie nie opuściły jeszcze kryjówek, a flora zastygła w bezruchu zmrożona lodowym deszczem.

Bren spiął konia, by dogonić mężczyznę.

– Kim jest Okiennik? – spytał, obserwując, jak wydychana para rozpływa się w przedpołudniowym słońcu.

Otulony czarnym płaszczem towarzysz spojrział na niego pustym wzrokiem.

– To rola – odparł. – Nazwa pochodzi od uchylania okna, wpuszczania kogoś do środka. To ja upewniam się, że do piewców dołącza właściwa osoba.

*Piewców? No to się zesrało, Bren – pomyślał chłopak. – Może i przeżyłeś*



*zamieć, ale właśnie zostałeś przyjęty do najpotężniejszej grupy przestępczej w Estepii.*

– Mężczyzna, który zorganizował wam eliminacje, to Rybak – ciągnął nieznajomy. – Znowu chodzi o rolę. Urządza zawody, by złowić najlepszych.

Bren powrócił myślami do rodzinnego Wynder, miodnych pastwisk, łagodnych oczu matki, pięknej Allyen, którą kochał, lecz z którą nie było mu dane żyć... Szukał we wspomnieniach oaz spokoju i dających ukojenie miejsc. Starał się zapomnieć o tym, że uniknął śmierci, aby ponownie wpaść w jej sidła. Unosił się i opadał w siodle, a wraz z nim podskakiwało jego przerażenie. Musiał uciekać, póki nie było za późno.

*Piewcy. Istnieje niewielu na tyle odważnych, by wypowiadać głośno tę nazwę. Złoczyńcy podejmujący się każdego wyzwania. Przepadłeś. To tylko kwestia czasu, kiedy odkryją, że ty to nie ty, brachu.*

– Tu przenocujemy. – Okiennik wskazał niewielką szopę.

Po wejściu do środka ich oczom ukazało się pomieszczenie wypełnione zardzewiałymi narzędziami oraz zbutwiałymi poślaniami. Cementarzysko porzuconych gratów trawionych przez wszechobecne wilgoć i pleśń. Pośrodku bukowej podłogi, wokół walających się ubrań, leżał znajomy Brenowi mężczyzna – wyrzucony z karczmy starzec. Prawie nagi chudzielec wyglądał, jakby nie doskwierał mu chłód.

*Dotarł aż tutaj* – pomyślał Bren i kucnął przy sinych stopach.

Ciało starca, w wielu miejscach czarne, sprawiało wrażenie nadpalonego, jakby pokruszonego. Wyrzutek leżał w pozycji, której nie przyjąłby żaden zdrowy człowiek.

– Znam cię – wystękał do Brena. – Pamiętasz mnie?

Okiennik odciągnął chłopaka w stronę zakratowanego okna i zgarnął kurz z obcęgów służących prawdopodobnie do podkuwania koni.

– Idę poszukać opału. Bez ciepła skończymy jak ten żywy trup, który odmroził kichy – wyrzucił jednym tchem, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Pamiętasz mnie z karczmy? – powtórzył starzec.

Bren przytaknął, gapiąc się na siną twarz nieszczęśnika.

– Los tak chciał... – Mężczyzna próbował dźwignąć ciało na odmrożonych łokciach. – Że przed śmiercią dane mi będzie cię przeprosić i błagać o przysługę.

– Nie masz mnie za co przepraszać – mruknął Bren.

– Jesteś z okolic?

– Nie, pochodzę z Wynder.

– Górnicy w karczmie, na psią juchę. – Mężczyzna splunął krwawą wydzieliną.

– Co z nimi?

– Przebierańcy – wydyszał. – Banda Cichego. Od lat terroryzują południowe Kindik. To bezlitośni mordercy... – Przerwał, wciąż gapiąc się załzawionymi oczami na Brena. – Porwali ją. Porwali moją Yvette. A potem zgwałcili i zamordowali. Śledziłem ich tygodniami. Czekałem na okazję do zemsty. Zamieć... Zamknęła nas w karczmie. Kiedy ten blondas Triod poszedł spać, ukradłem tę piękną broń. Ukradłem ją, słyszysz?! – Ostatnie zdanie wykrzyczał, szorując siwymi włosami po brudnej posadzce.

Uderzenie wiatru bujnęło okiennicami, podrzucając pocięte worki.

– Pierwszego zadłgałem jednym pchnięciem, ale ty... ty się przebudziłeś. Spanikowałem. Podłożyłem broń i uciekłem. Chciałem, by winili ciebie. I za to przepraszam.

Bren stał pochylony, nasłuchując kroków Okiennika. Zadrżał, wiedząc, że słowa starca rzucą nowe światło na to, w jaki sposób został właścicielem cennej broni.

*A więc to Triod wygrał eliminacje Rybaka. Skąd mam wiedzieć, że Okiennik nie stoi za drzwiami? Może słyszy każde słowo i wyjmuje właśnie nóż? Co robić? Myśl, Bren...*

– Wróć tam i zabij drugiego – wyjęczał starzec. – Zrób to dla mnie i pomścij moją Yvette. Pojedź razem z twoim towarzyszem. Gdzie on? Opowiem mu, co mnie spotkało... – Staruszek zaniósł się kaszlem.

Bren kopnął drzwi, aż odskoczyły od ściany budynku, po czym wybiegł na zewnątrz i pognał w stronę koni. Sprawdził uwięz najbliższego i odplątał linę od belki.

– Wiązałem mocno, nie musisz poprawiać – usłyszał znajomy głos. Znieruchomiał i przełknął ślinę.

– Wydawało mi się, że została sakwa – odparł niepewnie, obserwując Okiennika trzymającego naręczce chrustu.

Skończył zaciskać supeł i ruszył z towarzyszem w stronę kuźni. Kiedy weszli do środka, starzec nie żył. Skulony w nienaturalnej pozie wskazywał coś wysuniętą fioletową dłonią niczym przewrócona figura, w której nigdy nie istniało życie.

\* \* \*

Ognisko było niewielkie. Bren dygotał z zimna, obserwując syczące, przemoczone szczapy. Budynek chronił przed wiatrem, lecz nie był odporny na niską temperaturę. Okiennik również marzł, ale nie narzekał. Zwinął się w kłębek, z głową skierowaną w stronę ognia.

Wyruszyli o świcie, podjadając z juków suszone owoce. Chłopak obserwował każdy ruch opiekuna. Siwowłosa zachowywał czujność. Kiedy wypuszczał się do przodu, za chwilę wracał, przeczesując krzaki po bokach traktu. Pytany, jak daleko do siedziby, milczał. Cmokał tylko na rumaka i spluwał przez lewy bok.

Późnym południem zatrzymał konie, zeskoczył z siodła i kucnął, analizując ledwo dostrzegalny ślad w śnieżnym błocie.

– Teraz zasłonię ci oczy i zatkam uszy – powiedział cicho.

Bren chciał zaprotestować, krzyknąć. Dłoń powędrowała do lejców, lecz nieznajomy chwycił je u nasady.

– Przez dwanaście miesięcy nie możesz znać lokalizacji.

Siwowłosa sięgnął do juków i wepchnął Brenowi do ucha lepka masć. Szarpnął za brodę i ponowił czynność w drugim uchu. Substancja syknęła i rozlała się ciepłem, zaklejając wnętrze niczym pszczeleli miód. Początkowo Bren słyszał jeszcze stłumiony odgłos końskiego rżenia, lecz zaraz utonął w grobowej ciszy. Okiennik sięgnął po leżący na końskim grzbiecie worek i zarzucił na głowę Brena. Zapadła ciemność. Gruby materiał przywierał do

twarzy. Na szczęście pozwalał oddychać ze swobodą.

*A może niejadę do piewców? Może ten człowiek to zwykły zboczeniec? Porwał mnie, by więzić i wykorzystywać w piwnicy? Nic z tego, nie fantazuj. Zostaniesz bandziorem i tyle.* – Czarny humor pojawiał się zawsze, gdy Bren był na skraju paniki.

Poczuł klepnięcie w kolano. Ruszyli. Przyłgął do końskiego grzbietu, brnąc w ciemności. Jedyne kontakty ze światem stanowiła zroszona śniegiem końska grzywa, na której zaciskał palce.

\* \* \*

Po wielu godzinach kluczenia zatrzymali się i poczuł kolejne klepnięcie w nogę. Zeskoczył ostrożnie, mając wrażenie, że spada w pustkę, ale buty trafiły na grząskie podłoże. Silna dłoń ujęła go pod ramię i poprowadziła wolno, pozwalając wyczuć grunt. Coś uległo zmianie. Skazany wyłącznie na węch Bren zaciągnął się powietrzem. *Zapach dymu? Nie, to nie to. Wilgoć? Zgniłe rośliny? Blisko...*

Obrócił głowę, przez co zwolnił, lecz krzepka dłoń stanowczo szarpnęła ramię i pociągnęła do przodu.

Zaskoczył go stopień w dół. Potknął się. Poczuł na policzku smagnięcie bocznego wiatru, który ponownie wypełnił nozdrza zbutwiałą, parną wonią. Po pewnym czasie twarda posadzka zastąpiła chlupiące błoto pośniegowe.

*Jestem niesiony jak prezent* – pomyślał.

Rzeczywiście, lewą i prawą rękę przytrzymały czyjeś dłonie.

*Zaraz. Prowadzą mnie dwie osoby? Dlaczego nic nie zauważyłem? Skupiłeś się na wachaniu, durniu.*

Po jakimś czasie stanęli. Ktoś zsunął mu worek, a on, mrużąc oczy, rozejrzał się wokół. W komnacie panował półmrok. Jedyna pochodnia rzucała nikłe światło na wypełnioną wodą miednicę. Tuż obok stali dwaj mężczyźni ubrani w skromne szare szaty. Ich oczy zakrywały czarne przepaski. Jeden z nich wykonał gest, udając, że nabiera wody z miednicy i wlewa ją sobie do ucha. Bren bez chwili namysłu włożył dłoń do wody

i zrobił to, co zalecono. Poczuł, jak wydzielina się rozrzedza i spływa po ramionach.

– Powinieneś już słyszeć – rzekł drugi. – Słyszysz mnie?

– Kim jesteście? – spytał Bren, patrząc na ściany pustego pomieszczenia.

– Mówią na nas: Ciemni. Witaj w siedzibie piewców.

– Ciemni?

Mężczyzna wskazał opaskę na oczach. Miał długie wąsy i mnóstwo piegów.

– Niewidomi. W naszych oczach jest jedynie ciemność. O!

– Od urodzenia? Jesteście niewidomi od urodzenia?

Nieznajomy uśmiechnął się smutno i dźwignął miednicę.

– Aby zostać Ciemnym, musisz dać sobie wypalić oczy. Tylko wtedy możesz służyć piewcom.

– Więźniowie?

– Ależ skąd, przystaliśmy na to dobrowolnie. Byłem im winny przysługę.

Szerokie barki drugiego uniosły się, gdy łysy mężczyzna wcisnął palec w klatkę piersiową.

– A ja wcześniej gówno i rzygi. Obity ryj, zimno w dupę. Tu ciepło, a i bebecz pełny. – Na jego ulanej twarzy pojawił się szczery uśmiech.

– Ale dlaczego... oczy? – dociekał Bren.

Głos zabrał wąsacz z wydatną grdyką.

– Ciemni łążą po całej siedzibie. Sprzątamy, prowadzamy do sal i takie tam. Ty masz zamknięte oczy, wchodząc z zewnątrz, my mamy zamknięte oczy, żyjąc wewnątrz. Osoba, z którą przybyłeś, zawsze zostanie poza siedzibą. Strasznie mądre zdanie mi wyszło, prawda, Xod?

– Dla mnie za mundre – odparł grubas i podrapał się po łysej czaszce.

– Jeśli ktokolwiek przystawi nam nóż do gardeł, żądając informacji, gdzie jesteśmy lub jak stąd uciec...

– To psie jajca i pół zakalca!

– Prawda to. Wchodziliśmy tu już po korekcji.

– Korekcji? – wtrącił Bren.

Barczysty nieznajomy wskazał opaskę.

– Psssst – zasyczał, a chłopak od razu wyobraził sobie rozgrzany do czerwoności pręt.

## Rozdział 7

# W szponach melodii

Pokój Brena okazał się niewielką celą z prostym drewnianym łóżkiem naprzeciwko wejścia. Popękane, pomalowane na szaro ściany straszyły pajęczynami i wilgocią. Na prawo od drzwi wisiał stary gobelin. Nadgryziony zębem czasu splot płócienny przedstawiał postać grającą na tajemniczym instrumencie muzycznym. Grajek wyglądał, jakby obserwował chodzącego po pokoju chłopaka, trącając w ekstazie świecące struny.

W ścianie po lewej wyrwano kamienie, tworząc niewielką wnękę, w którą wciśnięta była ława z miednicą. Rozświetlająca pokój prosta lampa olejna czyniła surową izbę przytulniejszą i rekompensowała brak okna. Powietrze stało, nasycone wilgocią i zapachem stęchlizny. Na łóżku leżał strój: zielone spodnie, tunika z szerokimi rękawami, podszyty lisimi skórami płaszcz oraz solidne trzewiki. Na poduszce dostrzegł metalową maskę z otworami na oczy i nos oraz łańcuszek z okrągłym wisiorkiem i zatrzaskiem.

*Sekretnik* – pomyślał Bren, przypominając sobie dzień, w którym podarował Allyen ten rodzaj biżuterii. W medalionie można było nosić zwitek pergaminu lub cokolwiek innego, co kobieta pragnęła mieć zawsze przy sobie.

*„Ukradłeś”, tak powiedziała. A ja się wtedy mocno oburzyłem – przypomniał sobie słowa ukochanej.*

– Miałem najbystrzejszą kobietę pod słońcem.

Obejrzał przygotowany strój. Był świeży i nie nosił śladów użytkowania. Bren został poinstruowany, by zawsze go nosić i zasłaniać twarz maską. Zasada ta dotyczyła wszystkich z wyjątkiem Ciemnych oraz niektórych

nauczycieli.

Kiedy zmienił ubranie, udał się z Ciemnym na posiłek. Niewidomy przesuwając dłoń po ścianach, jakby znaczył je lub odczytywał z pamięci położenie. Mijali wiele skrzyżowań korytarzy, skręcając w najmniej oczywiste odnogi. Ostatecznie trafili do dużej, oświetlonej sali pełnej zamaskowanych postaci ubranych w różnobarwne tuniki. Niektórzy siedzieli przy stołach skupieni na pochłanianiu zupy pachnącej gotowaną marchwią i kolendrą. Inni stali w kolejce do niewidomego, który nalewał gęstą breję z wielkiego kotła.

Trzymając miskę z przydziałem, Bren usiadł w gronie ubranych na zielono.

Rozmowy ucichły, gdy do pomieszczenia weszła zamaskowana kobieta. Jej misternie wykonany strój sugerował wysoką rangę piewcy. Długi czarny płaszcz, którym szorowała po posadzce, wyglądał na ciężki. Przytroczone metalowe karwasze oraz zdobione naramienniki odbiły światło, kiedy cicho niczym kot minęła palenisko. Skórzany kaftan osłaniał szyję oraz obojczyki, odkrywał za to dekolt wytatuowany nutami. Szczupła talia ściśnięta była pasem z trójkątną wzmocnioną sprzączką. Bren powiódł wzrokiem po biodrach nieznajomej. Wsunięte pod pas zaczepy nogawic podkreślały prowokacyjnie obnażone uda.

*Boska i straszna zarazem* – pomyślał, przyglądając się inskrypcjom nut zdobiącym wywinięte klapy płaszcza i napięty materiał na brzuchu.

Na ramieniu kobiety siedziało szare ptaszysko, którego duże żółte oczy sondowały otoczenie. Głowa ptaka unosiła się i opadała z każdym stawianym przez nieznajomą krokiem. Jeden z Ciemnych przyniósł dziwny instrument muzyczny i oparł go delikatnie o ławę. Kobieta usiadła wygodnie, poprawiła rękawice bez palców i sięgnęła po sprzęt. Wygięty, zbudowany ze zdobionego drewna, miał pięć srebrzystych strun. Na każdej z nich na różnych wysokościach tkwiła błyszcząca kostka, której blask odbijał się od zdobionej powierzchni podstawy. Wyściełane czerwonym materiałem poduszeczki, na których spoczęły dłonie właścicielki, sprawiały wrażenie delikatnych i miękkich.



Niewiasta przycisnęła instrument do piersi i potarła ramię wystającą spod maski szczupłą brodą. Miała jasną skórę i białe jak śnieg włosy. Ubrana w mistyczny strój piewców wyglądała niczym śmierć, która dostała w szpony instrument boga. Jej palce prześlizgnęły się po strunach. Dźwięki zawirowały, przyspieszając i zwalniając. Kleiła tony i rozdzielała je pustymi pauzami po to, by znów szarpnąć struny i wywołać pomruk zachwytu słuchaczy.

Ktoś z tyłu zaczął bębnić o blat kubkiem; najwyraźniej rozpoznał melodię. Po chwili dołączyli inni, wybijając twardy, żołnierski rytm. Nieznajoma z instrumentem zaintonowała pieśń:

Kiedy nuda cię rozdziera  
A samotność to twój smak  
To Rybaka szukaj tera  
Daj swój znak  
O, daj swój znak

Kiedy ruszysz w misję latem  
Wyznaczając nowy szlak  
Pochylony w cieniu z bratem  
Daj swój znak  
O, daj swój znak

Twardy stukot naczyń wzmagał echo, potęgując efekt rytmicznej melodii. Odzywały się kolejne gardła, czyniąc pieśń głośniejszą, a końcówki zwrotek śpiewali wszyscy.

A gdy wróg zaskoczy podle  
Spadniesz z konia, hen, na wznak  
Nie cwałujesz wszak sam w siodle  
Daj swój znak  
O, daj swój znak

Czcze pochwały, pieniądz, sława  
To na co dzień pustka, brak  
Siła pieśni w poprzek prawa  
Daj swój znak  
O, daj swój znak

Melodia nagle ucichła, a wraz z nią – wszystkie odgłosy w jadalni. Kobieta z drapieżnym ptakiem wstała, dźwignęła instrument i ruszyła do wyjścia. Kiedy szła, wszyscy pochylali głowy na znak szacunku. Po tym, jak opuściła jadalnię, znów zagościł gwar rozmów.

\* \* \*

Po zakończonym posiłku Ciemny zaprowadził Brena do jeszcze większej sali, w której w trzech rzędach siedziało około dwudziestu osób w zielonych płaszczach. Pomiedzy ławami stał zamaskowany, ubrany na biało mężczyzna. Za nim Bren dostrzegł duży dębowy stół, na którym walały się zapisane pergaminy, pióra i pojemnik z inkaustem.

– Witajcie w siedzibie piewców albo, jak powinienem rzec: witajcie w domu. Rad jestem, że zdecydowaliście się do nas dołączyć. Służcie wiernie, a będziecie nagradzani.

Piewca spacerował wzdłuż rzędów, obserwując zebranych.

– Jak już słyszeliście od Rybaka, służba piewcy nie ma końca. Oznacza to, że od dzisiaj aż do śmierci w waszych żyłach gościć będzie muzyka. Pochodzenie, rasa, wyznanie są bez znaczenia. To właśnie dźwięk, melodia i rytm łączą nas od pokoleń.

*Może zostanę po spotkaniu i wytłumaczę, że nastąpiła pomyłka. Nie rozmawiałem z żadnym Rybakiem – w głowie Brena ruszyła gonitwa myśli.*

– Wiele lat temu ukryliśmy siedziby w cesarskich Dengiz, Kindik oraz Togli. Działamy w krasnoludzkim Bolga i królestwie gnomów Taklif. Chcemy pracować też w Boshqalar, choć jest tam wciąż... niebezpiecznie. Nie byłoby nas, gdyby nie kodeks, którego każdy ma obowiązek przestrzegać. Po pierwsze: ucieczka oznacza śmierć. Za dużo widzieliście, abyście mogli

zrezygnować. Był na to czas przed zawodami. Jeżeli ktokolwiek z was pomyśli o wycofaniu się ze służby, jest tylko jedno wyjście: wypalenie oczu. Ten etap to również ostatnia część posługi. Kiedyś będziecie starzy lub ciężko ranni. Rodzina zadba o was bez względu na wszystko.

Smukłe palce mówcy gładziły powierzchnie stołów, wzdłuż których szedł. Adepti cofali dłonie, a przemawiający sunął wyprostowany niczym ogrodnik, który ocenia młode drzewa.

– Po drugie: jeśli zdradzicie dom, opowiecie komukolwiek o siedzibie i naszych zasadach, również spotka was śmierć. Pamiętajcie, że nasza rodzina to najlepsi tropiciele i zabójcy w Estepii. – Usiadł na stoliku przy drzwiach i przyjrzał się zgromadzonemu.

Bren poprawił maskę. Skronie pulsowały mu żywym ogniem.

– Po trzecie: przez dwanaście miesięcy każdy z was będzie minstrelem. Zieleń to wiosna, początek przygody, rytmy młodości, dlatego ubraliście zielone stroje. Będziecie podejmować się misji, lecz nie w pojedynkę. Potraktujcie pierwszy rok jako ćwiczenia. Z czasem uczynimy was lepszymi, nauczymy grać na instrumentach. Muzyka łagodzi obyczaje i koi samotność. Po czwarte: maski. Nie wolno ich zdejmować. Podczas wyjścia i wejścia do siedziby te same zasady: wosk górskich pszczół i worek na łeb. Widzę, że założyliście wisiorki. To dobrze, bez nich też nie wyjdziecie.

Mężczyzna sięgnął do leżącego obok worka. Wyjął szyszkę i położył na stoliku pierwszego adepta, następnie wziął bransoletę i podał sąsiadowi. Trzeci chłopak złapał niewielki kamień.

– Zadania minstrelów są proste, niewymagające kunsztu klas specjalistycznych. Podzielicie się na grupy zgodnie z przedmiotami, które rozdaje. Za każdą udaną misję otrzymacie wypłatę – tłumaczył piewca. – Zdejmij maskę! – krzyknął do jednego z adeptów.

Chłopak drgnął, lecz zatrzymał dłoń przy twarzy.

– Zdejmij maskę, proszę – nalegał mężczyzna, choć łagodniejszym tonem.

– Nie mogę, toć kodeks zabrania.

Mówca położył bransoletę, a ta zadźwięczała głośno.

– Bardzo dobrze – rzekł. – Gdybyś to zrobił, zostałbyś Ciemnym. Będziecie kuszeni, zwodzeni, podjudzani. Wasz trening już trwa. Nigdy, zapamiętajcie to, nigdy nie wolno złamać zasad kodeksu. Jedynym wyjątkiem, kiedy zdejmiecie maski, będzie misja. Zrobicie to poproszeni przez Okiennika.

Wyszedł na środek i rozłożył ręce.

– Niech was prowadzi melodia. Przez pierwszy rok będę waszym opiekunem. Potem dołączycie do grupy trubadurów, skaldów, bardów albo wieszczów. Sami ocenicie, która muzyka jest najbliższa waszym sercom. Każda klasa stawia na inne umiejętności. Rodzina potrzebuje różnej melodii, gdyż podejmujemy się skomplikowanych zadań.

Kiedy złożył dłonie, wyglądał jak jedna z figur świętego wędrowca, które Bren widywał na rozstajach.

– Ostatnie to trening. Będziecie ćwiczyć codziennie. Ciało i głowę.

Usłyszeli stłumioną wesołą muzykę i bełkotliwy śpiew dochodzący z korytarza. Ktokolwiek był wykonawcą utworu, ryczał głośno, wykrzykując końcówki zdań.

Król Langaru, Beren Drugi  
Nie chciał tronu oddać  
Ktoś wykupił me usługi  
Aby zamek poddać

Hej ha, robota ta  
Choć żmudna, to ciekawa  
Czasem widzimy krew  
A czasem jest zabawa

Nie topory, katapulty  
Woje i rycerstwo  
Górski chaber, glistnik żółty  
Trujące zwycięstwo

Hej ha, robota ta  
Choć żmudna, to ciekawa  
Czasem widzimy krew  
A czasem jest zabawa

Drzwi otworzyły się z hukiem i ujrzeli niskiego mężczyznę w białym stroju dźwigającego skrzynię i obserwującego ich z pogardą.

– Zostawiam was w dobrych rękach – powiedział opiekun i opuścił salę.

Gość ruszył w kierunku stołu, powłócząc nogą. Miał ciemne, tłuste włosy, sięgającą uszu, przystryżoną brodę i ogromny, przecięty bruzdą nos. Rozchylona toga odkrywała bujne owłosienie klatki piersiowej.

– Pierwszy rząd bransolety, drugi kamienie, ostatni szyszki – rzekł. – Mam dwa razy powtarzać, psie juchy?! Zajmować miejsca! – wrzasnął, po czym odstawił ostrożnie kufer.

Adepci zerwali się z ław i po chwili zamieszania ponownie zapadła cisza. Zgarbiony mężczyzna postawił skrzynię na stole i przesunął na środek, zrzucając walające się pergaminy.

– Pierwsze zajęcia, łązęgi. Pierwsze są dla wszystkich.

Otworzył kufer i zaczął wyjmować zamknięte fiołki. Kładł je ostrożnie na blacie, otwierał i wyciągał z nich drobne granulki. Te również układał, przesuwając palcem, zamieniając miejscami, jak gdyby tworzył artystyczne dzieło.

– Bez tego nie wyjdziecie na żadną misję. To jak miecz dla rycerza, jak zaklęcie dla maga. Ha!

– Jestem Gwidon – wyszeptał do Brena chłopak siedzący po lewej stronie i podał mu dłoń.

– Triod – zełgał, oglądając złoty sygnet na palcu towarzysza.

– Miło poznać. Chyba wylądowaliśmy w jednym zespole czy tam misji.

– Cisza! – huknął mężczyzna w tozde. Mamrotał coś przez chwilę, wachając zawartość fiołek. – Normalnie robię to na wieprzu. Co ja miałem...? – Mlaskał i wydawał dziwne dźwięki. – Ach, prawda, pierwsza lekcja.

Wstał i wskazał kilkadziesiąt wysypanych proszków.

– Dwuząb, panowie i panie, okrutna trucizna. Pewnie część z was słyszała, ale nie widziała z bliska. Ha! Upiłbym łyk piwa.

W szarości oczu krzykacza Bren dostrzegł szaleństwo. Mężczyzna nigdy nie patrzył w stały punkt, lecz toczył wzrokiem po pomieszczeniu, gapiąc się to w sufit, to w podłogę. Tym razem zerwał się, wziął opuszkami granulkę, po czym podszedł do osoby siedzącej po lewej od Gwidona.

– Gdybym zgniótł to teraz, a nie jest to trudne... – Przechylił głowę, drapiąc bruzdę przecinającą wielki nochał. – Zginęlibyśmy ty, ja i pewnie kolega z boku. Chociaż... – Przerwał, zerkając na Gwidona. – Kolega jest gruby, może by przeżył, ale nie byłoby z niego pożytku. Ślinienie, prychanie, nieobecne gały. Nazywamy to śmiercią głowy. Kto chce dziś umrzeć?! – Ostatnie zdanie ryknął, usłyszawszy, że z tyłu sali dwie osoby szepczą.

Nastała grobowa cisza.

– Zazwyczaj pokazuję to na świni, one żrą wszystko. Wystarczy dać do miski i sprawnie odskoczyć. Niewielka chmura pyłu i tyle, śmierć przychodzi raz-dwa. Ale świń zabrakło, dostawa opóźniona. Dlatego to cholernie ważne, byście uważali, bo będę tylko opowiadał. – Splunął i ostrożnie odłożył proszek. – Jeśli wam upadnie, nic nie powinno się stać. Rzucicie nim, nie ma strachu. Specyfik ma taką budowę, że zaczyna działać tylko po ściśnięciu, zgryzieniu; wiecie, o co chodzi, łązęgi.

Bren próbował uspokoić dygotanie zuchwy. Zerknął kątem oka i zobaczył, że towarzysz obok drży i buja się na boki.

– Zdejmijcie z szyi wisiorki. Tak, te. – Mówca wskazał łańcuszek najbliższego mężczyzny. – Każdy z nich ma oczko. Otwórzcie je. Wystarczy zaczepić paznokciem blaszkę. A teraz pojedynczo podejdźcie do tego stolika, weźcie jeden dwuząb i ostrożnie wsuńcie do oczka. Potem powoli, to ważne słowo: po-wo-li, zatrzaśnijcie zabezpieczenie. Nie wszyscy naraz, krowie placki! – Prychnął, zobaczywszy, że nie ma ochotników.

Adepci z pierwszego rzędu wstali i niemrawo ruszyli w stronę stolika.

– Więcej jak trzy kroki od siebie. Dobrze. Ostatnio mieliśmy drobny wypadek. Młokos wcisnął w oczko dwa proszki. Każdy z was umie liczyć?

A żeby nie było wątpliwości, jeszcze raz powtórzę: „dwuząb” to nazwa, pochodzi od zgrzania dwoma zębami, ale wkładamy jeden, powtarzam: jeden, proszek.

Gdy pierwsza osoba wykonała polecenie, kolejne nabrały odwagi. Wszyscy podchodzili spięci, utrzymując bezpieczną odległość, i oddalali się w pośpiechu. Kiedy nadeszła kolej Brena, wstrzymał oddech i sięgnął drżącą dłonią po białą drobinę. Blaszka oczka zatrzeszczała, gdy umieścił w nim dwuząb. Odetchnął.

Po chwili wszyscy zajęli miejsca, a głos zabrał ten, który wykonał ćwiczenie jako pierwszy.

– Będziemy truć, szefie?

Mężczyzna z bruzdą na nosie wystawił dłoń w jego kierunku.

– Nic bardziej mylnego, świńska dupo – odparł. – Ktoś ma lepszy pomysł, do czego służy dwuząb podczas zadania?

Bren słyszał bicie serca. Ktoś kopnął nogę od stołu, a pisk mebla przeciął głęboką ciszę.

– Jeżeli kiedykolwiek zostaniecie złapani, waszym obowiązkiem jest zgnieść dwuząb. Wystarczy ścisnąć oczko. Jeśli zwiążą wam dłonie, zgniatacie go, dociskając brodę do szyi. – Mówiąc to, zaprezentował odpowiedni ruch na pustym wisiorku.

– Ale wtedy zginiemy... – wtrąciła dziewczyna z drugiego rzędu.

Mężczyzna splótł dłonie.

– Śmierć od dwuzębu jest bezbolesna. Jeżeli wyśpiewacie coś podczas tortur, dopadniemy was i gwarantuję, że śmierć zadawana zdrajcom jest po stokroć gorsza. Może dlatego, że trwa przez około sześć dni. Będziemy was okaleczać, uzdrawiać i tak w kółko, aż leki przestaną przynosić skutek.

Bren rozejrzał się po sali, lecz dostrzegł tylko ukryte pod metalowymi maskami przerażone oczy zebranych.

*Czy wiedzieli, na co się piszą?*

– Koniec pierwszej lekcji. Bransolety wracają do kwater. Szyszki i kamienie zostają, nauczę was, jak od postaw zrobić dwuząb. Możecie tego potrzebować podczas pierwszego zadania. Na co czekacie, łazęgi

z bransoletami? Spieprzać!

\* \* \*

Bren zasypiał w ciszy. Zwinięty, z podkulonymi nogami i nieobecny wzrokiem, wyglądał na martwego. Na policzku zabłysła duża łza i spłynęła po brodzie, szkląc nieogoloną skórę. Wspominał Allyen. Odziana w suknię w niebieskie chabry, oparta o brzozę, trzymała w dłoniach niewielką figurkę.

„Jaki on piękny, Bren” – szeptała, oglądając rzeźbę konia. „Jesteś taki zdolny”.

„Zrobiłem go dla ciebie” – mówił, a jego wciśnięte w poduszkę usta drgnęły mimowolnie.

„Co z nami będzie?” – spytała, roztaczając woń lawendy, a on pociągnął nosem.

Zdał sobie sprawę, że jest noc i leży w zamkniętej pułapce piewców. Usiadł i otarł łzy. Bujanie go uspokajało, ale robił to tylko wtedy, kiedy nikt nie widział. Kołysał się, zasłaniając raz po raz rzucany przez lampę cień.

*Mogłem zostać w Wynder. Fakt, nie potrafiłem znieść widoku gęby tego bękarta. Nie mogłbym żyć obok, wiedząc, że są ślubni.*

Przypomniał sobie dzień ucieczki bez pożegnania. Wędrówkę do Ulanish. Ciężką pracę w młynie. Pijaństwo i uciechy w dzielnicy rozpusty. Bójkę, utratę pracy, utratę wszystkiego, co miał. Wreszcie upadek i myśli o skończeniu ze sobą. Widział oczami wyobraźni, jak leży wśród grobów tych, którzy odeszli. Jak rozważa powrót do domu z podkulonym ogonem. Jak wstaje z kolan z determinacją, by udowodnić, że jednak jest kimś. Przejmuje niestrzeżony ładunek pierza i ucieka. Poznaje naiwnego Draya, którego przekonuje do ciągnięcia sań. No i... zamieć stulecia.

*Tu przynajmniej jest ciepło – pomyślał.*

– Przestań żyć przeszłością – mruknął głośno.

*Czy piewcy wiedzą, kim jestem? Myślę, że nie, inaczej już bym nie żył. A więc mam na imię Triod i jestem piewcą. Przynajmniej do czasu, gdy nie wymyślę czegoś lepszego. Jeśli coś zarobię, mogłbym wysłać to Allyen.*



Pokręcił głową i opadł na łóżko.

*Idioto! Najlepiej kup im dom w prezencie ślubnym albo wykup nauczanie dla dzieci. Czy Allyen będzie miała dzieci? A ja? Czy kiedykolwiek będę je miał?*

Świadomość powoli oddawała pola senności, która otoczyła go niczym ramiona matki. Po zamknięciu oczu znów ujrzał kobietę w sukni w niebieskie chabry.

\* \* \*

Kolejnego dnia stres wciąż trzymał go w kleszczach. Więzienie – jak nazwał swój nowy dom – pełne było obcych, zamaskowanych osób. Większość trzymała się na dystans, co jeszcze bardziej pogłębiało poczucie samotności. A może nie o to chodziło? W końcu większość życia spędził sam ze sobą. Może to brak okien, chodzenie wciąż tą samą drogą z celi do jadalni? Rozmowy o niczym?

Zajęcia z przesuwania kowadeł kompletnie mu nie poszły. Żelastwo nie drgnęło nawet na wysokość paznokcia. Prowadzący obserwował go, skrupulatnie notując spostrzeżenia. Innym poszło zdecydowanie lepiej. Krępy krasnolud, który wyróżniał się ciętym językiem, zaniósł kowadło na wyznaczone miejsce i wrócił z nim na początek, twierdząc, że nie chciał iść z pustymi rękami.

W oczekiwaniu na kolejny trening doszło do sprzeczki. Dwóm minstrelom nie spodobał się fakt, że trzeci stał zbyt blisko, kiedy dyskutowali. Po gwałtownej wymianie zdań obalili go i uderzali pięściami w szyję, dopóki nie stracił przytomności. Na oczach całej grupy przeszukali kieszenie nieprzytomnego i zabrali znalezione srebro. Nikt nie zareagował. Trening rozpoczął się z opóźnieniem, gdyż zaatakowany wciąż nie dochodził do siebie. Po długiej reanimacji, która nie przyniosła rezultatu, wezwani przez prowadzącego Ciemni wynieśli nieszczęśnika na prowizorycznych noszach.

Podczas ćwiczeń zadaniem grupy z bransoletami było dobranie się

w pary. Ponieważ wyglądali identycznie, w rezultacie każdy odwrócił się do osoby stojącej obok.

– Mam na imię Rubia – usłyszał głos dziewczyny.

– Triod. – Skinął głową.

Prowadzący wypowiadał długi ciąg wyrazów, a dobrani w pary musieli powtórzyć całość. Drużyna, która nie popełniła błędu, mogła opuścić salę, pozostali otrzymywali nowe wyrazy do zapamiętania. Bren i Rubia wyszli jako druga para z pięciu.

– Za długie było to „arystokrata” i palnęłam „artysta” – powiedziała dziewczyna.

– Jedna pomyłka to dobry wynik. Krasnolud posiedzi do rana – powiedział ze śmiechem Bren. – Słyszałaś, jak powtórzył: „mąka, stal, osina”?

– „Kupa, siurek, cycki” – parsknęła. – Ale kowadło niósł jak siennik.

Obserwowała go. Przez wycięcia maski dostrzegł jej źrenice. Ile mogła mieć lat? Głos, choć młody, potrafił wprowadzić w błąd.

– Jak się tu odnajdujesz? – spytała, obracając bransoletę wokół szczupłego nadgarstka.

– Bywało lepiej.

– Mówią, że ten pobity nie przeżył. – Ton jej głosu zdradzał obawę.

Bren wzruszył ramionami. Gest prosty i skuteczny, o ile rozmówca się nie zorientuje, że on sam też bardzo się boi. Rubia patrzyła na niego i czekała.

– Nic to. Trzeba zacisnąć zęby i wytrwać – szepnęła. – Dziś jeszcze lekcja z tym szaleńcem od mikstur.

## Rozdział 8

# Wyspa Prób

### *Parkan*

Po przebudzeniu na Wyspie Prób ich oczom ukazała się ogromna góra okalająca polanę. Zgarbiona jakby pod ciężarem wysokich, gęsto rosnących drzew wzbijała się wysoko, zasłaniając niebo. Na placu dostrzegli dziesięć stołów. Zasłane kolorowymi materiałami ustawione były dookoła podwyższenia, na którym stał Świetlisty, jak nazywał go Leba. Podzieleni według kolorów zjedli posiłek i wysłuchali krótkiego przywitania. Następnie Świetlisty poprowadził ich do świątyni, gdzie, jak twierdził, miała się odbyć rozszerzona lekcja wiary.

Podpartą balami kamienną budowlę pokrywał lśniący wilgocią mech. Wiszący na szczycie jodeitowy symbol Solarza rozpraszał promienie słońca, malując tęczę na ścianie świątyni. Po zamknięciu drzwi otoczył ich zapach świec. Czarna podłoga zarysowana była wieloma nieprzecinającymi się, coraz większymi okręgami. Na każdym z nich lśniły wykonane ze szlachetnego kruszcu dziesiątki różnej wielkości kul. W centralnym punkcie, stanowiącym najmniejszy z kręgów, stały dwie świece.

Leba nie widział dotąd tak pięknej świątyni. Te w wiosce miały co prawda świece, wryte jedno lub dwa koła, ale ta stanowiła istne dzieło sztuki. Kiedy usiadł, wydało mu się, że świece przemieściły się po okręgu i rzuciły światło na inne kule.

– Pozdrowiony bądź, Solarze – wyszeptał, pochylając głowę w stronę znaku pojednania. – Dziękuję ci, że mogłem dotrzeć tak daleko.

– *Stoicie przed szansą wejścia do anomalii.* – Świetlisty zajął miejsce na

pokrytym gwiazdnymi zdobieniami ołtarzu. – *Wykonujemy boską posługę Solara, by przygotować was do prób i podróży. Kto przypomni, jak brzmi pierwsza tajemnica wiary?*

Parkanin oznaczony zieloną farbą wstał i wyrecytował:

– Nieście wsparcie innym światom, a zachowana będzie równowaga między dobrem a złem.

– *Bardzo dobrze. W jaki sposób będziecie nieść wsparcie?* – spytał Świetlisty.

– Ukończymy próby, wejdziemy do anomalii, a ta skieruje nas do potrzebujących – odpowiedział Haan.

– *Jak dotąd powtarzacie zasłyszane formuły wiary. Czas na konkrety. Dziś opowiem o próbach.*

Świetlisty zszedł z ołtarza i udał się do centralnego kręgu.

– *Za jakiś czas poznacie drugą tajemnicę wiary, a tym, którzy dostąpią zaszczytu podróży, Wielki Nawigator zdradzi ostatnią.*

Milczeli, wpatrując się w kule na okręgach.

– *Przed wami sześć prób. Jeśli słuchaliście opowieści zhańbionych, możecie wyrzucić je z głowy. Co roku pojawiają się nowe wyzwania, a próby nigdy dotąd się nie powtórzyły.*

W świątyni rozległy się szepty, lecz przemawiający uciszył zebranych uniesieniem ręki.

– *Po wybraniu próby nie można z niej zrezygnować. Rezygnacja oznacza zhańbienie i powrót do domu. To i tak lepsze niż śmierć, która zdarza się coraz częściej.*

– Nie wiedziałem, że można umrzeć – odezwał się chłopak z klanu pomarańczowych.

– *Niektóre z prób są bezpieczne, nie można zginąć w ich trakcie. Każdorazowo oznaczę je przed dokonaniem wyboru. Jeśli nie ukończycie próby przed świtem, zostanieie w niej na zawsze.*

Dwudziestu jeden Parkan wpatrywało się z uwagą w Świetlistego, próbując zapamiętać każde słowo.

– *Trzy z sześciu. Tylko tyle albo aż tyle ukończonych prób wystarczy, by*

*wejść do swojej anomalii. Czy to jasne?*

– To po co kończyć więcej niż trzy? – spytał przedstawiciel zielonych. Świetlisty się zawahał, jakby wybierał adekwatną odpowiedź.

– *Im więcej prób ukończycie, tym większe będzie naczynie, z którego nakarmicie potrzebujących. Będziecie silniejsi, bardziej wszechstronni.*

– Znowu te brednie. – Yu uniósł brwi i znudzony oparł się o ścianę.

– Dokąd prowadzą anomalie? – spytał Leba.

Świetlisty przyjrzał mu się i odparł:

– *Każda jest mostem do innego świata. Więcej dowiedcie się od Wielkiego Nawigatora. A teraz czas na pierwszą próbę. Powodzenia, wybrańcy!*

\* \* \*

Na polanie prób błyskało sześć białych kul. Świetlisty opisał je jako mosty do miejsc, gdzie odbywają się wyzwania. Poleciał zapoznać się z opisami i dodał, że w tym dniu żadna z prób nie jest bezpieczna. Parkanie dotykali kul, po czym znikali w jasnym rozbłysku. Leba zastanawiał się nad wyborem. Enigmatyczne nazwy niewiele wносиły, a ciekawość i ekscytacja pchały do działania. Jako najmłodszy wiedział, że musi postawić na coś, co da mu przewagę. Ponieważ nie znalazł nic związanego z pływaniem lub nurkowaniem, zdecydował się na próbę lotu.

Suchy trzask przeniósł go na nagrzaną słońcem łąkę, na której jedyny cień rzucało wysokie drzewo rosnące na granicy przepaści. Ogromna rozpadlina ciągnęła się po horyzont, przecinając na dwie części zielone połacie. Na skraju przepaści ujrzał kucającego przedstawiciela klanu żółtych.

– Spójrz na te kolce. – Wskazał najeżone dno osuwiska oraz nabite na nie zwłoki Parkanina. Wyrzucone na boki ręce mogły oznaczać upadek z wysokości, a wciąż spływająca po plecach krew potwierdzała, że doszło do niego niedawno. – Ukończy próbę ten, kto dotrze na drugą stronę. Całkiem zabawne, biorąc pod uwagę fakt, że nie możemy latać.

– Jak to?

– Spróbuj. Skrzydła rozłożysz, lecz nic więcej.

– Próba lotu? To nie ma nic wspólnego z lotem! – krzyknął Leba, próbując bezskutecznie odbić się od ziemi. Coś faktycznie blokowało ruch skrzydeł, jakby nieznana siła sparaliżowała mięśnie, których używał podczas lotu.

Błysnęła brama i pojawił się Parkanin z klanu brązowych. Chłopak podszedł do rozpadliny, po czym oddalił się na około trzydzieści kroków. Ruszył biegiem, szybko nabierając prędkości. Na skraju wybił się imponująco i rozchylił skrzydła. Skok był krótki. Parkanin machnął rękami, próbując złapać się ściany skalnej. Wrzasnął i spadł. Dwa kolce rozpruły go, powodując natychmiastową śmierć.

– To nierealne! – wrzasnął żółty. – Nawet jeśli weźmiemy większy rozbieg, zabraknie kroku lub dwóch. Rezygnuję! Słyszycie?

Świetlista brama wessała go, pochłaniając również ostatnie słowo. Leba podniósł kamień i cisnął na drugą stronę, obserwując, jak wpada w gąszcz żółtych kwiatów. Czekał przez chwilę z nadzieją, że przybędzie ktoś jeszcze, lecz łąkę wypełniała śmiertelna cisza. Po namyśle zrezygnował z zejścia w przepaść. Być może udałoby się zeskoczyć na rozłożonych skrzydłach i nie połamać nóg. Wyjście z głębokiej na czterech Parkan rozpadliny było jednak niemożliwe. Usiadł zrezygnowany pod starym drzewem, by osłonić ciało przed upałem.

*Pierwsza próba okazała się ostatnią – pomyślał ze smutkiem.*

Spojrzał między rozłożyste gałęzie, po czym wspiął się i rozbujał najwyższą z nich. Okazała się sprężysta i wytrzymała. Napiął mięśnie i zacisnął pazury, po czym zaczął huśtać gałęzią jeszcze bardziej.

*Czy to wystarczy?* – zastanawiał się, czekając na powiew wiatru, który nie nadchodził.

W końcu rozłożył skrzydła, wciąż kołysząc gałęzią, i wybił się. Po krótkim skoku zaczepił pazurami o przeciwległy skraj skały i podciągnął się, by po chwili opaść na trawę.

*Udało się, wystarczyło pomyśleć.*

Po drugiej stronie przepaści dostrzegł Yu, który musiał być świadkiem

skoku. Umieśniony Parkanin uśmiechnął się szyderczo, pokłonił i zaczął wspinać na drzewo. Wkrótce stał na tej samej gałęzi, która wciąż chybotą po niedawnym skoku.

Leba ujrzał blask bramy i niedługo później znalazł się z powrotem na polanie prób.

\* \* \*

W trakcie wieczornego posiłku Leba próbował policzyć obecnych. Z dwudziestu jeden wybrańców kolację jadło piętnastu.

– To nie musi oznaczać, że nie żyją – przekonywał żółty. – Może nie chcą zrezygnować i wciąż próbują.

– Mają czas do rana, wtedy próby się kończą.

Haan i Yu jedli potrawę przypominającą cienkie, pozwijane węże. Nawijali pazurami splątane nitki, a potem wsysali soczyste końce.

– Wszystko w porządku? – spytał Leba, dostrzegłszy, że Haan jest zdenerwowany.

Parkanin odsunął naczynie i otarł usta.

– Próba czasu. Byłem w rodzinnym domu, w przeszłości. Miałem wskazać jedno zdarzenie, które nie nastąpi, i odgadnąć konsekwencje.

– I co? Zabroniłeś mamie poznać tatę? – spytał Yu, a sięgający po kielich Mora zaśmiał się szyderczo.

Haan nie zareagował. Odsunął się i skupił na posiłku.

– Nasza próba była prosta, prawda, Lebo? – Yu wstał, zerkając po okolicznych stolikach. – Co prawda jeden z brązowych natknął się na naprawdę kłujący problem, ale tylko dlatego, że nie używał głowy.

Przedstawiciel brązowych zacisnął pięści, lecz nie dał się sprowokować. Wyszczierzony w dziwnym uśmiechu Yu ruszył w stronę chaty, zabierając miskę pełną owoców. Kiedy pochodnie dogasły, a morska bryza przyniosła zapach wodorostów, wstali od stołu. Brakujący uczestnicy nie wrócili.

## Rozdział 9

# Po zwycięstwo

Następnego dnia zastali kompletnie nowy zestaw pięciu prób. Niektóre klany naradzały się wspólnie, większość Parkan jednak podejmowała decyzje samodzielnie.

– Gdzie dzisiaj mnie zapraszasz? – Leba usłyszał zniechęcony głos.

– Yu, bezmyślny bohater – odparł machinalnie, zobaczywszy zaskoczony wzrok ciemnowłosego. – Nie potrafisz odkryć rozwiązania, więc podpatrujesz innych? Myślałem, że stać cię na więcej.

Parkanin zbliżył twarz na tyle, że Leba poczuł zapach ostrego sosu, który dostali do śniadania. Wargi Yu drgały, a policzki stężały od napiętych mięśni.

– Gdzie. Dzisiaj. Mnie. Zapraszasz? – powtórzył, przechylając głowę.

Leba pomyślał o Niaku. Ach, gdyby jego brat żył, rzuciłby tym wyrosniętym gnojkiem jak wtedy pniem w trzyroźca.

– Polatajmy wreszcie – odpowiedział, po czym dotknął kuli podpisanej: „próba powietrza”.

Poczuł smagnięcie wiatru i osłonił oczy przed nachalnymi promieniami słońca. Rozejrzał się. Kolejny podmuch targnął nim, rzucając na barierkę. Był pewien, że znalazł się na szczycie wieży, którą tak pragnął zobaczyć z bliska. Kiedy się wychylił, poczuł zawroty głowy. Budynek przyszpilał wyspę niczym lanca niewielką miskę. Pokryty bujną roślinnością skrawek ziemi, na którym gdzieś w dole znajdowały się budynki mieszkalne i świątynia, majaczył w oddali przykryty rzeką płynących chmur. Bujali się? A może to nieskończony szafir oceanu oszukiwał zmysły?



Po chwili z bramy wyszli Yu oraz dwaj inni Parkanie. Świetlisty błysnął i również pojawił się tuż przy trzepoczącej chorągwi ze znakiem Solara.

– Gdzie będziemy lecieć?

– *Nie będziecie latać.*

– To przecież próba powietrza

– *O tak. Powietrze przyda się wam pod wodą. Wieża została wybudowana przy największej głębini Wczesnego Morza, by oświetlać ją i ostrzegać przed żyjącymi na dnie wynaturzeniami chaosu.*

Parkanie wystawili głowy i wpatrywali się w mrużącą tafłę oceanu.

– *Waszym zadaniem jest przyniesienie na plażę białego kamienia. Trzy świecące minerały ukryliśmy w głębi oceanu. Aby tam dotrzeć i powrócić w zdrowiu, potrzebny jest skok z tej wysokości.*

– Jest nas czterech – wtrącił Leba.

– *A kamienie są tylko trzy* – odparł Świetlisty.

Wiedzieli, co to oznacza: przynajmniej jeden z nich zostanie zhańbiony, o ile wcześniej nie utopią się w głębinie.

Yu pchnął Lebę. Ten zatoczył się i wpadł na pozostałych, klnąc szpetnie. Wskoczyli za barierkę. Leba stracił oddech. Uderzył go pęd powietrza, gniotąc załzawione oczy. Zwinął skrzydła i pochylił głowę. Podmuchy wichru rzucały nim, popychając na gładką strukturę budynku. Leciał ostatni. Dlaczego dał się zaskoczyć? Widział, jak pozostali z impetem wpadają do morza. Nabrał powietrza. Siła zderzenia z oceanem była tak duża, że na chwilę stracił orientację. Doszedł do siebie schłodzony lodowatą wodą i zanurzał się w głąb, widząc przed sobą spiralne ślady pozostałych.

*Muszę wyprzedzić Yu* – powtarzał w myślach.

Toń była początkowo przejrzysta, lecz dobrą widoczność szybko zastąpił półcień połknięty paszczą czerni. Gdyby nie wysunięte dłonie i pazury wskazujące dno, które gdzieś przecież musiało istnieć, nie wiedziałby, czy porusza się w dół, czy wynurza. Ogarnęła go wszechobecna czerń niczym materiał nieprzepuszczający najdrobniejszej nitki światła. Odwracał głowę w poszukiwaniu białych kamieni, lecz nie widział nic prócz własnych rąk.

*To chyba mój rekord głębokości. Tylko zawsze było dno, od którego*

*mogłem się odbić.*

Błysk z prawej. Rozwinął skrzydła, lecz potrzebował chwili, by wyhamować i ustabilizować pozycję. Popłynął w tamtym kierunku. Niedługo później dostrzegł zaplątanego w sieć Parkanina. Niewidoczna niczym pajęczyna morskiego pająka pułapka falowała w morskiej toni.

*Dlaczego tu jest jaśniej?* – usiłował dociec, starając się uwolnić pechowca. Skrzydła splątane były dziesiątkami supłów, dookoła dryfowało wiele piór, zapewne wyrwanych podczas prób uwolnienia. W dłoni chłopaka Leba dostrzegł kamień. Skrzętnie skrywany minerał pulsował delikatnym blaskiem. Parkanin zauważył wzrok rywala i schował kamień za plecy, wciąż szarpiąc lewym skrzydłem. Leba opłynął go, omijając sieć, która zmierzwiona zajmowała coraz większą przestrzeń. Obcy obracał się razem z nim, osłaniając znalezisko. Leba złapał ramię zaplątanego. Chwytał jego dłoń, próbując odgiąć palce. Parkanin odepchnął go, lecz Leba przypuścił kolejny atak. Uderzając mocno nogami, opływał go dookoła, co skutkowało jeszcze ciaśniejszymi supłami. Broniący się, skupiony na odciąganiu sieci, nie zauważył szarpnięcia, które uwolniło kamień z uścisku. Leba pochwycił zdobycz i odpłynął do tyłu. Uwięziony Parkanin rzucił się w pogoń, lecz sieć zaciskała się na poranionych skrzydłach. Mężczyzna zamachał rękami i wypuścił z ust dziesiątki bąbli.

Leba dostrzegł drugi kamień dryfujący w pobliżu. Dlaczego nie widział go wcześniej? Przeciwnik również spojrział w tamtą stronę. W jego oczach pojawiła się mieszanina wściekłości i przerażenia. Złapał za sznury, kalecząc dłonie, szarpnął, aż lewe skrzydło trzasnęło i wygięło się w niezgodny z anatomią łuk. Leba podpłynął do drugiego kamienia i chwycił go wolną dłonią.

*Będę miał więcej niż Yu, zwycięzę* – triumfował w myślach.

Popłynął w stronę powierzchni, czując, że opuszczają go siły. Ostry pisk w uszach i miarowe dudnienie alarmowały o rychłej utracie przytomności. Sunął niczym upiorny statek rozświetlony kamiennymi pochodniami. Jaśniało, dostrzegał pierwsze barwy, lecz zwalniał i czuł, jak uchodzi z niego życie. W końcu wynurzył się z pluskiem, łapiąc oddech niczym wyrzucona

na brzeg ryba.

Kiedy doszedł do siebie, pofrunął w stronę kamienistej plaży, gdzie czekali Świetlisty i dwóch zawodników. Choć wyglądali na wyczerpanych, tylko Yu trzymał w dłoni jasny minerał. Leba wylądował obok i pomachał znaleziskami.

Świetlisty odczekał chwilę i zwrócił się do wszystkich:

– *Linder już nie wypłynie. Leba i Yu, zaliczyliście próbę, a ty, Sangrecie, zostałeś zhańbiony.*

– Mam dwa – wydyszał Leba, pokazując kamienie.

– *Do ukończenia zadania wystarczył jeden. Tym drugim mogłeś się podzielić, lecz najwyraźniej nie chciałeś. Czas na odpoczynek, jutro kolejne wyzwanie.*

\* \* \*

Drugą próbę ukończyła pomyślnie połowa uczestników. Trzy klany nie miały reprezentantów, lecz pozostała jedenastka nie traciła wigoru.

Gospodarze wyspy opatrywali grupę rannych. Nasmarowani maściami Parkanie dyskutowali o wykonanych zadaniach i wymieniali się poglądami o najlepszym doborze kolejnego.

Tego dnia Leba wybrał próbę słowa. Poczul ulgę, dostrzegłszy, że Yu ruszył w stronę innej, która w nazwie miała ogień lub dym. Po dotknięciu kuli znalazł się w ciemnym pomieszczeniu. Zmrużył oczy, próbując dostrzec jakikolwiek szczegół. Mrok. Wysunięta ręka nie napotkała żadnej przeszkody, kucnął więc i wyczekiwał.

*Jaki jest cel tej próby?*

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Wyprostował się i wysunął dłoń, a ta trafiła na ścianę. Kiedy dotknął muru, ten rozjarzył się napisem „KRI”. Bładoniebieska poświata rozjaśniła pomieszczenie, ukazując czworo drzwi.

*Święty Solarze!*

Każda ze ścian pokryta była tysiącami splotów parkańskich liter

ułożonych w równe rzędy od podłogi aż po sufit. Leba dotknął zwrotu „SFE”, a ten zabłysnął na chwilę, po czym oba podświetlone napisy zgasły. Pomieszczenie na powrót spowiła ciemność. Ponownie zbliżył palec do liter, lecz po dotknięciu nic się nie stało. Przesunął dłoń w prawo i nacisnął fragment ściany, który rozjarzył się napisem „MEL”. W miejscach dotykanych wcześniej zwrotów dostrzegł niezapisaną, nagą ścianę.

*To niemożliwe, oba zniknęły.*

Przesunął pazurem po chropowatej powierzchni.

Dotknął widniejącego na wysokości kolan napisu „RWE”. Ten zaświecił, po czym zgasł razem z wybranym wcześniej. Kolejne próby upewniły Lebę, że wybór drugiego zwrotu bezpowrotnie zabiera oba. Podświetlił pomieszczenie dotkniętym na ślepo zwrotem „YEN” i ruszył ostrożnie w stronę najbliższych drzwi. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Pchnął mocno, lecz okute żelastwem skrzydło nawet nie drgnęło. Podobnie jak pozostałe trzy.

*Tylko spokojnie. Chodził i przyglądał się milionom liter. SO LAR. Może trzeba ułożyć słowo?*

Już miał dotknąć „SO”, lecz cofnął dłoń.

*Świeci się „YEN”. Kiedy nacisnę „SO”, oba znikną na zawsze.*

Rozejrzał się po ścianie i zbliżył dłoń do napisu „SO”, drugą zaś – do „LAR”.

*I co teraz? Jak zgasić „YEN” i nie stracić tych z oczu?*

Przełknął ślinę i nacisnął jakiś napis na dole. W pomieszczeniu zapadła ciemność. Nie zmieniając położenia drugiej dłoni, pchnął ścianę i ujrzał poświatę napisu „SO”.

*Dobrze. Odetchnął, szukając brakującej końcówki. Jest. Nacisnął „LAR”, a oba zwroty zaśniły na żółto i nie zgasły. Usłyszał zgrzyt zamka w najbliższych drzwiach.*

– Banalne! – krzyknął i sięgnął do klamki.

Jego oczom ukazało się kolejne ciemne pomieszczenie z czworgiem drzwi i tysiącem zwrotów. Podświetlił najbliższy napis, by rozejrzeć się po pokoju. Po chwili namierzył pasującą końcówkę i utworzył wyraz „TRAWA”.

Łuna wypełniła pomieszczenie, lecz zgasła. Wcześniej odwiedzany pokój również pokryła ciemność.

– Nie, nie, nie! – Leba ruszył w stronę pierwszego pomieszczenia i podświetlił je najbliższym wyrazem. Po napisie „SOLAR” nie było śladu.

Ruchy Parkanina stały się nerwowe. Podświetlał kolejne wyrazy, lecz każdorazowe utworzenie słowa w drugim pomieszczeniu niweczyło wszystko, co zaznaczał wcześniej. Dopiero słowa „ODWAGA” oraz „JEST” spowodowały otwarcie zamka drzwi w drugim pokoju.

– A więc kolejny wyraz musi nadawać sens poprzednim! – krzyknął.

Wracał do wcześniej odwiedzanych komnat, dobierał zwroty i otwierał inne drzwi. Każde następne pomieszczenie było trudniejsze, a wyrazy znikały w zastraszającym tempie. Najtrudniejsze okazało się wejście do nowej komnaty, gdy tylko najbliższe zwroty podświetlała łuna z wcześniejszego pokoju. Z powodu braku okien nie wiedział, ile zostało czasu. Kilka razy był pewien, że wraca w to samo miejsce, lecz zlepki liter i mozaika pustych przestrzeni sugerowały coś innego. Kiedy utworzył wyraz „SNACH”, udało mu się ułożyć znane z ksiąg wiary zdanie, a drzwi błysnęły i powrócił na polanę.

Księżyc tkwił już wysoko na niebie. Dołączył ostatni, choć i tak dowiedział się, że miał więcej szczęścia niż dwóch Parkan, którzy nie pojawili się wcale. W chacie zastał Haana oraz Yu, którzy spali głębokim snem.

\* \* \*

Rano Leba zeskoczył z hamaka. Był głodny. Haan i Yu leżeli jeszcze, choć hałas musiał wybudzić ich z drzemki, gdyż poruszyli skrzydłami. Parkanin zdecydowanym ruchem odsunął zasłony, a pokój zalała słoneczna żółć.

Znieruchomiał. Na prawym ramieniu miał czarne pióro. Przeciągnął po nim pazurem.

*Ciemne, od początku do końca* – pomyślał zaskoczony.

Usłyszał, że Yu i Haan wstają. Zerknął na nogi. Wszystko w porządku.

Drugie ramię również śnieżnobiałe. Tors? Trzy czarne pióra kontrastowały z bielą pozostałych.

*Jestem chory?* – zastanawiał się.

– Czy wam...? Czy wy też macie czarne pióra?

– Czarne pióra? – Haan ruszył w jego kierunku, lecz zatrzymał się na widok torsu towarzysza. Po chwili oglądał uważnie każdą część swego ciała.

– Mam takie od pierwszej próby – stwierdził Yu, pokazując wewnętrzną część skrzydła. – Naliczyłem dwadzieścia trzy. Każdego dnia przybywa więcej.

– Musieliśmy coś zjeść. Albo to nektar, ten kleisty. – Leba przeglądał pióra na udach.

– A z tyłu? Mam coś? – pytał Haan, rozwijając skrzydła.

– Czysto.

– To nie jedzenie – przekonywał Yu. – Wczoraj pytałem o to Świetlistych.

Patrzyli na niego z wyczekiwaniem, lecz tylko wzruszył ramionami.

– Kolejne brednie. Coś o naszym przeznaczeniu, szkoda gadać.

Leba stanął naprzeciw, oczekując dalszych wyjaśnień, lecz Yu odepchnął go i poszedł w kierunku polany, na której jadali.

## Rozdział 10

# Czas decyzji

Tego dnia Świetlisty zabrał dziewięcioro najwytrwalszych w głąb wyspy. Wspinali się pod górę i choć mogli tam wlecieć, używali nóg, by towarzyszyć błyszczącej postaci. Droga wiła się pod tunelem roślinnego dachu. Zielona kopuła pokrywała wszystko czapą narośli, dając dom kolorowym ptakom i motylom wielkości dłoni.

Leba szedł obok Haana. W Yrga traktował go jak dziwaka, który spędzał wolny czas z ojcem, ostatnie dni jednak pozwoliły spojrzeć na niego inaczej. To prawda, był małomówny, unikał kontaktu, lecz cechowała go odwaga. Pomimo ciągłych docinków ze strony Yu poradził sobie z trzema próbami, a nie wyglądał na atleteę.

Skupiska czarnych piór pojawiły się również u innych Parkan. Świetliści uspokoili członków grupy, mówiąc, że w odpowiednim czasie otrzymają odpowiedzi.

Po dwóch godzinach marszu przewodnik zarządził odpoczynek blisko grani. Rozdał wodę i skromne zapasy pożywienia, na które składały się soczyste liście oraz nieznane ziarna.

– Przed nami wciąż kawałek drogi – powiedział śnieżnopióry Parkanin o imieniu Katsu. Osłaniał oczy przed słońcem i patrzył w stronę szczytu.

– Niesamowita jest ta roślinność. Pokrywa górę, tak jak pióra osłaniają nasze ciała – wtrącił Haan.

Powietrze brzęknęło i ujrzeli czarną anomalię.

– Zauważyliście, że częściej pojawiają się bliżej szczytów? – spytał Katsu.

Obserwowali z zachwytem, słuchając dźwięków wyładowań, które tańczyły przy granicach zjawiska. Wypełniona pomarańczowymi kryształami kula podskakiwała delikatnie, kręcąc mozaiką odbitych promieni po okolicznych drzewach.

Leba sondował wymieszane gazy, które rozrzedziły się i ujawniły znaną mu istotę. Rudowłosy chłopak trzymał nad ogniem podłużne naczynie i obserwował bulgoczącą w nim ciecz.

– Widzicie to coś w środku?! – krzyknął Leba. – Zamienił ciecz w proszek. O, wysypuje! Widzicie, jak wciera to pod oczy?

Parkanie patrzyli z zakłopotaniem.

– Za dużo słońca, Leba. Nadwyrężyłeś głowę – rzucił ironicznie Yu i wybuchnął śmiechem.

Część siedzących zawtórowała, a po chwili wszyscy wstali i ruszyli za oddalającym się Świetlistym.

\* \* \*

Kiedy dotarli na szczyt, ich oczom ukazało się pole bujanych podmuchami wiatru ostrokwiatów.

– Nic tu nie ma – powiedział Semeth, omijając niebezpieczne rośliny.

– *Kiedy na końcu drogi nie ma celu, oznacza to, że celem była sama droga* – usłyszeli w głowach Świetlistego, który poprosił gestem, by usiedli.

– *Wasza dziewiątka ukończyła pomyślnie trzy próby. Jesteście godni, by usłyszeć drugą tajemnicę wiary.*

Powietrze znowu brzęknęło i ujrzeli dwie anomalie. Mała zielona kula lewitowała tuż nad głowami, a większa, ciemnoniebieska, wznosiła się wyżej, górując nad okolicą niczym trzecie słońce.

– Tam coś jest! – krzyknął przerażony Vidon, wskazując granatową anomalię. – Widzicie to coś z mackami?

Leba spojrział w kierunku kuli, lecz nie dostrzegł nic prócz kryształów. Po chwili anomalia pękła, wsysając zawartość do wnętrza. Zmniejszała objętość, dławiąc się gęstą powłoką, by ostatecznie zniknąć. Druga poszła



w jej ślady i rozprysła się, porywając świdrujący dźwięk kryształów gdzieś w nieznane.

– *Każdy Parkanin ma własną anomalię. Po ukończeniu trzech prób dostrzeże w niej istotę, która jest mu przeznaczona. Oto druga tajemnica wiary.*

– Moim przeznaczeniem jest istota z mackami? – dopytywał Vidon.

– A która anomalia jest moja? – spytał Semeth.

– Dlaczego więc widziałem istotę, zanim przybyłem na Wyspę Prób?! – krzyknął Leba.

– *To niemożliwe. Nie przed ukończeniem trzech z nich* – odparł Świetlisty, ignorując pozostałe pytania.

Leba chciał zaprzeczyć, lecz istota uniosła dłonie.

– *Nadszedł czas decyzji. Ukończyliście trzy próby. Możecie popłynąć na Wyspę Mostów, by wejść do swojej anomalii. Możecie także zostać i zmierzyć się z kolejnymi próbami. Każde ukończone wyzwanie uczyni was bardziej wszechstronnymi tam, po drugiej stronie. Pamiętajcie jednak, że próby bywają przewrotne i mogą zakończyć się śmiercią lub zhańbieniem. Niech powstaną ci, którzy chcą przerwać wyzwania i popłynąć. Odtąd będę o to pytał po każdej ukończonej próbie.*

Pogrążeni w myślach siedzieli nieruchomo i obserwowali Świetlistego. Semeth westchnął, wstał i skrzyżował ręce na ciemnym torsie. Potwierdzał swoim wyrazem twarzy, że dobrze przemyślał decyzję. Dusze pozostałych nurkowały w mieszaniu ciekawości i potrzeby rywalizacji. Kolejny Parkanin z przewagą ciemnych piór wstał i dołączył do Semetha. Plator, syn Platora – jak wiele razy powtarzał, przedstawiając się. Leba wyobrażał sobie wtedy, że sam dostał imię takie, jakie nosił ojciec: Hoern, syn Hoerna. To głupie.

– Ja również popłynę – powiedział Haan.

Leba spojrział w stronę Yu, a ten zachęcił go gestem dłoni, by powstał.

– *Ostatnia chwila na decyzję* – powiedział Świetlisty, lecz dostrzegł, że reszta siedzi bez ruchu. – *Dobrze. Chwała wypływającym. Jutro z rana wsiądziecie na statek. Pozostałym sześciorgu życzę, by nie dali się pokonać*

*czwartej próbie.*

Wracali, zlatując z góry. Trójka, która zdecydowała się zakończyć rywalizację, leciała z przodu. Dwóch czarnopiórców pikowało, wykonując efektowne obroty. Widać było, że nie dźwigają presji współzawodnictwa, a obawy i strach przed porażką zostawili wysoko na górskiej grani. Tuż za nimi leciał roześmiany Haan. Opadał swobodnie, ciesząc oczy pięknymi widokami. Pozostałych sześciu trzymało się z tyłu. Skupione twarze wyrażały niepokój, niezdecydowanie, a może i żal.

Gdy wylądowali, poczuli zmęczenie. Ciepły dzień i wielogodzinna wędrówka po górach dały się we znaki. Parkanie rozsiedli się na ławach i masowali obolałe stopy.

– Dzieci odpływają, a dorośli grają dalej – zanucił pod nosem Yu i poszedł na posiłek.

– Współczuję ci, że musisz się z nim męczyć. Zauważyłeś, jak się zmienił? – spytał Haan, podając Lebie dłoń.

– Być może zawsze taki był – odparł. – Czy to pożegnanie?

Haan spojrział w gwiazdy, które pojawiały się na granatowym firmamencie.

– Gdzieś tam jest mój nowy dom...

Zamilkli wpatrzni w nieskończoność przestworzy.

– Uważaj na siebie. – Haan westchnął. – Słyszałem o twoim bracie, który podjął się jednej próby za dużo.

Leba chciał odpowiedzieć, że to inna historia, lecz tylko poklepał go po ramieniu, licząc, że w ten sposób pozbędzie się narastającego lęku.

## Rozdział 11

# Pierwsze zlecenie

### *Estepia*

Kiedy lekcja alchemii dobiegła końca, Bren i Rubia odetchnęli z ulgą. Szalony instruktor wciąż wyzywał ich od najgorszych, ale przynajmniej temat był mniej niebezpieczny niż eksperymentowanie z dwuzębem. Grupa miała za zadanie przygotować maź przy użyciu dwóch składników. Czarną ciecz należało podgrzać, trzymając podłużne naczynie nad pochodnią. Mikstura bulgotała przez chwilę, by zmienić się w proszek. Po zmieszaniu z cuchnącym łojem powstała brunatna, kleista maść. Wszyscy wtarli ją pod oczy, a pozostałość zebrali do pojemników. Ekscentryczny truciciel zalecił wcierać substancję codziennie, dzięki czemu ich wzrok miał nie odwyknąć od światła dziennego.

Choć pusty żołądek domagał się posiłku, przed obiadem czekały Brena jeszcze jedno zajęcia. Do pomieszczenia pewnym krokiem wkroczyła kobieta z instrumentem muzycznym w dłoni. Zamaskowana wydawała się tą, która zagrała balladę w jadalni. Odziana w kaftan i wzmocniony metalowymi dodatkami płaszcz rozsiadła się na stołku. Snuła opowieść o kojaniu zmysłów i wywoływaniu emocji poprzez dźwięki. Opowiadała o improwizacji i poszukiwaniu siebie, o boskiej relacji pomiędzy melodią, słowem oraz tańcem. Pokazała pergamin z najstarszym znalezionym zapisem nutowym, który po zagraniu w odpowiednim miejscu miał otwierać ukryte wejścia do podziemnych miast wymarłej rasy Yer Osti.

Smukłe palce kobiety trąciły strunę. Ta zadrżała, posłała na ściany faliste vibracje, porywając zasłuchanych gdzieś głęboko pod ziemię. Krystaliczne

dźwięki wysypały się spod opuszków palców, ukazując epickie bitwy, których losy odwrócono muzyką wlewającą w serca ponoszących klęskę. Usłyszeli chrzęst stali, nawoływanie o pomoc, pulsujący odgłos trąb, dudnienie kozich bębnów. Aida, jak kazała na siebie mówić właścicielka instrumentu, pokazała im ryciny najznakomitszych bardów, snując opowieść o tym, jak wnikali w ludzkie dusze i władali emocjami wroga. Raniden Utkany, Cinedra Palce Bogów, Niewidomy Daka.

Bren chłonał każde słowo, które ponętne usta Aidy kleiły, ubierały w melodyjną barwę głosu i tworzyły historie inne niż wszystkie. Zdał sobie sprawę, że granie na instrumencie może być zbliżone do rzeźbienia. W obu przypadkach odpowiednie dłonie wywoływały zachwyty. Słuchał o mistycznych: sistrum, giternie, lutni i cytrze, wyobrażał sobie, że to jego palce trącają srebrzyste struny, otwierając ukryte przejścia do zapomnianych miast. Melodia ucichła wraz z Aidą, która wstała. Kobieta zakręciła płaszczem i opuściła pomieszczenie, zostawiając w nim pustą ciszę oraz woń mandarynki.

Posiłek był wyjątkowo paskudny. Zwietrzała zielenina wysmarowana równie starym zwierzęcym tłuszczem wywołała pomruki niezadowolenia. Rubia nie narzekała. Siedziała pochylona i pochłaniała liście w milczeniu.

– Bez mięsa nie wytrzymamy tu długo – westchnął Bren. – Żrąc trawę, nigdy nie podniosę tego kowadła.

– A co ja mam powiedzieć? – dodał Gwidon i poklepał swój okazały brzuch.

– Koń je trawę, a i wóz uciągnie – wtrącił znany im wesołek, krępy krasnolud, którego gęsta, ruda broda piętrzyła się spod maski. – Gilem Anvibelt – przedstawił się. – Coś mi mówi, żeście pierwsi w narzekaniu, a ostatni w robocie.

– Nic ci do tego – fuknęła Rubia.

– A czego w focha lezie od razu? Bransolety macie jako i ja, więc w jednej grupie pracować będziem. Zawždy lepiej wiedzieć, kto tyłki ochrania. Jam w Bolga urodzony, kawał za Pasmami jeszcze. Toporem w zębach dłubać mogę, a i łby ścinam zacnie.

Popatrzyli po sobie, czekając, kto odezwie się pierwszy.

– Bafon – powiedział gnom, właściciel kolczyka z czaszką. – Miejsca urodzenia nie znam niestety. Kiedy zaatakował Boshqalar, wraz z innymi dzieciakami trafiłem do domu opieki w północnym Togli i tam już zostałem. Prawdę mówiąc, bliżej mi do Estepczyka niż gnoma z Taklif.

– Szczęście, że goblinom odpór wtedy dali. Inaczej Boshqalar rozszerzyłby granice do Morza Wschodniego.

– Prawda to – przyznał Bafon.

– Walczyć umie? – spytał Gilem.

– Głów nie ścinam, ale potrafię wyciągać z nich potrzebne informacje.

Krasnolud wydał usta.

– Może to i większy pożytek czasem. Jak łeb zrywam, ino jucha leci.

– Jestem Rubia, pochodzę z Ogiz.

– Daleko.

– Widać życie nudne mi było, bo się tu najęłam. Zamki otwieram, skoczna jestem, to i piewcom przydać się mogę.

– Jam Gwidon z Ulanish.

– Dlategoś taki ulany! – ryknął ze śmiechem krasnolud, lecz szybko wyciągnął dłoń w przeproszającym geście.

– Talentów nie zdradzam, zobaczycie w akcji – dodał otyły chłopak i skupił się na kończeniu zieleniny.

Oczy Rubii i Gilema skierowały się w stronę Brena.

– Jestem Triod, pochodzę z Wyn... Mała wioska, na pewno nie znacie.

– A co potrafisz? – spytała Rubia.

Bren chciał opowiedzieć o rzeźbieniu, spaniu do południa, rozpoznawaniu ptaków po kwileniu, jego usta jednak powiedziały coś innego.

– Dobrze radzę sobie z nożem.

Krasnolud zaśmiał się głośno.

– Jakby topory miały dzieci, a te dzieci miały dzieci, to ich dziećmi noże by były – zakpił i poszedł po dokładkę.

Po posiłku grupa bransolet trafiła do owalnego pomieszczenia

z solidnym dębowym stołem w centralnym punkcie. Duży kandelabr pełen świec rzucał ciepłe światło na powierzchnię mebla. W rogu sali wisiała woskowa tablica, przy której stał pojemnik z trzema rylcami. Ściany zdobiły malowidła przedstawiające bardów, którzy grali na znanych już Brenowi instrumentach. Każdy obraz zawierał niepowtarzalną paletę barw. Najbliższy mu ukazywał mężczyznę na białym koniu brodzącym w śniegu, mijającym zwisające gałęzie drzewa. Inny obraz był czarny, mroczny. Jego środek wybuchał eksplozją barw, a pośród niej widać było poświęcę mężczyzny z lutnią, za którym podążają zastępy szkieletów. Brenowi najbardziej podobało się malowidło tuż przy tablicy. Widniała na nim kobieta w rozwianej na wietrze sukni siedząca na pieńku i trzymająca na kolanach cytrę. Twarz grającej była spokojna, choć jej wzrok budził niepokój. Kobieta patrzyła na zebrane wokół niej skrzydlate potwory i wyglądała, jakby bujała głową. Bren kojarzył paskudztwa z opowiadań ojca. To harpie, bestie, które mamily śpiewem zabłąkanych wędrowców. Sześć namalowanych pędzlem nagich maszkar kucą przy grającej i wlepiało błyszczące ślepią w instrument.

Do pomieszczenia wszedł opiekun, którego poznali na pierwszym spotkaniu. Ciemni zamknęli masywne drzwi, po czym nastąpiła cisza.

– Nigdy nie opuszczam tego miejsca, więc możecie poznać moją twarz – powiedział i podniósł maskę.

Był starcem o krótkich siwych włosach. Miał wygolone boki głowy, zmęczone brązowe oczy i policzki pokryte krostami. Żuł coś, wodząc wzrokiem po zakapturzonej ósemce.

– Wasze pierwsze zlecenie. – Obejrzał swój sygnet i potarł go palcem. – Jakiś czas temu podpisaliśmy umowę na dostarczanie tych, którzy mają moc rzucania zaklęć. To jeden z ważniejszych, o ile nie najważniejszy kontrakt naszej organizacji. Jest świetnie płatny, a my jak dotąd wykonujemy go bez zarzutów.

– Porywacie magów? – zdumiał się wysoki adept, na którego wołali: Cichy.

– Gwoli ścisłości, od tej chwili będziemy porywać ich wspólnie. –

Mężczyzna puścił mu oko i wyszczerzył zęby.

Odczekał chwilę, obserwując reakcję milczącej grupy. Bren podparł brodę dłońmi, próbując powstrzymać drgającą żuchwę.

– Nasz zleceniodawca potrzebuje tylu magów, ilu zdołamy pojmać. Problem w tym, że skończyły nam się pszczoły.

– Pszczoły? – spytał ktoś.

Opiekun rozłożył dłonie, wskazując palcami wszystkich zebranych.

– Pszczoły zwiedzają okolicę, a jeśli jedna odkryje miodne pole, wraca i powiadamia rój – odparł i zaczął spacerować po sali. – Minstrel idealnie pasuje do roli pszczoły. Nie jesteście na tyle wyszkoleni, by podjąć się czegoś trudniejszego. Opowiemy, jak rozpoznawać magów, a waszym zadaniem będzie jedynie dać znać, kiedy takiego zobaczycie.

– Co się stało z pozostałymi... pszczołami? – spytał Bren.

Starzec stanął zapałtrony w zawieszoną na ścianie tablicę.

– Spaleni, zmiążdżeni, pocięci – wyliczał, pomagając sobie palcami.

*O bogowie, muszę stąd wiać!*

– Nie będziecie sami. Gdy tylko przekażecie bardom miejsce pobytu maga, opuszczacie misję. To oni wykonują trudniejszą część.

Mężczyzna chwycił ostry rylec i nakreślił na tablicy woskowej dwie cyfry.

– Macie szczęście, że trafiliście do tej grupy. Tyle złota dostaniecie za znalezienie maga, a tyle srebra za misję bez miodu.

Po pomieszczeniu przeszedł szmer zadowolenia.

– A jak mamy poznać, że ktoś jest magiem? – spytała Rubia.

– O tym opowiem za chwilę – odparł opiekun, a Bren pomyślał, że niedługo umrze.

\* \* \*

– Czy ktoś z was kiedykolwiek widział maga? – spytał opiekun.

Jeden z adeptów uniósł dłoń, a szeroki rękaw zsunął się do łokcia.

– Opowiedz.

– To było podczas jarmarku, rok temu. Występy na święto ryby. I tam,

wiecie, z koni skakali, pochodnie rzucali, ale jeden z nich to magiem musiał być.

– Dlaczego?

– Bo cuda robił, panie. Płacili ludzie, on wielkie bańki puszczał, a w każdej gęba tego, co zapłacił. Wypisz, wymaluj identyczna.

Opiekun wyrył na tablicy prostą kreskę.

– Tak, to kuglarz, zna podstawowe zaklęcia. Tych jest najwięcej. Niektórzy potrafią leczyć proste urazy, inni tworzą iluzje. Zazwyczaj niegroźni, choć kto wie, tak naprawdę niewiele o magii wiadomo.

Obrysował kreskę koślawym kołem.

– Takich łapiemy. Nasz zleceniodawca jest zainteresowany zwłaszcza nimi. Czy było w tym kuglarzu coś, co zwróciło twoją uwagę? Coś w jego wyglądzie lub zachowaniu?

Uczeń myślał przez moment, po czym pokręcił głową.

– Ktoś jeszcze miał kontakt? – spytał opiekun, lecz odpowiedziała mu cisza. Żyłasta dłoń mężczyzny nakreśliła dwie kreski. – Magowie, czarodzieje, szamani, czarnoksiężnicy, nekromanci, tych jest mniej. Władają potężniejszą magią, znają więcej zaklęć. Niektórzy bronią zamków czy skarbców. Najmują się do grup awanturników. Wszyscy bardzo niebezpieczni. – Postukał rylcem i obrysował kreski. – Takich łapiemy tylko wtedy, kiedy mamy przewagę zaskoczenia. Najczęściej są straty, czasem dziesięciu na jednego to mało. Bywa, że rezygnujemy, dlatego najlepszy jest mag z pierwszej grupy.

Na woskowej tablicy ponownie zaskrzypiał rylce, kiedy mężczyzna narysował trzy kreski, po czym szybko je skreślił.

– Tych nie łapiemy. Jest ich tyłu co palców u rąk. Bogowie obdarzyli ich mocą tak ogromną, że jeśli kiedykolwiek usłyszycie o cudzie, to pewnie ich zasługa. Do grupy tej należą Cesarz oraz rządzący naszymi krajami Myrmidzi. Uprzedzam, na wypadek gdybyś jednak chciał takiego porwać. – Opiekun skierował palec w stronę Gwidona, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

*Ciekawe, jak wielu pszczołom opowiadał te rzeczy – zastanawiał się*



Bren.

– A teraz trochę o tym, jak ich rozpoznać. Bywa, że brakuje im części ciała, kuleją, jękają się, gadają do siebie. No wiecie, zachowaniem lub wyglądem odstają od reszty. Powiadają, że im większa moc maga, tym łatwiej to dostrzec. Problem w tym, że o naszych porwaniach gadają już w wielu karczmach. Niejedna właścicielka kramu plotki rozrzuca. Obdarzeni potencjałem zaczęli chować swoje ubytki. Brak palca skrywa rękawica, a łysą głowę kaptur.

– Toż łysą głowę ma mój ojciec! – krzyknęła Rubia. – Darth mi świadkiem, że żaden z niego mag.

– Cóż, dopiero tu, w siedzibie, ocenimy, czy pszczoły odkryły prawdziwy miód.

– A w jaki sposób? – drążyła.

Mężczyzna się zawahał.

– Wszystko w swoim czasie – odparł.

– A co, jeśli nie będzie magiem? Łysych mnóstwo w Estepii.

– Waszym zadaniem będzie obserwacja i wskazanie tych, którzy najbardziej pasują do mojej opowieści. A jeśli się pomylicie... – Przechylił głowę, aż strzeliły chrząstki szyi. – Nie zarobicie wiele, lecz przybędzie nam nowy Ciemny.

\* \* \*

Czas wolny od zajęć spędzali w sali rozrywki. W rzeczywistości, prócz kilku leżaków, dwóch stołów z kośćmi do gry i przestrzeni przeznaczonej na ćwiczenia fizyczne, nie było w niej nic ciekawego.

Bren legł na jednym z leżaków, po czym zaczął rzeźbić. Krótki nożyk i szczapę otrzymał od Ciemnego, któremu obiecał oddać pieniądze z pierwszej wypłaty. Dłubanie w drewnie zabierało stres, wyciszało oraz dawało niemałą satysfakcję. Było jedyną znaną mu czynnością, którą zewnętrzny świat zauważał, a czasem wręcz chwalił. Figurki koni, wilków i rycerzy wychodziły spod jego ręki, odkąd skończył sześć lat. Początkowo

były dość szkaradne, lecz gdy nabrał wprawy, a jego palce ociosały setki lipowych konarów, potrafił tworzyć postacie w ruchu i umiejętnie oddawał mimikę w drewnianych twarzach. Kiedy rzeźbił, czuł, że jego umysł jest czysty, straszne myśli łagodnieją, a niemożliwy do wymyślenia plan układa się z każdym posunięciem ostrza.

Przyglądał się zimnym oczom rzeźbionego jaszczura i dumał nad swoim losem. Zdarzało mu się kraść czy uczestniczyć w drobnych bójkach, ale porwania magów? Doskonale pamiętał opowieść ojca o czarnoksiężniku, który jednym zaklęciem spalił krasnoludzką wioskę. Ponoć zwęgliły się nawet kości, taki gorąc był.

*Muszę zrobić wszystko, by nie trafić na tę misję.*

– Ale jaszczura! – rzucił chłopak z obgryzionymi paznokciami. Jego spalone słońcem dłonie i akcentowanie ostatniego wyrazu zdradzały dengiskie pochodzenie. – Toć bogowie darem cię obdarzyli!

Bren wzruszył ramionami, zerkając w stronę obserwujących jego pracę adeptów.

– A jak oni się upewniają, że złapany to czarownik? – kontynuował dyskusję Cichy.

– Tortury może? – zasugerowała Mistia, dziewczyna o poparzonych rękach.

Odkąd Bren zobaczył ją drugiego dnia w tunice bez rękawów, nie potrafił wyrzucić z głowy obrazu blizn. Zrezygnował ze swego miejsca w kolejce do łaźni, wmawiając sobie, że puszczają ukrop i dlatego doznała poparzeń. Odetchnął, dopiero gdy usłyszał jej opowieść o pożarze w Ristarlik.

– Ale jak taką francę uwięzić? Czar rzuci, sru! i ściana wypalona. Prosty chłop jestem i pojąć tego nie mogę.

– Myślicie, że da się zmienić grupę? – pytał Gwidon. – Do tych z szyszkami bym poszedł.

– Powiem ci – zaczął Cichy – że ekipa szyszek nielepszym łajnem ubrudzona. Godoją, że dwuząb z tym waryjatem ulepszać będą. Na domiar złego wczoraj zadźgali tam jednego.

– Zadźgali? – powtórzyła Mistia.

– Ano. Ponoć długi miał. Podziurawili biedaka jak ser.

Bren zadrżał. Każdy dzień kończył się dramatem, a gospodarze najwyraźniej nie przejmowali się tym, tylko liczyli, że nowo przyjęci wypracują własny, brutalny system wartości.

*W jaki sposób ktoś przemycił tu broń? A może użyto ostrego przedmiotu?*

Spojrzał na bransoletę.

*I jeszcze to porywanie magów.*

Każdy Estepczyk wiedział, że magia to rzadki dar, dotąd jednak nikt nie ingerował w to, kto posiada moc i na ile jest biegły w jej używaniu.

Bren schował figurkę do kieszeni. Postanowił, że skończy po warsztatach, na które właśnie się wybierali.

Gdy zasiadali w pomieszczeniu, drzwi zaskrzypiały i do środka wszedł uśmiechnięty opiekun odziany w białe szaty. Chwilę potem Ciemni wnieśli na noszach wysuszonego człowieka. Był przeraźliwie chudy, niemal sam ludzki szkielet. Leżał z rozrzuconymi kończynami, które kołysały się wraz z unoszeniem i opadaniem noszy. Kiedy położyli go na ziemi tuż przy jednej z nielicznych pochodni, Bren dostrzegł przebijające się przez prześwitującą skórę chrząstki i łączenia kości. Szpiczasta, nienaturalnie skrzywiona miednica stanowiła najszerszą część ciała mężczyzny. Plamista twarz z zapadniętymi oczami skierowana była w górę. Wychudzony nieznajomy przełykał ślinę raz po raz, a duża grdyka przeciskała się wzdłuż szyi, napinając skórę do granic możliwości.

*On żyje* – Bren nie dowierzał i z ciekawości podsunął krzesło bliżej biedaka.

– Poznajcie Tronosa.

Wynędzniały człowiek odwrócił głowę w stronę zebranych. Widać, że musiał wkładać w ruch sporo sił, bo dyszał ciężko.

– To nasz człowiek, piewca. Został pojmany i skazany. Szczęście, że nikt nie próbował go przesłuchiwać i nie musiał zgnieść dwuzębu. Nieszczęście, że otrzymał roczną karę pobytu w podniebnym więzieniu.

Zebrani zaczęli szeptać z ekscytacją. Najwyraźniej owiane grozą miejsce

stanowiło ciekawszy temat niż rzucanie sztyletami czy warzenie trucizn.

– Odsiedział wyrok i zgodził się o tym opowiedzieć. Ta lekcja ma dwa cele, więc bądźcie uważni. Po pierwsze: prawdopodobnie Tronos miał bliski kontakt z doświadczonym magiem, więc jego opowieść może wam pomóc zrozumieć, jak rozpoznawać tych ludzi. Po drugie: bardzo mi zależy, żebyście wiedzieli, co wam grozi, jeśli będziecie nieuważni i dacie się złapać.

Pochylił głowę ku Tronosowi, wyszeptał coś i wyszedł z sali.

Chudy mężczyzna skrzyżował dłonie i spojrzał na nie smutno.

– Podniebne więzienie zostało zbudowane na rozkaz Cesarza zwanego Cenzorem. – Z wysuszonych ust wypadały ledwo słyszalne słowa. – To miejsce dla najgorszych przestępców, stworzone, by ich złamać.

Zrobił przerwę i wypuścił powietrze.

– Wzniesienie widać z daleka; wielka, pionowa skała w kształcie wbitej w ziemię włóczni. Dookoła jak okiem sięgnąć rozciągają się dzikie stepy poprzecinane suchymi kanionami.

Zamknął pokryte żyłkami powieki i kontynuował:

– U podnóża, pośród strażników, stał człowiek w ciemnym płaszczu. Gdy oni sprawdzali dokumenty, ten złapał moją rękę i spojrzał mi w oczy. Patrzył, a ja czułem, że czyta mnie jak księgę. Myślałem, żeby zgnieść dwuząb, obawiając się, że odkryje lokalizację siedziby, lecz szukał czegoś innego. Potem zrozumiałem, że nie chodziło o to, co wiem, lecz o to, co potrafię. Podejrzewam, że sprawdzał, czy jestem magiem.

Bren spojrzał w stronę Rubii, lecz ta siedziała jak skamieniała, zasłuchana w opowieść byłego więźnia.

– Wejście na skałę nie jest proste. To mozolna podróż spiralną drogą, która okrąży skalną włócznię dziesiątki razy. Zrobiło się chłodno, dudniło w uszach, głęboki oddech przychodził z trudnością. Pokonywaliśmy zakręt za zakrętem, wchodząc coraz wyżej i wyżej.

Zamknął oczy i zamilkł. Uczniowie spojrzeli po sobie niepewni, czy usnął, czy stracił przytomność. Po chwili podniósł powieki i oblizawszy usta, szeptał dalej:

– O tak, wyjąca skała. Pod koniec wspinaczki usłyszałem ją i uwierzcie,

nigdy nie zapomnę tego dźwięku. To jak wiatr ludzkiej rozpacz, który przecina odwagę dreszczem żalu i rezygnacji.

– Wyjaca skała? – powtórzył pytająco jeden z uczniów.

Mężczyzna przesunął po nim wzrokiem i kontynuował:

– Ostatni odcinek góry jest tak stromy, że trzeba wejść po żelaznych drabinach. Dostałem grube rękawice, by nie odmrozić rąk, i piąłem się połączony łańcuchem ze strażnikiem. Kiedy dotarliśmy do jednej z wnęk, ujrzałem swoją przyszłą celę. Wtedy nie dostrzegłem, że jest w niej więziony ktoś jeszcze.

Opiekun wrócił do sali i usiadł na krześle.

– Cela to szerokie wyżłobienie w skale o wysokości ciut większej niż leżący człowiek. Z tej wyrwy widać przepiękną okolicę. Rozkuli mi ręce, wczółgali się ze mną i rzucili mnie brzuchem do dołu. Skierowali w stronę otwartej przestrzeni, tak że moja głowa wystawała poza krawędź skały. Początkowo myślałem, że mnie wypchną i spadnę w przepaść, lecz patrząc w górę, w dół i na boki, ujrzałem wystające głowy innych więźniów. Setki nieruchomo wpatrzonych przed siebie czerepów tworzyły ścianę, która z dala nie różniła się od zwykłej skały.

W pomieszczeniu zapanowała śmiertelna cisza.

– Wsunęli pode mnie coś podobnego do poidła dla koni, tylko węższego i dłuższego. Przytrzymali głowę i zabronili nawet drgnąć. Czekałem.

– Może zrobimy przerwę, Tronosie? – wtrącił opiekun.

– Nie – zacharczał nerwowo. – Polewali wodą. Tym poidłem płynęła woda, a na resztę ciała wylewali lepkać maź. Aż po uszy. To błyskawicznie zastygło i skamieniało. Czuję, jak plecy, nogi, dłonie, głowa połączyły się w jedną, sztywną, przytwierdzoną do skały formę. Słyszałem, jak spływająca spode mnie woda oblewa wystające głowy poniżej. Gdy przestała lecieć, strażnicy wyciągnęli formę. Został po niej niewielki żleb o długości i szerokości ciała.

Złapał haust powietrza i rzucił głową na bok, przewracając szaleńczo oczami.

– I wtedy zrozumiałem, co się stało. Wmurowali mnie w skałę. Nie

mogłem poruszyć żadną częścią ciała, głową również. Zrozumiałem, że przez rok będę patrzył w jeden punkt przed siebie. W jeden cholerny punkt! Zacząłem wrzeszczeć z przerażenia, a po chwili dołączyli wszyscy pozostali wmurowani nade mną i pode mną. Ściana ludzkich głów, która wrzeszczy przerażona dzień i noc. Wyjąca ściana. Byłem jej częścią! Zabierzcie mnie stąd, chcę znowu ruszyć głową, zabierzcie! – Wyschnięty na wiór mężczyzna miotał się na noszach i potrzeba było kilku minut, by go uspokoić.

– Jak przeżyłeś? – spytał Bren.

Były więzień spojrział z żalem przed siebie.

– Raz dziennie karmili nas papką. Początkowo nie było źle, szybko odkryłem, do czego służy zleb pode mną. To właśnie nim spływały kał i mocz, wyciekając w stronę przepaści. Ściekały po wmurowanych niżej głowach, budząc wyjąca ścianę. Sam również przyjmowałem „prezenty” od więźniów nade mną. Czasami, w zimne dni, nie było to takie złe, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Bren się wzdrygnął. Pragnął, by lekcja dobiegła końca.

– Rynna pode mną miała też drugą funkcję. Dzięki niej mogłem oddychać. Styks, współwięzień, którego wmurowali obok, twierdził, że bez tego więźniowie by się udusili.

Opowiadający usiłował usiąść, dźwigając ciało na chudych łokciach. Po kilku nieudanych próbach znieruchomiał.

– Po dwóch tygodniach nieużywane mięśnie praktycznie zanikły. Jedynymi sprawnymi fragmentami ciała, którymi mogłem poruszać, były powieki, usta, język. Flaczałem niczym wysuszony grzyb, ale nie to było najgorsze. Najtrudniej było znieść fakt, że przez dzień i noc mogłem widzieć tylko jeden punkt. Słyszałem wycie tych, którzy już dawno oszaleli. Odmawiali posiłków, jak ten trzeci w naszej celi. Strażnicy rozkuwali wtedy sztuczną skałę kilofami i rzucali w przepaść kościstą namiastkę człowieka. To jedyny moment, kiedy ściana nie wyła. Panowała absolutna cisza. Myślę, że wtedy zazdrościli. O tak, ja też zazdrościłem, ale nie miałem odwagi odmówić posiłków.

Mężczyzna uniósł kościste dłonie i zakrył twarz. Wyglądał jak śmierć

płacząca nad milionami zabranych istnień. Naciągnął skórę twarzy, wbijając w nią brudne paznokcie. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje.

– Po wykuciu kolejnej wyrwy jest miejsce dla nowego więźnia. Wiesz, że je przygotowują, słyszysz spływającą wodę i wrzask zaskoczenia, gdy lepkie błoto łączy nowego ze skałą.

Opiekun podał mu kubek z wodą. Tronos wypił łapczywie, rozlewając większość po zapadniętych policzkach.

– A teraz Styks. Kiedy przyszedłem, był już wmurowany. Nie wiem, jakie zbrodnie popełnił, ale dostał dwadzieścia lat, z czego odsiedział pół roku. Po wyjściu powiedziano mi, że to jeden z największych przestępców Estepii. Przebiegły lis, lecz w końcu go dopadli, unieruchamiając w wyjącej skale. Milczący, nigdy nie krzyczał, nie wył. Zamieniliśmy raptem kilka zdań. Był taki moment, kiedy zaczął gadać do siebie. Raz drwił, raz charczał i pluł, potem znowu ucichł. Wtedy nie wiedziałem, że był magiem. Musiał nim być, bo jak wytłumaczyć to... – Zawahał się. – No dobrze, ale po kolei.

Mężczyzna spojrział na Rubię i kontynuował:

– Kiedy któregoś razu spadła na nas rzeka szczyn, kątem oka widziałem, jak odpadło mu ucho. Tak normalnie, klapnęło o skałę, po czym spłynęło w przepaść popchnięte żółtym strumieniem. Myślałem, że facet jest chory, że to jedno z tych dziwactw, wiecie, kiedy odpadają części ciała.

Opiekun chrząknął. Być może chciał coś wtrącić, lecz zastygł z otwartymi ustami.

– Potem przyszedł ten dzień, którego nie zapomnę do końca życia. Ulewa, zimno, dygotałem, błagając bogów, by nie zachorować. Nagle poczułem, że robi się cieplej. Powietrze przede mną zaczęło drgać, a fala gorąca uderzyła w policzki. Wokół było tyle pary... tyle pary. I nagle coś gruchnęło, zaszeleściło, jakby bóg pocierał o siebie dwa pustynne światy. Nie widziałem tego, ale poczułem. Jego skała... skała, w którą był zamurowany, zamieniła się w strumień wody, następnie chlusnęła wodospadem, budząc większość poniżej. Słyszałem, jak Styks z trudem wstaje i wychodzi z celi. Krzyczałem, lecz nie reagował, potem już go nie widziałem.

– Jeśli uciekł – zabrał głos opiekun – jest jedynym znanym zbiegiem w historii tego miejsca.

Kiwnął w stronę Ciemnych, a oni wynieśli z sali zmęczonego mężczyznę.

– Co zapamiętacie z tej lekcji? – spytał, poprawiając włosy.

– Nawet najpotężniejszy mag może wyglądać niepozornie – powiedziała Rubia.

– Ucho, odpadło mu ucho. To znak, że znał czary.

– Gdy zamieniał skałę w wodę, zrobiło się gorąco, parno.

– Tak – westchnął opiekun. – Wszystko to prawda, ale z jaką jeszcze lekcją wychodzicie?

– Za żadne skarby Cesarza nie mogą nas złapać – powiedział sucho Bren.

– Brawo! – krzyknął opiekun i wskazał palcem drzwi.



## Rozdział 12

# Ryzykowna gra

### *Parkan*

Kolejnego dnia decyzję podejmowali w skupieniu.

– Krwi, daru oraz śmierci. Dzisiejsze menu brzmi zachęcająco – zadrwił czarnopióry Vidon.

– *Próba daru jako jedyna jest bezpieczna* – usłyszeli Świetlistego. – *Nie można podczas niej zginąć.*

Wysłuchawszy tych słów, dwóch jasnopiórych zniknęło w bezpiecznej bramie.

Leba rozważał próbę śmierci. Wiedział, że nazwy potrafiły wprowadzać w błąd. Kiedy pozostali również wybrali próbę daru, niepewność zaczęła w nim toczyć bój z ciekawością.

*Niech będzie, przynajmniej nie zginę* – pomyślał i podążył za resztą.

Na pierwszy rzut oka przestronne pomieszczenie, do którego trafiła cała szóstka, mogło pełnić funkcję łaźni. Wyłożona oszlifowanymi kamieniami posadzka lśniła czystością. Dostrzegli trzy okrągłe balie pełne brązowego płynu. Powierzchnię mazi pokrywały bąble, które pękały, rozmazując się z pluskiem o brzegi. Na krawędziach kadzi stały wypełnione żółtą substancją kielichy.

– *Dobierzcie się w pary* – padło polecenie.

Leba spojrział dokoła. Dwóch jasnopiórych stanęło obok siebie. Kolejnych dwóch, z przewagą ciemnych piór, zajęło miejsce przy prawej balii. Został Yu, który mierzył rywala wzrokiem.

– A więc ja i ty, ogień i woda razem – zakpił i rozłożył ręce.

– *Wejdźcie w parach do balii.*

Wykonali rozkaz bez namysłu.

Breja była zimna i dużo gęstsza, niż Lebie się wydawało.

– *Weźcie w dłonie kielichy. Jeżeli któryś z was wyleje zawartość, oznaczać to będzie chęć rezygnacji. W rezultacie obie osoby z pary zostaną zhańbione. Czeka was więc wspólna wygrana lub wspólna porażka.*

Yu zerknął na Lebę, który stał po kolana w błocie.

– *Próba zacznie się tuż po zanurzeniu głów. Waszym celem będzie zabranie jednej cechy towarzysza. Przejęta właściwość rozkwitnie w was, a jeśli już taką macie, spotężnieje ponad miarę. Cecha, którą zabierze przeciwnik, zwiędnie, by z czasem zaniknąć. Wybierajcie mądrze.*

Bładoniebieskie tęczęwki Yu były zimne i powiększone. W sercu Leby również zawitał strach. Parkanin usiadł. Czuł, jak szlam oblepia pióra, spowalniając ruchy. Głowy pozostałych grzęzły w brei obok wyciągniętych nad powierzchnię dłoni, w których dzierżyli kielichy.

Leba chwycił swój puchar, nabrał powietrza i zanurzył głowę. Otoczenie się zmieniło, choć był pewien, że wciąż znajduje się w balii. Dostrzegł nogi Yu – długie, umięśnione pagórki zakończone pazurami. Dziurawiły czarnoziem niczym ciernie, rozkopując glebę pełną obfitych larw. Widział okalające świat ogromne, czarne skrzydła Yu, które przecinały horyzont i ślizgały się po brzegach kadzi. Po każdym ich ruchu ciemniało, a deszcz zacinał gęstymi kroplami. Dołem płynęły strumienie żółci, omijając zgarbione pod ciężarem owoców drzewa.

Leba skierował dłoń w ich stronę, tworząc błotną falę. Ta wyprzedziła go, odbiła się od krawędzi kadzi, a następnie roztrzaskała o tors. Dotknął wiszącego na gałęzi krągłego kształtu przypominającego kokon. Powłoka ociekała kleistą mazią, tworząc smoliste kałuże. W środku kokonu coś drgnęło. Był pewien, że to OBLUDA. Czuł ją całym sobą, jak gdyby czytał mroczną księgę dziejów opisującą istotę matactwa. Cofnął dłoń i trącił przy tym inny zwisający oprzęd. Ten zaszeleścił, chroniąc ukrytą MŚCIWOŚĆ. Leba wypuścił bąbel powietrza. Ten opadł i odbił się od dna, po czym poszybował, falując niczym meduza. Parkanin zaskrobał pazurem w twardą

powłokę kolejnego kokonu. Wyczuł poczwarkę CYNIZMU, która tkwiła nieruchomo i starała się ukryć swą obecność. Sąsiedni kokon pełen NIEUCZCIWOŚCI skurczył się, aż osłonka załśniła pomarszczoną, wysuszoną teksturą.

Wtem błyskawica złości przecięła horyzont, rozświetlając żółc strumieni opływających mroczny sad. Coś nadchodziło, bulgocząc napierającą masą błota. Zrobiona z gałęzi dłoń Yu sięgnęła do jego duszy i zabrała duże jajo. Szpiczasta dłoń nacisnęła zawartość z OPTYMIZMEM, a Leba poczuł, jak wiara w lepsze jutro wycieka z niego gęstą strugą. Dłoń odłożyła jajo i musnęła drugie, zawierające ODWAGĘ. Strach wylał się z Leby wodospadem. Bogowie! Nigdy dotąd nie był tak przerażony. Bujanie. Szpiczasta dłoń Leby kołysała się razem z nim, analizując wybór.

Przypomniał sobie o kielichu. Przyjrzał się swej ręce, która stanowiła wysoką, skierowaną ku zachmurzonemu niebu wieżę. Czuł, że na jej szczycie stoi naczynie, które może go ocalić. Bez OPTYMIZMU nie będzie już sobą. Przerażony zacisnął palce wokół podstawy kielicha, rozważając, czy nie przechylić naczynia. Kimże będzie bez ODWAGI? Palce Yu przemaszerowały po klatce piersiowej Leby i dotknęły EGOIZMU. Leba zacisnął zęby zaskoczony, jak duży kokon z tą zawartością w sobie ukrywał. Pazur przeciwnika przebił mechatą skórę, ochlapując się krwawą wydzieliną. Coś wyskoczyło z wnętrza i opadło na dłoń Yu, a ona zagarnęła dar i odpłynęła.

Leba poczuł ukłucie bólu, które przypominało zadrę wbijaną we wnętrze duszy. Wspomnienia i plany runęły, próbując zasłonić pojawiającą się lukę. Nieznana siła oglądała każdą jego cząstkę, przerzucała i układała na nowo. Po chwili okolica pojaśniała i znowu widział drzewa. Przejrzał czarne kokony, dotykając AROGANCJI, AGRESJI i POGARDY. Wielkość sadu przytłaczała. Czuł, że już jedynie on musi dokonać wyboru. Tylko jakiego? Nagle dostrzegł, że coś tkwi zakopane między korzeniami. Wbił pazur, podważając kształt, i wydobył jajo, w którym kryło się POŚWIĘCENIE. Bez wahania przebił chitynową skorupę i patrzył na wyciekające białko. Niewielki kształt wyklął się i skoczył w jego kierunku. Puste cierpienie ćwiartowało duszę na plastry, z których każdy dźwigał pragnienia i obawy.

Tkana niewidzialną dłonią układanka zasklepiła się i zabrała poczucie apatii.

– *Jeśli pragniesz być kimś innym, spróbuj choć raz być naprawdę sobą* – usłyszał i wypuścił resztkę powietrza.

Bąble natarły deszczem z dołu do góry. Te duże dryfowały wolno, trącąc się nawzajem niczym niemrawe bańki. Mniejsze przebijały się pomiędzy nimi w wyścigu ku powierzchni. Tysiące najmniejszych wypełniało każdy wolny fragment brei.

Kiedy wynurzył głowę, zobaczył Yu łapiącego nierówny oddech. I choć nie byli już tymi samymi istotami, próba została zaliczona.

\* \* \*

*Byłem w wypełnionej breją balii czy w demonicznym świetle?* – zastanawiał się Leba. Na samo wspomnienie pękających kokonów przyspieszył kroku.

Noc nie przyniosła ukojenia. Myśl o utracie części siebie wracała jak natrętna mucha. Dotykał klatki piersiowej, czując ślady, które poraniły duszę.

– Dziś rezygnuję – oznajmił Etiukowi, z którym szedł na śniadanie.

– Nie chcę pytać, co widziałeś wewnątrz tego szaleńca. Zauważyłeś, że trzymamy się w podgrupach? My i Katsu kontra ciemni: Vidon, Mora i Yu.

– Tak – przyznał Leba. – Podział nastąpił już po drugiej próbie.

– O, są i samice! – krzyknął Mora, wskazując miejsce przy stole.

Po chwili pojawił się Yu. Od stóp do szyi pokryty był czarnymi piórami, które błyszczały w promieniach porannych słońc. Parkanin omiótł ich zawziętym spojrzeniem i również dosiadł się do wspólnego stolika.

– Opuść, on dziś rezygnuje – powiedział Etiuk.

– Rezygnujesz? – spytał Yu z niedowierzaniem. – Cóż, przynajmniej prześcignąłeś brata...

Pazury dłoni Leby wysunęły się, a zamach rozciął policzek Yu. Ten krzyknął wściekle, dociskając fragmenty wiszącej skóry.

– Zabiję cię! – wrzeszczał Yu przytrzymywany przez Vidona.

– *Jeżeli któryś z was jeszcze raz użyje przemocy, obaj zostaniecie zhańbieni.*

Ostrzeżenie Świetlistego podziało błyskawicznie.

\* \* \*

– Jednak idziesz? – Etiuk odwrócił się do Leby, który maszerował z tyłu z determinacją na twarzy i pożerał wzrokiem Yu.

Na polanie czekały próba dźwięku oraz próba zwinności. Cała szóstka postawiła na drugie, bezpieczne wyzwanie i po chwili wylądowała w nieznanym miejscu.

Podmokły las roztaczał zapach zgnilizny zmieszany ze smrodem bagiennych oparów. Pośród bezlistnych drzew widać było karłowate krzaki, pokryte mchem kamienie i nieliczne skały. Zagłębienia w podłożu wypełniały kałuże, których powierzchnia lśniła zielonobrazowym skrzepem.

– Przezorki. Ale ich dużo! – krzyknął Vidon i wskazał grupę małych zwierzątek.

– *By zakończyć próbę sukcesem, każdy z was ma złapać jeden okaz – oznajmił Świetlisty.*

Do pozostałych najwyraźniej również dotarło polecenie, bo zakrywali usta i rozglądali się nerwowo po towarzyszach.

– To najzwinniejsze istoty, jakie stworzyli bogowie – jęknął Yu, pocierając świeżą bliznę.

– Szkoda czasu na gadanie – wyszeptał Mora i ruszył w stronę zwierząt.

Kiedy podszedł do gromady, stworzenia znieruchomiały niczym figurki. Miały przezroczyste skóry, pod którymi widać było bijące masywne serca. Pozostałe organy tworzyły płataninę węzłów i tętniących komór układającą się w skomplikowany twór. Sięgające łydek lancetowate maluchy uniosły mokre trąbki. Ich serca praktycznie przestały bić, a matowe oczy wpatrywały się w podchodzącą postać.

Mora pochylił ciało, po czym wybił się, rozchylając skrzydła. Leciał tuż nad ziemią i celował w stado, nie w konkretnego osobnika. Przezorki

zafalowały i drgnęły, jakby każdy z nich był w dwóch miejscach naraz. Parkanin przeokoziłkował po leśnym poszyciu, wyrywając kępy mchu, lecz istoty skakały już daleko i dostosowywały kolor skóry do otoczenia.

Grupa Parkan pomknęła w ich kierunku. Leba pomyślał, że gdyby stworzenia wydawały jakikolwiek odgłos, słyszeliby teraz mnóstwo pisku lub miarowych ostrzeżeń. Przezorki były bezszelestne, podskakiwały i odbijały się od drzew, zdzierając korę. Potrafiły wydłużyć lub zwinąć ciało, osiągając tak nieprzewidywalne kształty, że tylko bogowie wiedzieli, czym były w rzeczywistości.

Etiuk i Katsu zmienili taktykę. Pierwszy schował się za drzewem i rozpostarł skrzydło, drugi nagał podskakującą grupę w kierunku zasadzki. W pewnym momencie przezorek wpadł w pułapkę, lecz spłynął po skrzydle niczym gęsta zawiesina, chowając się w kolczastych krzakach.

Leba odszedł od grupy; uznał, że większe szanse ma w pojedynkę. Jeszcze nigdy nie widział tak wielu przezorków w jednym miejscu. Lasy Yrga skrywały nieliczne sztuki, lecz te uciekały w podskokach, zanim ktokolwiek zdołał się do nich zbliżyć.

Ruszył w stronę trzech osobników odpoczywających w korzeniach wielkiego drzewa. Przezorki przywarły do podłoża, zerkając mętnymi oczami na zbliżającego się Parkanina. Zatrzymał się i odwrócił do nich tyłem, odczekał moment, a następnie skoczył. Niestety wylądował z pustymi rękami, a stworzenia znajdowały się kilka kroków dalej.

Rzut kamieniem również nie przyniósł rezultatu. Otoczek upadł w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał przyssany trąbką osobnik. Leba widział, jak galaretowate ciało istoty przesunęło się obok. Udawanie martwego, maskowanie zapachu brunatnym błotem, zeskok z drzewa – wszystkie te próby spełzły na niczym. Obolały Parkanin stał wściekły, próbując doczyścić pióra. W oddali słyszał pokrzykiwania, odgłosy zniecierpliwienia i trzaskanie gałęzi.

*Reszta też nie ma łatwo.*

Nagle przejął go silny strach. Próba zwinności była piątą z sześciu. Co jeśli nie złapie żadnego do rana? Czy dotarł do momentu, w którym będzie

musiał się poddać?

– Bezpieczna próba! – Trzepnął ze złością skrzydłami.

Po kilku godzinach starań zrezygnowany usiadł pod drzewem i obserwował otoczenie.

*A może by tak ukryć się w bagnie i poczekać?* – pomyślał.

Trącił długim kijem brązowy skrzep, ale uznał, że jest zdecydowanie za płytko. Zaklął i szarpnął włosy, licząc, że ból przyniesie nowy pomysł.

To koniec.

Gromada przezorków podeszła do drzewa kilkanaście kroków od Leby. Przysysały wilgotne trąbki do poduszek mchu, szukając pożywienia. Z głębi zmąconego kijem skrzepu wynurzył się niewielki jaszczur. Miał jasnozieloną, pofałdowaną skórę oraz długie, czarne szpony, którymi drapał powierzchnię błota. Żrenica w żółtym oku beznamiętnie taksowała otoczenie. Gad ruszył przed siebie, badając chropowate kamienie giętym jęzorem. Szurając po gruncie końcówką ogona, wszedł między przezorki i trącił największego osobnika. Docisnął go pazurami, po czym odgryzł mu głowę. Na pozostałe stworzenia chlusnęła krew. Stado przyglądało się scenie, najwyraźniej nie wyczuwając zagrożenia.

Parkanin siedział z otwartymi ustami.

– Jak to możliwe? – szepnął, odkładając kij. – Po prostu podszedł i go pożarł.

Nadchodziła noc, co oznaczało zbliżający się koniec próby.

*Myśl. Co odróżnia jaszczura od ciebie? Wygląda na zwykłego drapieżnika, jakich wiele. Nie jest szybki, zwinny. Jak tak głupie stworzenie może zrobić coś, czego nie potrafi szybka, inteligentna istota?*

Wstał i wykonał krok w kierunku zwierząt. Jaszczur spojrział na niego zimnym wzrokiem, złapał w pysk zdobycz i ruszył w stronę kałuży. Pozostałe istoty również zwróciły oczy w stronę Leby, zwalniając rytm pulsowania serc.

*Znowu to samo. Już wiedzą, co zamierzam – pomyślał. Właśnie! – Prawie krzyknął. – One w jakiś sposób potrafią przewidywać intencje. Dlatego znają każdy ruch. Ten głupi jaszczur nie umie planować.*

Parkanin zrobił kolejny krok. Przezorki zmieniły kolor skóry, upodabniając się do mchu.

*Muszę zająć czymś głowę. Czymś, co mnie pochłonie na tyle mocno, by nie planować.*

Przed oczami stanęła mu doskonale znana scena. Był wieczór, kiedy stał zanurzony po kolana w morzu i sprawdzał zawartość sieci. Kolorowe łuskwiaki, denne węże, kilka mniejszych ryb. Wyciągał każdą i wrzucał do drewnianego pojemnika. Po chwili dostrzegł statek powracający z Wyspy Prób. Wyteżył wzrok, osłaniając oczy przed promieniami zachodzących słońc. Prócz kapitana na pokładzie krzątał się jeden Parkanin. Zhańbiony.

Leba szedł w stronę przezorków zanurzony we wspomnieniach. Stworzenia załśniły naturalnymi kolorami, pozwalając promieniom słońca penetrować ich przezroczyste wnętrza.

Pamiętał, jak żagle statku opadły. Wiedział, że kontakt z przegranymi jest zabroniony. Stał jednak z siecią w dłoni i wypatrywał, czy to nie Niak.

Przezorki przestały patrzeć na Lebę, który był już o krok od stada.

Wrócił do wspomnień. Ulżyło mu, gdy rozpoznał Ghana. Smutna twarz potwierdzała zhańbienie. Kiedy Ghan lądował na płyciźnie, Leba dostrzegł w jego spojrzeniu coś jeszcze.

„Twój brat nie żyje” – słowa doleciały z wiatrem, wytrącając sieć z rąk Leby. „Widziałem, jak spada do morza lawa, przykro mi” – kolejne zdanie przecięło cierpieniem młode serce. Leba nie wiedział, czym jest lawa, ale pamiętał, że on również wtedy spadał. Zanurzał się w morzu rozpacz, klęcząc w spienionych, chłodnych falach.

Spojrzał na leśne poszycie i podniósł przezorka, czując jego śliską skórę. Między palcami Parkanina biło duże, spokojne serce.



## Rozdział 13

# W terenie

### *Estepia*

Bren został brutalnie wybudzony ze snu. Polecono mu narzucić szaty i podążać za Ciemnym.

*Pierwsza misja* – pomyślał, czując, jak serce przyspiesza.

Założył strój minstrela, wisiołek z dwuzębem i maskę, po czym ruszył za niewidomym mężczyzną.

Kiedy dotarli do dużej sali, była tam już większość minstreli. Ujrzał też Rubię. Dostrzegłszy go, przysunęła się bliżej. W pomieszczeniu stało wielu piewców wyższych klas: skaldowie, jeden czy dwóch wieszczów i czterech bardów. Wszyscy odziani byli w zdobione zbroje i płaszcze z inskrypcjami nut. Zamaskowani gromadzili się wokół jednego krzesła i paru wiader.

Na krześle siedział związany minstrel. Okalająca nadgarstek bransoleta oznaczała, że należał do grupy Brena. Dyszał ciężko, patrząc w podłogę.

Do sali wszedł opiekun, a większość zebranych zrobiła krok w stronę ścian.

– Kiedy jedni śpią w swym bezpiecznym domu, inni próbują z niego uciec – odezwał się melodyjnie.

Zapadła cisza przerywana jedynie kaszlem stojącej w rogu kobiety.

– Co masz na swoją obronę?

– Pozwólcie mi odejść, proszę – zaskomlał związany. – Nie chcę łapać magów.

– To ten gnom, Bafon – szepnął Bren, rozpoznawszy głos chłopaka.

Opiekun zerwał siedzącemu maskę. Ujrzeni ciemną brodę, pokazny

nochal i pulchne policzki.

– Nikomu o was nie powiem, o siedzibie i o tym, co tu się wyprawia. To nie moja sprawa. – Gnom kręcił głową, przesuwając wzrokiem po zebranych.

– Nie widziałem żadnych twarzy. Nikogo nie znam.

– Znasz regulamin – przerwał opiekun. – Widziałeś Rybaka, który cię złowił. Kojarzysz Okiennika, z którym przybyłeś. – Kucnął przed nim, patrząc mu prosto w oczy. – Moją twarz też widzisz, prawda?

Po chwili wstał i położył rękę na ramieniu przestraszonego brodacza.

– Chciałeś uciec, a to oznacza karę śmierci. Ale ponieważ wielu błądzi, dam ci wybór. Śmierć lub droga posługi.

– Droga posługi? – jęknął związany.

Stojący wskazał wiadra, w których dopiero teraz dostrzegli gorące węgle i rozżarzony metalowy pręt.

– Nie! Tylko nie oczy, błagam! – Gnom padł do nóg opiekuna.

– Ostatni raz pytam: czy chcesz skorzystać z łaski? Wolisz żyć czy umrzeć?

Uciekinier klęczał zgarbiony i ciężko dyszał. Jego barki unosiły się szybko, a ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Chcę żyć – odparł złamanym głosem.

Stojący z tyłu skaldowie podnieśli go i rzucili na krzesło. Jeden z nich ścisnął spocony kark gнома i chwycił czuprynę. Światło pochodni rozświetliło struchlałą twarz, kiedy szarpnięty za włosy wybałuszył bladoniebieskie oczy. Opiekun wyjął rozżarzony pręt i ocenił, czy jest wystarczająco nagrzanym. Doświadczzone grono zaczęło intonować pieśń:

Kwieciste łąki ogarnia zmrok  
Słońca promienie gasną już  
Przed tobą ostateczny krok  
Nie ujrzysz wschodów ani zórz

Ręka opiekuna przysunęła gorejącą końcówkę żelastwa do prawego oka biedaka. Ten próbował przekręcić głowę, ale dwaj skaldowie unieruchomili

go i odwrócili twarze od nagrzanego metalu. Pieśń narastała, tańczyła wraz z pochodniami umocowanymi w zardzewiałych obręczach.

I choćbyś wołał matki imię  
Choćbyś zaklinał boską moc  
Ukryj wspomnienia o lecie i zimie  
Dadzą nadzieję w wieczną noc

Rozżarzona końcówka wtopiła się w rogówkę. Pomieszczenie wypełniły demoniczny krzyk i smród palonego białka. Koścista broda wygięła się, gdy gnom wyszczerzył zęby, odchylając głowę od parującego żelastwa. Drugi krzyk był inny. Stłumiony i przepełniony żalem. Po chwili przeszedł w charkot.

Bren poczuł delikatną i miękką dłoń Rubii. Ścisnął ją z trwogą, patrząc, jak starzec wypala drugie oko. Gnom wisiał na krześle, wiotki i nieprzytomny, podtrzymywany wyłącznie siłą mięśni stojących w rozkroku skaldów.

Już żaden wstręt wzroku nie toczy  
Zaniknął obraz nieprzyjemny  
Zgasł na zawsze, zamknij oczy  
Umiera minstrel, rodzi się Ciemny

\* \* \*

Kolejnego dnia nie było zajęć, gdyż dostali informację o planowanej nazajutrz pierwszej misji.

Bren siedział w kącie celi wstrząśnięty nocnymi wydarzeniami. Przypomniawszy sobie początek śnieżycy i to, jak przebijał się z Drayem przez równinę. Tragarz był prostym chłopakiem. Za połowę złotej monety zgodził się pchać sanie przez trzy dni.

*To taniej niż koń.*

Bren pociągnął nosem i ogrzał dłońmi nagie stopy.

Pamiętał, jak chłopak opowiadał, że za wypłatę kupi zdobiony flet. Wypłatę, której i tak nigdy by nie dostał.

– Posiłek – oświadczył Ciemny, który pojawił się w celi.

Kiedy dotarli do jadalni, dostrzegł Rubię i dosiadł się do jej stolika. Coraz bardziej lubił czas posiłków, bo podczas nich mogli rozmawiać bez skrupowania i czuł, że nie jest sam.

– Myślisz, że przeżył? – spytała i sięgnęła po ser.

Rękaw opadł, ukazując tatuaż przedstawiający kwiat ostu. Podciągnęła materiał szybkim ruchem i spuściła głowę.

– Myślę, że tak. Pewnie zobaczymy go, jak usługuje nowym minstrelom. Masz rodzeństwo?

Dziewczyna uniosła głowę, najwyraźniej zaskoczona pytaniem.

– Nie. Męża i dzieci również nie – odparła z uśmiechem. – A ty?

– Ja... – Bren dopił zupę prosto z miski. – Jestem sam. Wyruszyłem z rodzinnej wioski, bo nic mnie tam już nie trzymało – skończył, po czym sięgnął po salaterkę z sosem.

– Nie radzę – powiedziała. – Chyba że szukasz kitu do okien.

Chłopak odstawił naczynie i wcisnął palec w gęstą zawieszynę.

– Skąd pomysł, by dołączyć do piewców? – pytała dalej.

– Pomysł?

– No, jakoś pojawiłeś się w konkursie. Twój Rybak był tak przekonujący czy już wcześniej planowałaś to szaleństwo?

Przyjrzał się jej dłoniom. Były szczupłe i zadbane. Pamiętał delikatność skóry, jak gdyby dziewczyna nigdy ciężko nie pracowała. Zerknął na maskę i kaptur, który zawsze nosiła. *Ciekawe, jakie ma włosy* – pomyślał.

– Przekonał mnie Rybak, głądził o dobrym zarobku – skłamał.

Zachichotała.

– To zupełnie jak mój. I wiesz co? Oby się nie mylił.

\* \* \*

Rano założono im na głowy worki i zaklejono uszy woskiem górskich

pszczoł. Zostali powiadomieni, że wyruszą w ustalonych wcześniej parach. Bren próbował zapamiętywać kierunki, wzniesienia i spadki. Kręcono nim i przekazywano go z rąk do rąk, aż w pewnym momencie zupełnie stracił orientację i skupił się na tym, by nie upaść.

Po jakimś czasie zsunięto worek i przemyto uszy. Nieznany mężczyzna kuczał przy strumieniu i nabierał wody w skórzaną sakwę.

– No dalej – rzekł, wycierając dłonie. – Możecie zdjąć maski. Od pierwszej misji para minstrelów zna swoje twarze. W worku znajdziecie przebranie.

Kiedy Bren zsunął maskę, poczuł, jak mroźne powietrze szczypie policzki. Rubia stała tyłem i zdejmowała płaszcz oraz tunikę. Misternie utkane warkocze kołysały się na szczupłych plecach, gdy przymierzała strój, a po chwili odwróciła się i spojrzała z zaciekawieniem na towarzysza. Miała rude włosy, wesołe zielone oczy, policzki pokryte dziesiątkami piegów i wąskie usta.

– Myślałam, że jesteś przystojniejszy – parsknęła.

– Ty za to jesteś całkiem do rzeczy – odparł Bren i sięgnął po swoje ubrania.

– No dobrze, pszczoły – przerwał obcy. – Po wyjściu z lasu pójdziecie prosto do Plaven. To duże miasto nad jeziorem Liskijskim. Obstawiacie dziś targ rybny. Jak tylko zobaczycie podejrzaną osobę, meldujecie w punkcie zbiórki u bram miasta.

Słuchali w skupieniu, uważając, by nie przegapić żadnego szczegółu.

– Aha, jeszcze jedno. Nie próbujcie żadnych sztuczek. Wiecie, jaka jest kara za usiłowanie ucieczki. Targ, zwiad i powrót do roju, jasne?

– Jasne – powtórzyli jak echo, obserwując oddalającą się mężczyznę.

Świtało, po śnieżnej burzy nie było śladu. Czuli zimno, lecz ustąpiły gwałtowne powiewy i opady śniegu. Najwyraźniej aura zmieniła się przez ostatnie dni, zastępując zamieć tradycyjną estepską zimą. Podczas drogi poczuli się lepiej. Powrót do normalności podziałał zbawiennie, wywołał uśmiechy i radość, która od paru dni tkwiła w najgłębszych schowkach uwięzionej duszy.

– Jak myślisz: kto tak bardzo nienawidzi magów, że wysyła za nimi... no wiesz, nas? – spytał Bren.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i spojrzała na niego dyskretnie.

– Nie wiem, ale nie chciałabym być w ich skórze. Słyszałeś, że piewcy mają pojmać każdego, który da się usidlić. To wieloletni kontrakt.

– Myślisz, że jakiegoś dziś wytropimy?

Na zaróżowionych policzkach dziewczyny zagościły nieznaczące dołeczki.

– Kto, jak nie my – odparła i uśmiechnęła się promiennie, zerkając w stronę targu.

Pomimo całodziennych obserwacji, rozmów z kupcami i przekupkami nie zauważyli nikogo podejrzanego. Mieszkańcy narzekali na trudność połowów podlodowych i straty, których doznali z powodu zamieci. Kilka osób twierdziło, że w okolicznych lasach pojawił się troll. Ponoć młody samiec pomylił drogi podczas wichury. Każdy z rozmówców opisywał go inaczej, więc Bren i Rubia uznali, że to miejska plotka, historia zmyślona dla rozrywki.

Wieczorem dotarli do umówionego punktu zbiórki i po standardowej procedurze trafili do siedziby.

– Dwadzieścia srebrników za spacer. – Bren podrzucał mieszki, leżąc na łożku. – Może trzeba szukać tak, by nikogo nie znaleźć?

## Rozdział 14

# Wyspa Mostów

### *Parkan*

Po ukończeniu piątej próby zwinności Leba wrócił na pustą polanę. Nie minęło pół godziny, a na miejsce dotarli też Yu i czarnopióry Mora. Obaj pochwalili się zaliczeniem próby z przezorkami. Mniej szczęścia mieli Etiuk, Katsu i Vidon. Wyrazy ich twarzy mogły oznaczać jedno.

– *Jesteście zhańbieni od dziś po wsze czasy* – oznajmił Świetlisty.

Przegranı zwiesili głowy, a na zmęczonych policzkach zabłysła niejedna łza. Ich oczy zdradzały gorycz porażki i świadomość nieodwracalności decyzji. Mogli zrezygnować przed próbą i wejść do anomalii. A jednak zaryzykowali z sobie tylko znanych powodów.

– Jak to zrobiliście? Jak złapaliście te cholerne brzydale?! – krzyczał Vidon.

– Wystarczyło przestać myśleć o ich schwytaniu – odparł Yu.

Świetlisty odciągnął na bok trzech, którzy nadal brali udział w próbach. Usłyszeli pytanie o dalsze uczestnictwo.

– Rezygnuję. Chcę płynąć na Wyspę Mostów – powiedział Leba.

– Ja również odpadam – rzekł Mora.

– Walczę dalej – podkreślił Yu, po czym ruszył w kierunku domów.

Leba nie słyszał już nic więcej. Czuł, jak uchodzi z niego ogromne napięcie. Stres oddawał pola jasnej nadziei, a serce wypełniła nieposkromiona radość. *Już nikt ani nic nie odbierze mi możliwości podróży* – pomyślał.

Spakował się wraz z Morą i powędrował do portu. Tuż przy brzegu

kołysał się duży statek o owadzym kształcie. Część ściętego dziobu nurkowała w toni oceanu. Zaokrąglona rufa, czarny, pofalowany kadłub i trzy duże maszty z równie ciemnym ożaglowaniem składały się na plamę niepasującą do tętniącego barwami otoczenia.

Kiedy weszli na pokład, Świetlisty oprowadził ich po górnej części statku. Zaprezentował też ulokowane na dole schludne kwatery z obszernymi hamakami.

Poczułi, że odpływają. Kiedy weszli do swoich pokoi, usłyszeli słabnący głos Świetlistego.

*– Skupcie się. Na stolikach znajdziecie dwa liście ziół zwanych sennikami. Na mój znak połóżycie się w hamakach, skruszycie pierwszy liść i wsypiecie zawartość do ust. Prześpicie dobę.*

Leba zerknął w stronę stołu i dostrzegł naczynie z dwoma liśćmi.

*– Nie będziecie głodni ani spragnieni, sennik przechowa was w doskonałym zdrowiu. Po przebudzeniu powtórzcie tę czynność z drugim liściem. Pamiętajcie, nie wolno z tym zwlekać. To bardzo ważne dla powodzenia podróży i dla was samych.*

Fale trzaskały o burzę, czyniąc głos prawie niesłyszalnym.

*– A teraz zażyjcie senniki. Miłej podróży, tej bliskiej i tej odległej.*

\* \* \*

Leba wziął do ręki liść. Okazał się suchy i bezwonny. Chłopak skruszył roślinę i wsypał ją do gardła. Wsunął skrzydła w specjalne otwory hamaka, po czym ułożył się wygodnie. Ostatnie, co zapamiętał, to opadające ręce i ogarniającą go słabość.

Kiedy się ocknął, statkiem bujało. Wciąż płynęli.

*Faktycznie nie czuję głodu* – zdziwił się, schodząc z hamaka.

Wyteżył słuch, lecz ciszy nie mącił najcichszy szmer. Uchylił skrzypiące drzwi, wysunął głowę i spojrzał na korytarz. Woskowane ściany spowijał półmrok. Jedyna, zamknięta w obręczy, świeca rzucała nikłe światło na rozwleczone po podłodze włochate skóry trzyroźców. Odwrócił głowę



w stronę miski z drugim liściem. Był pewien, że ciekawość wygra z dyscypliną.

Ruszył z wolna korytarzem, mijając pozamykane pokoje. Po wyjściu na górny pokład ujrzał bezgwiezdną czerń nocy. Świeże morskie powietrze owiało twarz i poruszyło przyjemnie piórami.

Wyjrzał za burtę i zamarł. Na powierzchni wody ujrzał wiry bez dna. Kręciły spienionymi ścianami, dziurawiąc ocean i moszcząc się obok siebie, jakby walczyły o pozycję. Z ich wnętrz wylatywały świecące punkty, tworząc jednolity, jaskrawy strumień, który doganiał inne, by łączyć się i znikać w pulsującej rzece światła. Po chwili dostrzegł coś jeszcze. Ciemne, galaretowate stworzenia krążyły wokół wirów i zagarniały mackami wyskakujące drobiny. Unosiły się tysiącami nad tonią i formowały świetliste strumienie, pilnując, by łowione punkciki nie gubiły się w głębinach oceanu. Leba spojrział za drugą burtę i ujrzał takie samo skupisko wirów, pulsujące aż po horyzont. Czarny pas morski, którym bezgłośnie płynęli, wolny był od jakichkolwiek zjawisk, stanowiąc wąską granicę pomiędzy światami wirów i świecących magistral.

Wtem jedno z latających paskudztw zatrzymało się i spojrzało w kierunku Leby. Ślepią istoty się zwęziły, a ciało zafalowało. Stworzenie jakby od niechcienia ruszyło w stronę stojącego na statku, z każdą chwilą przyspieszając. Parkanin rozwinął skrzydła i skoczył. Poturlał się do schodów. Kątem oka widział, jak czarna plama łapie mackami krawędź burty, wybija się i sunie po pokładzie. Zleciał ze stopni i boleśnie upadł na bark, uderzając głową w ścianę. Słyszał, jak galaretowate macki przyklejają się do górnego pokładu.

*Drzwi. Które były moje?*

Biegł pochylony, szurając o ściany wypustkami skrzydeł. Dopadł półotwartych drzwi i wpadł do pokoju. Kiedy zerknął na liść sennika, usłyszał cichy ruch dobiegający z korytarza. Świeca w przejściu musiała zgasnąć, gdyż szpara pod drzwiami pokryła się ciemnością. Był pewien, że coś stało po drugiej stronie. Wskoczył do hamaka, po czym skruszył i połknął sennik. Coś otworzyło drzwi, lecz świat opadał wraz z nim w wir

bezgranicznego snu.

\* \* \*

Po przebudzeniu zorientował się, że statek dobił do brzegu nieznanej wyspy. Była niewielka i równie zalesiona jak poprzednia, z urokliwą zatoczką, która schowana w głębi atolu stanowiła doskonałe miejsce cumowania okrętów. Słoneczny dzień i możliwość opuszczenia dziwnego statku dodawały otuchy i pozwalały wyrzucić z głowy wspomnienia koszmarnego snu.

Leba zwiedził oba pokłady w poszukiwaniu Mory, czarnopiórego Parkanina jednak nigdzie nie było. Kiedy wzniósł się wysoko, aż krzyknął zaskoczony widokiem ściany dziesiątek anomalii, które świeciły tuż przy wzniesieniu po drugiej stronie wyspy. Popędził w ich kierunku i wylądował na piaszczystym skraju urwiska. Niektóre z anomalii znikwały, lecz w ich miejscu pojawiały się następne. Razem tworzyły mur różnych kolorów i wielkości kul, który grzmiał niczym nadchodząca burza.

– Są piękne, prawda? – usłyszał znajomy głos.

– Eon? Co ty tu robisz?

– Och, nie jestem nim – odpowiedział Parkanin, uśmiechając się życzliwie. – Przybrałem postać, która będzie ci bliska. Ta prawdziwa nie byłaby zrozumiała.

– Kim jesteś? – spytał nieufnie Leba.

Wyglądający jak Eon mężczyzna usiadł na pobliskim kamieniu i wskazał miejsce obok.

– Przygotowuję do podróży, Lebo. – Kiwnął brodą w stronę ściany anomalii. – Usiądź, proszę. Chcę ci powiedzieć coś ważnego, gdyż twoja podróż jest inna.

Leba opadł obok, wpatrując się niepewnie w nieznanego.

– Z pierwszej tajemnicy wiary wiesz, że niesienie wsparcia pomaga w zachowaniu równowagi między dobrem a złem. Z drugiej dowiedziałeś się, że Parkanie robią to, pomagając wyznaczonym istotom. Czas na trzecią tajemnicę wiary, którą jest dar anomalii. Otrzymacie go wraz z tym, który

jest ci przeznaczony.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Po drugiej stronie wszystko wyda się bardziej przejrzyste. Jest jeszcze coś, przeznaczone tylko dla twoich uszu.

Leba obserwował rozmówcę w milczeniu. Ach, jakże był podobny do Eona.

– Twórcami anomalii i prób są Bezsenni. To oni dobierają istotę po drugiej stronie, tak by uzyskać równowagę sił. Dobry Parkanin wspierający dobrą istotę da w efekcie dobro. Natomiast zły...

– Dobry Parkanin? – przerwał Leba, wskazując biel swoich piór.

Mężczyzna skinął głową.

– W trakcie prób kształtuje się wasz ostateczny charakter. Oczywiście nie ma czegoś takiego jak czyste dobro lub czyste zło. Chodzi o przeważające cechy.

– A zło? Skoro Bezsenni dbają o równowagę sił, nie potrafię pojąć, że jakiś świat może potrzebować więcej zła...

– Dobro i zło od zarania dziejów tworzą balans, który wspiera powstawanie nowych gatunków i rzuca cywilizacjom nowe wyzwania. Brak zła to obniżona czujność, niechęć do rozwoju, stagnacja. Niestety pierwszy raz w historii wydarzyło się coś, czego nikt nie przewidział. Zły Parkanin dołączył do bardzo złej istoty. Bywało tak miliony razy, lecz podejrzewamy, że w efekcie tej współpracy zamordowano Bezsennego.

Leba wstrzymał oddech. Czuł, że każde wypowiedane przez nieznajomego słowo waży więcej, niż mógł udźwignąć.

– Nigdy w historii nie zamordowano Bezsennego, Lebo. Wiedza o ich istnieniu jest skrzętnie ukrywana. Tylko tobie o tym mówię.

– Co to oznacza?

Mężczyzna spojrzał ze smutkiem w stronę anomalii.

– Zostało ich jedynie sześciu. Kolejny Bezsenny urodzi się za siedem tysięcy lat. Ktokolwiek ich odkrył, nie spocznie, póki nie zabije wszystkich.

– Jeżeli przestaną istnieć, znikną próby, anomalie... – wywnioskował Leba.

– Istoty w innych światach będą zdane tylko na siebie. Nikt nie może przewidzieć konsekwencji.

Zamilkli, wsłuchując się w jednostajne brzęczenie kul.

– W moim świecie dzieją się dziwne rzeczy – powiedział Leba. – Zniknęła woda w jeziorach, a dźwięk...

Mężczyzna wyglądający jak Eon zmarszczył czoło i spojrzał w dal.

– Czyż dom nie zachwieje się bez jednej ze ścian?

Rząd anomalii zgasł, robiąc miejsce kolejnym, które rotowały i dzwoniły kryształami. Monotonny dźwięk kołysał do snu, łagodził brutalne wspomnienia i przynosił ulgę.

– Lebo, Bezsenni chcą, byś odszukał i powstrzymał mordercę.

– Dlaczego ja?

– Wykazujesz duży potencjał. W połączeniu z dobraną ci istotą szanse na powstrzymanie szaleńca nieznacznie rosną. To dlatego Bezsenni pokazali ci tę istotę wcześniej.

Leba poczuł silne uderzenie w klatkę piersiową. Klęknął i na chwilę stracił oddech. Cokolwiek się działo, paliło mu trzewia, piekąc żywym ogniem.

– Ból. Aaaach, nie mam powietrza – wyszeptał.

– Jesteś blisko podróży, możesz odczuwać to, co czuje przeznaczona ci istota – wytłumaczył mężczyzna. – Widocznie ma kłopoty lub będzie je mieć. Ziarenka czasu w klepsydrach światów nie zawsze spadają równomiernie.

Leba wstał, wciąż odczuwając pieczenie w okolicy żeber.

– Już czas. Podróż jest możliwa tylko podczas snu osobnika po drugiej stronie.

– Czy on ma jakieś imię?

– Nazywa się Bren. Mogę liczyć na to, że poszukasz mordercy?

Przytaknął bez wahania.

– Dziękuję. A teraz po prostu poczekaj. Twoja anomalia cię poprowadzi, gdy Bren zaśnie. Używajcie jej daru mądrze.

## Rozdział 15

# Zajazd Cztery Korony

### *Estepia*

Następnego dnia Bren oraz Rubia wyruszyli na kolejną misję. Ich celem było Plaven. Tym razem mieli odwiedzić bogaty zajazd Cztery Korony, w którym ponoć widziano jękającego się mężczyznę.

Zgodnie ze wskazówkami ominęli główny trakt, skręcając w ulicę Kuszowników, i podążyli wzdłuż murów. Po krótkiej wędrówce ich oczom ukazał się cel podróży. Duży, dobrze oświetlony budynek z ogromnym szyldem zdobionym symbolami czterech koron sprawiał wrażenie przybytku, w którym pobyt nie kosztuje mało. Dwa piętra, zgrabnie udające przedłużenie murów miejskich, przylegały do umocnień, tworząc nietypową konstrukcję. Szpiczaste dachy dźwigały nagrzone, buchające dymem kominy, a większość okien pulsowała ciepłymi barwami pokoi. Ciężkie czerwone zasłony dopełniały obrazu kunsztu i dobrego gustu, wyraźnie dając do zrozumienia, dla kogo przeznaczone jest to miejsce. Bren i Rubia otrzymali stosowne odzienie: zdobione kubraki szlacheckie, wyściełane delikatnym materiałem płaszcz i wytworne kapelusze z piórami.

– Mógłbym nosić to na co dzień – powiedział Bren, parując wzdłuż oszronionych bukszpanowych krzaków.

– Aż smutno się robi, że wrócimy do tych worków i masek – dodała Rubia.

Kiedy weszli do środka, odźwierny odebrał płaszcz i usunął resztki śniegu z butów przybyszy. Poczuli słodko-korzenną woń anyżu, która ciągnęła się za parującymi miskami roznoszonych deserów. Na suto

zastawionych stołach ustawiano właśnie ciasta ryżowe, cynamonowy arkas z trójkątami cytryn oraz tatarak w cukrze. Tuż pod ścianą, w cieniu wiszących herbów Kindik, przygrywała grupa muzykantów. Mężczyźni trącali struny drewnianych mandoli i przechylali głowy w takt skocznej muzyki. Zajęci sobą goście najwyraźniej nie zwrócili uwagi na nowo przybyłych, bo gwar rozmów niezmiennie wypełniał pomieszczenie, a ręce ucztujących prześcigały się w wyborze najlepszego deseru.

Rubia dała znak, by się rozdzielili. Ruszyła w stronę ozdobionego ziołowymi wiankami baru, Bren zaś skręcił w lewo i przeszedł przez czerwoną kotarę. Trafił do sali bawialnej wypełnionej osobami grającymi w tribago, popularną grę polegającą na podrzucaniu pionów tak, by ułożyć najwyższą wieżę. Kilku krasnoludów przekrzykiwało się przy stoliku do gry w gangak. Zasady wymyślonej w Bolga rozrywki nakazywały dobierać bloki tak, aby jak najbardziej zbliżyć się do wyniku dziesięć, lecz go nie przekroczyć. Trudność polegała na tym, że każdy blok skrywał ruchome pręty, które przesuwają się w trakcie mieszania, ukrywając jego wartość na spodzie.

Bren zauważył stolik, przy którym kobieta malowała na płótnie postać. Zgromadzeni wokół gapie przekrzykiwali się, próbując odgadnąć, kogo przedstawia dzieło.

*Wrzawa i smród potu jak w podrzędnej spelunie* – pomyślał, rozglądając się za podejrzanym. Stał przez chwilę przy grupie grającej w kości, poobserwował pijanego mężczyznę, który dogorywał z głową na blacie. W końcu zajął miejsce w rogu, skąd miał dobry widok na całe pomieszczenie.

– Zdrowie żon, których z nami nie ma! – usłyszał toast i odgłos zderzających się kufli.

Spojrzał dyskretnie na siedzących obok mężczyzn w rozciętych z przodu żupanach obszytych gęstym rzędem guzików. Nie wyglądali na magów. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Nie podziękowałem ci za kolację, Apoteosie – powiedział wyższy mężczyzna z długą, szpiczastą brodą. – Następnym razem to my zapraszamy

do siebie.

– Drobiazg. Honorem jest gościć zwierzchnika.

– Nie chcę cię urazić, ale... czy z twoim pierworodnym wszystko w porządku? Podczas posiłku zachowywał się dość specyficznie...

Mężczyzna z burzą loków potarł wydatny nochał, który sprawiał wrażenie sztucznie doklejonego.

– Od jakiegoś czasu sam nad tym główkuję, Matiasie. Kilka dni temu skarżył się, że boli go ucho. Pytam więc: czy boli w środku, czy na zewnątrz. A on wychodzi z domu, wraca i mówi, że boli go i tu, i tu. Zastanawiam się, czy nie łożę zbyt wiele na jego edukację.

Bren dostrzegł machającą do niego Rubię. Rude pukle dodawały jej szyku, doskonale komponując się z zielenią kapelusza.

– Mam go – szepnęła podekscytowana. – Jąkała jak nic. Powtarza! Powtarza kawałki wyrazów, jakby nie mógł powiedzieć w całości. Jak mu się już uda, to znowu szy-szy-nka twa-twa-rda bar-bar-dzo. – Rubia przechyliła śmiesznie głowę i wykrzywiła usta.

Pomknęli w stronę sali jadalnej, gdzie rudowłosa wskazała opartego o ladę mężczyznę.

– ...pro-pro-szę dos-tar-tar-czyć to do moj-je-jego po-k-koju – dukał.

Spojrzała wymownie na Brena.

– Swoją drogą, w ogóle nie wygląda na maga – wyszeptwała.

– Tak wielu widziałaś?

Wniesione przez kelnerów pieczone prosię przyjęto gromkimi brawami. Rumiane zwierzę spoczywało na metalowym ruszcie pokryte kołdrą gotowanych warzyw.

– Spójrz na jego dłoń. – Trąciła Brena łokciem.

Jąkała pokazywał wiszące za kucharzem pieczone mięsa. Miał tylko palec wskazujący oraz kciuk.

– Miałaś rację, idziemy o tym zameldować – odparł z ekscytacją.

Rubia złapała go za zdobioną koszulę, która, ciut za duża, wystawała spod kubraka.

– A jeśli to nie mag?

– Jąka się, nie ma palców...

– Muszę mieć pewność – warknęła, wciągając Brena za kotarę. – Podśluchałam, że ma tu pokój, drugie piętro. Wślizgnę się przez dach po parapecie i przeszukam graty. Mag powinien mieć księgi, proszki, mikstury.

– Oszalałaś? W jaki sposób wyjdiesz? A jeśli cię przyłapie?

Przystawiła palec do jego ust.

– Wyjdę korytarzem, większość pokoi w takich miejscach da się otworzyć od środka. Nie pytaj, skąd wiem.

Chciał coś powiedzieć, ale urwał, zobaczywszy, że zmarszczyła groźnie czoło.

– Ty go przypilnujesz. Zrobisz wszystko, żeby nie polazł na górę, dopóki nie wrócę. Jakies pytania, minstrelu? – Przygryzła wargi, zbliżając je do ust Brena.

Gdy tak stali w zacienionym kącie pomiędzy dwoma kotarami, czuł ciepło jej przyspieszonego oddechu. Delikatna dłoń dotknęła jego nieogolonego policzka.

*Czy ona robi to specjalnie?* – zastanawiał się, przestępując z nogi na nogę. Ostatnie, czego chciał, to przyznać, że się boi. Kiwnął głową, a ona skoczyła po schodach na górę.

\* \* \*

Bren usiadł przy wolnym stoliku i dyskretnie obserwował podejrzanego. Odziany w dobrze skrojony kubrak chudy mężczyzna wyglądał bardziej na kupca lub majątnego artystę niż osobę znającą zakłęcia. Nieznajomy poszedł do stolika i upił łyk jakiegoś naparu. Kiedy skończył, beknął cicho i ruszył pewnym krokiem w stronę schodów. Bren chciał zastąpić mu drogę, złapać go za rękaw, przewrócić, lecz wstał tylko i nieumiejętnie strzepnął niewidoczny brud z połaci kubraka. Wąsaty minął go sprężystym krokiem i wbiegł na schody, wskakując po dwa stopnie naraz.

*Za nim! Ona tam wciąż jest* – pomyślał Bren i ruszył za podejrzanym.

– O właśnie! – krzyknął, gdy dogonił go na piętrze.



Mężczyzna obejrzał się niepewnie. Uniósł długie, krzaczaste brwi, obserwując chłopaka.

– To jak będzie? – spytał Bren.

– Ze-ze-ze czy-czym bę-będzie?

– Z długiem. Oddasz czy mam przyjść z kolegami?

Bren przeklął sam siebie w myślach.

*Dług? Mogłeś wymyślić cokolwiek. Ale dług...?*

Nieznajomy zmrużył oczy. Jedwabne szaty zaszeleściły, gdy sięgnął do kieszeni. Po chwili wyjął żelazny klucz z drewnianą zawieszką.

– Po-po... – dukał, ruszając w stronę pokoju. – ...po-po-myłka.

Wsadził klucz do zamka, przekręcił i nacisnął klamkę, otwierając drzwi na oścież. Ujrzeni Rubię, która kuciała pod oknem, przeglądając sakwy.

– Nie ten pokój, ach, co ja z tobą mam. – Bren ruszył pewnie w jej kierunku, osłaniając ją ciałem, gdy wstawała.

Trzask zamykanych drzwi oznaczał, że znaleźli się w pułapce bez wyjścia.

– Po-po... – zaczął jąkała.

– Tak, to pomyłka. – Chłopak rozłożył ręce w przyjaznym geście.

– Polu-je-jecie na m-mnie?

Bren poczuł dłoń Rubii ściskającą skraj jego koszuli. Zaprzeczył ruchem głowy, wycofując się w stronę okna.

– Łow-łowcy mag-magów! – Głos nieznajomego gruchnął w powietrzu. Mężczyzna uniósł dłonie, a jego sroga twarz złagodniała, nabierając jaśniejszego odcienia. Mruczał z przymkniętymi oczami.

Bren poczuł ciepło i spływający po plecach pot. Docisnął dłonie do talii dziewczyny, próbując utrzymać ją za plecami. Był przerażony. Mężczyzna wołał ich do siebie, rysował niewidoczne kształty. Śpiewał ulubioną pieśń Brena, tę z Wynder. Niewidzialne figury pochłaniały każdy dźwięk zwrotki. Dlaczego wszystko tak bardzo zwolniło?

Obcy wyrzucił przed siebie dłonie i wypchnął błyskającą masę powietrza. Bren zadrżał. Poczucił uderzenie w klatkę piersiową. Huk huraganu, rybie błony wyrzucone z okiennych ram, czerwone zasłony wypchnięte poza

pokój niczym jęzory potworów. Na końcu on osłaniający schowaną za plecami dziewczynę. Pęd powietrza i zachmurzone niebo. Uderzenie. Drobinki śniegu uniosły się, gdy stracił oddech.

Usłyszał trzask kości. Wiedział, że wylądował na niej. Poczł metaliczny smak w ustach i palący ból w brzuchu.

– Rubia? – stęknął, puszczając rękaw jej kubraka. – Musimy wiać.

Kręciło mu się w głowie. Splunął krwią, usiłując złapać oddech. Dziewczyna leżała z nienaturalnie skrzyconą głową, a jej nieruchome zielone oczy pierwszy raz przestały świecić wesołością.

\* \* \*

Biegł przed siebie, przecinając pokryte śniegiem uliczki. Mijał zaułki pełne kłębiącego się drobiu i umorusanych prosiaków. Wstrząsał chorągiewkami rzemieślniczych straganów, pędząc w kierunku bram miasta.

– Na starych bogów, ona nie żyje – szeptał, trzymając się za żebra.

Kiedy zabrakło mu tchu, przystanął i zacisnął dłonie na krawędzi zmurszałej studni. Swąd fekaliów oraz rozkładających się nieczystości żebraczej ulicy uderzył go w nozdrza i zmusił do dalszego biegu. Splunął krwią obok wiadra i pognał dalej, przeskakując nad nogami żebraków i stertami zepsutych warzyw.

Dopadł bram miasta, dostrzegł go Okiennik. Bren upadł tuż przy nim.

– Rubia... nie żyje! – krzyknął. – Mag, drugie piętro, brak trzech palców. Zabijcie go, zabijcie!

Mężczyzna uniósł obie ręce, a z okolicznego lasu wyłoniło się kilka postaci w kapturach. Minęli bramę i zanurkowali w miejski tłum. Bren chciał coś dodać, ale stracił przytomność.

Otworzył oczy i zorientował się, że leży w celi obandażowany od pasa do piersi.

– Miałeś dużo szczęścia, to tylko kilka żeber. Za jakiś czas zrosną się same – powiedział opiekun.

– Rubia?

– Niestety złamała kark. Można powiedzieć, że uratowała ci życie. To ona przyjęła siłę uderzenia.

Zapadła cisza. Bren chciał zostać sam.

– Mag zabił jeszcze dwóch naszych, ale mamy psią juchę. – Mężczyzna drgnął, po czym położył na stoliku brzęczącą sakiewkę. – Podwójna zapłata, dorzuciłem też jej część.

Bren zamknął oczy. Klatka piersiowa paliła nieznośnym bólem. Kiedy usypiał, czuł, że znowu stracił kogoś, kto zaczynał być mu bliski.

**CZEŚĆ II**

**WIĘŻ**

## Rozdział 1

# Ktoś tu jest

### *Parkan*

Leba był rozkojarzony. Setki myśli kotłowało się w głowie, walcząc o uwagę. Opowiedziana przez nieznanego historia przygniotła go złożonością, a tempo poznawania nowych informacji przytłoczyło. Podczas lekcji wiary uczono ich, że żyją, by wspierać inne światy. Dorastają, by dostać szansę uczestnictwa w próbach. Ale nikt nigdy nie wspomniał o Bezsennych, dobieraniu par, balansie i katastrofie, która czekała wszystkie światy.

Wtem jedna z anomalii szarpnęła powietrzem, zbliżając się do niego. Czarna otoczka błyskała groźnie, odbijając kolory pozostałych kul. Leba ujrzał Brena – chłopak spał owinięty białym materiałem w drewnianym hamaku, który widział już wcześniej. Anomalia pulsowała, jakby usiłowała go do siebie przywołać, skusić tajemnicą po drugiej stronie. Był pewien, że widzi swój świat po raz ostatni. Spojrzał w kierunku dwóch słońc, przemierzył wzrokiem bezkresne morze i nabrał w płuca dobrze znane powietrze. Był gotowy. Wstał i podszedł tak blisko kuli jak nigdy dotąd. Pomarańczowe kryształki odbijały się od siebie, dźwięcząc i klekocząc niespójnie. Wsunął dłoń, by po chwili postawić krok w gazowym wnętrzu.

Bujnęło. Stał w kuli, a jednak czuł, że się przemieszcza. Owinięty bladoporóżowym dymem przyspieszał i zwalniał. Istota leżała daleko, niknąc wśród mieszanki gazów, wkrótce jednak ujrzał wszystkie jej szczegóły. Obejrzał kryształki. Lśniły blaskiem, którego wewnętrzne światło pulsowało ogniem tysiąca słońc. Kiedy dotknął jednego, doznał pustki, która błyskawicznie wyzarała wszystkie wspomnienia i umiejętności. Myśli nie

zawierały żadnej treści, a uczucia zwisały z serca niczym oszronione sople.

Odsunął dłoń i poczuł, że wszystko wróciło do normy. Wizja postaci na łóżku się zbliżyła. Leba zawołał to coś po imieniu, lecz usłyszał wyłącznie zespoloną falę jednostajnego tonu rozlewającą się po wnętrzu kuli. Otchłań ciemności lgnęła do niego, rosnąc i pochłaniając okoliczną przestrzeń. Znów poczuł tępy ból w piersi, palące pieczenie, które promieniowało, zabierało oddech. Ograniczone niewidzialną klatką myśli gęstniały, łączyły się w pary, przybliżały jedna do drugiej. Przed oczami stanęły mu obrazy wszystkich pięciu prób, które ukończył. A potem usłyszał szept i wpadł do własnego wnętrza. Czuł, że umiera.

\* \* \*

## *Estepia*

Bren otworzył oczy, szeroko, do granic możliwości. Wpatrywał się w sufit celi, czując, że coś uległo zmianie.

– *Witaj, Bren* – usłyszał.

Podskoczył, starając się unieść ciało na łokciach, lecz szarpnął nim promieniujący ból w okolicy żeber. Drzwi pokoju były zamknięte. Łóżko, stolik, otwarta szafa, w pomieszczeniu był tylko on. A jednak słyszał głos.

– *Mam na imię Leba.*

Wstał i potarł czoło. Było zimne i spocone.

– *Jestem pewien, że mnie słyszysz.*

– Gdzie jesteś? – spytał Bren.

– *W tobie, choć bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że chyba jesteśmy połączeni.*

– A więc zwariowałem! – krzyknął Bren, wsuwając dłonie do miski z zimną wodą.

– *Jestem Parkaninem.*

– To od uderzenia. – Obmył twarz, obserwując, jak spadające krople tworzą niewielkie koła na powierzchni.

– *Bren, czy możemy porozmawiać? To ważne.*

– Wynoś się! – wrzasnął Bren, uderzając się w policzek. – Wynoś, wynoś!  
– Krążył w kółko po zacienionym pomieszczeniu, próbując uspokoić emocje.  
– To chwilowe, wstrząs po upadku.

– *Nie znam twojego świata, ale widziałem cię wcześniej. Solar chce, bym cię wspierał.*

– Kiedy nuda tve życie rozdziera, a samotność to twój smak – zaintonował chłopak, usiłując skupić myśli na poznanej wcześniej piosence.

– *Słabniemy, czujesz to? Im dłużej rozmawiamy, tym więcej uchodzi z nas sił.*

– Zmiany czas nadchodzi i wzbiera! – wrzeszczał już na całe gardło.

Drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich Ciemny.

– Daj swój znak, daj swój znak! – krzyczał Bren, klęcząc na środku z dłońmi przeczesującymi rude włosy.

Niewidomy sługa podniósł go i odprowadził do łóżka.

– Medyka! – krzyknął Bren. – Słyszę głosy. Moja biedna głowa...

\* \* \*

Zamaskowany mężczyzna uciskał czoło, skronie i kark Brena.

– Czujesz ból?

– Tylko tu. – Chłopak dotknął klatki piersiowej.

– Ponoć huknąłeś z drugiego piętra na ubity śnieg. Ból, gorączka, majaki to najlepsze, co może cię teraz spotykać. Po prawdzie to nie powinieneś żyć.

Do celi wszedł Ciemny z dużym gąsiorem wody pod pachą. Ręce lekarza powędrowały do szyi Brena, a wyprostowane palce docisnęły krtań, zmuszając chłopaka do kaszlu.

– Dziwne – zamruczał lekarz.

– Co takiego cię dziwi, durniu? Że człowiek kaszle od podduszenia?

– Nie masz grdyki. Chrzątki, która u mężczyzn wystaje mniej więcej o, tutaj.

– Przy upadku poczułem uderzenie w szyję – zełgał Bren.

Lekarz przyglądał mu się z zaciekawieniem, wciąż uciskając miejsce.

– Idź precz, medyku! Konie lecz, nie ludzi. – Chłopak odepchnął jego dłoń.

Ten odsunął się, zerkając w stronę Ciemnego, który równie zaskoczony przestał nalewać wodę.

– Na co czekasz, psi pomioście? Ty też! Obaj się wynoście!

Medyk chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz tylko machnął ręką i wyszedł z pomieszczenia.



## Rozdział 2

# Poznajmy się

Kiedy Bren nabrał sił, poczłapał korytarzami siedziby. Informacja o zwolnieniu z zajęć siłowych tylko na moment poprawiła mu humor. Był rozdrażniony i słaby. Klucie w żebrach wciąż doskwierało, a od spania w jednej pozycji bolały biodra i kręgosłup. Szedł wolno, zważając na symbole. Jaskrawe koła na ścianach oznaczały zakaz wstępu, dzięki czemu wiedział dokładnie, które odnogi labiryntu dostępne są dla wszystkich, które zaś odwiedzać mogą wyłącznie Ciemni oraz kadra.

Kiedy dotarł do jadalni, dosiadł się do szepczącej grupy minstrelów.

– ...i dzięki temu więzić ich mogą – usłyszał końcówkę zdania.

– O czym rozprawiacie?

– Ty jesteś Triod, ten ranny w akcji z magiem?

Przytaknął, po czym wsunął pośliniony palec w półmisek pełen maku.

– Kiedy dochodziłeś do siebie, pokazali tauryn – powiedział wysoki chłopak, którego zwali: Klivro.

– Tauryn? – Bren łypnął na nich, sięgając po dokładkę.

– Najcenniejsza rzecz na świecie. Kryształ antymagiczny.

– Mają tu jeden, w skrzyni.

– A tylko kilka na świecie ich istnieje – podkreślił Gilem.

Bren oblizał palec i czekał na dalszy ciąg opowieści.

– I tak gadamy, że pewnikiem to sposób na magów właśnie. Jakżeby inaczej ich tu więzić mogli?

– A jak jest tauryn, to świńska dupa! – krzyknął Gwidon, ten sam, który zdradził Brenowi, że symulował ból brzucha przed pierwszą misją. –

Kryształ blokuje wszelką magię wokół siebie.

– Więc muszą trzymać tę błyskotkę tam, gdzie przetrzymują magów – wnioskował Klivro, dłubiąc w uchu.

– Pewnikiem odesłali świeżą dostawę i nie przetrzymują tera nikogo, skoro go nam prowadzący do sali przyciunkał – odezwał się siedzący przy ścianie łysy chłopak, który jak dotąd nie zdradził swego imienia.

– Widać, żeś z Togli. Tylko tam można coś przyciunkać. Albo jak wy tam gadacie, gdy się chce chędożyć?

– Rympać.

Gruchnęli śmiechem i zajęli się jedzeniem skromnych przekąsek. Gilem przeciągnął się i westchnął.

– Różne kamienie szlachetne w dłoniach tuliłem, ale przysięgam na topór, że to pomarańczowe cudo skradło moje serce.

– No, jeśli mag w pobliżu, ponoć niebieski się staje – przerwał łysy. – Wiesz, Triod, sprawdzaliśmy, który z nas jest magiem, i wyszło, że nawet Gwidon-świńska-dupa jest zwykłym, grubym minstrelem.

Zarechotali, odchylając się na ławach.

– A to nie mogliby dawać na misję tego kryształu? – spytał Gwidon. – Bezpieczniej by magów porywać było.

– A co? Wtedy ból brzucha by ci przeszedł, ty spasiona świnió? – huknął Bren, lecz zaskoczona grupa milczała. – Z tego, co mówicie, jest zbyt cenny, by go po karczmach i zamtuzach nosić. Myślcie trochę, zakute pały!

Bren czuł na sobie wzrok wielu osób. Rozejrzał się po pomieszczeniu i złowił spojrzenie kucharza. Mężczyzna przyglądał mu się z uwagą. Po chwili odłożył chochlę i wyszedł. Bren popatrzył po siedzących przy stole. Jedli w ciszy, zerkając raz po raz spod metalowych masek.

*Co się ze mną dzieje?* – pomyślał.

\* \* \*

– *Jak długo zamierzasz mnie zbywać?* – Bren ponownie usłyszał głos w głowie.

– Ach – szepnął – znowu gadam sam do siebie.

– *Nie możemy długo rozmawiać, bo znów stracimy siły. Jestem Parkaninem, istotą poczętą w innym świecie. Dlaczego mi nie wierzysz?*

Bren szedł korytarzem prosto na spotkanie na temat historii, jedno z tych, gdzie nie będzie zmuszany do rzucania sztyletami, chodzenia bezgłośnie w ciężkich metalowych butach czy wykręcania dłoni, by wcisnąć je między drewniane płyty.

– Bo nie istniejesz – wymruczał i skinął głową mijanemu wieszczowi.

– *Przeszedłem przez anomalie, by cię wspierać.*

– Ach tak? – wycedził przez zęby, obserwując Ciemnych targających ciężką skrzynię.

– *Otrzymaliśmy od anomalii jakiś dar.*

– Och, zauważyłem, to mistyczny dar gadania ze sobą. Nagroda od bogów za srogie grzmotnięcie w łeb po upadku z drugiego piętra.

– *Bren, wiem, że ci ciężko, mnie również nie jest łatwo. Opuściłem na zawsze swój rodzinny świat i wylądowałem w miejscu, którego nie rozumiem, w głowie osoby, która myśli, że zwariowała.*

Bren zignorował głos i wszedł do pomieszczenia. Czyżby się spóźnił? Spotkanie prowadziła starsza kobieta. Wydatne kości policzkowe, mały, płaski nos i wysunięta broda dawały jej spore szanse na zwycięstwo w zawodach szpetności. Jedynie żywe i uśmiechnięte niebieskie oczy nie pasowały do reszty.

– Nazywam się Gwynalen. Opowiem wam o naszym domu.

Kobieta krążyła z dłońmi wsuniętymi w głębokie kieszenie worka na ziemniaki, których dziesiątki zwożono jesienią z pól wokół Wynder. Do pomieszczenia wszedł zamaskowany mężczyzna. Podeszedł do prowadzącej i wyszeptał kilka słów. Gdy zasłaniał usta dłonią, Bren dostrzegł wytatuowaną kotwicę.

*To ten kucharz – pomyślał z trwogą.*

Kobieta skinęła głową i omiotła wzrokiem zebranych. Bren był pewien, że zatrzymała się na dłużej właśnie na nim. Kiedy nieznajomy opuścił salę, kontynuowała:

– Piewcy istnieją od stu sześćdziesięciu lat. Naszym założycielem jest Yussit, bard zwany Pierwszym. Choć wciąż żyje, ze względów bezpieczeństwa nigdy go nie spotkacie.

– Wciąż żyje? – szepnął minstrel z grupy szyszek.

– Początkowo piewcy ograniczali się do kilkunastoosobowej grupy, łączyła ich miłość do muzyki i rozwiązywania spraw... Doskonałe rezultaty przyniosły renomę i wynagrodzenie w platynie oraz złocie. Dokładnie sześćdziesiąt trzy lata temu doszło do zdrady. Nazywamy ten dzień węzowym zwrotem. Jeden z naszych, Dhur zwany przeklętym, zebrał kilkunastu piewców i wspólnie zwrócili się przeciwko Pierwszemu.

– Dlaczego to zrobił? – padło pytanie z końca sali.

Kobieta potarła wystającą brodę, jak gdyby nurkowała pamięcią w tych wydarzeniach.

– Władza. Miesza w głowach i zachęca do niecnym czynów. Doszło do nocnej rzezi. Próbując dotrzeć do Pierwszego, wymordowali znaczną część śpiących. Tylko przypadek ocalił naszego założyciela. Choć był w siedzibie, nie znaleźli go.

– *Tyle niepotrzebnej przemocy* – usłyszał w głowie Bren.

– Spisek został odkryty, a zdrajcy skazani na śmierć. Od tamtej pory w organizacji zaszły zmiany. Ograniczono swobodne poruszanie się po siedzibie, wprowadziliśmy rolę Ciemnych, zakaz pokazywania twarzy oraz roczny okres utajnienia kryjówki. Wszystko po to, by taka sytuacja więcej się nie powtórzyła. Czy macie jakieś pytania?

Pokręcili głowami.

– Dobrze. Porozmawiajmy o specjalizacjach. Po roku służby jako minstrel każdy z was będzie mógł wybrać jedną z klas. Jeśli poradzicie sobie z zadaniem sprawdzającym umiejętności, otrzymacie wyjątkowy instrument, który będzie wam towarzyszył aż do śmierci. Wyposażymy was w zbroje oraz broń. Wszystko doskonałej jakości.

Przez pomieszczenie przeszedł szmer zaciekawienia.

– To nie koniec. Będziecie osiągać kolejne poziomy biegłości. Ćwiczyć to, co potrzebne waszej specjalizacji, i grać.

– Będziemy potrafili grać na instrumencie?

– Każdy z nas? – dopytywali.

Oczy kobiety rozbłysły. Usiadła na stole i podsunęła do kostek połacie brudnej togi.

– Tak. Muzyka poprowadzi każdego z was, mimo że bogowie rozdali wam różne umiejętności. A teraz posłuchajcie o klasach piewców i zastanówcie się, w której z nich widzicie się w przyszłości. Ubrani na czarno trubadurzy to elitarni tropiciele. Wykorzystujemy ich tam, gdzie wymagane jest odnalezienie kogoś lub czegoś. Nie szukając daleko, idealnie sprawdzają się w tropieniu przestraszonych minstrelów, którzy z różnych przyczyn postanawiają uciec z siedziby. Jak dotąd przyprowadzili wszystkich. – Wyszczrzyła zęby. – Historia pokazuje, że najlepszymi tropicielami są kobiety. Osiem na dziesięć przypadków. Podejrzewam, że chodzi o lepszą percepcję, nieustępliwość i odporność na złe warunki atmosferyczne. Ubrani w żółte płaszcze to skaldowie. Złodzieje, dla których kradzież cesarskiego berła to kwestia odpowiedniego przygotowania. Mają sprawne dłonie i gibkie ciała. To prawdziwi akrobaci, których szkolimy także w gadce i niewykrywalnym kłamstwie.

– Coś dla mnie – szepnął Klivro, zacierając dłonie.

– Niebiescy wieszczowie to szpiedzy. W siedzibie nie spotkacie ich wielu, gdyż ich zadania ciągną się latami. Mieszkają na dworach i w zamkach. To właśnie oni powstrzymują wybuchy wojen albo... – Zrobiła pauzę. – Dzięki nim do wojen dochodzi.

– A ubrani na szaro? Ich też tu niewielu – zauważył Gilem.

– Szare płaszcze to bardowie, minstrelu. Nieuchwytni zabójcy i truciele, mistrzowie broni białej. Jeśli ktoś ma zniknąć z tego świata, robotę wykonuje właśnie bard.

Kobieta wstała i poprawiła pochodnię, która przekrzywiła się w uchwycie tuż przy drzwiach.

– Niektóre zlecenia wymagają pracy w grupach. Trubadur wytropi, skald otworzy drzwi, a bard zakończy żywot. Nie zapominajmy o ostatniej, ważnej i często pomijanej roli. To czyściciele, jedyna klasa wspierająca, która nie

jest związana z muzyką. Osoby te sprzątają po misjach, zacierają ślady, wprowadzają w błąd, myślą śledczych. Żyją wyłącznie w świecie zewnętrznym.

Prowadząca wysunęła brodę; jej profil jeszcze bardziej przypominał teraz półksiężyc. Potarła ją, sunąc dłonią po krótkich włoskach pokrywających wystające kości żuchwy.

– Ach, właśnie, zapomniałabym. Mamy jeszcze trzy role. Ufam, że wszystkie już znacie. Ciemni, Okiennicy...

– ...i Rybacy – dodał minstrel w pierwszym rzędzie.

– Tak, Rybacy – przytaknęła. – Pierwsza osoba, z którą mieliście kontakt. Nasz założyciel wierzy, że wszystko ma swój początek, środek i koniec. Dlatego na jego rozkaz dokładnie po miesiącu od wejścia do siedziby dochodzi do spotkania z Rybakami.

Bren poczuł, jak jego mokre dłonie zaczynają drżeć.

– Za kilka dni osoby, które zachęciły was do wzięcia udziału w konkursie, spotkają się z wami na zewnątrz w towarzystwie opiekuna. Dobrze was pamiętają i będzie im niezmiernie miło z wami porozmawiać i spytać o postępy. Cóż... myślę, że wam też będzie miło.

– *Co się dzieje?* – Bren ponownie usłyszał głos.

– Nie jestem tym, kogo spodziewa się zobaczyć Rybak – wyszeptał w dociśnięte do ust dłonie.

– *Kiedy ze mną rozmawiasz, wystarczy, że pomyślisz. Słowa nie są potrzebne, spróbuj* – powiedział Leba.

– *Triod, tak miał na imię chłopak, za którego się podaję. Spotkanie z Rybakiem zdemaskuje kłamstwo, a wtedy po mnie.*

– *W takim razie zróbmy wszystko, by uniknąć tego spotkania.*

Bren uniósł brwi zaskoczony, że umie rozmawiać w myślach.

– To wszystko na dzisiaj – powiedziała prowadząca spotkanie. – Już teraz pomyślcie o wyborze klasy. Aha, i pozdrowcie ode mnie Rybaków.

\* \* \*

– *Kim jesteś?* – spytał w myślach Bren.

– *Parkaninem, mówiłem już. Rodzimy się, by wspierać istoty z innych światów.*

– *Jestem człowiekiem, nie istotą z innego świata.*

– *Dla mnie jesteś obcy, ja w swoim świecie mam skrzydła.*

– *Skrzydła?*

– *Tak, duże białe skrzydła, dzięki nim latam. Całe moje ciało prócz głowy i szyi pokrywają pióra.*

– *Czekaj* – przerwał Bren, składając w kostkę ubiór minstrela. – *Czyli nie zwariowałem, nie wymyśliłbym czegoś aż tak szalonego.*

– *Zgadza się.*

Zwilżył twarz wodą z miednicy i usiadł na łóżku.

– *Masz jakieś imię?*

– *Mówiłem już. Leba.*

– *Imię też nie z tego świata.* – Kąciki ust Brena drgnęły, formując dyskretny uśmiech. – *Jak dostałeś się do mojej głowy?*

– *Połączyli nas Bezsenni, widziałem cię w anomalii. Ach, czuję, że znowu przestajesz mi wierzyć.*

– *Udowodnij! Co widziałeś?*

– *Stałeś w czymś białym, padało. Trzymałeś latarnię i chyba... chyba kogoś wołałeś.*

– *Wołałem Draya, mojego tragarza.*

– *Potem widziałem, jak zamieniasz płyn w proszek i wcierasz go pod oczy. A ostatnio... poczułem ból w klatce piersiowej.*

– *Spadłem z wysokości i połamane zebra.*

– *Sam widzisz, ja nie kłamię, a ty nie zwariowałeś.*

– *Słabo mi* – jęknął Bren, opadając na łóżko.

– *Posłuchaj. W moim świecie dzieją się dziwne rzeczy. Jeden z twórców anomalii został zamordowany, a zabójca żyje gdzieś tu, wśród was. On również ma w sobie Parkanina.*

– *Coś jeszcze?*

– *Otrzymaliśmy jakiś dar...*

*– Niczego nie dostałem. O czym ty bredzisz? Czego w zasadzie ode mnie chcesz?*

*– Chciałbym, żebyś mnie wysłuchał. Daj mi szansę, nie masz nic do stracenia.*

Bren zgodził się i przez jakiś czas słuchał o złych oraz dobrych Parkanach, równowadze sił, próbach, w których Leba nieomal zginął. W pewnym momencie osłabł na tyle, że prawie stracił przytomność. Dla obu było to ostrzeżenie, by nie przedłużać rozmowy.



## Rozdział 3

# Dar anomalii

Z upływem dni Bren czuł się coraz lepiej. Żebra nie bolały przy każdym ruchu, mógł kucać i pochylać się bez odczuwania kłucia. Jedynie podskoki przypominały o niedawnej kontuzji. Zaakceptował Lebę – dziwny głos w głowie. Co wieczór toczył z nim rozmowy i słuchał jego opowieści o tajemniczym świecie, a sam dzielił się historiami Estepii.

Do spotkania z Rybakami zostało sześć dni. Fakt ten powodował u Brena napady paniki. Chłopak coraz gorzej sypiał, pocił się i wciąż nie miał pomysłu, jak uniknąć nadchodzącej wizyty. Każdą wolną chwilę poświęcał na planowanie ucieczki. Kiedy strach wiązał serce i odbierał wiarę, obecność głosu w głowie krzepiła i dodawała otuchy. Leba poradził, by rysować mapę korytarzy, co rudowłosy uznał za świetny pomysł. Kilka razy wślizgnęli się do zakazanych miejsc i zaznaczyli je na pergaminie, który miał służyć do notowania składników trucizn. Rozdrażnienie Brena nie mijało. Czuł się okradziony z intymności. Obsesyjnie zastanawiał się, co widzi, słyszy i czuje ten ktoś w środku. Nie pomogło poznanie nowego partnera, który dołączył do bransolet w zamian za Rubię. Ogar, jak kazał nazywać siebie mężczyzna, był zapalonym zbirem, dla którego tropienie magów oznaczało przygodę życia i okazję do zwiększenia ego.

– Wyczuwam ich z daleka – podkreślał wielokrotnie.

– Toć podobnie jak ja ciebie, bo łaźni unikasz jak Mistia ognia – mówił ze śmiechem Gilem, najwyraźniej nie czując lęku przed nikim.

– Marzyłem, by tu trafić, lecz dwa razy odpadłem w eliminacjach, choć, psia jucha, raz byłem drugi – rozwodził się Ogar.

Jego zachowanie podczas misji w świątyni Piona tylko potwierdziło nadgorliwość i oddanie idei piewców. Główne miejsce kultu w Plaven wypełnione tłumem, który nadciągnął z okazji święta przesilenia, było dla zbira jak terytorium łowieckie. Ogar chodził i węszył, oglądał palce, włosy i szczegóły odzieży mnichów. Nurkował między klękającymi wiernymi, oglądając sandały i nagie pięty niczym stróżujący posesji pies. Kiedy wracali bez tropu, chciał nawet przeszukać boczne uliczki, lecz upomniany przez Brena wrócił do stojącego w bramie Okiennika.

Od wielu dni pszczoły nie odkryły żadnego maga, a do siedziby wkradły się nerwowość i wyczekiwanie. Wynagrodzenie za misję bez miodu było liche, a wielu minstrelów zaczynało kręcić nosami na kolejne nieskuteczne wycieczki. Opiekun powiedział, że ktoś na zewnątrz musi pomagać magom. Być może to pojedyncza osoba, być może zorganizowana grupa. Po chwili dodał, że sytuacja nie powinna trwać długo, bo czyściciele piewców pracują, by tego kogoś namierzyć i dopaść.

– *Poukrywali się, nic dziwnego.* – Bren usłyszał głos Leby.

– *Na ich miejscu zrobiłbym to samo. Wszyscy gadają o porwaniach, nawet pod świątynią, pamiętasz?*

– *Tak. Świątynia, miasto. Twój świat jest fascynujący.*

Bren kontynuował analizę mapy, planując, kiedy mógłby dotrzeć do skrajnego korytarza po lewej.

– *Klejenie po ścianach czarnego świństwa nie przyniosło rezultatu, prawda?* – spytał Leba.

– *Nazywamy to tytoniem. Pewnie nie trzyma się ścian. Kiedy prowadzili mnie w worku, naklełem cztery, ale jak dotąd nie znalazłem żadnej z kulek.*

– Bren spojrzał na swoje chude ręce. – *Widzisz to co ja?*

– *Określiłbym to inaczej. Czuję obrazy, które widzisz ty. Trudno to wytłumaczyć. Ilekroć coś pomyślisz, dociera to do mnie, choć nie mam dostępu do twojej przeszłości i wspomnień.*

– *Całe szczęście.* – Wyszczrzył zęby.

Po zajęciach z rozpoznawania śladów Bren poszedł do łaźni. Było to jedyne miejsce prócz celi, gdzie mógł zdjąć szaty. Ciemny wpuszczał tylko jedną osobę naraz, wręczał ręcznik z lnu i czekał przed zaparowanym pomieszczeniem. Zazwyczaj zajęte miejsce, do którego pierwszeństwo miały klasy specjalistyczne, tym razem okazało się puste.

Bren rozejrzał się po pomieszczeniu. Stożące na rozgrzanych węglach wiadra wody i wyraźna woń olejku były tym, czego dziś potrzebował. Wszedł do balii i westchnął, czując przyjemne ciepło.

*Ostatnio brałem kąpiel w tej gospodzie, gdzie mnie okradli –* przypomniał sobie, moczając tłuste włosy.

Sięgnął po gąbkę i zważył w dłoni.

*Ciekawe, co czyni ją tak lekką.*

Kiedy wyszorował ciało, odłożył gąbkę na krawędź balii i zanurzył się głębiej. Poczł podniecenie. Drobinki ciepła zawirowały w klatce piersiowej i omiotły go, ściskając gorejącym pasem plecy oraz kark. Opuszki palców zaczęły mrowić, a rytm serca zwolnił. Wirujący pas ciepła drażnił i podszczypywał. Bren próbował opanować ten stan, lecz im bardziej się starał, tym większą czuł ekscytację. Nieznana energia buzowała między żebrami, przemieszczając się od szyi do podbrzusza.

Zerknął na drzwi. Zamknięte.

Zrobiło się gorąco. Poczł narastające fale ciepła, które wypełniły dłoń wibracjami. Człł, że ręka robi się coraz cięższa. Sięgnął po gąbkę i przyjrzał się dłoni. Nie zauważył niczego niepokojącego. A jednak pod skórą odbijały się od siebie gorące igły, które napierały na opuszki palców, próbując opuścić ciało. Coś szarpnęło mięśniami i odgięło chude palce. Krzyknął. Struga nagrzanego powietrza pchnęła gąbkę i rzuciła nią z impetem o ścianę.

– *Co to było, Bren?*

– *Ja... chyba ją przesunąłem.*

– *Czułem energię i to niesamowite ciepło...* – powiedział Leba.

– *Bogowie, jaki jestem zmęczony.*

Bren wyszedł z balii, słaniając się na nogach. Otarł ręcznikiem trzęsące się nogi i ręce, po czym założył strój minstrela. Łaźnia wirowała, a on szedł wzdłuż ściany w kierunku wyjścia.

– *Nic nie mów, Lebo, bo nie dojdę do pokoju.*

\* \* \*

Po dotarciu do celi przespał posiłek i obudził się dopiero na wieczorne zajęcia. Wymagający trener nakazał zasłonić oczy i przejść po umieszczonej na stołkach belce. Kiedy kolejne osoby podejmowały się wyzwania, Bren poczuł znajomą ekscytację. Błagał starych bogów, by pomogli opanować energię, która rozpędzała się wewnątrz klatki piersiowej. Był następny w kolejce, lecz skupiał się wyłącznie na tym, by poskromić rosnące ciepło. Trugar z grupy szyszek wygrywał na większości zajęć, w których liczyła się zwinność. Teraz również łapał idealny balans na belce i przesuwiał ostrożnie stopy. Wypięta pierś i uniesiona głowa potwierdzały, że ćwiczenie nie stanowi dla niego żadnego wysiłku.

– I to z opaską na oczach. Niezły jest – powiedział Cichy.

Bren rozejrzał się na boki, szukając czegoś, co pozwoli zająć myśli, ale widział tylko maski wpatrzonych w Trugara. Poczuł, jak rzeka podskakujących drobin rozlewa się gorącem po szyi, po czym spływa w dół przez klatkę piersiową i podbrzusze.

– *Chyba znowu się zaczęło* – rzucił do Leby i przygryzł wargę, czując słodką kroplę krwi.

*Ból powinien odwrócić uwagę* – pomyślał, widząc, jak Trugar mija połowę belki.

Szum w głowie narastał z każdą chwilą. Palce zapłonęły wewnętrznym ogniem. Zamachał dłonią, by ją ostudzić, lecz skóra wciąż piekła niemiłosiernie. Wibracje, najpierw powolne, potem szybsze, popychały gorące drobinki w kierunku opuszków.

*Piecze. Na bogów, to nie do wytrzymania.*

Bren ponownie potrząsnął dłonią, usiłując strzepnąć niewidzialny ogień.

Nagromadzona energia wystrzeliła w kierunku chodzącego po belce, a jeden ze stołków przesunął się nieznacznie. Trugar zachwiał się i machnął rękami, aby utrzymać równowagę. Chciał odbić, przesunąć balans ciała, lecz wygięte w łuk ramię ciągnęło chłopaka w przeciwną stronę. Zakołysał się i uderzył głową w ścianę. Usłyszeli trzask łamanego nosa i wściekły krzyk. Zakrwawiony chłopak zerwał z oczu przepaskę, po czym spojrzał z niedowierzaniem na stołki.

Bren poczuł ulgę i odprężenie. Najwyraźniej nikt nie zauważył przesunięcia, bo uczniowie poklepywali krwawiącego minstrela, twierdząc, że był zbyt pewny siebie.

Kiedy nadeszła kolej Brena, chłopak podszedł do belki, spojrzał na zamaskowane twarze i zemdlał.

## Rozdział 4

# Niema tajemnica

*Na starych bogów, zostałem magiem – myślał Bren, siedząc oparty o swoje łóżko.*

*– Przesuwasz przedmioty. Czy to oznacza magię?*

*– A czym to, na sralnik Cesarza, może być, jeśli nie magią? Wcześniej tego nie potrafiłem. I ta energia...*

*– Tak, też ją wyczuwam. Chyba nie potrafimy jej kontrolować – stwierdził Leba.*

*– Dlaczego ja? Stanę się zwierzyną. Dopadną mnie.*

*– Bren...*

*– To już na zawsze, prawda? Zostałem magiem na zawsze? Co za gówno!*

*– Pomacał szyję. – Na Sempenę! Dlatego nie mam grdyki.*

*Wstał i odgiął głowę do tyłu, napinając skórę szyi. Uciskał miejsce pośrodku, aż poczerwieniało.*

*– Straciłem ją po połączeniu z tobą!*

*– Przesadzasz.*

*– Przesadzam? Przesadzam? – Wybiegł na środek celi. – A to, że każdy mag doznaje uszczerbku, to też przesada? Powiem więcej, tutejsze towarzystwo poluje na takich jak ja.*

*– Uspokój się. Grdyki nie masz od jakiegoś czasu, a na razie odkrył to tylko lekarz.*

*Bren chodził w kółko, wciąż pocierając szyję.*

*– Trzeba wiać. Przesuwam przedmioty, tracę przytomność. Jak myślisz: ile im zajmie, by odkryć, co się dzieje?*

Leba milczał.

– *Właśnie!* – Chłopak wyciągnął spod łóżka mapę. – *Poza tym trzymają tu gdzieś tauryn. Wystarczy, że będę w pobliżu, i zabarwi się na niebiesko. Potrzebny lepszy dowód?*

– *Tauryn?*

– *Rzadki artefakt, kryształ antymagiczny. W pobliżu tej błyskotki przestaje działać magia. Przecież opowiadali o nim w trakcie posiłku, nie pamiętasz?*

– *Wbrew pozorom nie na wszystko zwracam uwagę. Czy ten kryształ jest pomarańczowy?*

– *Punkt dla pana skrzydlatego!*

– *Anomalie wypełnione są tymi, jak na to mówisz, taurynami. Dotknąłem jednego i na chwilę straciłem pamięć oraz wszystkie umiejętności.*

Bren analizował labirynt korytarzy i pocierał okrągłe kolczyki.

– *A więc dar anomalii to talent magiczny, czyli... każdy mag musi mieć w sobie Parkanina.*

– *Na to wygląda, Bren. Uwierz, sam jestem zaskoczony. W moim świecie uczyli nas o samej drodze. Nikt nie wspominał o magii i o tym, że stracę fizyczność.*

– *Czyli ten, którego szukasz, morderca Bezsennego, również jest magiem* – wnioskował Bren.

– *Z tego, co wiem, to połączenie złej istoty ludzkiej i złego Parkanina.*

– *A Bezsenni? Wiesz o nich coś więcej?*

– *Niestety nie, przykro mi.*

Bren położył się na łóżku i oparł nogi o skraj ramy. Czuł, że słabnie.

– *A więc będąc łowczym, zostałem zwierzyną* – szepnął drżącym głosem.  
– *Zrobią wszystko, żeby mnie dopaść i sprzedać.*

– *O ile nie zabiją nas wcześniej za to, że ich oszukałeś* – dodał Leba. – *Pamiętasz o spotkaniu z Rybakiem?*

Bren zastanawiał się nad czymś, okręcając wokół palca młodzieńczy wążik.

– Potrafisz pocieszyć, nie ma co – odparł. – Najbliższej nocy uciekamy.

\* \* \*

Podczas śniadania Bren odkrył pergamin. Najwyraźniej wsunięto mu go pod miskę, kiedy szedł po przydział koziego sera. Dotrwał do końca posiłku i gnany ciekawością udał się do celi. Po zatrzaśnięciu drzwi rozwinął rulon i przeczytał krótką notkę:

„Widziałem, co zrobiłeś na zajęciach z belką. Jesteś magiem. Jeśli chcesz, by zostało to naszą tajemnicą, przyjdź dziś po pierwszych zajęciach do sali rozrywki”.

Przełknął ślinę.

*To koniec. Już po mnie – myślał, chodząc w kółko. Kto to jest? Któryś z uczniów? Przecież nie ktoś z kadry! Co robić?*

– *Nie panikować. Zobaczmy, czego chce* – usłyszał spokojny głos Leby.

– *Jebał go pies!*

– *Bren...*

– *Jebała cała wieś. Jeśli przyjdę, to tak, jakbym się przyznał!* – Rzucił poduszką w ścianę.

– *Jeśli nie przyjdiesz, sprzedadzą cię lub wypalą ci oczy.*

– *Nie chcę słuchać twoich rad, słyszysz? Ukryj się głęboko i siedź cicho.*

*To moje oczy i mój problem.*

Leba umilkł.

Rudowłosy chodził po celi, kopał w meble i rzucał pościelą. Czuł się jak mucha, która miota pajęczyną w oczekiwaniu na pająka. Ostatecznie podjął decyzję, by pójść na spotkanie z autorem listu.

Zajęcia z rozpoznawania kłamstwa dłużyły się w nieskończoność. Unikanie kontaktu wzrokowego, opuszczanie głowy, niezamierzone wykręcanie palców. Czy ta wiedza przyda mu się na spotkaniu z nieznanym?

*Najgorsze, że on tu jest. Może właśnie mi się przygląda* – pomyślał i rozejrzał się po zamaskowanych postaciach.



Kiedy ćwiczenia dobiegły końca, ruszył z duszą na ramieniu na spotkanie z szantażystą. Salę rozrywki przepełniał kwaśny odór potu. Kilkunastu uczniów wykonywało ćwiczenia siłowe, kilku zajmowało leżaki, relaksując się. Bren usiadł w rogu pomieszczenia i obserwował zebranych. Po chwili dosiadł się do niego chuderlawy mężczyzna. Rzucił stos pergaminów na kościste kolana i spojrzał na trzymane w dłoni pióro oraz pojemnik z inkaustem.

– Czego chcesz? – wyszeptał Bren.

Nieznajomy zamoczył końcówkę pióra w kałamarzu i napisał na pergaminie: „Możesz mi zaufać. Twój sekret jest bezpieczny”.

– Dlaczego piszesz?

Mężczyzna rozchylił usta i przez otwór w masce pokazał kikut języka.

– Czego chcesz, niemowo?

Szantażysta uśmiechnął się i napisał: „Dwie złote monety na początek, a potem będziesz mi przekazywać trzecią część z każdej misji”.

Bren poczuł wściekłość. Stukał delikatnie tyłem głowy w ścianę i zastanawiał się, co począć.

– Nie mam dwóch złocisz – wyszeptał zgodnie z prawdą.

Chudzielec wstał, rzucił pergamin i wyszedł z sali. Bren odczytał kolejny napis: „To pożycz. Masz czas do wieczora. Spotkamy się po kolacji w wychodku przy łaźni”.

\* \* \*

Bren szedł w stronę łaźni z przytroczoną do pasa sakiewką. Razem z częścią, która należała się Rubii, i pożyczką od Gilema w środku pobrzękiwało sto sześćdziesiąt srebrników.

*To wciąż o czterdzieści za mało – pomyślał.*

Zarówno Ciemny, jak i dwóch innych minstrelów odmówili pożyczki, co stawiało go w sytuacji bez wyjścia.

*Poproszę o więcej czasu.*

Zawieszona na podrdzewiałych zawiasach ciężkie drzwi wychodków były

otwarte. Bren obszedł wszystkie cztery pomieszczenia, po czym zdecydował się zająć ostatnie, w korytarzu. Dzięki temu, że każdy w siedzibie zobowiązany był opróżnić wiadro po skorzystaniu, chłopak uznał, że wytrzyma, nawet gdyby miał czekać dłużej. Usiadł na stołku z wyciętą dziurą i jeszcze raz przeliczył zawartość sakiewki. Po chwili usłyszał kroki. Drzwi drgnęły i uchyliły się, a znany mu chudy mężczyzna wcisnął się do środka. Wysunięta dłoń mogła oznaczać jedno: czekał na pieniądze.

– Nie udało mi się zdobyć dwóch złotych.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie cofał garści.

– Daj mi dzień więcej, proszę.

Zamaskowany pokręcił głową i wykonał palcem gest wypalania oka. Bren zerwał się ze stołka i pchnął mężczyznę barkiem. Uderzyli o drzwi i wypadli z hukiem na zewnątrz. Szantażysta odbił się od ściany, wyciągając dłonie ku szyi Brena. Ten złapał chudy nadgarstek niemowy i odwrócił się tyłem, nawijając na siebie chude ciało. Stęknął i wsunął wyprostowane palce mężczyzny pod zawiasy, po czym natarł ciężarem ciała, domykając drzwi.

Odgłosu gruchotania kości palców nie dało się pomylić z niczym innym. Mężczyzna na plecach wygiął się w łuk, wrzeszcząc bełkotliwie. Kiedy wyszarpnął dłoń, spojrzął na zmiażdżone palce i upadł, tracąc przytomność. Bren nasłuchiwał. W korytarzu było cicho. Kucnął i złapał zdrową dłoń nieznajomego, po czym zbliżył do dolnych zawiasów.

– *Co robisz, Bren?! –* spytał Leba.

– *Walczę o życie!*

Wsunął palce mężczyzny w szczelinę i pchnął barkiem drzwi, gruchocząc kości drugiej dłoni.

– Teraz już nie gadasz i nie piszesz, kurwi synu. W rzeczy samej, tajemnica jest bezpieczna. – Splunął i uciekł do celi.

## Rozdział 5

# Bez wyjścia

Kolejnego dnia pojawił się na śniadaniu nieco później. Zlustrował zadymioną salę, lecz nigdzie nie dostrzegł chudzielca. Nie było go też na zajęciach z bezgłośnego chodzenia i na tej rzeźni, gdzie uczono ich podrzynać gardła na żywych świniach.

*Pewnie go leczą. Czy mógł mnie wydać? Niby jak...?* – zastanawiał się, ćwicząc zamaszysty ruch nożem. Prowadzący upierał się, że gardło należy przeciąć ruchem ukośnym. Ponoć lepiej penetruje mięśnie.

*„Penetruje” – co to w ogóle za słowo? Jak długo zrastają się kości palców, by człowiek mógł zacząć ponownie pisać? Nie mogę ryzykować. Muszę wiać.*

W trakcie posiłku schował w rękaw kilka pajd chleba i wędzoną trochę ukradzioną sąsiadowi. Zdenerwowany ruszył ku celi.

– Zdrowie musi uspokoić – zagadnął go idący za nim Ciemny.

Bren stanął i spojrzał wyczekująco.

– Przytomność traci, nerwami wygraża. Kadra się niepokoi. Co trapi?

– Gorzej sypiam – zełgał.

*Kadra?* – pomyślał i przyspieszył kroku.

– Za złocisza przyniosę trunek solidny. Nic tak nie koi skołatanych nerwów jak flaszka bolgarskiego miodu.

– Nie trzeba.

– Jak sobie życzy.

Po wejściu do pokoju zamknął drzwi i odczekał chwilę.

*Nie zamykają nas na noc. Parę razy wychodziłem za potrzebą. Po drodze żadnych strażników – główkował, zwijając pergamin.*

*Kiedy najwcześniej się zorientują, że mnie nie ma?*

*Śniadanie. Przyjdzie po mnie Ciemny.*

Zajrzał pod łóżko. Otworzył drzwi szafy i znalazł długą szczotkę z końskiego włosia.

*A gdybym zablokował tym wejście? Zyskam na czasie.*

Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Pusto. Obejrzał zawiasy. Poruszały się do wewnątrz. Wrócił do pokoju i ulokował szczotkę pionowo tuż przy drewnianej nodze łóżka. Następnie oparł koniec z włosiem o uchylone drzwi. Zamknął je ostrożnie, pozwalając szczotce opaść na podłogę. Na koniec dosunął łóżko tak, by docisnąć narzędzie. Kolejny test, doskonale.

Nerwowy dzień powoli dobiegał końca. Bren nie poszedł na zajęcia siłowe, z których wciąż był zwolniony. Siedział w pomieszczeniu i uczył się na pamięć rozkładu korytarzy. Z kolacji ponownie wrócił z łupem: jabłkiem i dwiema porcjami koziego sera.

– *Naprawdę musiałeś łamać mu palce?* – Głos Leby wypełniała złość.

Bren wypuścił powietrze.

– *Naprawdę chcesz, żebym opadł z sił właśnie teraz?*

– *Wystarczyło go nastraszyć.*

– *To tylko kości, zrosną się.*

– *Czasami mam wrażenie, że najpierw działasz, potem myślisz.*

– *Ja przynajmniej nikogo nie zabiłem* – odparował Bren.

– *Ja również!*

– *A ten nieszczęśnik pod wodą? Ten, którego utopiłeś w trakcie próby?*

– *Sam się utopił* – zaprotestował Leba. – *Poza tym to co innego.*

*Rywalizowaliśmy...*

– *Zaplątałeś go w sieć i okradłeś! Utopiłeś i okradłeś! Czy ktoś groził ci śmiercią? Polowano na ciebie? Grożono ci wypaleniem oczu? Nie! Brałeś udział w próbie numer dwa. Tylko tyle albo aż tyle.*

Leba umilkł, a Bren padł wściekły na łóżko.

Gdy zapadła noc, złość zastąpiła adrenalina. Nasłuchiwał. Po jakimś czasie ucichły odgłosy przemykających Ciemnych, a kadra oraz adepci ukryli się w celach. Wstał i zerknął do wnętrza przygotowanego worka. Westchnął.

Uchylił drzwi i oparł szczotkę.

*Za chwilę nie będzie odwrotu – pomyślał.*

Wyszedł na korytarz i ostrożnie domknął drzwi. Popchnął klamkę i upewnił się, że są zablokowane.

Ruszył dobrze znaną drogą, by przy najbliższym oznaczeniu skręcić w zakazany korytarz. Jeśli ktokolwiek złapie go w tym miejscu, nie pomogą kłamstwo ani cześć opowieści. Szedł wolno. Nie wiedział, czego się spodziewać za kolejnym zakrętem. Usłyszał dobiegające z tyłu ciche człapanie. Przyłgnął do zaciemnionej ściany i zamarł.

Cisza. Przesłyszał się? Odgłos ponownie wybrzmiał, po czym ucichł. Bren czuł, jak pulsują mu skronie.

*Może to któryś z adeptów idzie do wychodka. Nie, nie tutaj.*

Dźwięk kroków się nie powtórzył, więc chłopak ruszył dalej. Tunel za zakrętem przecinał przestronne pomieszczenie, które stanowiło zbrojownię. W metalowych obręczach tkwiły espadony i bastardowe miecze z trzonami w kształcie lir. Bren ujrzał gabloty zawierające puginały o zdobionych rękojeściach z jelcami. Prześlizgnął się wzrokiem po stosach umiłowanych przez zabójców zębatych sztyletów. Dostrzegł pojemniki z dagami oraz leżące obok pokryte inskrypcjami nut karambity służące do okaleczania. Większość broni kojarzył z warsztatów. Oglądanie ich na rycinach a znalezienie się pośród pełnych lśniącego oręża regałów stanowiło niebagatelną różnicę. Spojrzał na stojaki ze zbrojami i westchnął. Szpiczaste hełmy z wygiętymi w kształt lir grzebieniami. Pancerze kolcze z plecionką tak drobną, że trudno precyzyjnie przycisnąć palec, skórzane płaszcze wzmocnione metalowymi karwaszami i naramiennikami. Pasy, puklerze wytłaczane złoconymi nutami. Każdy egzemplarz wyglądał niczym małe dzieło sztuki.

Bren drgnął. Powinien iść dalej. Być może za zbrojownią jest wyjście. Minął kolejny korytarz, parę zamkniętych pokoi i dotarł do rozwidlenia. Zdecydował, że pójdzie w lewo. Po kilkunastu krokach dostrzegł kępki mchu na suficie. Zauważył też, że ogień pochodni drga jakby popychany powiewem. W powietrzu dominował zapach zgnilizny, który pojawiał się przy każdorazowym opuszczaniu kryjówki.

*Dobry znak* – pomyślał, poprawiając worek na plecach. Na ścianie po prawej dostrzegł solidną kratę odcinającą dostęp do pomieszczenia, z którego biła pomarańczowa poświata.

*Kraty?*

Mimo że nazywał to miejsce więzieniem, jak dotąd nie widział żadnych krat ani łańcuchów. Przystanął i nasłuchiwał. Prócz spadających w oddali kropel wody nie wychwycił niczego niepokojącego. Przywarł do ściany, podkraść się bliżej zakratowanej wnęki i ostrożnie zajrzał do środka. Poświata zalśniła na niebiesko. Puste pomieszczenie przypominało dużą celę. Po bokach dostrzegł rzędy łóżek, miski oraz porozrzucane ubrania. Przy przeciwległej ścianie stała skrzynia, w której spoczywał świecący na błękitno kryształ.

– *To tauryn!* – usłyszał głos Leby.

\* \* \*

Odłamek pulsował intensywnym światłem i wydzwaniał rytmiczną melodię. Bren wysunął się na środek zakratowanego wejścia i słuchał.

Dzyń, dzyń, dzyń.

– *Musimy uciekać!* – Przez hałas przedarł się stłumiony głos Parkanina.

Strach, marzenia, chęć ucieczki. Wszystko straciło znaczenie. Przeszłość zmieniła się w niezapisaną kartę, a przyszłość? Czymże było to słowo? Liczyła się tylko melodia, która tu i teraz dawała ukojenie. Tak bardzo tego pragnął.

– *Przesuń się wzdłuż kraty. Dwa kroki w lewo. Bren, skup się!*

Dzyń, dzyń, dzyń.

Słyszał głos, lecz nie wiedział, do kogo należy. Poczł się bezpiecznie. Wyobraził sobie, że płynie czółnem po tafli jeziora, leży na plecach, trzymając uniesione wiosło, i patrzy w gwiazdy. Są takie piękne.

– *Allyen!*

Powierzchnia nieba pękła, zrzucając do jeziora kilka gwiazd. Bren podniósł się i spojrzł na czółno, które zrobiło się niewyraźne.

– *Allyen!!!*

*To głos Leby – pomyślał.*

– *Złap kratę!*

Wysunął przed siebie ręce.

– *Dalej!*

Poczuł zimno żeliwnych prętów. Zaciśnął na nich palce. Chciał coś powiedzieć, lecz usta wygięły się groteskowo i wypuściły strużkę śliny. Opadł na kolana, wciąż wisząc na kratkach. Melodia kryształu kusiała, by jej słuchać.

– *Nie poddawaj się!*

Dźwignął ciało. Najpierw jedna ręka, potem druga. Spróbował ustać na nogach, lecz nie miał siły. Przesunął dłoń w lewo, ruszył nogą. Jeszcze trochę. Kiedy dotarł do końca kraty, puścił się i upadł, a następnie poturlał w dalszą część korytarza. Komnata ponownie załśniła na pomarańczowo.

– *Co to było?* – Poczuł, że odzyskuje nad sobą kontrolę.

– *Uciekaj, nie wiesz, kogo mógł zaalarmować!*

Wstał i rozmasował skostniałą brodę. Wykonał parę kroków. Siły powróciły. Dobrze. Korytarz skrywał nowe rozwidlenie.

*Lewo czy prawo?*

Pochwycił uchem odgłosy kroków. Dobiegały z tyłu. Dostrzegł przyklejoną do ściany niewielką kulę tytoniu.

*To moje oznaczenie* – pomyślał i puścił się biegiem w tym kierunku.

Po chwili dotarł do pustej przestrzeni przeciętej głębokim rowem. Zerknął w dół, próbując ocenić, czy zeskoczy bez połamania nóg. Nic z tego.

– Tunel? – wyszeptał. Był pewien, że ciemna dziura po drugiej stronie rowu to wyjście z siedziby.

Przyjrzał się korzeniom zwisającym powyżej.

– To nimi za każdym razem dostaję w gębę, gdy wychodzę i wracam.

Zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie drogę.

– Idziemy – szeptał. – Schodzę sam po drabinie, dziesięć schodów w dół, następnie do przodu, trzydzieści dwa kroki, uderzenie korzeni. Co potem? Co potem? Drewniana, dudniąca powierzchnia, echo. – Otworzył oczy i się

rozejrzał. – Jestem w dobrym miejscu, ale gdzie przejście?

Kolejny raz zlustrował przeciwną ścianę. Tuż przy tunelu dostrzegł brązowy przycisk.

– Więc to tak! Z siedziby wypuszcza ktoś z zewnątrz. No to koniec z nami. – Zdał sobie sprawę, że pierwszy raz pomyślał o Parkaninie.

Ponownie usłyszał odgłos kroków. Osoba idąca jego śladem była blisko. Zbyt blisko.

– *Naciśnij go mocą* – usłyszał głos Leby.

– *Hm...?*

– *Użyj magii! Skoro potrafisz przesuwać przedmioty, wciśniesz też przycisk.*

Ktokolwiek szedł korytarzem, przyspieszył i ciężko oddychał.

– *Spróbuję.* – Bren gorączkowo zebrał myśli i skierował dłoń w stronę przeciwną ścianę.

– *Poszukaj przyjemności.*

– *Stul pysk.*

– *Chcę tylko pomóc.*

– *Gównie wiesz o magii, czyli tyle co ja.*

Cały misternie wymyślony plan właśnie upadał. Bren poczuł mrowienie w szyi. Zamknął oczy i skupił się na tym miejscu. Doświadczył uderzenia ciepła. Gorące drobinki rozlały się rzeką i opadły w okolice podbrzusza. Wibrowały. Odbijały się od siebie. Na bogów, parzyły! Chłopak się pochylił. Energia spłynęła do dłoni. Uspokoił oddech, wciąż obserwując przycisk. A jeśli nie trafi? Wiedział, że nie uda mu się rzucić zaklęcia ponownie. Usłyszał sapanie. Teraz albo nigdy. Zmrużył oczy.

Ciało przestało parzyć. Cokolwiek miał w sobie, wypchnął to daleko, na drugą stronę rowu. Rozbrzmiało ciche kliknięcie. Drewniany most oderwał się od ściany przepaści, by po chwili utworzyć przejście.

*Udało się?*

Bren skoczył na kładkę, czując, jak opuszczają go siły. Biegł ile tchu w piersiach, powłócząc ociężałymi nogami. Uderzenie korzeni, schody, jeden, drugi, trzeci. Kłapa. Pchnął metalową powierzchnię. Powiew zimnego



powietrza. Wspiął się po drabinie i ujrzał jezioro. Bez namysłu skoczył w skupisko tataraku.

## Rozdział 6

# W objęciach śmierci

– *Uciekaj!*

– *Za późno.* – Bren dyszał, leżąc na wznak.

Jaśniejąca czerń bezgwiazdznego nieba oznaczała rychły świt. Chłopak przekręcił się na brzuch i trafił dłonią w przymarzniałe błoto. Bezkresne jezioro pokrywała zszarzała tafla lodu.

*Dlatego czułem wilgoć. To stąd sufit pokryty mchem. Siedziba ukryta jest pod jeziorem.*

Uniósł głowę, próbując dostrzec więcej szczegółów. Uśpiony bór otaczał zamarznąłą toń niczym opiekuńcza matka dziecko. Skomplikowany labirynt korzeni ciągnął się wzdłuż brzegu i wrzynał w taflę lodu.

Bren dostrzegł postać w stroju minstrela. Mężczyzna wyszedł tą samą drogą co on i rozglądał się po okolicy.

– Triod, wiem, że to ty. Błagam, zabierz mnie ze sobą. Nie chcę być piewczą – powiedział nieznajomy.

*Gwidon?* – pomyślał Bren i przylgnął policzkiem do wilgotnej nawierzchni.

– Z wychodka wracałem i zobaczyłem cię z workiem. Potem szedłem za tobą, wybac mi. – Gwidon klęknął. – Yern mi świadkiem, też myślałem, żeby zwiać, ale odwagi brakło. We dwóch będzie łatwiej.

Ukryty w tataraku Bren skrzywił się i zerknął na leżący obok worek.

*Im dłużej zostanę z tym wrzeszczącym grubasem, tym większa szansa, że mnie złapią.*

– Moja rodzina jest bogata. Wynagrodzę ci to w platynie – jęczał

chłopak.

Bren zacisnął zęby, wstał z ziemi i podszedł bliżej. Sprawnym ruchem zerwał chłopakowi maskę i ujrzał pyzată twarz, niechlujny blond wąsik oraz dwa przecięte poziomą bruzdą podbródki. Spierzchnięte usta trzęsły się razem z nabitymi polikami, a zielona toga roztaczała smród potu i moczu.

– Za mną! – Machnął ręką i nie czekając, ruszył w kierunku lasu.

Biegli, lecz zaróżowiony światłem księżyca śnieg potrafił być głęboki na połowę dorosłego człowieka. Wpadnięcie w zaspę opóźniało ucieczkę, za każdym razem jednak sobie pomagali. Po niemal godzinie wędrówki dotarli do wzniesienia.

– Wolniej – wysapał Gwidon. Oparł się o pokryte żywicą drzewo i łapał oddech.

Bren kucnął, otworzył worek i wyszarpnął z niego stare ubranie.

– Będą szukać zielonego – oznajmił, przebierając się.

– Ja nic nie mam – odparł towarzysz, wskazując swój znoszony strój.

– Coś ty sobie myślał?

– Ciekawy byłem. A jedzenie wzięłeś? Głodni będziemy.

– Ty będziesz!

Chłopak wytrzeszczył oczy. Zamierzał coś powiedzieć, ale strzepnął tylko śnieg z ubrania.

Ruszyli szybkim krokiem, wspinając się pod górę. Kiedy dotarli do pojedynczych, pionowych skał, Bren zarządził odpoczynek.

– Musimy się rozdzielić – zawyrokował, ściągając z pleców worek.

– Co? – Gwidon łypnął na niego okiem.

– Słyszałeś. Ruszy pościg, o ile już nie ruszył. W pojedynkę mamy większe szanse, bo też się rozdziela.

– Nie wzięłem jedzenia, ubrania...

– Gównu mnie to obchodzi, każdy dba o siebie. Wiedziałeś, na co się piszesz. – Spojrzał na chłopaka, który złożył dłonie w błagalnym geście. – Jak ktoś taki jak ty wygrał zawody Rybaka?

– Świetnie strzelam z łuku.

– Akurat!

– Posłuchaj, wszystko powiem. Pochodzę z bogatej rodziny z Ulanish. Mój ojciec zainwestował fortunę w łucznictwo. Fortunę... Szkolił mnie Jon, to arcymistrz, przysięgam na starych bogów. Potrafię zestrzelić płaskótkę w nocy. Tylko...

– Tylko?

– Nie mam łuku. – Gwidon zwiesił głowę.

– *Wygląda na dobrego człowieka. Dlaczego nie chcesz mu pomóc?* – odezwał się Leba.

Bren krążył w miejscu, wydeptując śnieg do gołej ziemi.

– *Moje życiowe motto brzmi: nie podejmuj się opieki nad innymi. Wystarczająco trudna jest opieka nad samym sobą.*

– *Bez jedzenia umrze z głodu.*

– *Nie dbam o to. Zgubimy go po drodze.*

Spojrzał na zaróżowione niebo przy horyzoncie i chwycił worek.

– Świta – odezwał się do Gwidona. – Za chwilę będziemy widoczni jak pchły na białym kundlu.

\* \* \*

Gęsta mgła opadła na połacie krzaków jeżyn i kosodrzewiny porastające pagórkowaty krajobraz. Wdrapywanie się na oblodzone zbocze kosztowało wiele energii. Chwila nieuwagi w najlepszym wypadku oznaczała zjazd na podszwach, w najgorszym zaś – bolesny upadek i kolejne siniaki do kolekcji.

Tuż przed szczytem postanowili zrobić przerwę. Bren usiadł na pobliskim kamieniu, zsunął rękawice, po czym wyciągnął z worka płat troci. Zmarzniętą dłonią wsunął skrawek do ust i zaczął żuć. Twarde mięso nie smakowało jak w pachnącej rozmarynem jadalni, ale rozdrobnione i ogrzane w ustach nadawało się do przełknięcia.

– Zapłacę ci – jęknął Gwidon.

Bren spojrzał na chłopaka, dla którego zdobycie lodowego wzniesienia musiało być najtrudniejszym wyzwaniem w życiu. Naturalna zieleń szaty

zachowała się już tylko w kilku miejscach. W większości pokryły ją płaty brązowego błota i kolczaste gałęzie.

– Słyszysz strumień? – spytał Bren.

Otyły chłopak spojrzał w górę, jakby miało to wyostrzyć słuch.

– Tak.

– Powinny w nim być ryby, złowisz sobie.

– Więc sam wezmę. – Gwidon zacisnął pięści, zerkając łapczywie w stronę worka.

– Nawet o tym nie myśl.

– Proponowałem pieniądze.

– Trup nie potrzebuje pieniędzy!

– Muszę zjeść! – wrzasnął, ruszając w stronę Brena.

Spłoszony ptak załopotał skrzydłami i odfrunął w stronę jeziora. Pochylili się ku sobie, wydychając gęste kłęby pary. Naprężone ciała zastygły, a stopy udeptywały śnieg, przygotowując teren do walki. Bren obserwował zaciśnięte szczęki Gwidona. Zerknął na pięści wielkości precli. Kto wie, jak dużą krzywdę mogły wyrządzić. Warunki uniemożliwiały ucieczkę, a przeciwnik nie wyglądał na takiego, co ustąpi.

– Pajda chleba – zaproponował Bren.

– Dwie i kawałek ryby.

– Dwie, dobrze. Nie marnujmy sił.

Bren rzucił mu część prowiantu, a ten złapał w locie, klęknął i łapczywie wepchał zdobycz do gardła.

– Pochodnie?! – wykrztusił.

Najeżoną drzewami grań przecinała linia ognistych kul. Rozświetlały fragmenty śpiącego lasu, płynąc jednostajnie w kierunku zbiegów.

Zerwali się i pobiegli w górę. Bren czuł, jak serce wyrzuca rzekę krwi, której zmarznięty organizm nie potrafi przetoczyć. Nabrzmiące skronie mrowiły, a gardło bolało przecinane nitkami mroźnego powietrza.

*Jak to możliwe, że piewcy są tak blisko? – zastanawiał się. A rękawice? Szlag! Zostały przy kamieniu.*

Potknął się, lecz błyskawicznie wstał. Szybciej. Szybciej!

Kiedy dotarli do szczytu, ujrzeni płaską, porośniętą rzadszym lasem przestrzeń ze strumieniem.

– Tędy. Nie zostawimy śladów – wydyszał Gwidon, po czym wbiegł w środek wody.

Bren podążył za nim. Lodowaty nurt wypełnił buty, a omszałe, zielonkawe kamienie chygotały się w nieprzewidywalnych kierunkach. Biegli pośród plusku i krakania zbudzonych kruków.

– Psy. Słyszysz ujadanie? – Ogromne susy Gwidona rozbryzgiwały wodę po okolicznych drzewach, których konary malowały jej powierzchnię kołyszącymi się cieniami.

Bren oglądał się za siebie, lecz w oddali widać było tylko skraj grani oraz miejsce ich odpoczynku. Wtem coś przesunęło się po dnie strumienia. Wytrącony z równowagi Bren uderzył głową w plecy towarzysza. Poczł cios w ramię, a serce wypełnił mu strach. Leciał w górę, obaj lecieli. Wokół ich ciał zaciskała się gruba na dwa palce sieć. Świst powietrza, po czym ostre hamowanie, które przewróciło niewielką zawartość żołądków. Iglaste gałęzie pokaleczyły twarze, kiedy wpadli w ich gęste skupisko przy wierzchołku drzewa. Usłyszeli odgłos naciągania liny, a sieć werżnęła się w ciała do granic możliwości.

*Pułapka* – pomyślał Bren, wisząc ukryty w gałęziach gigantycznego świerku.

– Spójrz – wyszeptał Gwidon.

Pomiędzy prześwitami w iglastej kępie dostrzegli zbliżające się do szczytu postacie w czarnych płaszczach.

– Możesz sięgnąć do worka? – sapnął Gwidon.

– Żartujesz? Mam głowę wgniecioną w twoje dupsko.

– A ręce?

Stęknęcie.

– Nic z tego. To pułapka na większego zwierza. Kiedyś ojciec pokazywał mi takie. Sieć jest powlekana czymś twardym, nie do przecięcia.

– Dlatego tak rani skórę! Na Yerna, już po nas! – zawył otyły chłopak.

– Zamknij się, bo nas usłyszą.

– A wiesz, co będzie, jeśli nas nie usłyszą? – Sieć zaskrzypiała, gdy Gwidon rzucił się niczym wyjęta z wody ryba.

Bren przekręcił z wysiłkiem głowę, aby gruba żyłka nie raniła nosa.

– Muszą nas usłyszeć. Inaczej zamarzniemy, zanim umrzemy z pragnienia – przekonywał grubas.

– Zawrzyj pysk!

– A tak wzrok stracisz, prawda, lecz żyć będziesz. – Chłopak próbował wydostać dłoń, ale tylko rozbijał pułapkę.

– *Leba? Słyszysz mnie? Leba?*

Myśl pozostała bez odpowiedzi.

Równiną biegły wilki. Duże i szare. Dwa z nich przeczesywały las wzdłuż strumienia. Im bliżej były, tym większe przerażenie wdzierało się w serca wiszących.

– Jeśli choć piśniesz, zabiję – wycedził przez zęby Bren, błagając bogów, by kolejne bujnięcie siatki było tym ostatnim.

Usłyszeli melodię. Początkowo pomyśleli, że to słuch płata figle i mylą dźwięki z powiewami wichru, ale gdy dostrzegli zakapturzone postacie w czarnych płaszczach, melodia stała się wyraźniejsza. Biły z niej troska i smutek. Łagodne dźwięki wibrowały, roznosiły się po okolicy, budząc las. Postacie poruszające się jak kobiety szły w równej linii, oddalone od siebie o kilkadziesiąt kroków. Każda z nich trzymała przy ustach niewielki instrument. Na widok strumienia dwie z nich podążyły jego brzegami. Zasłuchane w muzykę wilki zataczały koła wokół swych pań.

Bren poczuł, jak Gwidon drży. Przestali się huśtać, lecz wstrząsy ramion wywoływały ciche poskrzypywania.

Jedno ze stworzeń przebiegło w małej odległości od nich. Na bogów! To nie mógł być wilk! Miało masywny ogon, szeroką, umięśnioną pierś i wydłużony pysk pełen szpiczastych, powyginanych kłów. Nie przypominał również obronnych psów, którymi handlowali piraci z Langaru. Tropił, to pewne. Biegł z nosem przy śniegu, dyszał podekscytowany i skomlał, jeżąc grzbiet. Po chwili zawrócił i pobiegł wzdłuż strumienia.

Linia tropiących się zbliżała. Kobieta w kapturze stanęła pod ich

drzewem, obserwując pobudzonego zwierza. Wilkopodobny stwór zanurzył jęzor w lodowatej wodzie, napił się, po czym ruszył, warcząc. Nieznajoma kucnęła i znieruchomiała, rozglądając się po otoczeniu. Kropla potu z czoła Brena kapnęła wprost na płaszcz tropiącej. Kobieta bezszelestnie podniosła się i potarła rękawicą korę. Zsunęła kaptur, ukazując białe jak mleko włosy.

*Poznaję ją – pomyślał Bren. To ta kobieta trubadur z jadalni piewców. To ona grała na instrumencie.*

Przyjrzał się jej dekoltowi. Był pewien, że ze szczytu drzewa dostrzegł charakterystyczny tatuaż przedstawiający nuty. Poczował, jak brzuch wciśniętego w sieć Gwidona faluje. Obaj napięli mięśnie, wstrzymując oddechy. Nieznajoma machnęła pochodnią i ruszyła dalej, przecinając świt ścieżką siwego dymu. Znow zaczęła grać, a po chwili zniknęła za wzniesieniem wraz z dźwiękami.

\* \* \*

Mijały kolejne godziny, a oni ciągle wisieli, usiłując się wydostać. Napinanie mięśni barku, przegryzanie linki, kołysanie siecią tak, aby złapać gałąź najbliższego drzewa – wszystkie próby uwolnienia się z pułapki spełzły na niczym. Nadchodził wieczór, a frustracja oddawała pola przerażeniu. Bren próbował wywołać nowo poznaną siłę, choć kompletnie nie miał pomysłu, co z nią zrobić. Pomimo wielu starań czuł wyłącznie chłód otaczający ciało lodową powłoką. Leba milczał, co przygnębiało chłopaka jeszcze bardziej.

Kiedy las okryła ciemność, Bren poczuł pragnienie i głód. Zjedzony w pośpiechu drobny posiłek nie starczył na długo, a jeśli chodzi o wodę, chłopak liczył na wszechobecny śnieg. Śnieg, którego w dyndającej pułapce nie było.

– Umrzemy, prawda? – spytał Gwidon, łkając cicho.

Podobne do lisa zwierzę przemknęło wzdłuż strumienia i zniknęło w pobliskich krzakach.

– Bywałem w gorszych opałach – skłamał Bren.

Zaległa cisza z rzadka przerywana pohukiwaniem górskich sów. Bren



rozchylił zamarznięte usta i spytał:

– Dlaczego dołączyłeś do piewców? Bogaty ojciec, pewnie miałeś wszystko...

Słyszał, jak chłopak przełyka ślinę. Pewnie zbierał siły na odpowiedź.

– To prawda, jestem zgnuśniałym synalkiem największego sprzedawcy gobelinów. Jadałem raki z rozmarynem, młodą gęsinę faszerowaną ciepłymi jabłkami, gołębice z tartym kminem...

– Gwidon!

– Przepraszam. Fakt, miałem wszystko: dobre wykształcenie, własną stajnię. I pewnie życie płynęłoby dalej, gdyby nie tatko, który uwidział mi pannę z sąsiedztwa, równie bogatą jak ja.

– Stara pewnikiem.

– Młodsza ode mnie.

– Szpetna?

– Wręcz przeciwnie, rudzielec taki z uśmiechniętymi oczami.

Kula skrzypiała cicho, a para z ust ogrzewała nosy, ulatując w bezgwiazdne niebo.

– Chora? Co z nią było nie tak?

– Chora – przyznał Gwidon.

Jednostajny rytm skrzypienia pułapki usypiał. A może to niska temperatura? Z każdym bujnięciem czuli, że słabną.

– Co jej było?

– Nie chcę o tym gadać – burknął.

Bren zamilkł. Obserwował księżyc. Przejrzyste powietrze pozwalało dokładnie zobaczyć ciemniejsze plamy na jego powierzchni.

*Jest tak daleko i blisko zarazem* – pomyślał, lustrując jarzący się srebrem obiekt.

– Po prostu nie lubię dziewczuch – usłyszał złamany głos towarzysza.

W oddali przeleciał drapieżny ptak. Zatoczył koło nad uśpionym lasem i wylądował na gałęzi, obserwując knieję. Bren przypomniał sobie Allyen. Miękkość jej ust, rozbrajający uśmiech. Oko wypełniła duża, ciepła łza, a księżyc zamienił się w żółty naciek. Był daleko i blisko zarazem.

Tej nocy nie powiedzieli już ani słowa.

## Rozdział 7

# Szczyście w nieszczęściu

Nad ranem obudził ich trzeszczący odgłos kroków. Bren otworzył oczy i pomrukał nimi, próbując zrzucić szron z rzęs. Ujrzał opartego o łuk mężczyznę przyglądającego się im z zainteresowaniem. Wyglądał na myśliwego.

– Ktoście i co robicie w mojej pułapce?! – krzyknął.

– Jestem Triod, a to mój znajomy Gwidon.

Łucznik chwycił ukryte za krzakami mocowanie liny. Poluzował końcówkę i ostrożnie opuścił skostniałych więźniów na wysokość swojej twarzy.

– Błagam, wypuść nas – odezwał się Bren.

– Pewnie bym to zrobił, gdybyście prawdę mówili.

– Toż to prawda jest – stęknął Gwidon.

– Twoją gębę kojarzę. – Mężczyzna skierował łuk w stronę Brena. – I na pewno nie nazywasz się Triod.

Chłopak zmrużył oczy i przyjrzał mu się spod oszronionych rzęs. Myśliwy odkaszlnął.

– Karczma Pod Tłustym Sumem, byłeś tam. Był tam też niejaki Triod, którego wyrzucono. A więc?

*Ach, to ten ranny myśliwy. Ten, który nie płacił* – przypomniał sobie.

– Mam na imię Bren i pamiętam cię, panie.

– Nazywasz się Bren? – spytał Gwidon.

Myśliwy opuścił sieć na ośnieżoną ziemię.

– Teraz przynajmniej mówisz prawdę.

Gruchnęli o podłoże. Mężczyzna wyciągnął nóż, po czym przeciął liny i ich uwolnił. Podnieśli się obolali i podziękowali skinieniem głów.

– Uciekaliście przed kimś, prawda? – spytał, bacznie im się przyglądając.

Zerknęli po sobie i zaprzeczyli. Myśliwy kucnął. Uśmiechnął się. Jego skórzana rękawica przetarła ledwo dostrzegalny ślad na śniegu.

– Kimkolwiek są, wykorzystują tropiące wolkery. Jeśli za chwilę stąd nie ruszymy, zwęszą trop. To niebezpieczne zwierzęta, nie znam lepszych tropicieli. Mieliście szczęście, bo łapią zapach tylko przy gruncie. Idźcie w tym kierunku. – Wskazał na wschód od strumienia. – Dogonię was, gdy pozacieram ślady.

– Dlaczego nam pomagasz? – spytał Bren.

– Kto wie, może kiedyś wy pomożecie mnie...

\* \* \*

Myśliwy dogonił ich i poczęstował ciepłym naparem z bukłaka. Przedstawił się jako Magnus. Jego czerwoną od mrozu twarz przecinały blizny, zapewne pamiątki po spotkaniach z dzikimi zwierzętami. Opatulony szalem z lisa, którego końcówka objęła się o plecy, szedł przodem i zauważalnie kuśtykał. Bren przetarł oczy. Krajobraz śnieżnych bezdroży nie wiedzieć czemu się rozmywał.

– Dokąd nas prowadzisz? – wymamrotał.

Skóra kaftana zaskrzypiała, kiedy przewodnik wskazał przypominający maczugę szczyt.

– Musicie się ogrzać. Doprowadzę was do swego domu i wrócę, by rozrzucić padlinę. – Odwrócił się. – Tylko ona działa na nosy wolkerów.

Bren zerknął przez ramię na ścieżkę, którą się wspinali. Tak niewiele brakowało, a zamarzłby w tej przeklętej pułapce.

*Szczęście w nieszczęściu, jak to mówią.*

– Pewnie uznacie to za dziwaczne – odezwał się myśliwy – ale prowadzę przytułek dla obłąkanych.

– W środku gór?

Idący przodem wzruszył ramionami.

– Przyjmuję pod dach jedną, góra dwie osoby. Tu przynajmniej mają wikt i opierunek. – Zatrzymał się, po czym przebiegł wzrokiem po oblodzonym wąwozie. – Mieszkam w dziczy, zanoszę na targ, co upoluję. To, co zarobię, wystarcza dla mnie i dla innych. Dzięki temu czuję, że mam w życiu cel. Hej! Wszystko dobrze?

Chwycił ramiona Brena, gdy ten osuwał się na kolana.

– Jesteś wychłodzony. Siniejesz. Możesz wstać? Dobrze. Napij się. – Wyciągnął bukłak.

Kiedy ruszyli, Bren nadal czuł się dziwnie. Były momenty, kiedy odzywał się, ale nikt nie reagował. Skrzypienie śniegu pod butami przeradzało się w stłumione uderzenia, które docierały jakby z wewnątrz. Spojrzał na Gwidona, lecz idący na końcu powłóczył nogami wpatrzony w ślady na śniegu.

Po godzinie dotarli na szczyt. Ujrzeni osłonięte skałami, zadbane podwórko, wyglądający na warsztat budynek oraz grootę, której wejście zabudowano ścianą z solidnymi drzwiami. Niewielki strumień wił się między wrębami i spływał z szumem ku dolnym partiom gór.

– Oto moje królestwo. – Magnus się uśmiechnął, po czym zsunął z głowy kaptur. – Tam mam pracownię, a w grocie mieszkam.

Choć wyglądał na mężczyznę w średnim wieku, miał krótkie siwe włosy i równie siwe brwi. Patrzył na nich życzliwie i wskazywał drzwi prowadzące do groty.

Po wejściu do środka wyczuli ostrą woń gotowanego tłuszczu. Wnętrze okazało się dobrze nagrzane i przytulne. Zarówno podłogę, jak i ściany pokrywały niedźwiedzie futra, wilcze skóry oraz lisie ogony. Niewielkie palenisko ze stojakiem, na którym spoczywał garnek, ulokowane było tuż pod górskim żłobem ciągnącym się naturalnym kominem ku górze. Na środku pomieszczenia leżała bela drzewa, która musiała pełnić funkcję stołu, a wokół prowizorycznego mebla rozstawiono służące za siedziska pieńki. W rogach pokoju stały dwa wyścielone zwierzęcymi skórmi łóżka. Jedno z nich zajmowała leciwa kobieta w chuście. Ubrana w szlafmycę

staruszka bujała nagimi nogami i wpatrywała się w ścianę.

– Poznajcie Addę. Postradała zmysły. Widzi rzeczy, których nie ma, a czasem wydaje jej się, że jest kimś innym. – Magnus uśmiechnął się szerzej, zobaczywszy zakłopotanie na twarzach gości. – Jest niegroźna. Po prostu żyje w swoim świecie. Nie zwracajcie na nią uwagi.

Myśliwy podszedł do kobiety i pocałował ją w czoło. Na pokrytej znamionami głowie sterczały w nieładzie krótkie, pojedyncze włosy. Wisząca skóra policzków uniosła się nieznacznie, gdy Adda otworzyła usta, ukazując bezzębne wnętrze. Zamachała rękami, jak gdyby była ptakiem.

– Tak już z nią jest – westchnął Magnus. – Raz jest skowronkiem, innym razem szpiegiem lub porwaną. Proszę. To dla was. – Rozdał niedźwiedzie skóry oraz kubki pełne tłustego wywaru. – Gorąca woda z rozpuszczonym sadłem postawi was na nogi. Jeszcze kilka godzin i zasnęlibyście wiecznym snem.

– Żreć, nie pytać. Żreć, nie pytać – wyszeptała Adda.

Spojrzeli na biedaczkę. Była wychudzona i słaba. Poszarzałą twarz przeszywał grymas ekscytacji. Patrzyła w ścianę, ale wyglądała, jakby widziała tam coś zupełnie innego.

– Idę rozrzucić padlinę – stwierdził myśliwy. Przyjrzał się butom gości i pokręcił głową. – Dajcie mi je. Mam tu pracownię. Obszyję filcem i wzmocnię podeszwy przed podróżą.

Zsunęli buty.

Kiedy wyszedł, dopili wywar i usiedli przy palenisku. Wilgotna osika skwierczała cicho, grzejąc przyjemnie stopy, a wypite sadło rozlewało się ciepłem w żołądkach. Bren poczuł błogość i legł na miękkich skórach. Wyczerpany organizm domagał się snu.

\* \* \*

Obudziło ich zgrzytnięcie bramy. Poczuli fetor zgnilizny i smród skrzepniętej krwi.

– Gotowe. – Gospodarz klasnął w dłonie i rozejrzał się po

pomieszczeniu. – Czy Adda wam się nie naprzykrzała?

Pokręcili głowami i spojrzeli na staruszkę siedzącą w tej samej pozycji. Bren dostrzegł, że kobieta ma sine stopy. Rozejrzał się po izbie, lecz nigdzie nie dostrzegł butów. Czyżby wychodziła na bosaka, gdy spali?

– Gdzie dokładnie jesteśmy? – spytał Gwidon.

Magnus podszedł do stojącej przy wejściu skrzyni. Otworzył klapę i wyjął martwego zająca.

– Dwie staje na północny zachód od Plaven. Za tą górą rozciąga się granica z Yer Osti.

Naciął zwierzę i wprawnym ruchem zerwał skórę.

– Co radzisz? – zagadnął Bren.

– Na waszym miejscu zostałbym tu na jakiś czas. – Zerknął na staruszkę, która wstała z łóżka. – Będą szukać w lasach i na wzniesieniach. Pewnie obstawią też główne trakty. Ten szczyt... nie pomyślą, że ukryliście się tutaj.

– Dlaczego sądzisz, że ktoś nas szuka? – spytał Bren, przyglądając mu się uważnie.

Twarz krojącego tuszę się zachmurzyła.

– Domyśliłem się po śladach wolkerów. Hodowanie tych bestii jest nielegalne, bo bez nadzoru zagryzają wszystko, co żywe. A jednak źli ludzie potrafią wykorzystywać je do tropienia.

– Śniadanie, nie ufanie – powiedziała staruszka, która podeszła do gospodarza i sięgnęła po zająca.

– Addo, kochanie. Za chwilę. – Odprowadził ją do łóżka i spróbował położyć. Po chwili szarpania kobieta uległa i wsunęła nogi pod zwierzęcą skórę.

Myśliwy wrócił do paleniska. Kawałki tuszy wylądowały w rondlu pełnym bulgoczącej wody. Sięgnął po ziele, połamał je i dorzucił, a w pokoju rozniósł się przyjemny zapach rozmarynu.

– Jeśli wam spieszo, posilcie się i ruszajcie dalej. Nie interesuje mnie, co przeskrobaliście. Pamiętajcie jednak, że wasz przeciwnik ma przewagę. Lepiej przeczekać.

– A jeśli wyruszymy nocą? Czy te wolkery...? – Gwidon urwał,

zastanawiając się, jak ubrać myśl w słowa.

– Wolkery to nie wszystko. Używają też ptaków. Sukresów lub nocolotów. Oba gatunki doskonale opanowały sztukę kamuflażu. Widzą w ciemności i potrafią rozpoznać nietypowe zachowania: bieg, schylenie się, nerwowe ruchy...

Bren i Gwidon spojrzeli po sobie.

– Powiadają, że wiele lat temu wyszkoliła je Szkarłatna Królowa i przywiozła kilka w darze Cesarzowi – kontynuował Magnus, mieszając potrawkę.

– Królowa niewolników – dodał Bren.

– W rzeczy samej. Jeśli naprawdę życie wam niemiłe i chcecie ruszać, na waszym miejscu zszedłbym na południe, w stronę wodospadu. Tuż za nim znajdziecie wydeptaną ścieżkę, którą traficie do Sharshary. To osada na skraju traktów. Jest w niej punkt przeładunkowy. Być może któryś z kupców zabierze was dalej. – Wręczył wszystkim miski z zupą, po czym siadł obok i ogrzewał dłonie o spód swojego naczynia.

– Chyba rzeczywiście zostaniemy do rana – wyszeptał Gwidon.

Bren spróbował zupy, lecz okazała się zbyt gorąca. Obrzucił gospodarza nieufnym wzrokiem.

– W karczmie byłeś ranny – rzekł. – Płacili wszyscy prócz ciebie, a jednak nie zostałeś wyrzucony.

Magnus dmuchał w potrawkę, kołysząc delikatnie miską.

– Jesteś dobrym obserwatorem. Śledziłem górskiego trolla, który pojawił się w okolicy. Widocznie przekroczył granicę z Bolga. Och, nie planowałem z nim walczyć. – Wystawił dłoń w stronę Gwidona, który przerwał jedzenie i uniósł wysoko brwi. – To szansa, by poznać ich zwyczaje, chciałem tylko popatrzeć. Dostrzegłem go blisko monumentu. Jednego z tych, które od wieków murszeją, lecz nikt nie wie, skąd się wzięły i co oznaczają.

Spróbował dania i dosypał szczyptę soli.

– Ogromny samiec, wysoki na dwóch chłopa. Zielona, porośnięta mchem skóra i te niesamowite zgrubienia, których żaden oszczep nie przebije.

Potrawka wystygła na tyle, że drewniane łyżki zaczęły pracować szybciej.



– Był po ciężkim starciu, kuśtykał. Brakowało mu lewej dłoni. Widziałem kikut. Lizał go, a rana zasklepiła się na moich oczach!

– Czyli prawda to, że mogą odzyskać odcięte członki – stwierdził Gwidon.

– Tego nie wiem, ale potrafią powstrzymać krwawienie. Chciałem podejść bliżej, wtedy poczułem mocny uścisk. Zrozumiałem, że było ich dwóch.

Łyżka Gwidona zastygła w zupie.

– Ten drugi zaszedł mnie od tyłu, podniósł i rzucił o skalną ścianę. – Myśliwy dotknął nogi, po czym wykrzywił twarz. – Ponoć zawsze rzucają kilka razy, łamiąc kości. Ofiara pozostaje świadoma, lecz nie może uciec.

– Spanie, kłamanie – odezwała się kobieta.

Gospodarz spojrział na nią uważnie. Odstawił miskę i podszedł do łóżka.

– To dobry pomysł, Addo. Zdrzemnij się. A gdy wstaniesz, Magnus poczęstuje cię pyszną zupą. – Pogładził jej głowę z czułością, po czym kontynuował opowieść: – Miałem sporo szczęścia. Uderzyłem w skałę i wpadłem w rozpadlinę między głazami. Poraniłem bok i nogę, ale wciąż żyłem.

Dłoń opowiadającego chwyciła niedźwiedzią skórę i okryła nią staruszkę aż po szyję.

– Bestie próbowały wygrzebać mnie pazurami, ale nadeszła ta cholerna zamieć. Odeszły w poszukiwaniu schronienia, a mnie udało się wydostać i trafić do Tłustego Suma.

– A dlaczego nie płaciłeś?

Wzruszył ramionami.

– Oddałem gospodyni cały dobytek, wszystkie skóry i trofea. Wynik trzymiesięcznej pracy. Za taki skarb pozwoliła zostać do czasu, aż wydobrzeję.

– Nie szkoda ci było oddać wszystkiego? – spytał Bren, wyławiając łyżką skrawki mięsa zająca.

Mężczyzna odwrócił się i odparł:

– Nigdy nie liczy pieniędzy, które dają czas.

Po posiłku położyli się blisko paleniska, a Magnus podszedł do śpiącej. Pogłaskał jej ramię. Dostrzegłszy, że się obudziła, przysiadł na brzegu pościelenia, wskazał miskę, którą położył sobie na kolanach, i nabrał łyżką trochę potrawy. Staruszka zaczęła jeść zachłannie, mlaskając i siorbiąc. Bren przyglądał się otwartym ustom i nieobecny oczom Addy. Obserwował dłoń myśliwego, która zbierała łyżką drobinki ryżu, po czym ostrożnie wsuwała do ust karmionej. Spojrzenie Magnusa skrywało cierpliwość i troskę.

– Mieliśmy dużo szczęścia – wyszeptał Gwidon, który przykrywał się wilczą skórą.

Bren odwrócił głowę w stronę paleniska. Było mu ciepło, miał pełny żołądek. Spojrzał na nagie stopy. Brakowało tylko butów. Po chwili również leżał opatulony i gapił się w ogień.

\* \* \*

Pomimo mamrotania kobiety noc upłynęła spokojnie. Sen w ciepłym miejscu zregenerował siły i pozwolił raźniej spojrzeć ku przyszłości. Po szybkim śniadaniu myśliwy wyruszył na poranny zwiad. Nie minęło pół godziny, a powrócił.

– Wolkery wciąż krążą po okolicy – oznajmił z niewyraźną miną. – Biegają w niższych partiach, więc tu nic wam nie grozi, ale musicie poczekać z dalszą wędrówką. – Mówiąc to, patrzył na Brena, jak gdyby wiedział, że to on ma decydujący głos.

Ten spojrział na towarzysza, po czym skinął głową.

– Widziałem ślady rysia. – Myśliwy poprawił łuk, z którym się nie rozstawał, i wcisnął na głowę futrzaną czapę. – To niecodzienne zjawisko w tej okolicy. Ruszam za nim, wy tymczasem czujcie się jak u siebie w domu. Skoro zostaniecie jeszcze dzień, zajmę się waszymi butami jutro.

Kiedy Magnus się oddalił, Bren postanowił obejrzeć z bliska sterczące ze ścian łby dzików i jeleni.

– Dotrzemy do Sharshary i nasze drogi się rozchodzą, rozumiesz? –

powiedział do towarzysza.

Gwidon westchnął, po czym zaczerpnął garnkiem wodę, którą znalazł w dużej beczce za drzwiami.

– Dlaczego jesteś taki uparty? Osobno mamy mniejsze szanse.

– Wróg, wróg – powiedziała kobieta na łóżku i zaczęła się trząść.

Chłopak odstawił naczynie i zerknął z niepokojem na staruszkę, która wstała i odsunęła pieńek. Zaczęła podskakiwać.

– Nasz wybawiciel nie ma z nią lekko – ocenił Bren i wrócił do podziwiania ogromnego poroża.

– Wróg! – krzyknęła Adda, pocierając nagimi stopami o niedźwiedzią skórę. Choć wyraz jej twarzy stężał, nieobecne oczy potwierdzały, że odbywa wycieczkę po własnym, wyimaginowanym świecie.

Jedno z poroży było ogromne. Bren zastanawiał się, do którego zwierza mogło należeć.

– Zobacz. – Głos Gwidona niósł zaskoczenie.

Odwrócił się i podążył za wzrokiem otyłego chłopaka. Adda musiała przesunąć zwierzęcy dywan. Między stopami staruszki dostrzegł tkwiący w podłodze właz.

– Kłapa?

– Wróg! – krzyknęła z pianą na ustach, tupiąc w podłogę.

Podeszli bliżej. Właz miał metalowe koło służące za rączkę oraz dziurkę, w którą prawdopodobnie należało wsunąć klucz. Bren złapał za uchwyt i pociągnął.

– Zamknięte.

Usłyszeli dochodzący z zewnątrz odgłos kroków. Po chwili w drzwiach stanął Magnus. Był zmęczony, ale uśmiechnięty. Rzucił na ziemię myśliwską torbę, z której wystawał ryj młodego dzika. Myśliwy spojrzał na nich z dumą, lecz zatrzymał wzrok na kłapie.

– Co tam jest? – spytał Bren, krzyżując ręce na piersi.

– Piwnica, którą przerobiłem na dodatkowy pokój. Chcecie zajrzeć? – Magnus wskazał dyndający na szyi klucz.

Zobaczywszy, że mrużą oczy, domknął drzwi.

– Adda, ona... – zaczął Gwidon. – Zachowywała się nerwowo. Kopała podłogę obok klapy. Nie chcieliśmy...

Myśliwy podsunął torbę pod ścianę i usiadł przy kobiecie, która mruczała cicho. Pogłaskał jej policzek.

– Już dobrze. Tu jesteś bezpieczna.

Brenowi zrobiło się żal starowinki. Pomyślał, że lepiej raz zmierzyć się z prawdziwym wrogiem, niż przez całe życie walczyć ze zmyślonym.

Magnus przebiegł zadumanym wzrokiem po gościach.

– Muszę jeszcze raz wyjść. Taki ze mnie gospodarz – rzucił z uśmiechem.  
– Ale to naprawdę ważne. Wrócę przed wieczorem.

– Czy zajmiesz się potem naszymi butami? Chcielibyśmy wyruszyć do Plaven – powiedział Bren.

– Oczywiście, najpóźniej jutro rano – odparł. – Plaven leży na południowy wschód stąd. Musielibyście obejść skały i zejść wschodnim zboczem. Ale miasto jest kompletnie odcięte od świata. Byłem tam niedawno. Śnieżycą zasypała wszystkie trakty. Lepiej iść do Sharshary, jest bliżej oceanu i pojawiły się tam pierwsze roztopy.

Pokiwali głowami i patrzyli, jak poprawia szal.

– Nie podoba mi się – powiedział Bren, śledząc wzrokiem oddalającego się myśliwego. – Byłem w Plaven. To nieprawda, że miasto jest odcięte.

– Byłeś tam jakiś czas temu. Nie wiesz, jak to wygląda teraz. – Gwidon usiadł na pieńku i wpatrywał się w Addę.

– A wolkery? Ptaki piewców? Nie sądzisz, że za dużo o tym wie?

Towarzysz wzruszył ramionami.

– Jest myśliwym – odparł. – Tylko bez paranoi.

Dostrzegłszy, że Bren wciąż nie był przekonany, podszedł i ostrożnie położył dłoń na jego ramieniu.

– Pomyśl – powiedział. – Stoisz w otwartych drzwiach. W każdej chwili możemy wyjść. Gdyby był z nimi w zмовie, zostawiłby nas w pułapce albo skrzyknąłby ich do kryjówki. A tymczasem patrz. – Zacisnął dłoń. – Nakarmił, napoił, ogrzał i jeszcze buty naprawi.

– Może masz rację – westchnął Bren. – Tak już mam, że zanim komuś

zaufam, mija średnio czterdzieści lat.  
Wybuchnęli śmiechem.

## Rozdział 8

# Kto mówi prawdę?

Myśliwy długo nie wracał, więc postanowili zjeść posiłek. Po jakimś czasie Bren zaczął się intensywnie pocić. Uroił sobie, że dostrzegł dużego szczura przechadzającego się półką wzdłuż puderek z przyprawami. Chłopak przetarł oczy, a zwierzę zniknęło. Postanowił się zdrzemnąć, lecz dość szybko obudziło go uderzenie gorąca. Czyżby się zatruł? Deszcz iskier szalał pod skórą, w okolicach pępka, wibrując ognistymi okręgami aż po kręgosłup.

*Tylko nie to – pomyślał Bren.*

Fale ciepła tańczyły po plecach, łącząc się w większe skupiska, a uczucie ekstazy zaciskało gardło.

– *Energia!* – usłyszał głos Parkanina.

– *Leba? Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowałem?*

– *Wciąż jestem tu, w środku.*

– *Dlaczego więc nie dawałeś znaku życia?*

– *Wtedy, w pułapce, przeżywałem wszystko tak mocno jak ty, ale nie mogłem nawiązać kontaktu.*

– *Jak powstrzymać to coś? Narasta!*

Zamknął oczy i ujrzał świetlisty trójkąt, którego przenikliwy blask wyparł wszystko inne. Usłyszał szeptanie. Początkowo cichy szelest, potem głośniejsze, zebrane w wiązkę nieznanym mu słów nawoływanie. Symbol zamigotał, po czym zniknął, dudniąc gromkim echem w uszach. Bren poczuł, że stało się coś ważnego.

*Czy to coś mnie wołało?* – zastanawiał się.

Otworzył oczy. Wiedział, że nadchodzi moment, kiedy będzie musiał dać

upust buzującej energii. Uniósł dłoń, a wibrujące powietrze pomknęło w stronę półki z zakurzonymi pojemnikami. Puzderka i flaszki wystrzeliły, koziółkując i odbijając się od ścian. Usłyszał krzyk Gwidona.

– Masz na imię Bren, a nie Triod, rozwalasz gestem dłoni przedmioty. Skrywasz jeszcze jakieś tajemnice? – Towarzysz kucał w swojej zielonej todze, sięgając opasłym brzuchem do posadzki. – O bogowie, ty... jesteś magiem!

Bren przełknął ślinę, obserwując wycelowany w niego oskarżycielsko palec. Zerwał się i pomimo zawrotów głowy zwinął niedźwiedzią skórę. Przyjrzał się kłapie. Przez szparę dostrzegł prostą zapadkę od wewnętrznej strony. Skupił się na poszukiwaniu energii, która jeszcze przed momentem przeorganizowała pokój myśliwego. Po dłuższym czasie udało mu się ją namierzyć i przywołać.

Zerknął na Adde. Spała.

*Swoją drogą, to strasznie dziwne, że staruszka przesypia noc i większość dnia* – pomyślał.

Trzecia próba zakończyła się sukcesem. Uwolniona moc trafiła w cel i przesunęła zapadkę, otwierając mechanizm zamka. Bren był podekscytowany. Miał nadzieję, że starczy mu sił, by zamknąć zamek, zanim wróci gospodarz. Uniósł kłapę.

– Jak to zrobiłeś? – Gwidon zamarł z pojemnikiem, który musiał podnieść z ziemi.

– Później ci opowiem. Podasz łuczywo?

Zakurzona drabina skrzypiała, kiedy schodzili pod podłogę. Światło pochodni ukazało niewielki pokój. Chociaż posadzka i ściany wyłożone były zwierzęcymi skórami tak jak na górze, poczuli chłód. Bren zbliżył źródło światła do centralnej części sali. Ujrzeli solidne biurko z szufladą, pękniętą, wydrapaną czymś ścianę, stołek z dziurą i pojemnikiem, służący prawdopodobnie za nocnik, oraz pościelone łóżko.

– Tam ktoś jest – zapiszczał Gwidon i wycofał się do drabiny.

Zamarli. Niewysoka postać na łóżku się poruszyła. Po chwili wstała i podeszła do nich, szurając bosymi stopami po jelenich skórach. Idący,

który osłaniał oczy przed światłem pochodni, okazał się gnomem. Miał swoje lata i pogodne oblicze, na którym zwracała uwagę duża, odstająca brodawka na nosie. Długa siwa broda zakrywała uszy i opadała na kubrak.

– Kim jesteś? – spytał niepewnie Bren.

Gnom wyciągnął zza pleców miskę i mu ją wręczył, po czym wrócił na łóżko. Pomimo wielu prób nawiązania kontaktu siedział milczący i wlepił nieobecny wzrok w biurko. Na skraju mebla dostrzegli pergaminy. Po rozwinięciu okazały się mapami Estepii. Mieszkający pod podłogą gnom musiał być ich właścicielem, gdyż wyrwał je Gwidonowi i powrócił do medytacji.

Kiedy wspięli się na górę, zastali myśliwego. Siedział na łóżku i karmił staruszkę.

– Proponowałem otwarcie kłapy kluczem – przypomniał z uśmiechem. – Swoją drogą, gratuluję talentu. Sprawne palce są dziś na wagę złota.

– Tam jest gnom! – krzyknął Gwidon, zaciskając pięści.

– A owszem. To Eujan, mój drugi podopieczny. Jedliście coś?

Bren wciąż wpatrywał się w otwartą klapę.

– Och, nie róbcie takich min – powiedział łagodnie Magnus. – Wiem, że są tam gorsze warunki, ale gdy mieszkali razem na górze, doszło do incydentu. – Zawahał się. – Eujan ją skrzywdził – dokończył ciszej.

Przykrył Addę, podszedł do beczki i opłukał miskę.

– Musiałem ich rozdzielić – dodał. – A jego zamknąć.

\* \* \*

Noc nie przyniosła Brenowi snu. Chłopak wpatrywał się w posłanie myśliwego i analizował sytuację. Nie miał powodów, by nie ufać gospodarzowi. Obłąkany gnom zginąłby w śnieżycy albo skończyłby ze sztyletem w plecach i bez sakiewki, a tak... przynajmniej miał dach nad głową i dostawał strawę. A jednak coś nie dawało Brenowi spokoju. Czy Adda próbowała im coś przekazać? To dzięki niej odkryli wejście pod podłogę. No i te mapy... Gwidon wytłumaczył mu, że są doskonałej jakości



i żaden obłąkaniec nie nosiłby przy sobie tak cennych skarbów. A jednak szalony wzrok gnoma i dziwne zachowanie nie pozostawiały wątpliwości. Cokolwiek wydawało się Brenowi, to myśliwy zachowywał się racjonalnie, a w ich żyłach prawdopodobnie wciąż buzowały nieufność i adrenalina.

Przed świtem myśliwy wstał, upił łyk wody, wziął broń i wymknął się z domu. Bren zamknął oczy, czując, że nie wytrzyma dłużej bez odrobiny snu. Poczuł dotknięcie dłoni na nadgarstku. Ujrzał Addę pochyloną nad nim z przejętą miną. Uniósł się na łokciach i spojrzał w jej oczy. Były inne, jakby mniej zamglone. A może tylko mu się zdawało?

– Nie wierzyć – wyszeptała. – Ani słowo prawda.

Znieruchomiał. Kobieta usiadła na skraju jego pośłania i potarła wyprostowane chude nogi.

– On zły. Jest innym – mówiła wolno, jakby wypowiedzenie każdego słowa okupywała ogromnym wysiłkiem.

Pokiwał głową, zachęcając, by kontynuowała.

– Bren? – usłyszał głos Gwidona.

Przywołał go gestem dłoni. Sam zaś usiadł i dotknął ramienia staruszki.

– Myśliwy? Mówisz o Magnusie? – spytał.

Skinęła głową i wytarła ślinę ściekającą z ust.

– Czy on cię skrzywdził?

Przewróciła oczami.

– Grzyby.

– Grzyby?

– Odurza. – Kobieta raz po raz dotykała palcami skroni.

Bren poczuł, że robi mu się słabo. Spojrzał na stojącego obok nieruchomo Gwidona.

– Ty. Ty – powtarzała.

– To ja mam zadawać pytania? – Bren wskazał na siebie. – Wolisz tak? Dobrze. Czy ten, co mieszka na dole, cię skrzywdził?

Zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy. Starła się coś powiedzieć, lecz zeszywniała w bezruchu.

– Więzień – wykrztusiła.

– Gnom jest więźniem? On też jest odurzony?

– Aha. – Rozejrzała się. Złapała rękę Gwidona, który który trząsał się jak galareta. – Wy i on. – Spojrzała na podłogę. – Uciekać... Wy więzień.

– Czy ona właśnie powiedziała... – Słowa utknęły w drżących ustach otyłego chłopaka.

– Ja teraz lepiej.

– Czujesz się lepiej?

Skinęła.

– Zły znajdzie grzyby. Znowu bałagan. – Złapała się za głowę.

Bren potarł czoło.

– Kim jest Magnus? – Spojrzał w oczy kobiety i dostrzegł, jak zachodzą łzami.

Czekali, lecz odpowiedź nie nadchodziła.

– Kim on jest?! – krzyknął głośniejszym, niż zamierzał.

– Zły. Zły – szeptała. – Troll? Nie wierzyć!

– Okłamał nas? Nie ranił go troll?

– Nie... Czyszczenie.

– Czyszczenie? – dopytał Gwidon.

Kobieta pokazała dyndający na szyi chłopaka wisiołek z dwuzębem.

Zamarli.

– Pracuje dla tych, co mają takie wisiorki? – drążył Bren.

Pokiwała głową.

– Czyści po przestępstwach, tak? Usuwa trupy, zmywa krew?

– Tak. Tak!

Młodzieńcy spojrzeli na siebie.

– Jest czyścicielem piewców! – krzyknęli jednocześnie.

Bren zerwał się z posłania i klęknął przed staruszką.

– Skąd wiesz?!

Zapowietrzyła się. Po chwili uspokoiła oddech i zamknęła oczy.

– Szłam.

– Śledziłaś go? Widziałaś to? – Bren chwycił jej nadgarstki. – To dlatego zaczął cię odurzać? Zagroziłaś, że go wydasz?

Kiwała głową, a po suchym policzku spłynęła łza.

– Kim jesteś?

– Ciiii... – Gwidon przyłożył palec do ust.

Nasłuchiwali. Odległy odgłos skrzypienia na śniegu potwierdzał, że gospodarz wraca.

– Klucz... Wiem... – dukąła, klepiąc się po nagich nogach.

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie Bren.

Spojrzała na niego inaczej, jakby wreszcie wiedziała, z kim rozmawia. Usta poruszyły się, gdy myśliwy wszedł do środka.

– Matka – wyszeptała.

– Mam dobrą i złą wiadomość. – Basowy głos Magnusa uciął rozmowę. Gospodarz zastygł w bezruchu, przyglądając się zebranym przy posłaniu. Potarł brodę. – Dobra jest taka, że w sidłach były trzy piękne zające, a zła... nie uwierzycie, ale nigdzie nie mogę znaleźć klucza do pracowni.

Pociągnął nosem i ułożył pod ścianą złapaną zwierzynę.

– Musiałem go zgubić na polowaniu. Na szczęście zimą dobrze widać ślady. Jeszcze dziś zrobię kółko po okolicy i na pewno je znajdę. Bez obaw, wydostaniemy wasze buty. Co tak patrzycie? Czyżby Adda uraczyła was jakąś fantastyczną historią?

Podszedł bliżej i wziął staruszkę pod rękę, po czym odprowadził do łóżka.

– Już wczoraj zauważyłem, że grzyby przestają działać i gorzej się czuje. Mieszkam w lasach od urodzenia. Dobrze znam florę. Porastające jaskinie srebrniaki pomagają na urojenia. Podaję im jednego na tydzień. Nie znoszą tego.

Odwrócił się i posmutniał.

– Problem w tym, że ogołociłem większość okolicznych jaskiń. Na szczęście mam jeszcze jednego, o tu.

Wyjął z torby niewielki grzyb o srebrnym kapeluszu i przekroił nożykiem. Zobaczywszy to, staruszka skuliła się na łóżku.

– Addo, wiem, że tego nie lubisz. Ale to konieczne. Konieczne, słyszysz? Bren wstał z posłania. Czuł na sobie wzrok Gwidona.

*Co jest prawdą, a co fałszem?* – myślał gorączkowo.

Zrobił krok w kierunku myśliwego, wpatrując się w przewieszony przez plecy łuk. Magnus zgniótł łyżką połowę grzyba i usiadł przy staruszce.

– Bez tego opowiadasz niestworzone historie. Byłem już twoim kochankiem, synem, nawet zmarłym krewnym.

Adda spojrzała na Brena. Jej oczy wołały o pomoc, lecz sparaliżowany strachem chłopak tylko zacisnął pięści.

– Szeroko. O tak. Właśnie. Za chwilę znów poczujesz się lepiej. Przełknęłaś? Dobrze. A teraz wybaczenie, muszę nakarmić Eugana. Kiedy robi się głodny, potrafi wpaść w szal, jak wtedy.

\* \* \*

Jeszcze nie ucichły odgłosy schodzenia myśliwego po drabinie, a już byli przy staruszce.

– Addo... – wyszeptał Bren. – Addo, słyszysz mnie?

Kobieta spojrzała na niego, lecz zamglone oczy potwierdzały, że nie ma z nią kontaktu.

– Zamknijmy go tam.

– Zwariowałaś? – Gwidon rozszerzył oczy w panice.

– Będzie musiał wyśpiewać prawdę.

– Zginiemy z głodu!

– Mamy trzy króliki! – Bren wskazał upolowaną zwierzynę.

– Na ile starczą? Dzień? Dwa? – Gwidon uderzał się wściekle po biodrach. – A ta kobieta? A ten biedny gnom?

– Ciii...

Grubas oddychał ciężko i próbował się uspokoić. Po chwili spojrzał błagalnie na Brena i wyszeptał:

– Nie mamy butów, pamiętasz? Nie wyjdziemy stąd do wiosny.

– Magnus ma buty.

– Jedną parę, na sobie. – Gwidon popatrzył na towarzysza i przechylił głowę. – Nie chcesz powiedzieć... Jesteśmy zespołem... Bren!

– Dobra. Tak. Daj pomyśleć.

Usłyszeli, jak myśliwy wspina się z powrotem i pogwizduje.

– Uderz go z całej siły – powiedział niemal bezgłośnie Bren.

Grubas pokręcił głową i wciąż zerkał w stronę drabinki. Ujrzeni czuprynę gospodarza. Bren gestykulował przez chwilę, lecz wobec braku reakcji towarzysza usiadł przy staruszce.

– *Leba? Co robić?*

– *Myślę, że to wszystko da się rozwiązać bez agresji* – odparł skrzydlaty.

– *Kto tu kłamie? Kto mówi prawdę?* – Chłopak wytarł spocone dłonie o kolana i patrzył na myśliwego wracającego z garnkiem.

– *Jak dotąd was nie skrzywdził.*

Powolnym ruchem chwycił oczko wisiorka z dwuzębem i zbliżył do ust.

– Czas, żebyśmy poznali prawdę! – krzyknął drżącym głosem i objął Adde.

Magnus i Gwidon spojrzeli na niego. Myśliwy odstawił garnek.

– Prawdę? – spytał.

– Wiesz, co trzymam w dłoni, zgadza się?

Gospodarz zmrużył oczy i ruszył powoli w jego kierunku.

– Ani kroku dalej! – Bren włożył oczko do ust.

Magnus znieruchomiał.

– Jeśli to zgryzę, ona zginie – powiedział niewyraźnie.

– Kim jesteście? Dlaczego chcesz ją skrzywdzić? – Głos myśliwego był zimny.

– Gwidon, zabierz mu łuk – rozkazał Bren.

Gospodarz błyskawicznie nałożył strzałę, napiął cięciwę i wycelował w siedzącego na łożku.

– Ugościłem was. Nakarmiłem. Chcecie mnie okraść?

– Przestań kłamać. Pracujesz dla piewców!

– Piewców? – Rozdziawił usta. – Mówisz o tych piewcach? Żartujesz, prawda? – Mężczyzna wycofał się do drzwi. – Słuchajcie, nie mam nic wartościowego...

– Powiedziała nam! Powiedziała wszystko!

Magnus spojrział na staruszkę, a Bren docisnął ją mocniej.

– Żreć, nie pytać – wyszeptała i położyła głowę na jego kolanach.

– Czy twoja matka kłamie?

– Matka? – Myśliwy zmarszczył czoło. – Naprawdę w to wierzycie?

Wiecie, jak wiele słyszałem jej historii o bandytach, porwaniach, spiskach? Godzinami bredziła o piewcach, instrumentach, truciznach. Zrozumcie to. Chorzy na tę chorobę sami dla siebie są największymi wrogami. Ich umysły są uszkodzone.

Bren oblizał usta, wciąż trzymając dwuzęb blisko nich.

– A jednak z jakiegoś powodu jeszcze nie strzeliłeś...

Przestąpił z nogi na nogę.

– Nie chcę rozlewu krwi.

– Zależy ci na niej.

– Zależy mi na chorej osobie, którą się opiekuję!

Zapadła cisza. Bren czuł, że bief z dwuzębem nie może trwać w nieskończoność. Intensywny zapach trucizny powodował mdłości, a staruszka zaczynała się wiercić na jego kolanach. A może to on był w błędzie? Może pobyt u piewców zamieszał mu w głowie i zrobił z niego paranoika?

Spojrział na Gwidona. Grubas gapił się w podłogę i unikał jego wzroku.

– Przyrowadź gнома – zażądał Bren od towarzysza.

Gwidon drgnął. Otworzył klapę i po chwili wrócił z mieszkańcem spod podłogi. Eujan mrużył oczy i bujał się na nagich piętach.

– Teraz klucz do pracowni! Już! – warknął Bren do myśliwego.

– Zgubiłem go.

Chłopak wsunął truciznę między zęby.

– Nie krzywdź jej! Dobrze. Spokojnie. Nie byłem do końca szczery, ale to dla waszego dobra, słyszysz?

– Klucz – wymamrotał Bren.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i podał mosiężny klucz z zawieszka.

– Ten drugi też. Tak, ten!

– Wtedy, w pułapce, byliście skrajnie wychłodzeni. Bredziliście. To

wyglądało bardzo podobnie do początków choroby. Dodałem do waszych porcji trochę grzyba.

– Kłamiesz!

– Niewielką ilość. Tylko po to, abyście mogli się zregenerować. Ale gdy zobaczyłem, że wciąż macie objawy, nie przestałem dodawać skrawków do posiłków. Okłamałem was z kluczem, żebyście nie wyjechali w tym stanie. Jeśli przerwiecie kurację...

– Spakuj zające. – Bren wskazał Gwidonowi sakwę. – Weź też bukłak. Szybko.

– Macie paranoję, ułudy! – krzyczał myśliwy. – To przejdzie. Wystarczy codziennie zmniejszać dawkę. Zostańcie jeszcze trzy dni, a obiecuję, że was z tego wyprowadzę.

Bren wstał ostrożnie ze staruszką.

– Nie krzywdź jej, proszę – odezwał się gospodarz.

– Teraz odłóżysz łuk i bardzo powoli zejdziesz pod podłogę. – Chłopak kiwnął głową w kierunku kłapy. – Jeśli mnie posłuchasz, nie zrobię jej krzywdy.

Myśliwy się zawahał. Po chwili jednak odłożył broń i zszedł na dół. Bren doskoczył do włazu, kopnął klapę i przekręcił klucz, który rzucił mu Gwidon.

– Umrę z głodu! – krzyknął gospodarz. – A wy oszalejecie bez srebrniaka.

– Zamilcz! Buty. Przynieś buty. – Bren wskazał Gwidonowi drzwi wyjściowe.

Otyły chłopak zerwał się i wybiegł na zewnątrz.

– Śniadanie, nie ufanie – powiedziała Adda, która zaglądała do pustych garnków.

– Możemy o wszystkim zapomnieć, Bren. – Stłumiony głos myśliwego wybrzmiewał spod podłogi. – Zacząć od początku. Nie mam ci za złe. Sam zachowałbym się podobnie po tych grzybach.

– Posłuchaj mnie uważnie, bo to ostatnie, co powiem – rzekł Bren. – Jeśli to ja mam rację, za kilka dni grzyb przestanie działać na twoją matkę. Adda, o ile to jej prawdziwe imię, dojdzie do siebie i znajdzie klucz, który

zostawię na stole. Uwolni cię, a my będziemy daleko stąd.

Przerwał. Mężczyzna pod podłogą milczał.

– Jeśli zaś się mylę, bez kolejnej porcji grzyba szaleństwo wciąż będzie trawić twoją podopieczną. Nie odnajdzie klucza, a jeśli nawet jej się uda, nie będzie wiedziała, do czego służy. Wtedy to ty będziesz miał rację. Zdechniesz z głodu, a nas... – Urwał. – Nas trafi szlag gdzieś w drodze do Plaven.

To powiedziawszy, złapał łuk z kołczanem, po czym wybiegł z jaskini i prawie zderzył się z Gwidonem niosącym trzy pary butów. Po krótkiej naradzie postanowili zabrać ze sobą gnoma i zastanowić się po drodze, co dalej począć ze starcem.



## Rozdział 9

# Na rozstaju dróg

Ruszyli na południe, w kierunku Sharshary. Bren wytłumaczył Gwidonowi, że blefował z pójściem do Plaven. Bez względu na to, jaki los spotka Magnusa, chciał, by ten wierzył, że udadzą się właśnie tam. Jeśli współpracuje z piewcami, zyskają cenny czas.

Najeżone sosnami stoki oślepiały bielą śniegu, ukazując przepiękną okolicę. Jak okiem sięgnąć w dolinach poniżej nie widać było żywego ducha. Ani śladu piewców, ani śladu wolkerów.

Po godzinie schodzenia trafili na wodospad. A więc myśliwy nie oszukał ich przynajmniej w tym względzie. Gnom powłóczył nogami wpatrzony w plecy Brena. Nadal milczał, choć na pierwszym postoju zauważyli, że rozgląda się nieśmiało na boki.

Późnym popołudniem dotarli do pierwszej doliny, która wiosną musiała być wykorzystywana do wypasu owiec. Postanowili poszukać miejsca na nocleg. Wiedzieli, że kiedy się ściemni, nie ujdą daleko. Zwłaszcza w górach. Pasterska szopa z resztkami siana stanowiła najlepszy prezent, jaki mogli sobie wymarzyć. Zjedli surowe mięso zająca, popili wodą i wsłuchali się w trzask popychanego wiatrem budynku.

– Myślisz, że pracuje dla piewców? – spytał Bren.

– Nie wiem. Nic już nie wiem. – Gwidon pokręcił głową i kiwnął gnomowi, by spoczął obok niego.

Starszy mężczyzna się przysiadł.

– A jeśli rzeczywiście podał nam grzyby? – zastanawiał się Bren. – Przed południem widziałem szczura, który po chwili zniknął. Pociłem się.

Gnom nagle wstał i zaczął rozglądać się na boki.

– Gdzie jestem? – spytał trzeźwym głosem.

– Tylko spokojnie.

– Gdzie mój wóz? Gdzie towar? – Eujan się odsunął. – Kim jesteście?

– Mam na imię Bren, a to Gwidon. – Otwarte dłonie chłopaka sygnalizowały dobre zamiary.

Gnom zamrugał i rozejrzał się po szopie.

– Mętlik – wyszeptał, po czym nerwowo sięgnął do głębokich kieszeni spodni. Kiedy odnalazł pergaminy, odetchnął i spojrzał uważnie na towarzyszy. – Jestem Aldon, kartograf, ale możecie mówić na mnie: Pieprz.

– Karto-graf? – powtórzył Bren, ściskając krępą prawicę gнома.

– Pieprz? – spytał Gwidon.

– Och, rysuję, sprzedaję mapy, czasem świadczę usługi kurierskie. Ot co, panowie.

– Kurierskie? – powtórzyli nieufnie.

Oblicze gнома się zachmurzyło.

– Sharshara. Byłem na targu... – Pogładził brodę, zastanawiając się nad czymś.

– Niech zgadnę: spotkałeś myśliwego? – podsunął Bren.

Pieprz spojrzał na niego, jakby nie zrozumiał pytania. Pokręcił głową.

– Sharshara. Wóz – powtarzał, chodząc w kółko. – Dlaczego wciąż kręci mi się w głowie?

– Myślę, że zostałeś odurzony.

– Ach tak?

Kiedy opowiedzieli mu o tym, co wydarzyło się w domu myśliwego, posmutniał i się zadumał.

– Podejrzewamy, że Magnus pracuje dla piewców – oznajmił Bren. – Czy mogłeś im jakoś zająć za skórę?

Pieprz skubał brodę i dumał w skupieniu.

– Nie wiem, o kim mówicie.

– Czy ktoś mógł cię porwać?

Zamyślił się.

– W zasadzie to tak – przyznał. – Od kilku tygodni przemycam magów do miejsca, w którym są bezpieczni. Być może ten, co ich porywa...

– Przemycasz magów?

Gnom skinął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mówili o nim w siedzibie! – Bren przysunął się do Gwidona. – Że ktoś musi im pomagać, magom znaczy. Pamiętasz?

– No jak nie, jak tak! Mieli zlecić to czyścicielowi i rozwiązać problem.

Spojrzeli na Pieprza.

– I rozwiązali – ocenił Bren. – Magnus musiał go dopaść i odurzyć. Pewnie planował go im przekazać.

– A my?

Bren wzruszył ramionami i sięgnął po bukłak.

– Dlaczego nas wtedy uwolnił z pułapki? – dopytywał Gwidon.

– Podejrzewam, że czyściciele nie mają kontaktu z piewcami – zastanawiał się głośno Bren. – Pewnie odstawiają odurzonych do umówionych miejsc i tyle. Uwolnił nas, nakarmił. Co komu po martwym zbiegu.

Przyjrzał się dokładnie gnomowi, po czym rzucił:

– Panie Pieprz. Jako że jestem magiem... czy mógłbyś przemycić nas do tego bezpiecznego miejsca?

\* \* \*

Kiedy pierwsze promienie słońca przedarły się nieśmiało przez zimowe chmury, ruszyli dalej. Pieprz zgodził się pomóc pod warunkiem, że odzyska wóz i zapłacą za transport. Nie minęły trzy godziny, a ujrzeli rozciągnięte wzdłuż drogi miasteczko.

Sharshara była sporą osadą zbudowaną przy szerokim trakcie. Ślady końskich kopyt, linie kół powozów i dziesiątki odcisniętych butów świadczyły o tym, że szlak jest mocno uczęszczany. Po drugiej stronie drogi ujrzeli potrójny drogowskaz. Wskazująca północ tabliczka opatrzona była słowami: „Chegara (cesarskie Togli)”. Górzyste terytorium odcięte

gołoborzem od krasnoludów z Bolga, graniczące również z niebezpiecznym Yer Osti, stanowiło zachodni przedsionek cesarstwa. Przedsionek zaiste wygodny, gdyż osłaniający pozostałe kraje przed atakami z zachodu. Dzika kraina, w której głęb nie zapuszczał się nikt z głową na karku, stała się ostoją bandytów i potworów nieuznających granic cywilizacji.

Kierująca na wschód tablica miała naskrobany napis „Plaven”. Znanie Brenowi przygraniczne miasto należało do największego cesarskiego kraju, w którym się urodził. „Pępek świata”, jak mawiał o Kindik zasiadający na tronie Cesarz, był regionem różnorodności i sprzeczności. Zbudowana na planie pajęczyny ogromna stolica, Meros, z Pałacem Światła i Cesarską Lożą podkreślała potęgę militarną, handlową i magiczną kraju. Ściągali do niej kupcy, ochotnicy pragnący sprawdzić się w armii, a także poszukujący zarobku najemnicy. W wielu wioskach Kindik panowały jednak ubóstwo i głód. W odróżnieniu od wschodniego sąsiada – Dengiz – brak długiej linii brzegowej, na której można by zbudować porty, rozwinąć handel i rybołówstwo, zmusił mieszkańców do mniej opłacalnych rolnictwa i łowiectwa.

Na skierowanej ku zachodowi strzałce znajdowały się napis „Yer Osti” oraz symbol czaszki. Estepczycy znali historię i wiedzieli, że to miejsce należy omijać szerokim łukiem.

Bren zlustrował otoczenie, lecz nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Po krótkim spacerze dotarli do centralnego punktu Sharshary, gdzie Pieprz spodziewał się znaleźć swój wóz. Półokrągły plac zajęty był przez wypełnione kupcami kramy, w których zachwalano pożywienie, przyprawy i broń. Dwóch krasnoludów dobijało targu nad otwartym workiem z drogocennymi kamieniami. Wyjątkowo niski gnom z siwą brodą wyciągał dłonie w stronę fasoli, której stosy piętrzyły się na czerwonym materiale. Gniade konie zarżały, kiedy krasnolud szarpnął uzdę, by wycofać wóz. Wszędzie panował gwar potęgowany stukotem kół i rumorem przekrzykującego się tłumu.

Zauważyli otoczony balustradą duży plac oraz tabliczkę z napisem „Usługi i towary drobne”. Zgromadzeni przy barierce wykrzykiwali różne

zwroty: „listy”, „towary wrażliwe”, „przewóz osób”, „zwierzęta martwe”. Inni pakowali coś do worów i negocjowali z klientami. Smród potu mieszał się z zapachem dymu wypalanych pieczęci, którymi zamykano kontrakty i dobijano targu. Wysoka kobieta wymachiwała chustą i krzyczała zachrypniętym głosem: „Janubyi, Janubyi, targ niewolników, wyjazd rano!”.

Na drewnianej barierce siedział ptak o szarych skrzydłach. Gdyby nie duże żółte oczy, którymi obserwował Brena, chłopak uznałby go za fragment drewna. Czarne punkciki źrenic były nieruchome, choć głowa dygotała. Ptaszysko rozdziawiło dziób, zaskrzeczało i zerwało się do lotu. Gwidon podążył za wzrokiem Brena.

– Widziałem takie na ramionach piewców! – zawołał.

Sprawnym ruchem zdjął z pleców długi łuk, który zabrali myśliwemu, po czym nałożył strzałę. Ptak przyspieszał, zagarniając powietrze ogromnymi skrzydłami. Łucznik znieruchomiał niczym posąg. Obracał się delikatnie wokół własnej osi, próbując namierzyć cel. Skupiony, z wciśniętym w policzek kciukiem i trzema palcami trzymającymi cięciwę, wyczekiwał najlepszego momentu. Wstrzymał oddech i naprężył mięśnie. Struna strzeliła, wypływając ze świstem strzałę. Ta śmignęła, mijając ptaka w dużej odległości. Kształt stworzenia jeszcze przez chwilę majaczył w oddali, po czym rozplynął się w porannej mgle.

– „Potrafię zestrzelić płaskótkę w nocy”. Niech ci piorun rzyć przysmoli – mruknął Bren.

– Wszystko wytłumaczę...

– To ścierwo leci prosto do siedziby!

– No dobrze, z łukiem kłamałem, ale gotuję świetny makaron z wodorostami.

– Gwidonie, wytłumacz mi, jak można...

– Ty też kłamałeś, panie Triodzie!

– Czy możecie na moment zamilknąć? – przerwał kłótnię Pieprz. – Wydaje mi się, że znalazłem swój wóz.

## Rozdział 10

# W nieznane

Chociaż pomocna dłoń Pieprza kosztowała większość zarobionych u piewców pieniędzy, uznali, że warto ją przyjąć. Szare ptaszysko na pewno dotarło już do swej pani, a wysłane tropicielki zacieśniały kręgi.

Kiedy gnom otrzymał wynagrodzenie, przeliczył je dokładnie, po czym uniósł plandekę wozu, odsunął jedną z beczek i wskazał wąski korytarz między dengiskim winem a tekstyliami. Młodzieńcy wskoczyli do środka, lokując się na końcu ukrytego przejścia.

– Zasadniczo możemy rozmawiać, choć proponuję poczekać do czasu, aż opuścimy miasto – powiedział, gdy ruszali.

– Ufasz mu? – wyszeptał Gwidon.

– Uratowaliśmy go z niezłej opresji – odparł Bren, żując kawałek słomy.

– Pytanie: czy ty wciąż ufasz mnie?

Gwidon przyjrzał mu się bacznie. Parę razy próbował zacząć zdanie, aż w końcu wydukał:

– Chyba tak.

– Nie znałem magii, gdy trafiłem do piewców. Pewnego dnia poczułem coś dziwnego i tak już zostało.

Gwidon słuchał w skupieniu, skrobiąc paznokciem o podłogę wozu.

– Myślisz, że im uciekniemy? Tak na dobre?

– Nie wiem – odparł Bren. – Widziałeś, jak są zorganizowani i zawzięci.

– Może dowiemy się więcej od innych magów w tej kryjówce dziadka?

– Wypraszam sobie – usłyszeli głos gnoma. – Mam dopiero trzysta trzydzieści lat, a żyjemy ponad czterysta. Zamiast „dziadek” użyłbym

wyrażenia „w sile wieku”. Głowę mam sprawną, a i ciało niejedno potrafi, ot co, panowie. Wiedzieliście, że Taklif zamieszkują motyle, które żyją tylko dzień? Jeden dzień! Wykluwa się taki ze wschodem słońca, a wieczorem koniec. Nazwalibyście go dziadkiem zaraz przed kolacją, ot co.

Zerkali po sobie z niedowierzaniem, nie mając pewności, czy nie lepsza byłaby podróż we własnym towarzystwie.

– Dlaczego mówią na ciebie: Pieprz? – spytał Gwidon.

– To przez moje zamię na nosie. Kiedy byłem mały, wołali: pieprzyk, ale pewnego dnia nieżyjąca już małżonka powiedziała: „Stary już jesteś, gdzie ci do pieprzyka”. Od tamtej pory jestem Pieprzem – rzekł gnom głosem wypełnionym radością i siłą, jakby wyrzucił z głowy wspomnienia ostatnich zajęć.

*Albo po prostu niewiele pamięta* – pomyślał Bren.

– W gronie pięknych gnomów trochę zmieniam tę opowieść. Wtedy „Pieprz” oznacza mistrza fechtunku. Mam nadzieję, że wiecie, który miecz mam na myśli, panowie. – Wybuchnął śmiechem.

– Chyba mieczyk – parsknął cicho Gwidon.

Bren świdrował go wzrokiem, dając znak, by nie prowokował woźnicy do dalszych rozmów. Gnom jednak nieproszony opowiedział historię zawalenia świątyni w Plaven, podkreślał istotę dobrego opisywania map i podzielił się kilkoma dowcipami, z których śmiał się tylko on.

Po godzinie jazdy usłyszeli parsknięcie koni, a wóz się zatrzymał.

– Dokąd jedziecie, gnomie? – Szorstki kobiecy głos zawierał nutę stanowczości.

– Z najprzedniejszym dengiskim winem prosto do Chegary. A wyście nie strażniczki, więc kto?

– Polujemy, a ty zwierzęta turkotem płoszysz.

– A jakże ciszej mam jechać, skoro bruk kamienny cesarstwo zbudowało? Usłyszeli kroki. Wozem szarpnęło, gdy konie zarżały nerwowo.

– Te wilki w las odwołajcie, bo konie dęba stają – powiedział Pieprz.

Bren zerknął na Gwidona, który obgryzał paznokcie. Poczuli woń mandarynki. Czyjeś palce z szelestem sunęły po plandece.

– Wino, powiadasz? – spytała kobieta. – Pozwól, że przyjrę się beczkom.

– I dywany – dodał gnom. – Oglądaj, skoro musisz.

Usłyszeli szmer podnoszonej plandeki. Czyjaś pięść uderzyła w wieko.

– Otwórz ją.

– Toż towar wyleci. – Głos Pieprza dochodził z tyłu wozu.

– Otwórz albo ja otworzę ciebie, starcze.

Bren wtulił się w rulon dywanu, który miał za plecami, i spojrzał w rozszerzone oczy Gwidona. Usłyszeli odbijanie beczki i po chwili szum wypływającego wina.

– Wystarczy – zakomenderowała nieznajoma.

Czekali, lecz nic się nie działo. Bren próbował dosłyszeć cokolwiek. Bezskutecznie.

– Jedźże, gnomie – rozbrzmiał głos kobiety.

Stukot kroków. Pieprz wskoczył na miejsce woźnicy. Wóz ruszył, turkocząc i podskakując na wybrukowanych kamieniach. Owca

\* \* \*

Kolejne godziny jazdy mijają spokojnie. Brukowaną drogę zastąpił piasek, co docenili ukryci między towarami uciekinierzy. Kiedy wóz stanął, beczka odsunęła się i ujrzeli rozpromienioną twarz gnoma.

– Do celu jeszcze trochę, ale tu, gdzie jesteśmy, ukrywanie się jest zbędne. W zasadzie to możecie siedzieć ze mną na wozie.

Bren wysunął ostrożnie głowę, po czym stanął na popękanej ziemi. Otrzepał ubranie z kurzu i popatrzył po okolicy.

– Daleko do Chegary?

– Och, nawet tam nie jechaliśmy, skręciłem. W Togli magowie nie zaznają spokoju. Prędzej czy później zostaną tam wywęszeni.

– Więc to wciąż Kindik? – spytał Gwidon, przeczesując blond czuprynę.

– Zasadniczo to Yer Osti, godzinę temu minęliśmy granicę.

– Yer Osti?! – krzyknęli jednocześnie młodzieńcy, podbiegając do



Pieprza. – Zabrałeś nas do Yer Osti, ty bezmózgi gnomie?

– Panowie...

– Nawet dziecko wie, że nikt o zdrowych zmysłach nie postawi tu stopy.

Bren popchnął starca.

– W Taklif nie uczyli was o wojnie wstrząsów i czym grozi odwiedzanie tej okolicy?!

– Mili panowie. – Gnom uniósł dłonie. – Zaufajcie mi, byłem tu już wcześniej. Godzinę drogi stąd jest Azyl.

– O ile wcześniej nie zabije nas trzęsienie ziemi.

– Tu jesteśmy bezpieczni, zakapturzeni też boją się Yer Osti. Nasz strach musi być trochę mniejszy, ot co. – Pieprz pokazywał palcami rozmiar trwogi.

Po krótkiej kłótni zgodzili się usiąść koło gnoma i wóz ruszył. Zmarzniętą powierzchnię ziemi pokrywały pęknięcia oraz ziejące czernią głębokie rozpadliny porośnięte na brzegach szarymi, kolczastymi krzakami. Chłodny wiatr popychał splątane wieńce zarośli, rzucając nimi po zmrożonych stepach. Połamane drzewa i majestatyczne głązy leżały porozrzucone aż po horyzont, tworząc trudny do polubienia, martwy krajobraz.

Pieprz manewrował wozem, uważając, by żadne z kół nie wpadło w wyrwę. Kiedy mijali doszczętnie zniszczony budynek, zagadnął:

– Mówią na niego: ostatni magazyn. To najdalej wysunięta od granicy wybudowana przez cesarstwo placówka. Kiedy trzysta pięćdziesiąt lat temu Cesarz zwany Zdobywcą wyruszył na podbicie Yer Osti, właśnie w tym miejscu zlecił budowę magazynu części. To tu cesarscy inżynierowie składali plujące ogniem katarakty i podwójne trebusze. Do tego budynku dostarczano miecze, włócznie i zapasy pożywienia.

– Czytałem, że armia się rozproszyła – wtrącił Gwidon.

– Lekka jazda ruszyła w głąb nieznanego terytorium, a ciężcy i artyleria jechali swoim tempem. Czekali na ukończenie budowy kolejnych punktów zaopatrzenia. Problem polegał na tym, że skauci nie znaleźli żadnego miasta ani osady. Dotarli daleko i zatoczyli koło, a wtedy rozpętało się piekło.

– Trzęsienie ziemi...

– Potężne. Księgi prawią, że ziemia pochłonięła znaczną część artylerii. Głazy spadały z martwych gór, grunt nawarstwiał się, niszcząc napotykaną przeszkodę, a pierwszy magazyn... cóż, stał się ostatnim. Klęska, jakiej nigdy wcześniej nie zaznało cesarstwo. Odwrót, zanim ujrzeli twarze przeciwników.

Obserwowali okolicę, wsłuchując się w stukot kół.

– Czy to prawda, że mieszkańcy Yer Osti potrafią kontrolować trzęsienia ziemi?

– Zasadniczo trudno o lepszą teorię, bo jak inaczej to wytłumaczyć? Kilkadziesiąt lat wcześniej horda orków i goblinów najechała Yer Osti od Boshqalaru. Rezultat był podobny: trzęsienie. Już same Pustkowie dziesiątkowały armię dzikusów, ale spora część dotarła do północnych rubieży Yer Osti. Z tą różnicą, że mieli wyłącznie piechotę, więc daleko nie zaszli.

– A Azyl? Jak udało się tam ukryć magom?

– Jedyne sukcesy, podkreślane wielokrotnie przez Cesarza Zdobywcę, to fakt odkrycia podziemnego miasta. Kiedy wpadli tam cesarscy siepacze, zastali je opuszczone. Widocznie tajemnicza rasa śledziła poczynania najeźdźców i w porę uciekła. Zostawili po sobie niemało rzeczy, nad których przeznaczeniem do dziś łamią umysły mędrcy Cesarskiej Łoży. Sporo artefaktów rozkradziono, uszkodzono lub sprzedano za bezcen. Z biegiem lat jedyny sukces został zapomniany. Nieodwiedzane miasto na wrogim terytorium stało się idealną kryjówką dla magów uciekinierów.

Mężczyzna ściągnął lejce i zatrzymał wóz.

– A jeżeli mowa o Azylu, widzicie ten głaz? No właśnie... Bo to wcale nie jest głaz.

## Rozdział 11

# Azyl

Kiedy dłoń gнома wpadła do środka głazu, Bren i Gwidon aż krzyknęli z zaskoczenia. Pieprz zamachał, by podążali za nim. Czymkolwiek był wielki kamień, oszukiwał zmysł wzroku, zasłaniając ukryte w śniegu wejście. Kiedy otworzyli metalową pokrywę, z ciemnej dziury buchnęło zatęchłe powietrze. Schodzili pojedynczo, przytrzymując się drewnianej drabiny, a Bren wyobrażał sobie, że jest cesarskim siepaczem, który odkrywa miasto nieznanego wroga. Po pokonaniu kilkudziesięciu szczebli ruszyli korytarzem rozświetlonym kępkami fosforyzującego mchu. Gwidon oderwał kawałek puszystej rośliny, lecz mech w dłoni skurczył się i po chwili zgasł.

– To ty, Pieprz? – usłyszeli kobiecy głos dobiegający z oddali.

– Tak, siostró, przyprowadziłem nowych.

Dotarli do komnaty i ujrzeli siedzącą na stołku kobietę owiniętą grubym płaszczem z wilczych skór. Tuż obok jej nóg zauważyli wypełniony wiórami pojemnik, mały kozik oraz rozpoczętą rzeźbę przypominającą głowę wilka. Za plecami nieznanym tkwiła krata oddzielająca pomieszczenie od ciemnego szybu.

– Dawno cię nie było, Pieprz. Martwiliśmy się, że nas zostawiłeś.

Gnom zaśmiał się nerwowo.

– Chyba wpadłem w nieodpowiednie towarzystwo.

Również się zaśmiała, po czym spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

– Obaj?

– Jeden na pewno.

Podeszła do Gwidona i złapała go za rękę. Po chwili wyciągnęła dłoń

w stronę Brena, a kiedy palce dotknęły jego skóry, ten poczuł mrowienie i ciepło.

– *Kim jesteś?* – usłyszał w głowie obcy głos.

– *Nazywam się Leba. A ty?*

– *Jestem Kashur z klanu Ghorra* – odpowiedziała ukryta w kobiecie istota.

– *Parkanin? Jesteś w niej? To niesamowite, bracie!* – krzyknął Leba.

Nieznajoma cofnęła dłoń.

– Jeszcze będzie okazja, żeby panowie sobie porozmawiali. Chodźcie za mną.

Wsunęła nietypowy klucz do zamka kraty, przekręciła, po czym uniosła żeliwną bramę i zaczęła manipulować przy dziwnych przełącznikach. Usłyszeli metaliczny odgłos dochodzący z dołu. Skrzypienie narastało, wypełniając szyb nieprzyjemnym chrobotem. Po dłuższym oczekiwaniu ujrzeli nadjeżdżającą platformę, która zatrzymała się na poziomie gruntu. Kobieta poprosiła dwóch młodzieńców, by na nią weszli.

– Nie wiemy, jak to działa, ale bezpiecznie przewiezie nas do miasta – powiedziała, zauważywszy, że się wahają.

– Na mnie już pora – rzekł Pieprz. – Miło było was poznać.

– Chyba nie było okazji, żeby ci podziękować – przyznał Bren.

– Och, woleliście poświęcać czas na nerwy i kłótnie, ot co. – Gnom uśmiechnął się, ściskając ich dłonie. – Tak po prawdzie to ja jestem wam winny podziękowania. Gdyby nie wy, pewnie tkwiłbym w lochu piewców albo wciąż mieszkał pod podłogą tego szaleńca. – Spojrzał na kobietę, która nuciła coś pod nosem. – Tu powinniście być bezpieczni, ja zaś ruszam dalej. Muszę komuś sprzedać to wino.

– Uważaj na siebie – powiedział Bren. – Jeśli myśliwy wydostanie się na wolność, może cię szukać. Wie, jak wyglądasz.

– Bez obaw. Nie wracam do Sharshary. – Pomachał im.

Kiedy kobieta zasuwawała kratę, widzieli, jak gnom bierze do rąk rzeźbę. Platforma ruszyła z łoskotem, a Pieprz spojrzawszy z góry na Gwidona i rzekł:

– Czasami strach ma wielkie oczy. Ostatecznie i tak liczy się wielkie

serce. Pamiętajcie o tym w chwilach zwątpienia.

\* \* \*

Platforma zjeżdżała ospale do wnętrza ziemi, szorując o fragmenty skał, po których spływały strużki krystalicznie czystej wody. Jedyne światło dawał zielony mech wypełniający stojące w rogu donice.

– Wielkie serce – powiedziała kobieta. – On ma największe, jakie znam.

Spojrzeli na nią z ciekawością.

– Nie bierze opłaty za transport, dostarcza za darmo pożywienie. Jak nie lubię gnomów, tak Pieprz jest przeciwieństwem swoich chciwych pobratymców.

– Nas podliczył za transport całkiem sporo – wtrącił Bren.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Zawsze tak mówi. Czy zgodzilibyście się pojechać z nim za darmo? Zbyt podejrzane, prawda? No co tak patrzycie? Daję głowę, że podłożył pieniądze do tego worka.

Bren rozchylił sakwę i ujrzał złote i srebrne monety. Kiwnął do Gwidona, zaciągając sznur.

– Możecie mówić mi: Sue. A was jak zwa?

– Jestem Gwidon.

– Bren. – Wyciągnął dłoń w jej kierunku.

– Wystarczająco kręci mi się w głowie. – Nie wyciągnęła swojej. – Wiesz, że gdybym ją uścisnęła, skrzydlaci panowie znowu zaczęliby dyskutować. Po kilku chwilach stracilibyśmy przytomność, a kolega Gwidon sam nie obsłuży platformy. Rozmowa dwóch Parkan wyczerpuje siły dużo szybciej niż kontakt z własnym.

Była szczupłą, młodą kobietą o ładnym uśmiechu i owalnej twarzy. Miała pofalowane ciemne włosy i przedziałek na środku głowy. Szeroki nos, pełne usta, brwi sięgające kosmyków opadających na skronie, a także ciemniejsza karnacja mogły sugerować dengiskie pochodzenie, choć nie mówiła tak melodyjnie jak ludzie z wybrzeża. Ubrana w zwiewną tunikę sięgającą kolan

obserwowała nowo przybyłych.

– Mamy tu dwie zasady, których się trzymamy. – Wystawiła dwa palce. Platformą delikatnie szarpnęło, ale wciąż zjeżdżała.

– Każdy mieszkaniec Azylu musi pełnić dyżur: gotowanie, sprząatanie, pilnowanie wyjścia. Nikt nie wie, jak długo potrwa to szaleństwo, więc żyjemy tu jak we własnym domu. Druga zasada brzmi: nie każdy musi lubić każdego, ale najdrobniejsza przemoc oznacza konieczność opuszczenia Azylu. Macie pytania?

Gwidon stał z zasepioną miną i pocierał dłonie.

– Gdzie będziemy mieszkać?

– Wybierzecie wolny budynek na którymkolwiek pierścieniu.

– Pierścieniu? – spytał Bren.

Platforma zachybotła się i zatrzymała na skalnej podłodze.

– Jesteśmy na miejscu. Zaraz zrozumiecie, co miałam na myśli.

\* \* \*

Kiedy wyszli z krótkiego korytarza, zamarli, nie wierząc własnym oczom. Ujrzeli gigantyczną, pustą przestrzeń, jakby bogowie zakpili z żyjących na powierzchni i stworzyli pod ziemią miejsce dla nowego świata. Ze skalnego sufitu zwisał potężny, zielony kryształ rozświetlający głębię. Jego podstawa scalona była u góry z czterema mocowaniami z nieznanego Brenowi metalu. Wbite w kryształ przęsła podtrzymywały okrążający go skalny pierścień, na którym stali. Kolejne, coraz mniejsze kręgi prowadziły w dół, otaczając kryształ niczym wielka obierka jabłka.

Świetlista struktura olśniewała pięknem. Wyglądała jak skierowany w dół grot olbrzymiej strzały, w który bogowie wtłoczyli pulsujący rdzeń. Stanowiła jedyne źródło światła rozpraszające mrok pustki. Poza skalnym sufitem, kryształem i przytwierdzoną do jego górnej części spiralną konstrukcją nie widzieli nic więcej. Choć nie czuć było powiewu wiatru, a podziemne powietrze wręcz stało w miejscu, Bren odniósł wrażenie, że przebywa na zewnątrz.

– O bogowie, tam są domy – szepnął Gwidon, zaglądając ostrożnie poza krawędź skalnego kręgu.

– To jedyne miasto Yer Osti, które odkryto. Właśnie tu mieszkamy.

– Ten kryształ. Jaki on jest ogromny!

– Mędracy podejrzewają, że to właśnie on chroni miasto przed wstrząsami. W niewytłumaczalny sposób absorbuje je, zabezpieczając wszystko, co do niego przytwierdzone. Szczęście, że ostatnie trzęsienie było trzydzieści czy czterdzieści lat temu.

– Czyli tajemnicza rasa zbudowała miasta pod ziemią i potrafi niszczyć wszystko na jej powierzchni – podsumował Gwidon.

– Ale jak można kontrolować trzęsienia ziemi? – dociekał Bren.

Zaśmiała się.

– A jak można było zbudować to miasto? Kryształ? Mocowanie? Domy w skale? Ludy Estepii nawet nie zbliżyły się do takiego poziomu rozwoju.

Schodzili niżej. Pierścień zakręcał, lecz dzięki wyżłobionym w posadzce wcięciom zejście nie groziło potknięciem czy upadkiem.

– A ta pustka? Jak to możliwe, że pod powierzchnią jest tyle wolnego miejsca? – drążył Bren.

– Ziemia skrywa więcej tajemnic, niż nam się wydaje. To prawdziwa głębia. Nazwaliśmy ją gardłem świata. Wrzucaliśmy tam wiele rzeczy, wyczekując odgłosu uderzenia o ziemię. Bezskutecznie.

– Długo tu jesteś, Susan?

– Sue, mam na imię Sue. Przybyłam z Avą i jej rodzicami niedługo po tym, jak ruszyły polowania na magów. Trudno powiedzieć, ile to już czasu... Naszym słońcem jest kryształ, przez co nie sposób odróżnić nocy od dni.

– Zastaliście miasto niezamieszkałe?

– Na miejscu byli Eward i Faust. Poza tym cisza i spokój. Żadnych szabrowników, bandziorów.

– A ile osób tu mieszka?

– Siedmioro magów oraz jedna osoba towarzysząca.

– Tylko jedna? – zdziwił się Gwidon.

– Mało kto chce żyć w tych warunkach. Poza tym... – Zawahała się,

spoglądając w dół. – Było nas dziewięcioro, lecz ojciec Avy spadł.

– Spadł? – dopytywał Bren.

Sue machnęła dłonią.

– Na pewno będzie jeszcze czas, by o tym porozmawiać. Teraz chciałabym, żebyście poznali resztę.

Zewnętrzną krawędź pierścienia pokrywały skalne domy. Masywne budowle łączyły się w spójną linię zabudowań i ciągnęły na całej długości kamiennej obierki. Półokrągłe, puste otwory służyły za wejścia oraz okna.

– Zapraszam tu. – Sue wskazała najbliższy dom.



## Rozdział 12

# Nie ma to jak w domu

W surowym wnętrzu budynku ujrzeni grupę, która na widok wchodzących przerwała burzliwą dyskusję.

– Oto nowi mieszkańcy – powiedziała Sue. – Bren, który ma potencjał, oraz jego towarzysz, Gwidon.

Pięć osób milczało, obserwując gości.

– Czyńmy honory domu. Przedstawcie się, proszę – zachęciła. – Przepraszam za nich, są trochę wystraszeni – wyszeptała do Brena.

Niezręczna cisza przedłużała się w nieskończoność.

– Może ty pierwsza? – Sue nie dawała za wygraną. – Ines jako jedyna nie posiada potencjału magicznego.

Siedząca na kamiennym schodku siwowłosa kobieta wstała i się pokłoniła. Odziana w schludną szatę sięgającą kostek wodziła wzrokiem po swych znoszonych sandałach.

– Czy widzieliście mojego męża Vatora? Niski, krępy, ruda broda. Łatwo poznać, stracił w wypadku lewą dłoń... – mówiła roztrzęsionym głosem i skubała zapuszczone paznokcie.

– Ines – przerwała Sue. – Wiem, że ci ciężko, ale rozmawialiśmy już o tym. – Objęła ją i usadziła z powrotem na miejscu. Kucnęła i chwyciła jej dłonie, po czym zaczęła głaskać.

– Jestem Evard, to ja odkryłem to miejsce. – Kruczowłosa kiwnął głową, patrząc wyłącznie na Brena.

Postawny mężczyzna z wydatną żuchwą i odstającymi uszami świdrował chłopaka nieprzeniknionym spojrzeniem. Jego twarz szpecił oklapły nos,

w którym brakowało przegrody. Dół zmechanicznej koszuli wciśnięty niechlujnie w spodnie spiętrzył się u pasa.

– Tutaj nie podajemy dłoni. – Gestykulował. – Parkanie zamęczyliby nas, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Bren rozejrzał się po pozostałych.

– Mówcie mi Thulsa – wyszeptwała łysa kobieta, której dłoń kreśliła w powietrzu niewidzialne znaki. Zamyślony wzrok błędził po rękawie kwiecistej togi, którą miała na sobie. Dziury w przetartym ubiorze ukazywały zgrabne nogi i krągłe biodra.

Bren przyglądał się jej z zainteresowaniem. Pomimo braku włosów miała w sobie coś, co przyciągało. Drobną brodą, małe znamię na policzku, kształtne uszy, a w każdym po trzy jaspisowe kolczyki.

Pociągnęła nosem i wróciła do przesuwania palcami po niewidzialnym pergaminie.

Siedzący w rogu półelf o wesołych oczach pochylił z szacunkiem czoło.

– Silanus. Witam w naszych skromnych progach – powiedział, dosypując drobinki skał do trzymanej na kolanach donicy ze świecącym mchem.

Był młody, lecz garbił się jak starzec. Odziany w grubą ćwiekowaną kurtkę z ponaszywanymi symbolami natury zerkał na nich z łagodnym uśmiechem.

– Dziewczynka w kącie to Ava, córka Ines. Biedactwo niewiele mówi od wypadku ojca – wyjaśniła Sue.

Młoda dziewczyna z długim warkoczem skubała w skupieniu dłoń. Choć nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat, jej pełne usta i zawzięty wzrok powodowały, że wyglądała na sporo starszą. Aksamitna, biała, obsypana drobnymi piegami twarz nie zdradzała żadnych emocji, gdy właścicielka czekoladowych oczu przenikała Brena spojrzeniem. W czerwonej sukience z odkrytymi ramionami wyróżniała się spośród obecnych, jakby przybyła tu na chwilę lub znalazła się w podziemnym mieście przez pomyłkę.

Bren zauważył poprzeczne, ciągnące się na całej powierzchni rąk nacięcia. Część ran dziewczynki pokrywały ciemne strupy, na świeżych zaś

lśniły jasnoczerwone krople krwi.

– W Azylu mieszka również Hugo, ale akurat dziś pełni dyżur w kuchni.

– Nie ma też Fausta – rozległ się głos Evarda.

– Ach tak, Faust. – Sue dotknęła palcem czoła. – Rzadko opuszcza najniższy krąg. To harakun, wiecie, jak z nimi jest. Nie przepada za towarzystwem, najlepiej dać mu spokój.

– Jaki masz talent? – spytał Evard, patrząc prosto w oczy Brena.

– Przesuwam – odparł niedbale.

– A dokładniej?

– Potrafię przesunąć przedmiot. Problem w tym, że nie zawsze to kontroluję.

– Gówno! – wrzasnęła Thulsa. – Kolejna moc z gówna, jak wszystkie inne.

– Opanuj się! – upomniął ją Evard.

– A nie mam racji? Jesteśmy bandą nieudaczników. Rysuję symbole, których nie rozumiem, ty bawisz się jabłkami, dopóki nie stwardnieją, a ten zwichrowany półelf gada z roślinami. – Spojrzała na Sue z wyrzutem. – Gówno wiemy i gówno potrafimy. Tylko patrzeć, kiedy po nas przyjdą.

Ava wstała i wyszła bez słowa. Matka wybiegła za nią.

– Kto nas obroni? Może ten gnom, który przyciąga okruszki? Gdy przyjdą tu po nas, przywoła wszystkie okruszki świata! – zakpiła.

– Dość! – Sue zmarszczyła brwi. – Nie podoba ci się, to wracaj, skąd przybyłaś! – W jej oczach dostrzegli wściekłość.

Thulsa westchnęła i pogładziła łysą głowę.

– Ach, podoba mi się, podoba! – Odwróciła się do nowo przybyłych. – Wy też będziecie zachwyceni.

\* \* \*

Sue pożegnała się, by kontynuować dyżur na górze, a Silanus obiecał oprowadzić gości i pomóc im wybrać domostwo. Kiedy wstał, dostrzegli sporej wielkości garb na jego plecach. Nieogolony półelf uśmiechnął się

smutno i wskazał go kciukiem.

– Mój rachunek za dar magii. Sakwa, która zawsze będzie już ze mną. Evard może ukrywać swój nos pod kapturem, a ja? Cokolwiek bym zrobił, sami rozumiecie...

Kiedy wyszedł, ruszyli za nim. Obserwowali, jak drobi kroki.

– Cztery tysiące domów, a zajętych tylko siedem – powiedział, wskazując skalne budynki. – Na pewno znajdziecie taki, który przypadnie wam do gustu.

– Szukamy dwóch domów – doprecyzował Bren.

– Naturalnie. – Mężczyzna spojrział w ich stronę, zarzucając warkocz na garbate plecy.

– Kto tu rządzi? – spytał Gwidon.

– Teoretycznie wszystkie decyzje podejmujemy wspólnie, praktycznie zaś rządzi Sue, choć Evard pewnie myśli inaczej.

– Nie wyglądacie na żyjącą w przyjaźni rodzinę – zauważył Bren, skupiając wzrok na dziesiątkach żył wielkiego kryształu.

Półelf zignorował stwierdzenie i wskazał mijane budynki.

– Domy są bardzo podobne, niestety bez wyposażenia. Większość z nas zamieszkuje ten pierścień. Jest blisko do wyjścia, kuchnia i jadalnia w pobliżu. Jedynie Thulsa i Faust wybrali inne lokacje. Harakun zajmuje najniższy krąg, a krzykaczka, którą już poznaliście, zamalowuje symbolami budynki pod nami.

– A co to za paskudztwo!?! – spytał Bren z odrazą.

Podążyli za jego wzrokiem. Na powierzchni kryształu dostrzegli gąsienice. Pokryte dziesiątkami sterczących włosków larwy wielkości ręki przesuwwały się po świecącej ścianie, wyginając tułowia. Czarne, z nakrapianymi na grzbiecie pomarańczowymi paskami wyglądały odrażająco.

– Na wszystkie zarazy świata... – wyszeptał Gwidon i wycofał się bliżej zewnętrznej części pierścienia.

– Były tu, gdy przybyliśmy – powiedział spokojnym głosem Silanus. – Robią wrażenie niegroźnych, choć... zdania w Azylu są podzielone.

Stanęli i obserwowali, jak włochate stworzenia przysysają się do kryształu.

– Znajdujemy sporo powłok – dodał półelf.

– Powłok? – odezwał się Gwidon.

– Pomarszczonych skór – doprecyzował. – Walają się po zacienionych miejscach pustych domów. Eward twierdzi, że gąsienice się przepoczwarzają. Część mieszkańców przyznaje mu rację. Inni, w tym ja, uważamy, że tylko linieją.

– Ale czemu łążą po kryształach?

– Najwyraźniej uwielbiają jego światło. – Silanus przybrał melancholijny wyraz twarzy. Westchnął. – Ach, gdyby moje zaklęcie pozwalało lepiej je zrozumieć...

– To prawda, że rozmawiasz z roślinami? – zainteresował się Bren.

Półelf uśmiechnął się i odchylił do tyłu głowę.

– Nie nazwałbym tego rozmową. Potrafię rozpoznać w nich dobro i zło.

– Chyba nie słyszałem w życiu nic dziwniejszego.

Mężczyzna zaśmiał się głośno, błyskając bielą równych zębów. Gdyby nie garb, mógłby oczarować niejedną kobietę. Wysoki, o ciemnych oczach i wyćwiczonej sylwetce zwracał uwagę rozbudowanymi barkami. Miał ciemną, zadbaną brodę oraz wygolone boki głowy. Długi warkocz powiązany rzemieniami opadał na plecy, sięgając krzyża, a szpiczaste uszy zdradzały krew przodków.

– Trudno to wytłumaczyć, ale czuję wtedy, jakbym był częścią roślin. Wiem, które lubią się z którymi. Problem w tym, że w Azylu mamy tylko świecący mech i zioła. Mieszkam tu jak ten chłopiec bez rąk z portowych opowieści. Ten, który dostał w prezencie miecz.

Po chwili dotarli do piętrowego budynku, w którego wnęce pojawił się młody gnom z wiadrzem pełnym ziemniaczanych obierek. Podszedł do krawędzi pierścienia i przechylił pojemnik, wysypując zawartość w pustkę.

– Jest i Hugo, nasz dzisiejszy kucharz! – krzyknął radośnie półelf. – Jediną osobą, która wie coś o gotowaniu, jest matka Avy, tak że nie miejcie zbyt dużych oczekiwań, jeśli chodzi o posiłki.

Hugo odstawił wiadro i przetarł chustą spocone czoło. Był młodym gnomem z niechlujnie przystrzyżoną brodą, długimi bokobrodami i grzywką zasłaniającą oczy. Jego palce powędrowały do służących za guziki kulek wiszących na zaczepach brązowego kaftana przepasanego sznurem. Przeszł z nogi na nogę i omiatał nieobecny wzrokiem okolicę, unikając przybyłych.

– To nasi goście, a raczej mieszkańcy – zaanonsował Silanus.

– Tak – powiedział Hugo, kręcąc jednym z guzików, i wrócił do budynku.

– Nie jest wybitnym rozmówcą, ale to dobry chłopak – powiedział Silanus, wskazując wewnątrz. – Tam gotujemy.

Pomieszczenie wypełnione było garami, miskami i porozrzucanymi sztuczkami. Na prowizorycznym stole skleconym ze skrzyń stał kosz z jabłkami, a o ścianę oparto otłuszczoną patelnię. Wystające ze ścian haki obwiązano suszącymi się: czosnkiem, rozmarynem i lawendą. Przylegający magazynek wypełniały stosy brukwi, cebuli i marchwi z poodcinaną, spoczywającą na worku nacią. Na stojącej w kącie ławie dostrzegli tuszę niewielkiego kozła oraz donice z ziołami.

– To tu rośnie? – Gwidon dotknął ziół.

– O tak. Rośliny lubią światło kryształ. Gdyby nie czyhające na zewnątrz niebezpieczeństwo, spróbowałbym przesadzić tu niewielkie drzewko. Ach! Widzę, że dziś będzie mięso! Wybornie!

– Koza – oznajmił Hugo.

– Podczas dyżuru możecie używać wszystkich dostępnych składników. Mało kto narzeka. Wystarczy, żeby było zjadliwe.

– Faust robi awantury – zaprotestował Hugo.

– „Awantura” to za duże słowo, Hugonie. Po prostu naciskał, żeby zamiast części dawać mu zwierzęta w całości.

– Jeśli dawać całe, to braknie kozy.

– Dokładnie tak. – Silanus objął gнома. – Dlatego tuszę kroimy, prawda? Harakun niech sobie marudzi, a i tak będzie dostawał udo lub pierś.

Zgarbiony półelf spojrzał na Brena, wskazał kuchnię i spytał:

– Mógłbyś zacząć jutro?

\* \* \*

Gdy skończyli oglądać kuchnię i jadalnię, poszwendali się po najwyższym kręgu w poszukiwaniu odpowiedniego zakwaterowania. Wybrali dwa wolne budynki sąsiadujące z domami Sue i Ewarda. Bren usiadł przed wejściem do swego domu i oparł się o ścianę. Poczuł zmęczenie. Nocna ucieczka, marznięcie w pułapce, paranoja w domu myśliwego, wreszcie podróż po zakazanym terytorium – wszystko to wydrenowało go z zapasu sił.

Zobaczywszy wyczerpanie gości, Silanus pożegnał się grzecznie i pokuśtykał w stronę przejścia na niższe kręgi. Gwidon zniknął w cieniu domu obok, a Bren wciąż siedział i wpatrywał się w delikatnie migoczący kryształ. Dość szybko poczuł senność, wstał więc i również przekroczył próg, zanurzając się w mroku surowych przestrzeni. Kucnął, wymacał podłogę przed sobą, sięgnął po worek i rozłożył na posadzce.

*Musi wystarczyć – pomyślał, kładąc się na materiale.*

W głowie zakiełkowała myśl o Lebie. Wiedział, że przy tak dużym zmęczeniu kontakt z Parkaninem nie będzie możliwy.

*Mam z tobą tyle do omówienia – pomyślał i poczuł, że brakuje mu tego zadziornego głosu.*

*Uratował mi życie? Przesada... Wpadł na pomysł wciśnięcia przycisku, to fakt. Był po prostu przydatny, nic więcej.*

Chłopak ziewnął. Pomimo zmęczenia senność nadchodziła powoli. Przewrócił się na bok. Twardo.

*Pomógł też przy taurynie. Czy jestem mu coś winien? – zastanawiał się.*

Myślał o tym, jak bardzo zmieniło się jego życie. Od zawsze omijał niebezpieczeństwa i unikał wszystkiego, co mogło prowadzić do zależności od kogoś lub czegoś. A teraz?

– Dbanie o siebie to i tak dużo – wyszeptał, czując, że nadchodzi sen.

Poszukał dłonią koca, lecz nic takiego nie znalazł. A jednak... Natrafił na coś, co go przypominało.

*Czyżby mieli tu derki?*

Wymacał szeleszczącą powierzchnię dziwnego worka. Była sucha i pomarszczona. Wsunął dłoń, rozwinął materiał. Pachniał dziwnie, trochę jak nadgniłe mięso.

Chwycił to, wstał i wyszedł przed dom, by obejrzeć przedmiot przy świetle kryształu. W jego dłoni spoczywała zwiotczała skóra dużej gąsienicy. Pusta w środku i nieomal sięgająca ziemi powłoka miała na powierzchni delikatne włoski.

– Na sralnik Cesarza i sto tysięcy demonów! – Cisnął ją poza krąg.

Obejrzał się w stronę domu.

*Czy jest ich więcej? To tylko skóry...*

Wzdrygnął się i położył przed budynkiem.

*Jutro wybiorę inny, lepiej doświetlony i przeszukam. O tak, wywalę każdy zasrany kokon, który znajdę!*

\* \* \*

Poczuł szarpnięcie za ramię i otworzył oczy.

– Nie chcę być niegrzeczny, naprawdę trudno tu liczyć czas, ale na moje spałeś ze dwie doby. – Pызata twarz Gwidona wisiała tuż nad nim.

Bren przetarł oczy.

– Pytanie pierwsze: dlaczego śpisz przed domem? Pytanie drugie: idziesz jeść?

– Zeżarłbym prandera w całości. Czy u ciebie też są te obleśne skóry?

Towarzysz pokręcił głową.

– Jeśli chcesz, możesz zamieszkać ze mną – zaproponował Gwidon, gdy ruszyli.

– Nie trzeba. Ciekawe, co jest dobrego do żarcia.

W pobliskiej jadalni siedziała większość mieszkańców. Brakowało Avy i Fausta, który ponoć pojawiał się wcześniej i zabierał posiłki do siebie. Cała reszta siedziała w milczeniu, nurzając drewniane łychy w wypełnionych zupą miskach. Polewka z liśćmi kapusty i marchwią była rzadka i kwaśna. Bren szukał w swojej porcji choć odrobiny mięsa, lecz trafił łyżką jedynie



na fragmenty warzyw.

– Martwię się o nasze oczy – zagadnął Silanus. – Od dłuższego czasu żyjemy pod ziemią i nie zanosimy na szybki powrót. Już teraz boją mnie, gdy widzę większe skupiska mchu, a co będzie po wyjściu na powierzchnię?

– Moje ropieją – dodał Eward, pocierając powieki.

– Żaden problem – rzekł Gwidon. – Nauczono nas przygotowywać maść, która rozwiąże ten kłopot.

Mieszkańcy Azylu spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– „Nas”? – spytał Eward.

– Mnie i Brena...

– A gdzie to uczą takich rzeczy i w jakim celu?

Gwidon nabrał powietrza, zapewne zdawszy sobie sprawę, że powiedział za dużo.

– Nasi ojcowie pracowali w kopalniach – zełgał Bren. – To wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Jedzący obserwowali ich w milczeniu.

– Dostosowanie już za tobą? – drążył Eward.

– To moment zaraz po połączeniu z Parkaninem – wyjaśniła Sue. – Nie jesteś wtedy sobą, robisz i mówisz rzeczy, które normalnie nie przysłyby ci do głowy.

Bren spojrział na Gwidona, pamiętając, jak obraził go w stołówce piewców. Po chwili dopadło go wspomnienie, kiedy wyżył się na lekarzu.

– O tak. – Uniósł głowę. – Czemu mówicie na to „dostosowanie”?

Sue machnęła łyżką.

– Każdy z nas przechodził to podobnie. To tak, jakby...

– Jakby charakter Parkanina dostosowywał się do nosiciela – wtrącił Eward.

Bren wzdrygnął się, usłyszawszy ostatnie słowo.

– *Lepiej brzmiałoby: dostosował się do pojemnika* – odezwał się Leba.

– *Wracasz po takiej przerwie i robisz sobie żarty?*

– *A niech mnie, gadający pojemnik* – drwił Parkanin.

– *Łajza.*

– *Wybacz, mam świetny humor. Na wyciągnięcie dłoni siedzą moi bracia. Co prawda w pojemnikach...*

– Więc? – Sue taksowała Brena wzrokiem, najwyraźniej oczekując jakiejś odpowiedzi. – Twój Parkanin ma przewagę jasnych czy ciemnych piór?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł chłopak, rozglądając się po pozostałych.

– Spytaj go. Według Silanusa to może mieć znaczenie.

Na potwierdzenie tych słów półelf wstał i oparł pięści na stole.

– Otóż Parkanie Sue, Hugona, Evarda oraz mój są z przewagą jasnych piór, Thulsa natomiast nosi ciemnego – oznajmił.

– *Mam w większości jasne pióra, ale koniecznie muszę poznać Parkanina Thulsy. Załatw to!* – Głos Leby zrobił się zimny i stanowczy.

– Jest jasny – powiedział Bren, odsuwając pustą miskę.

Po chwili zwrócił się z nerwami do Leby:

– „Załatw to”? Co to za ton?

– *To ważne, mam z kimś do pogadania.*

– *Po pierwsze: nigdy mi nie rozkazuj. Po drugie: co ty sobie wyobrażasz? Mam podejść do tej łysej wariatki i złapać ją za tyłek, byście mogli wspominać dawne czasy?*

– *Po co te nerwy?*

Chłopak zacisnął usta i uderzył łyżką w stół.

– *Nigdy z nikim nie musiałem nic uzgadniać. To ja...*

– *Liczyłeś się tylko ty* – stwierdził Leba.

Bren wstał od stołu, a skalny sufit zawirował. Zobaczywszy, że chłopak zaraz straci przytomność, Silanus złapał go w pasie, lecz upadli razem i uderzyli o ścianę.

– Ktoś musi mu opowiedzieć o zasadach rozmów z Parkanami – wtrącił Evard, po czym wlał resztkę zupy do ust.

## Rozdział 13

# Magia niejedno ma imię

Bren poczuł dotknięcie wilgotnego materiału i ujrzał kucającego nad nim Gwidona.

- To zaczyna być męczące – jęknął i dotknął sztywnego karku.
- Jakbyś poleciał przodem, to byłoby po zębach – zauważył Gwidon.
- Długo byłem nieprzytomny?
- Kilka godzin. Jutro twój dyżur, powinieneś oszczędzać siły.

Bren się rozejrzył.

- Gdzie jestem?
- U mnie. Narzekałeś na te skóry gąsienic. Pomyślałem...
- Czasem przydałoby się, byś więcej myślał, gdy gadasz. Zwłaszcza w grupie!

Wstał, ominął towarzysza i wyszedł na skalną drogę.

- Dokąd idziesz? – sapnął Gwidon za jego plecami.
- Czas przejść się po mieście. Chcę zobaczyć, co jest niżej.

Wycieczka na niższy krąg trwała połowę godziny. Mijali podobne skalne budynki, a otoczenie się nie zmieniało. Szli szerokim chodnikiem opadającym na kolejny, trochę mniejszy poziom. Wypełniony opuszczonymi domami zawijał ze spadkiem, by poprowadzić do następnego i następnego. Na ścianach budynków dostrzegli tajemnicze, połyskujące znaki. Kształt liter – jeśli nimi były – nie przypominał niczego znanego. Nie dostrzegli wspólnych cech z językiem ogólnym czy starym pismem. Żadnego powiązania ze znakami elfów, które dawno temu opuściły kontynent i zostawiły po sobie tylko księgi. Bren pamiętał pismo ludu Szkarłatnej

Królowej, zdarzyło mu się też podziwiać okręt oznaczony przez piratów z Langar. Powykręcane symbole na budynkach były jednak inne.

– Boję się tej wariatki – wyszeptał Gwidon na widok stojącej przy jednym z budynków Thulsy.

– Co oznaczają te znaki? – spytał Bren, gdy podeszli bliżej.

Kobieta spojrzała w ich stronę.

– Żebym to ja wiedziała – parsknęła. – Ślęczę tu godzinami, zbieram siły i pokrywam zaklęciem kolejne powierzchnie, licząc, że w końcu zrozumie, o co w tym chodzi. – Spojrzała na Gwidona. – Możecie zostać, w zasadzie brakuje mi towarzystwa. Większość unika mnie jak tego biednego Fausta. Zagląda tu tylko ta kobieta szukająca męża.

– Ines.

– A jakże. – Splunęła pod nogi. – Parszywa sprawa. Przyjechali tu we troje: ona, mężulek i córka z potencjałem. Facet był dziwny, wszędzie zaglądał, ściany macał, a po kilku dniach zniknął. Pewnie zleciał w nocy w tę piękną pustkę.

– Zdaje się, że Ines nie uznaje tej wersji – rzucił Bren.

– Dokładnie tak. Córka przestała się odzywać, a mamuśka szuka starego, wierząc, że wciąż żyje. Zagląda do każdego domu, nawołuje...

– Twoje symbole... Niektóre się poruszają – zauważył ze strachem w głosie Gwidon.

Thulsa zerknęła w stronę budynku.

– Rzadko, ale niektóre z nich tak. Nie da się ich potem niczym zamazać.

– *Pamiętasz o mojej prośbie?* – szepnął Leba.

– *„Prośba” brzmi znacznie lepiej od „muszę poznać Parkanina Thulsy”.*

Leba milczał.

– Czy będziesz miała coś przeciwko, jeśli nasi skrzydlaci się poznają? – spytał Bren.

– Chcesz znowu fiknąć kozła? – Zarechotała, krzyżując ręce na piersiach. Przyglądała mu się przez moment, po czym położyła dłoń na jego ramieniu.

Chłopak poczuł ukłucia setek igieł.

– *Kto zakłóca mój spokój?* – warknął obcy głos.

– *Leba z klanu Yrga. Czy to ty, Yu?*

– *Jestem Riede z klanu Abnoulis. Tracisz mój cenny czas.*

– Musi ci wystarczyć. – Thulsa cofnęła dłoń. – Jesteś mi winny kurze udko. A teraz wybaczcie, ale te cholerne znaki same się nie rozszyfrują.

Kiedy odeszli kawałek, zawołała:

– Polecam zobaczyć ścieżkę myśli.

Wrócili do niej.

– Zejście na sam dół to spora wycieczka, a ścieżka jest dwa kręgi niżej. – Skierowała palec w dół. – To taka duża, pionowa konstrukcja, co prowadzi w bok.

– Przecie po bokach nic nie ma – wymamrotał Gwidon.

– Zdziwiłbyś się. – Zerknęła w odległą ciemność. – Jak pójdziesz ścieżką do końca, widać brzeg skały. Tu, przy kryształach, wydaje się, jakbyśmy byli pośrodku pustki, ale to tak naprawdę duża podziemna dziura. Dziura, która ma sufit, boki i mam nadzieję, że również dno.

– A skąd ta nazwa?

– „Ścieżka myśli”? Jeśli spodziewacie się jakiejś legendy, to będziecie zawiedzeni. Sama tak ją nazwałam, bo lubię tam łązić i dumać.

Ruszyli dalej. Następne dwa pierścienie były jeszcze mniejsze. Początkowo zaglądali do domów, lecz zrezygnowali po obejrzeniu któregoś z kolei identycznego pustego wnętrza. Gwidon wciąż trajkotał. Zagadywał, wspominał „swoje poprzednie życie”, narzekał. Przyzwyczajony do ciszy Bren z czasem przestał odpowiadać na pytania, a dyskusja przerodziła się w monolog, który utknął w martwym punkcie.

Kolejny krąg okazał się inny. Thulsa mówiła prawdę. Prócz tego, że zejście prowadziło w dół, chodnik rozwidlał się i ciągnął daleko w bok. Problem polegał na tym, że po kilkudziesięciu krokach zniknął w ciemności rozpadliny.

– Ścieżka myśli – rzekł Gwidon. – Jaki wariat chciałby pójść w mrok?

– Nie masz ochoty sprawdzić, jak wygląda ściana tej rozpadliny?

– Mam ochotę na placki.

– Nie zastanawiasz się, kto to wszystko stworzył? Czy budowniczowie

wciąż żyją?

– Okraszone smażoną cebulką. Może być przypieczona.

Bren westchnął. Zawrócili.

Dotarli do poziomu, na którym mieszkała Thulsa, a tajemniczy chodnik nie dawał Brenowi spokoju. Ciekawość drwiła z niego, roztaczając wizję o ukrytych skarbach i nieodnalezionych artefaktach zaginionej rasy. Postanowił, że wróci tam po dyżurze. Wróci ze świecącym mchem.

\* \* \*

W trakcie kuchennego dyżuru Bren ugrzązł w magazynie skupiony na wymyślaniu potraw, którymi nie otruje mieszkańców. Zadanie niełatwe, gdyż surowce były na wyczerpaniu. Brakowało owoców, a mięsa mogło starczyć zaledwie na dwa dni. Evard zapewnił, że niedługo dotrze Pieprz ze świeżą dostawą, lecz na razie Bren planował wyczarować coś z buraków.

W progu kuchni stanęła Ines. Zrobiła krok w stronę garów wypełnionych krojonymi warzywami.

– Czy odwiedził cię może mój mąż?

Bren zaprzeczył, obserwując, jak kobieta poprawia zniszczone włosy. Jej obojętny wzrok lustrował magazyn...

– Vator jest taki zdolny. Potrafi tworzyć skomplikowane zamki i urządzenia. Kiedy tu trafiliśmy, od razu zafascynowała go kultura Yer Osti. Wprost oszalał na punkcie odnalezienia ich artefaktu. Machałam na to ręką, bo był taki od zawsze, zaglądał w każdą dziurę, zupełnie jak tu.

– Mieszkańcy mówią, że spadł – powiedział ostrożnie Bren.

– Ach, tak, kochany, co mają mówić? – Uśmiechnęła się. – Serce żony podpowiada jednak co innego.

Kobieta zbliżyła do chłopaka szarą, zmęczoną twarz. Jej bladoniebieskie oczy zalśniły.

– Jestem pewna, że znalazł ukryte przejście. Trafił do miejsca, z którego nie potrafi wyjść. Ale żyje, wiem to. – Jej usta drżały.

Bren nie zdążył odpowiedzieć, gdyż powstrzymała go gestem dłoni.

– Moja biedna Ava doznała szoku, ale to wszystko minie. Kiedy go znajdę, znów będzie jak dawniej.

– Widziałem na rękach twojej córki nacięcia. Biedne dziecko. Musi bardzo przeżywać stratę.

Kobieta spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Nacinanie zaczęło się wcześniej, tuż po otrzymaniu talentu. Najpierw nadgarstki, ręce, potem nogi. Nie pozwalała się obejrzeć. Podejrzewaliśmy z mężem, że nacina też brzuch i plecy, zupełnie jakby ból zaczął sprawiać jej przyjemność. Czy warto było płacić taką cenę za jedno zaklęcie?

– Co ona potrafi? – spytał Bren wstrząśnięty słowami Ines.

– Muszę szukać. On gdzieś tu jest – odparła niezbyt przytomnie i wyszła. Po chwili usłyszał, jak wchodzi do pobliskiego domu i wykrzykuje imię męża.

*Jeśli to nie miłość, to co nią jest?* – pomyślał.

– *Czym jest miłość?* – usłyszał głos Leby.

Wrzucił do garnka ostatniego buraka i chwycił dorodną rzepę.

– *Czy wy, Parkanie, nie znacie miłości?*

– *W moim świecie żyją kobiety, lecz ich jedynym celem jest dawanie potomków.*

– *Ale jesteście dla siebie bliscy, prawda? Masz żonę?*

Nastąpiła cisza.

– *Nazwałbym to raczej przywiązaniem. Najważniejsze są wiara i misja, do której jesteśmy przygotowywani.*

– *A matka, ojciec?*

– *Większość matek umiera w trakcie rodzenia potomka. Pazury dziecka rozrywają trzewia rodzącej. Ojcowie zaś znikają w anomaliach i więcej ich nie widzimy.*

Bren przestał kroić warzywo i odłożył nóż. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Myślał o Allyen, którą stracił na zawsze. Powędrował myślami do Rubii, przy której zaczynał czuć się bezpiecznie. Na koniec potoczył wzrokiem po surowym pomieszczeniu trawiony ogromną samotnością.

– *Miłość jest wtedy, gdy wiemy, że w drugiej osobie jest nasze*

*schronienie* – powiedział.

– *Rodzeństwo* – szepnął Leba. – *To z rodzeństwem mamy największą więź. Przez problemy przy narodzinach młodych Parkan posiadanie brata lub siostry zdarza się rzadko. Traktujemy to jak swego rodzaju cud. Uczucie do brata najbardziej przypomina mi opisywaną przez ciebie rzecz.*

– *Masz rodzeństwo?* – spytał Bren, czując, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

– *Miałem* – odparł skrzydlaty i przestał odpowiadać na kolejne pytania.

\* \* \*

Kiedy po niezbyt udanym obiedzie Bren sterczał nad garami, w kuchni pojawił się Gwidon. Mimo że zaczynał dyżur za dwa posiłki, przekonywał, że chciałby zmienić Brena i zacząć już teraz. Twierdził, że zależy mu na dobrym przygotowaniu składników, choć w głębi duszy Bren czuł, że może chodzić o coś innego. Litość po skosztowaniu ostatniej zupy? A może próbę odwdzięczenia się za uratowanie z opresji u myśliwego?

Początkowo odmówił, wiedząc, że takie zamiany mogą zostać odebrane jako kombinatorstwo, ostatecznie jednak na to przystał i odetchnął. Gotowanie nie było jego najmocniejszą stroną, o ile w ogóle jakieś miał.

Gwidon pytał o wszystko: co jest w workach, czym ostrzyć noże, co zrobić z resztkami. Na koniec wypchnął Brena z kuchni, mówiąc, że sam umyje garnki. Zwolniony z dyżuru chłopak wyszedł, słuchając narzekań na temat brakujących przypraw, po czym skierował kroki prosto do domu narad. Właśnie tam znajdowało się najwięcej donic ze świecącym mchem, których potrzebował na dzisiejszą wycieczkę.

Doniczki okazały się cięższe, niż myślał, dlatego odstawił dwie podłużne i wyruszył z mniejszą, okrągłą. Mijając zejście na kolejny poziom, pomachał siedzącemu na skraju pierścienia Silanusowi. Półelf go zignorował. Wpatrzony w głębie szeptał coś i zaciskał dłonie na krawędzi. Wydawał się inny, przygaszony. Bren ujrzał Ines wyłaniającą się z najbliższego budynku. Przyspieszył. Ostatnie, czego pragnął, to kolejna rozmowa o mężu tej



biedaczki.

Domy na kolejnym poziomie świeciły dziwnymi znakami Thulsy, lecz kobiety nie zastał. Zapewne udała się na posiłek. Kiedy dotarł do poziomego chodnika, zastanawiał się, czy nie zmienić planów i nie zejść na niższe pierścienie, szybko jednak pozbył się tej myśli. Nie po to taszczył donicę, żeby z niej nie skorzystać. Spojrzał na roślinę, której kępka pulsowała delikatnym światłem.

*Czy wystarczy?*

Przebiegł wzrokiem po ginącym w mroku chodniku.

– Musi – odpowiedział sam sobie, po czym ruszył na ścieżkę myśli, jak nazwała trakt Thulsa.

Szeroka na tyle, by mogło iść obok siebie dwoje ludzi, skalna promenada była idealnie prosta. Żadnych spadków i skrętów. Bren kucnął i wychylił się ostrożnie poza skraj chodnika. Zero filarów, zero podpór. Po prostu wystawał z pierścienia.

Ruszył dalej, obserwując, jak skalna aleja ciemnieje z każdym postawionym krokiem. Jego cień, początkowo długi, kołysał się przed nim między brzegami wąskiego chodnika. Z czasem jednak zniknął, aż w końcu dookoła została tylko ciemność. Chłopak przełknął ślinę i spojrzał na niemrawe światło mchu. Rozjaśniało dłonie i kawałek klatki piersiowej. Odwrócił się. Ostatni trójkąt światła kryształu ozdobił posadzkę kilka kroków wstecz.

*A jeśli spadnę? – rozważał.*

*A jeśli chodnik skręci, a ja pójdę prosto?*

Kucnął i zbliżył źródło światła do podłoża. Tak lepiej. Ruszył w kuckach. Jeden krok, drugi, trzeci. Czuł pod sobą skałę, widział jej fragmenty w świetle mchu, lecz poza tym nie było nic. Tylko oddech. Pomyślał o skarbach i ruszył odważnie.

Po dziesięciu minutach mozolnego dreptania spojrzał za siebie. Odległa poświata kryształu czyniła mrok szarym, lecz próżno było szukać zielonego blasku, który tak pięknie rozświetlał podziemny świat.

Usłyszał chrobot i zamarł. Uniósł dłonie z donicą i przesunął na boki, ale

zbyt nikle światło nie pozwalało nic dostrzec. Zrobił krok do tyłu. Ostrożnie. Nasłuchiwał.

Cisza.

*Co to był za odgłos?* – pomyślał nerwowo.

Usłyszał własny oddech. Cichy i przyspieszony.

*Jeśli pobiegnę w tej ciemności, po kilku krokach spadnę w pustkę.*

Dostrzegł odblask mchu na wisiorku z dwuzębem. Chwycił oczko z zaczepem i wyczuł obły kształt. Przypomniawszy sobie intensywny zapach trucizny. Zaprzagnął znów go poczuć. Zbliżył końcówkę wisiorka do nosa. Powąchał. Tym razem pachniał przyjemniej, jakby... morzem? Zamknął oczy i ujrzał scenę z przeszłości.

Leżał na cmentarzu w Ulanish. Odarty z ubrań, odarty z nadziei. Okradziony, oszukany. Bez szans na lepsze jutro. Otworzył paznokciem oczko wisiorka i pogłaskał opuszką truciznę.

*A gdybym tylko polizał?*

*Jak smakuje dwuzęb?*

*Czy miałbym odwagę go zgryźć?*

Powrócił myślami do cmentarnych wspomnień. Oczami wyobraźni dostrzegł bramę obok grobu, na którym leżał, i woźnicę oddalającego się od załadowanego worami wozu.

Zamknął oczko wisiorka i tak samo jak wtedy, na cmentarzu, wstał, odwrócił się i ostrożnie ruszył, zostawiając za sobą złe myśli. Szedł chodnikiem w stronę zielonej poświaty. Kiedy ujrzał kryształ, odetchnął. Poczucił się pewniej, zupełnie jak na cmentarnym podjeździe. Delikatne światło mieniło się na skalnej posadzce.

Wyrzucił donicę w pustkę i zaczął biec. Przyspieszył, podobnie jak tam, pośród pośniegowego błota, wpatrzony w stojący bez opieki wóz. Wskoczył wówczas na niego i uderzył lejcami konie. Zwierzęta wyrwały, parskając.

Odwrócił się i spojrzawszy w pustkę ciemnego chodnika. Zostawił tajemniczy chrobot i pokusę zgryzienia trucizny daleko za sobą. Poczucił się lepiej.

Gdy pędził skradzionym wozem, również zerkał w tył. Zorientował się, że wiezie worki wypełnione cennym pierzem. Uśmiechnął się. Miał dużo

szczęścia. Zupełnie jak teraz. Postanowił wrócić na najwyższy krąg.

\* \* \*

Na górny poziom dotarł w samą porę. Zbliżał się jego dyżur wartownika, a nie mógłby pełnić go bez wiedzy o tym, jak obsługiwać ruchomą platformę. Po zakończeniu krótkiego szkolenia z Ewardem pojechał na górę. Przy donicach ze świecącym mchem ujrzał znudzonego Silanusa.

– Moja kolej – powiedział Bren. – Zmienię cię.

– Gdy dosypuję drobinki skalne, mech na chwilę jaśnieje. Im niżej znaleziona skała, tym mocniej świeci. Ciekawe, nie uważasz? – Półelf wstał, zbierając swoje rzeczy. – Pamiętaj, w razie niebezpieczeństwa tym przyciskiem spuścisz platformę, a my ją zablokujemy. Kto wie, na jak długo ochroni nas iluzja skały.

– Kto właściwie ją stworzył?

– Faust. Co dwie doby przemierza całe miasto, by wzmacniać zaklęcie. Thulsa zżyma się, że jesteśmy bezużyteczni, ale po prawdzie gdyby nie on, już pierwszy patrol dostrzegłby właz.

– To musi być męczące tak często ponawiać zaklęcie.

– Dlatego nie zwracamy mu głowy, biedak całe dni odpoczywa. Wcześniej zanosiliśmy mu na dół jedzenie, lecz od paru dni upiera się, by po nie przychodzić.

Silanus dźwignął donicę i ruszył ku platformie.

– Byłem dziś na tym poziomym chodniku... – rzucił Bren.

Półelf się odwrócił. Pokiwał głową.

– Zwiedziliśmy go zaraz po wprowadzeniu się do miasta – powiedział.

– Udało wam się dotrzeć do końca?

– Och, trudno nazwać to końcem. – Silanus skrzywił się w cierpkim uśmiechu. – Co prawda widać stamtąd ścianę rozpadliny, ale chodnik jest urwany.

– Urwany? – zainteresował się Bren.

Półelf odstawił donicę i podparł się pod boki.

– Kończy się z sześć, może siedem kroków od ściany. Jakby oberwał się lub ktoś celowo go zburzył, by nie dotrzeć do tunelu. Nie rób takich oczu. Tak, tak. W ścianie wydrążony jest tunel. Zapewne kiedyś prowadził tam tenże chodnik.

– A czy... – Bren się zawahał. – Czy słyszeliście tam coś niepokojącego? Silanus przyglądał mu się z uwagą.

– Nawet jeśli coś słyszałeś, to tylko efekt pustki. Wczoraj siedziałem na krawędzi pierścienia i marzyłem, by skoczyć. Rozumiesz? Odepchnąć się i polecieć w dół, ku sercu ziemi. Myślę, że życie tutaj nikomu nie służy. – Wzruszył ramionami. – Nie przejmuj się odgłosami. Miłej warty. Jak dotrę, pošlę platformę na górę.

Warta dawała spokój i wytchnienie, gdyż nie docierały w to miejsce żadne dźwięki. Bren siedział na stołku, z dala od gładzącego Gwidona, pogrążony w myślach, jak lubił. Po jakimś czasie sięgnął po figurkę wilka, którą rzeźbiła Sue. Oceniał rozpoczęte dzieło i chwycił kozik. Opuszki palców złapały drewnianą grzywę, a niesiony wprawną dłonią nóż wycinał skrawki, tworząc podstawę pyska. Po kilku godzinach taniec noża ukazał zuchwę, ostre kły i pomarszczoną paszczę drapieźnika. Nacięcia oznaczyły niki włoski na końcówkach sterczących uszu, a drewniane oczy ukazywały piękno wilczej natury: odwagę i nieustępliwość. Bren zdmuchnął wióry. Ach, jakże uwielbiał rzeźbienie. Prędko pozbył się złych myśli i wrócił do równowagi, której tak bardzo potrzebował. Trzymając w dłoni dobre narzędzie, czuł się jak bóg, który zaklina postacie w drewnie. Gdy kończył przedmiot, miał zwyczaj polerować go nawilżoną olejkami chustą. Rzeźba połyskiwała wtedy, uwydatniając piękno wykonania. Teraz jednak musiał zadowolić się tym, co miał.

– *Piękne zwierzę* – pochwalił Leba.

– *Dziękuję.*

– *Chciałem z tobą porozmawiać.*

– *O czym?*

– *Wtedy, na ścieżce... Bałem się.* – Leba mówił ostrożnie, jakby nie chciał rozdrażnić Brena.

– *Uwierz mi, że ja też robiłem w portki.*

– *O ciebie się bałem. O nas...*

Bren zmarszczył czoło i odłożył nożyk.

– *Są takie chwile – kontynuował Parkanin – kiedy serce ogarnia strach. Strach jest dobry, dodaje siłę, pozwala odkryć nowe rozwiązania.*

– *Do czego zmierzasz?*

– *Musisz potrafić odróżniać strach od zwątpienia. To drugie jest podstępne i złe. Masz je w sobie, a kiedy pozwalasz temu czemuś dojść do głosu, niszczy cię od środka.*

Zamilkli, aby zregenerować siły.

– *Co radzisz?* – spytał Bren po tym, jak przetrawił słowa Parkanina.

– *Musisz odnaleźć coś, co doda ci siłę w tych momentach, i nawet wiem, co mogłoby to być. Magia.*

– *Magia?*

– *Ćwicz. Praktykuj zaklęcie, które znasz. Kiedy czarujesz, jestem jeszcze bliżej ciebie, czuję twoją siłę. Magia jest jak światło, które przegania słabość.*

Bren się zamyślił. Rzucanie zaklęć oznaczało nieprzyjemne parzenie ciała i ogromne zmęczenie na koniec, ale może był w słowach Leby jakiś sens?

Resztę dyżuru poświęcił na poszukiwanie energii, zbieranie jej w dłoni i celowanie w rzeźbę wilka. Pierwsze próby skończyły się fiaskiem. Moc uciekała lub przemykała po podłodze, z dala od figurki. Bren nie poddawał się i próbował ponownie. Kiedy brakowało mu sił, odpoczywał. Po trzech godzinach umiał bezbłędnie strącić cel. Przyjrzał się dłoniom.

*To całkiem niegłupie zaklęcie – pomyślał zadowolony. Chyba nastał czas, by dowiedzieć się, co potrafią pozostali.*

\* \* \*

Po powrocie na dół Bren ustalił, że to Hugo jest osobą, która umie przyciągać paprochy. Gdy poprosił o pokaz, gnom przykleił do palca drobinki chleba. Zapytany o szczegóły mówił półsłówkami, omijał wzrokiem

rozmówcę i nie potrafił się skupić na rozmowie.

– A co z tą dziewczynką? Poznałeś jej talent? – spytał Gwidon, gdy odwiedził Brena w jego domu.

– Próbowałem z nią porozmawiać. Pełni dyżury, przychodzi na posiłki, lecz wciąż brak z nią kontaktu. No i te nacięcia... – Bren wskazał własne ręce.

– Ciągłe ich przybywa.

– Tak. Kiedy byłem u niej ponownie, zgodziła się coś pokazać. Odprawiła dziwny rytuał.

– Odezwała się?

– Nie, ale po wszystkim narysowała to. – Bren podał Gwidonowi pergamin.

– Przecież to ty! – ocenił rysunek towarzysz. – A cóż to za leżące na drodze rozkraczone, skrzydlate paskudztwo? To harpia? Na bogów, ona jest naga i rozchyła przed tobą nogi. To najbardziej obrzydliwa rycina, jaką widziałem.

– Sam widzisz. Po obiedzie postaram się przekonać Ewarda, by pokazał, co potrafi.

Pokazowy numer maga trwał krótko. Widać, że mężczyzna praktykował zaklęcie, bo trzymane jabłko błyskawicznie stwardniało tak, że nie dało się go przekroić, a rzucone o ziemię wydawało głuchy odgłos.

– A jaki jest twój talent, Sue? – Bren zaczepił dziewczynę, gdy samotnie sprzątała salę obrad.

– Mój talent? – Dziewczyna uśmiechnęła się i wyprostowała. – Jest kompletnie nieprzydatny. Prawdę mówiąc, gdyby nie to, że mam w sobie obcy głos, najchętniej bym o tym zapomniała.

– Może nie odkryłaś jeszcze zastosowania? – Usiadł okrakiem na przetartej części ławy.

Westchnęła i podeszła bliżej. Stanęła naprzeciwko Brena i zamknęła oczy. Pomyślał, że jest zmęczona lub po prostu zła z powodu przeszkadzania jej w dyżurze, ale poczuł duszność, a skalną płytę ławy pokryły krople. Dziewczyna uniosła głowę, jak gdyby chciała nacieszyć się promieniami

nieobecnego słońca. Wtedy podniosła gwałtownie powieki i wbiła spojrzenie swoich błękitnych oczu w Brena. Mgiełka powietrza otuliła jego czoło i zsunęła się po kościstych policzkach. Poczł ukłucie smutku, z początku niewinne, ukryte w głębi serca, później narastające, ciągnące wór wspomnień, których nie chciał widzieć. Martwe oczy Rubii. Stożąca w progu zapłakana Allyen. Poharatany Thor – ukochany pies – w przedśmiertnych konwulsjach. Po policzkach Brena spłynęły strużki łez. Zakrywając twarz, zaszłochał i kompletnie się rozkleił.

– Przepraszam – wycedził, próbując się uspokoić.

– Niepotrzebnie. – Sue obserwowała go ze spokojem. – To moja wina. Pomyślałam, że łatwiej będzie pokazać, niż opowiedzieć.

– To twój talent? Co to właściwie było?

– Nie wiem, drogi Brenie. Jesteśmy jak dzieci we mgle, każde z nas usiłuje odkryć swoją ścieżkę przeznaczenia. Ja wpływam w taki sposób na innych. Niestety nic wtedy nie czuję, a efekty znam wyłącznie z opowieści. Po tym, jak w trakcie jednej z prób mój przyjaciel wyskoczył z okna i odebrał sobie życie, zamknęłam swój talent na klucz.

– A twój uszczerbek? Wydajesz się... idealna. Miałem na myśli: kompletna. – Nieśmiało wlepił wzrok w jej krągłe biodra.

– Fizycznie niczego mi nie brakuje. Niestety, odkąd uzyskałam talent, zaczęły się napady drgawek, na szczęście rzadkie. Padam na ziemię naprężona i rzuca mną jakiś demon, leci mi z ust piana. Uwierz, to nic miłego.

Bren milczał. Czuł, że powinien ją teraz objąć, pocieszyć.

– Boję się swojej mocy – kontynuowała. – Jest nieokiełznana, nie wiem, dokąd prowadzi. Jedyne miły szczegół to samo uczucie przed rzuceniem zaklęcia. Zbliżone do tego, gdy kończę się kochać – powiedziała, zerkając na niego z góry. Nakręciła na palec ciemny kosmyk i oblizała pełne usta. Wargi drgnęły, ukazując biel zębów.

Bren obserwował jej koszulę. Luźno zwisający dół musiał wysunąć się ze spodni podczas pracy. Górna część, napięta przez wydatny biust, rozchyliła się na połączeniach złapanych drobnymi guzikami. Sue kręciła biodrami

przed jego nosem, a może to on poruszał głową? Czuł jej zapach, eteryczny, zwiewny.

– Kiedy ostatnio...? – spytała.

– Muszę iść – przerwał, niepewny tego, co się z nim dzieje.

– Zostań – wyszeptała, lecz on biegł już skalnym chodnikiem.



## Rozdział 14

# W kręgu podejrzeń

Następnego ranka, jeśli rzeczywiście nim był, zwołano pilną naradę. Obecność obowiązkowa. Bren pomyślał, że to szansa na poznanie Fausta, który – jak mówili – był harakunem. Pamiętał, że gdy miał zaledwie parę lat, widział dwóch harakunów na targu niewolników. Zorganizowana przez ojca wycieczka wyryła ślad w pamięci chłopaka, gdyż wciąż widział oczami wyobraźni najdrobniejsze szczegóły. Stanął przed budynkiem skrywającym salę obrad i wspomniawszy tamten dzień.

Żeliwne klatki mieszczące po kilkunastu mężczyzn ustawiono wzdłuż zacienionych ścian świątyni Yerna. Nadjeżdżające cesarskim traktem wozy trafiały pod wielki hak, który pracownik targu zaczepiał o mocowanie klatek. Skrzypienie ciężkiej, dyndającej konstrukcji powodowało, że Bren miał ochotę zatkać uszy. Chudzi więźniowie zaciskali dłonie na belkach, kiedy opuszczana klatka uderzała z głuchym stukotem o bruk i wzbijała pokaźną chmurę kurzu. Byli przestraszeni niczym schwyte zwierzęta. Przepasani porwanymi szmatami świecili białkami zapadniętych oczu.

Czarno odziany pirat z zakrzywionym mieczem u pasa zbliżył się do klatki. Miał dziką twarz, brutalne spojrzenie i zwisające, opasłe wąsiska z ubrudzonymi tłuszczem końcówkami. Podrygujący palec mężczyzny w kapeluszu z piórami potwierdzał, że ten przeliczał dostarczone osoby. Korsarz mamrotał coś pod nosem i pocierał wyjątkowo czerwony nochal.

– To od tabaki – powiedział ojciec do ukrywającego się za nim małego Brena.

Kiedy skończył liczyć, pirat wskoczył na drewniane podwyższenie i wykrzyczał coś w języku Langaru. Ojciec chwycił syna za ramię, po czym pchnął w stronę najbliższej klatki.

– Dlatego zawsze trzeba spłacać długi – powiedział oschle.

Siedzący w środku niewolnicy spojrzeli na Brena pustym, pozbawionym emocji wzrokiem.

– Przyjrzyj się, synu. Część nie płaciła podatków, są tu też innowiercy.

Wzrok Brena napotkał spojrzenie zielonych oczu dwóch mężczyzn, którzy różnili się od pozostałych. Rzadkie, białe jak śnieg włosy spływały po ich ramionach. Skóra o niewiele ciemniejszym odcieniu sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej jak u dziecka. Stojący bliżej niewolnik otworzył usta i oblizał spierzchnięte wargi białym językiem.

– To harakuni – oświadczył ojciec, zobaczywszy reakcję syna. – Od lat rodzą się pośród nas, choć niezbyt licznie. Poza białymi jak mąka językami, włosami i skórą są tacy jak ty czy ja.

Mężczyzna w napierśniku podszedł do nich i poprosił, by się odsunęli. Wskazał dłonią kłódkę, którą zamierzał otworzyć. Kiedy stanęli kilkanaście kroków dalej, ojciec kontynuował:

– Wiesz, dlaczego są tak cenni? Wcale nie przez ich białe języki.

Wystraszony mały Bren na długo zachował w pamięci scenę z oblizywaniem ust.

– Szkarłatna Królowa płaci dziesięciokrotnie wyższe stawki za niewolników o zielonych oczach. A tak się składa, że każdy harakun takie ma. Oczywiście zielone oczy występują też u zwykłych ludzi, półelfów, krasnoludów. Jeśli taki trafi się wśród niewolników, obowiązuje ta sama zasada: dziesięć razy więcej sakiewek.

– A do czego ona potrzebuje zielonych oczu?

Ojciec przekrzywił głowę. Robił tak zawsze, kiedy szukał dobrej odpowiedzi.

– Wieść niesie, że na wyspach Quizil Malika od wieków nie ma męskich potomków. Szkarłatna Królowa zamknęła swe granice, otaczając się samymi kobietami. Problem w tym, że aby przedłużyć ród, Tiuady mogą krzyżować...

– Przerwał na moment i chrząknął. – Aby urodziła się tam zdrowa kobieta, ojcem może być tylko zielonooki. Inaczej umierają zarówno matka, jak i dziecko.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Sue, wrywając Brena ze wspomnień. – Brakuje tylko ciebie. – Wskazała salę obrad.

\* \* \*

Wewnątrz rzeczywiście przebywali wszyscy mieszkańcy Azylu. Duża, podłużna ława, przy której Bren niedawno płakał, stanowiła jedyny mebel w pomieszczeniu. Za siedzenia służyły wiadra i skrzynki, choć Eward używał zdobytego gdzieś wygodnego fotela.

Silanus wziął dużą kiść winogron i podsunął półmisek nieznanemu białowłosemu mężczyźnie.

*To musi być Faust* – pomyślał Bren.

Mężczyzna podziękował ukłonem głowy i poprawił włosy. Następnie zerwał jedno grono i obejrzał je dokładnie. Jego papierowa skóra mieniła się blaskiem rozrzuconego na stole mchu. Harakun wsunął owoc do ust i oblizał wargi białym językiem.

– Co za paskudztwo – wyszeptał Gwidon, który zajął miejsce obok Brena.

– Tylko dlatego, że jest inny?

– Krasnoludy czy gnomy też są inne. Jest w nim coś okropnego, zupełnie nie z tego świata.

– *Ciekawe, co twój kompan powiedziałby na mój widok* – rzucił Leba.

– Zacznijmy już – poprosił Eward, a gwar rozmów ucichł. – Czy wiecie, dlaczego się spotykamy?

– Skąd mają wiedzieć... – przerwała Sue.

– Och, ktoś na pewno wie! – krzyknął mężczyzna z oszpeconym nosem.

Faust chrząknął.

– Czy mogę się dowiedzieć, z jakiego powodu mnie fatygowaliście? – Mówił niewyraźnie, a jego żuchwa poruszała się bezwładnie na boki, jakby oderwana od szczęki.

Evard spojrział na Sue, sugerując wzrokiem, by to ona zaczęła. Kobieta wstała i poprawiła ciemne kosmyki.

– Z magazynku zniknęło mięso. Cały zapas.

W sali rozległ się gwar.

– To fakt, nie jadamy jak na powierzchni, ale dzięki kryjówce wciąż jesteśmy na wolności – kontynuowała. – Ktokolwiek ukradł mięso, musi zrozumieć dwie rzeczy: dzielimy porcje tak, by pożywienia starczyło do kolejnej dostawy... – Popatrzyła po zebranych. – I każdy jest równy.

– I musi ponieść karę! – zagrział Evard.

Uspokoila go gestem dłoni i usiadła.

– Więc? – Jej głos złagodniał. – Kto to zrobił?

Wszyscy patrzyli po sobie, próbując odgadnąć prawdę w oczach sąsiada, lecz nikt się nie odzywał.

– A kto pełnił ostatni dyżur? – spytała Thulsa.

– Ja. – Gwidon podniósł dłoń. – Ale gdy kończyłem, połowa koziej tuszy leżała na ławie.

Przyglądali mu się w ciszy.

– Są jakieś ślady? – spytał Silanus.

Sue przygryzła usta.

– Złodziej ciągnął mięso po ziemi na niższe kręgi. Potem ślad się urywa.

– A kto mieszka nisko? – podchwyciła Ines.

Spojrzeli na Fausta, lecz ten tylko prychnął.

– Fakt, awanturowałem się, by dostawać zwierzęta w całości, ale widząc, jak niewiele jest pożywienia, odpuściłem.

– To żaden z nas – odezwała się Ava.

Zebrani pochylili się, sprawdzając, czy to rzeczywiście od dawna milcząca dziewczynka zabrała teraz głos.

– Czemu tak uważasz? – spytał Evard.

Ava obejrzała blizny na przedramieniu.

– Po pierwsze: nikt nie trudziłby się, by zabierać taki ciężar. Każdy pełni dyżur. Wystarczy odciąć niewielką ilość mięsa i ukryć.

Pokiwali głowami.

– Po drugie: widziałam coś...

Sue poruszyła się nerwowo na skrzyni.

– Co takiego widziałaś?

– Myślałam, że to pies. Taki mały, najwyżej do kolan. Ale miał kolce.

– Kolce?! – krzyknęli.

– Na grzbiecie – uzupełniła.

– Ale nie ział ogniem? – zakpiła Thulsa.

Ava skrzyżowała ręce na piersiach.

– Dziecko drogie. Wczoraj też widziałam rzeczy, których tu nie ma. To ten cholerny kryształ – rozległ się butny głos Thulsy.

Evard poprawił się w fotelu i skinął głową, by kontynuowała, choć wpatrzona w Awę kobieta nie mogła tego widzieć.

– Jego światło ogłupia, mami. Niech podniesie dłoń ten, któremu nie zaświtały ostatnio dziwne myśli w głowie.

Milczeli.

Jako pierwszy odezwał się Silanus:

– Coraz mniej mi się tu podoba. Może powinniśmy wyjść...

– I wpaść w łapy tych, co się na nas zasadzają – prychnęła Thulsa. – Wolę zostać, nawet jeśli mi się czasem coś dziwnego uwidzi.

– Jak myślicie: kto i dlaczego nas ściga? – spytał Evard.

Gwidon rzucił Brenowi pełne przerażenia spojrzenie. Zebrani patrzyli po sobie, szukając odpowiedzi pośród wszechobecnej ciszy.

– Grajki – bąknął Hugo.

Wzrok zebranych powędrował w kierunku zajętego turlaniem owocu gnoma.

– Grajki? – powtórzyła Thulsa.

Hugo wstał, podszedł do Brena i Gwidona, po czym objął ich ramiona.

– Grajki, grajki.

– Musimy tu zostać. – Sue, przyzwyczajona do dziwnego zachowania młodego gnoma, przejęła inicjatywę. – Pamiętajcie, co działo się, gdy byliśmy na górze. Co kilka dni docierała do nas wieść o kolejnym porwaniu. Tylko najpotężniejsi magowie i adepci Cesarskiej Łoży nie mają czego się

obawiać.

– Fakt, będąc porywaczem, na pewno nie zaryzykowałbym ataku na Łożę – wtrącił Silanus.

– A nie próbowaliście pójść po pomoc albo do nich dołączyć? – spytał Bren.

– Do Łoży? – zaszydził Evard. – Nie są zainteresowani przyjmowaniem takich amatorów. Poza tym... w Meros skupiają się na kształceniu przyszłych Myrmidów. Widzą tylko czubek swego nosa. Ani Łoża, ani cesarska straż nigdy nie stawały w obronie uciśnionych.

Gwidon wstał i uderzył pięścią w stół.

– Wystarczyłoby wejść tam z taurynem. To mogłoby im utrzyć nosa.

Kilka osób zarechotało, sięgając po winogrona.

– Tauryn. Kolejna legenda, rzecz, której nikt nie widział – oznajmiła ze śmiechem Sue.

– On istnieje! – Gwidon ponownie uderzył w stół. – Jest piękny, pomarańczowy.

Spojrzeli na otyłego chłopaka zaskoczeni jego słowami i gwałtowną reakcją.

– Grajki, grajki – wydukał Hugo.

\* \* \*

Spotkanie trwało jeszcze dwie godziny. Zgromadzeni dyskutowali o swoich doświadczeniach w wytwarzaniu mocy i kierowaniu nią. Ponieważ każdy odczuwał ją w inny sposób i w większości nie potrafili kontrolować talentów, rozmowa zakończyła się kłótnią.

W drodze powrotnej Bren miał pretensje do Gwidona, lecz ten nie akceptował argumentów o nieostrożności i o tym, że niepotrzebnie skupia na sobie uwagę.

– Najpierw maść na oczy, a teraz tauryn? – Wymachiwał rękami.

– Chciałem pomóc.

– Czy nie możesz choć raz siedzieć cicho, gdy...

– Gdy dyskutują magowie? To chciałeś powiedzieć?

– Nie! Kiedy nie masz nic mądrego do powiedzenia – dokończył Bren i się odsunął.

– Nie ufam temu gnomowi – wyznał Gwidon. – Mówię ci, że nas rozgryzł. Wie, że szkoliliśmy się na piewców. Gdyby nie to, że jest świrnięty, bylibyśmy skończeni.

– On nie jest świrnięty, tylko inny. Podejrzewam, że to cena, jaką zapłacił za swój dar.

– Wyda nas, zobaczysz. A wtedy koniec. Ktoś musi go uciszyć – mamrotał. – W zasadzie już nas wydał, tylko nikt nie wziął go na poważnie. Bren, czy ty rozumiesz, co nam grozi?

– Przestań panikować!

– Może powinniśmy stąd odejść?

– Zwariowałeś?

– Czuję, że mi nie ufają, że domyślają się, kim jestem... kim byłem.

– Chcesz, to idź. Ja zostaję.

Gwidon spojrzał na towarzysza krzywo.

– Nigdy bym cię nie porzucił. Jesteś dla mnie ważny.

Złapał dłoń Brena. Zatrzymali się.

– Co ty wyprawiasz? – Bren wyszarpnął rękę na widok pełnego uczucia spojrzenia. – Ja dziewczuchy lubię, nawet bardzo. Z jedną byłem zaręczony.

Otyły chłopak cofnął dłoń i spuścił wzrok.

Bren chrząknął.

– Przestań sobie roić w głowie i skończ z obwieszczaniem świata, że byłeś piewcą – wysyczał i ruszył szybkim tempem w stronę domu.

## Rozdział 15

# Jest tam kto?

Przez następne dni Gwidon dyżurował na górze. Nie schodził nawet na posiłki – Sue zaczęła je wysyłać platformą. Brenowi było to na rękę. Ostatnie, czego chciał, to studzić emocje chłopaka, który najwyraźniej pogubił się w czytaniu intencji.

Mieszkańcy Azylu zachowywali się coraz bardziej podejrzanie. Evard śledził Sue, a gdy ta prosiła, by przestał za nią chodzić, krzyczał, że wie, co zrobiła, musi tylko znaleźć dowody. Thulsa odpuściła rzucanie zaklęcia i zaszła się w domu. Wychodziła tylko na posiłki. Przy stole była milcząca i niezainteresowana rozmowami. Życzliwy dotąd Silanus zrobił się opryskliwy, dogryzał pełniące kuchenny dyżur Ines, wyliczając wszystkie błędy, które rzekomo popełniła przy gotowaniu, a raz nawet nieomal pobił się z Ewardem o to, który z nich powinien wziąć kolejny dyżur. Ava przestała się odzywać i cały czas wpatrywała się w kryształ. Hugo szwendał się i mamrotał rzeczy, których nikt nie rozumiał. Jedynie Sue i Faust zachowywali się jak dawniej. Harakun ignorował życie mieszkańców i nie opuszczał najniższego poziomu, brunetka zaś starała się być wszędzie. Służyła dobrym słowem, pocieszała i nie traciła wiary.

Pomimo życia w świetle kryształu Bren wyregulował pory snu. Było to możliwe dzięki radzie Silanusa, który zasugerował, by zmusić się do zaśnięcia w godzinach uznawanych w Azylu za nocne.

Tej nocy chłopak jednak nie przespał. Usłyszał krzyk, którego nie można było pomylić z niczym innym. Przesiąknięte trwogą kobiece wołanie o pomoc zmroziło krew w żyłach śpiących osób.



Zerwał się z posłania i wyskoczył z domu. Dostrzegł grupę mieszkańców stojącą przed budynkiem obrad. Kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, że pochylają się nad czymś.

*Na starych bogów, tam ktoś leży* – pomyślał i przyspieszył.

Zwinięte w nienaturalnej pozie ciało spoczywało zaparte o ścianę budynku. To Hugo. Krew broczyła z wielu ran i ściekała po kaftanie, tworząc niewielką kałużę. Gnom miał otwarte oczy, lecz utkwił nieruchomy wzrok na zakrwawionych szatach.

– Obwiążcie go! – krzyczała Sue.

– Na słodką Sempenę. – Ines klękła przy Hugonie i chwyciła jego dłoń.

Ten spojrzał na nią. Chciał coś powiedzieć, lecz z rozchyłonych ust chlusnęła jasna krew.

– Ubrania! Porwijcie na paski! – wrzasnął ktoś.

Bren poczuł popchnięcie. Zachwiał się. Evard doskoczył do gnoma i spróbował go położyć, lecz ten tylko pokręcił głową. Najwyraźniej nie chciał zmiany pozycji. Trzask materiału. Sue rzuciła oderwany fragment tuniki.

– Możesz mówić? – zapytał Evard, obwiązując drżącymi dłońmi największą ranę na piersi.

– Co ci się stało? – spytał Silanus. – Kto ci to zrobił?

Hugo przekręcił z wysiłkiem głowę i spojrzał na kryształ. Palce gnoma drgnęły, lecz dłoń została blisko rany w brzuchu.

– Któryś z nas? – dopytywał Evard. – Tylko kiwnij.

– Zwariowałeś? – warknął Silanus. – Siedem dziur? Myślisz, że ktoś dźgałby go siedem razy?

– Zamknijcie się wszyscy! – huknęła Sue. – I odsuńcie.

Podbiegła z kolejnymi paskami materiału, lecz głowa młodego gnoma opadła, a oczy znieruchomiały. Sue dotknęła tętnicy szyjnej, odwróciła się do zebranych i pokręciła ze smutkiem głową.

– Przyjmijcie go – wyszeptała Ines, przytulając córkę. – Przyjmijcie go, bogowie.

\* \* \*

– Możesz mi, do cholery, wytłumaczyć, jak któreś z nas mogło w nim zrobić dziury prawie na wylot? – Sue cisnęła wściekle donicą, roztrzaskując ją na drobne kawałki. – Konkretnie to siedem dziur.

Evard siedział na ławie w sali obrad i podpierał brodę pięściami.

– Mam nadzieję, że to nie twoja sprawka – wyszeptał oparty o ścianę Bren, patrząc na Gwidona, którego ściągnięto z dyżuru na dół.

– Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć?

– Upewniam się – wycedził, zasłaniając usta.

– I ta pustka wewnątrz zmarłego... – kontynuowała ciemnowłosa. – Dotknęłam Hugona i nie wyczułam nic. Co się dzieje ze skrzydlatymi po naszej śmierci?

Gwidon zacisnął pięści i pochylił się do Brena.

– Zawiodłem się na tobie – wyszeptał.

– Sue ma rację – zgodził się Silanus. – To nikt z nas.

– A może razem maczaliście w tym palce? – Evard potarł swój wiotki nos. – Ostatnio wciąż jej bronisz, półelfie.

Silanus wstał, podszedł do niego i uderzył pięścią w ławę.

– Do licha! Najlepiej rzuć się w pustkę razem z tymi swoimi teoriami spiskowymi!

– Przestańcie! Hugo nie żyje! – wrzasnęła Sue złamanym głosem. – Nikomu nie wadzi. Mimo że zachowywał się inaczej... był najlepszy z nas.

Bren poruszył się i odsunął od ściany. Podszedł do ławy i przetaił niewidzialny kurz.

– Zauważyliście pęknięcie na murze po tym, jak odsunęliśmy Hugona? Spojrzeli na niego.

– Co sugerujesz? – Głos Sue odzyskał pierwotną barwę.

– Coś musiało go pchnąć, może przebić. – Zrobił pauzę i przebiegł oczami po twarzach zebranych. – Siedzimy w tym razem. Nikt o zdrowych zmysłach nie wyjdzie na powierzchnię. Cokolwiek zabiło Hugona, mieszka z nami. – Palec Brena zastukał w ławę, choć kilku zebranych zerknęło na

podłogę, jakby starali się dostrzec przez nią niższe kręgi.

– Przeszukajmy miasto poziom po poziomie – zasugerowała Sue.

– Weźmy świecący mech – dodał Silanus. – Każdy po donicy.

– Zróbmy to teraz – podsumował Evard, choć większość rozbiegła się już w pośpiechu.

\* \* \*

Szli w równym rzędzie. Bren i Sue po lewej, Evard, Silanus i Thulsa w środku, Ines i jej córka po prawej. Pochód zamykał Gwidon, który niósł dwie donice. Faust prawdopodobnie słodko spał. Zdecydowali, że nie ma sensu do niego schodzić, skoro i tak obejdą wszystkie kręgi, w tym jego.

Sprawdzanie budynków szło sprawnie. Kiedy osoby po lewej wbiegały do pierwszego domu, ci ze środka sprawdzali kolejny. Pozostali czekali, upewniając się, że nikt nie prześlizgnie się chodnikiem.

Poziom, na którym mieszkali, okazał się pusty. Jeśli nie liczyć mnóstwa zwiotczonych skór gąsienic walających się w zacienionych kątach domów, budynki świeciły pustką. Kiedy skończyli z kręgiem Thulsy, który na szczęście również nie przyniósł niespodzianek, zrozumieli, że sprawdzenie całego miasta zajmie nie godziny, lecz dni.

Pomimo zmęczenia mozolnie przesuwali się dalej, zaglądając w każdy kąt i oświetlając wszystkie zakamarki. Na czwartym kręgu dostrzegli czarny śluz. Początkowo wejścia znaczyły niewielkie fragmenty galaretowatej mazi. Z czasem ujrzeli większe plamy na zacienionych ścianach.

Bren zauważył ruch wewnątrz jednego z budynków. Drobnny kształt przemknął między pokojami. Chłopak uniósł rękę, a pozostali znieruchomieli. Podkradł się do wnęki okiennej i zajrzał do środka. Na podłodze ujrzął więcej rozmazanej brei, jakby ktoś lub coś się w niej wytarzało. W jego brzuchu zawirowała znana energia, łaskocząc trzewia.

Thulsa i Evard stali przy drzwiach i patrzyli pytająco na kucającego pod oknem młodzieńca. Pokiwał głową i wskazał palcem próg. Ci ostrożnie postawili po jednej donicy, po czym wepchnęli je do środka.

Usłyszeli człapanie. Najpierw spokojne, jakby coś obchodziło pomieszczenia. Potem więcej kroków. Wąchanie? Tak, to musiało być to. Słyszeli zwierzęce niuchanie, parskanie przepełnione ostrzeżeniem.

Wtem przeciągłe rżenie i wściekły warkot kilku istot zmroziły krew w żyłach czekających na zewnątrz. Cokolwiek było w środku, poczłapało do drzwi, zawyło i się wycofało.

Bren miał właśnie wstać, by zajrzeć przez wnękę okienną, lecz coś przez nią wyskoczyło, po czym wyhamowało z szuraniem po skalnym chodniku. Chwilę potem przemknęły obok dwie następne istoty.

*Na bogów. Jak coś tak okropnego może istnieć?* – zapytał sam siebie w myślach.

Sięgające kolan stworzenia na pierwszy rzut oka przypominały dzikie psy, lecz z ropuszymi paszczami zamiast pysków. Bestie rozdziawiały je, szczerząc kły, które sterczały w górę podobnie jak usiane na grzbiecie kolce. Wzmocnione płytki skórne ciągnęły się na całej powierzchni kręgosłupa, przez najeżoną kolcami głowę, aż po górną wargę paskudztwa. Pofałdowana, żabia skóra na brzuchu wydawała się miękka i delikatna. To ona musiała wydzielać śluz, gdyż maskary ociekały nim nawet teraz. Mocarne przednie łapy i podkurczone tylne dawały złudzenie, że stworzenia szykują się do skoku. A może nie było to złudzenie?

Wtem dwa z trzech skoczyły w górę i przyłgnęły głowami do podbrzuszy, zmieniając się w naszpikowane kolcami kule. Ines wyrwała przed siebie z krzykiem, gdy uderzyły w mur i zarysowały go szpicami na grzbietach. Ciśnięta przez Ewarda donica trafiła stojącego samotnie zwierza. Naczynie roztrzaskało się na pancerzu, nie robiąc kreaturze krzywdy. Bestia odskoczyła, charcząc. Odłamki ceramiki potoczyły się pod buty Brena, który klęczał skupiony z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Trafiony donicą bydlak wlepił czarne ślipia w Ewarda i szykował się do szarży. Ruszył. Biegł, bujając się na boki, przeskakując z łapy na łapę i przebijając tylnymi, krótszymi kończynami. Będąc bliżej Ewarda, pochylił łeb; najwyraźniej chciał przebić go kolcami.

*Teraz* – pomyślał Bren i wypchnął na zewnątrz całą nagromadzoną moc.

Strumień powietrza dopadł potwora w trakcie skoku. Cisnął nim o ziemię. Siła uderzenia była duża, gdyż istota odbiła się od powierzchni, po czym spadała z pierścienia, wyjąc wściekle.

Dwie bestie, które nieomal wbiły się w ścianę, rozglądały się w poszukiwaniu łatwego celu.

– Ukryj się w środku! – krzyknął Silanus do Sue, lecz skupienie na twarzy potwierdzało, że ciemnowłosa wywołuje właśnie zakłęcie.

Jedna z bestii podbiegła do Silanusa i spróbowała go ugryźć. Ten kopnął ją i rzucił się do ucieczki, lecz garb nie pozwalał nabrać prędkości. Eward pochwycił donicę z dłoni sparaliżowanej strachem Ines i rzucił naczyniem w ścigającą Silanusa bestię. Hałas tłuczonej ceramiki i świecący mech rozsypujący się wraz z ziemią przed oczami potwora spowodowały, że kolczasty pies zahamował i wycofał się niepewnie.

Zrobiło się cieplej. Bren spojrzął na Sue. To musiał być jej czar. Dziewczyna siedziała na ziemi z rozczapierzonymi palcami.

Stworzenie skoczyło w stronę zejścia na niższy poziom. Po chwili drugie ruszyło za nim. Zbiegały niespiesznie, jakby nie kierowały nimi instynkt ani strach.

– Uciekły – wyszeptał Silanus, podnosząc z podłoża Sue.

## Rozdział 16

# Bitwa o dom

W oblepionym śluzem wnętrzu chaty znaleźli resztki koziej tuszy. Sue, Bren oraz Silanus ślaniali się na nogach, więc wszyscy postanowili zawrócić na najwyższy poziom, by się naradzić. Na miejsce dotarli wyczerpani i przerażeni. Podziemne miasto, które dotąd służyło za bezpieczny dom, okazało się schronieniem nieprzyjaznych bestii.

– Dobra robota, Bren – pochwalił Evard, po czym legł na swoim fotelu. Spojrzał na Sue. – Ty również świetnie się spisłaś. Jak to zrobiłaś, że uciekły?

Popatrzyła na niego nieobecny wzrokiem, po czym przeniosła spojrzenie na pozostałych.

– To nie ja – odparła.

– Czuliśmy ciepło. Twoje zaklęcie...

– Skąd się wzięły te maski? Dlaczego nie widzieliśmy ich wcześniej?

– dociekała Ines.

– Próbowałam... – Sue uniosła głowę. – Użyłam mocy, by przekonać je do odwrotu.

– Najwyraźniej ci się udało.

– Nie! – przerwała stanowczo, a jej smukłe palce zabębniły o powierzchnię ławy. – To nie to. Kiedy tworzę czar, widzę rozrzuconą po okolicy sieć.

Patrzyli na nią z napięciem. Tylko siedząca na końcu Ava pochylała się nad pergaminem, szkicując coś w skupieniu.

– W sieci dostrzegam myśli i emocje otaczających mnie istot rozumnych.

Czułam wasz strach, determinację, ale... odczuć tych bydlaków nie widziałam. Pustka.

Nagle wstała i oparła się o ścianę. Zamknęła oczy, jakby odtwarzała w głowie tamten moment.

– Ujrzałam coś innego...

Ava poruszyła się niespokojnie i spojrzała na matkę.

– ...Istota. Obrzydliwa. Niebezpieczna. Niżej. Zazwyczaj nie sięgam tak daleko mocą, lecz ją ujrzałam. A może to ona ujrzała mnie?

Sue naparła na ścianę, jakby chciała się cofnąć. Machnęła głową na bok.

– Potrafi to co ja, tylko jest potężniejsza. Myślę, że to ona kazała im odejść.

W sali obrad zapanowała cisza. Mieszkańcy trawili słowa Sue. Nikt nie chciał odezwać się jako pierwszy.

– Muszę wam o czymś powiedzieć – rzekła Thulsa chłodno.

Spojrzeli na nią. Sue otworzyła oczy i również zerknęła na łysą kobietę.

– Myślałam, że to nic takiego, ale chyba oszukiwałam samą siebie. – Dotknęła drobnych kolczyków w lewym uchu. – Wydaje mi się... Jestem przekonana, że udało mi się otworzyć bramę.

– Bramę? – spytał Gwidon łamiącym się głosem.

– Ułożyłam okrąg z poruszających się znaków i wtedy zapłonął ogniem. Ujrzałam ciemne przejście, cuchnące i obce. Wskoczyło z niego kilka tych kolczastych. Próbowałam zamknąć bramę, ale pojawiło się coś jeszcze. Obślizgłe, pełne wypustek, bez twarzy.

– Co... co było dalej? – drążyła Sue.

– Udało mi się stworzyć kolejny znak i zasłonić część przejścia. Przerwałam krąg, zamknęłam bramę, ale to, co nią przeszło, pobiegło na niższe poziomy. Ja... myślałam, że nigdy ich nie spotkamy...

– Uciekajmy na powierzchnię – rzucił płaczliwie Gwidon.

Sue spojrzała na niego obojętnie i pokręciła głową.

– To nasz dom. Nasz. – Podkreśliła ostatnie słowo. – Będziemy walczyć. Thulso. – Skierowała się ku głaszczącej łysiną kobiecie. – Skup się. Ile ich było?

– To działa się tak szybko. – Potarła czoło. – Pięć, może sześć kolczastych i to obślizgłe coś na końcu.

– I bestia, którą zepchnął Bren – wtrącił Evard.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – Sue spojrzała na Thulbę, lecz ta tylko pokręciła ukrytą w dłoniach głowę.

– Może zjadły tatę – wyszeptała Ava, oderwawszy się od rysunku.

Matka objęła ją i pocałowała w czoło.

– Twój ojciec zniknął wcześniej – wyszeptała. – Wiem, że wciąż żyje.

– Ta obślizgła istota... – wtrącił Silanus. – Myślicie, że może kazać nam coś zrobić?

Sue pochwyciła spojrzenie półelfa, po czym skinęła głową.

– Zdecydowanie tak. Podejrzewam, że potrafi wpływać na myśli i emocje.

Półelf posmutniał i zaczął spacerować po pomieszczeniu.

– Od jakiegoś czasu kłócimy się o błahostki – zauważył.

– Śledzimy – dorzuciła Sue.

– Rywalizujemy.

– Chciałem się zabić – rzucił Silanus i zatrzymał się zapatrzony w ścianę.

Czekali.

– Skoczyć w pustkę i mieć wszystko z głowy – ciągnął. – Teraz wiem, że nie ja tego pragnąłem, lecz ona...

– Znajdźmy ją. Znajdźmy wszystkie i zabijmy! – krzyknął Evard.

– Kolczaste boją się mchu – stwierdził Silanus. – Postawiliśmy donice na progu, wyskoczyły oknem.

– Unikają światła kryształu, kryją się w ciemności domów. To by się zgadzało – myślał głośno Evard.

– Wiem, gdzie kryje się ta obślizgła – powiedział pewnym głosem Bren.

\* \* \*

Sala opustoszała. Na stole zostały dwa puste kubki oraz pergamin Avy. Przedstawiał sterczące ze ściany uchylone w połowie, okrągłe wrota



ozdobione tajemniczymi symbolami macek i wypustek. Wyglądały na wykonane z ciężkiego metalu.

Bren przekonał wszystkich, że powinni wyruszyć na ścieżkę myśli. Opowiedział o swojej niedawnej wycieczce, usłyszanych odgłosach oraz o tym, że nieomal przegryzł truciznę, będąc prawdopodobnie pod wpływem istoty, której szukali. Mieszkańcy zgodzili się i dokładali kolejne argumenty: że jest tam ciemno oraz że to najrzadziej odwiedzana część miasta.

Zjedli w milczeniu suty posiłek, do którego przygotowania pierwszy raz nie oszczędzili surowców, po czym uzgodnili kolejność działań. Poproszono każdego, by zabrał po dwie donice z mchem. Wyjątek stanowili Ava, która mogła udźwignąć tylko jedną, oraz Silanus, który miał nieść długie deski służące wcześniej za półki. Postanowili nie sprawdzać ponownie budynków. Zgodzili się, że zrobią to po powrocie z poziomego chodnika. Plan ataku był najprostszy z możliwych: odstraszenie wroga światłem mchu i zepchnięcie długimi dechami w otchłań.

Szli w milczeniu, ugięci pod ciężarem taszczonego ładunku, choć dużo więcej ważyły kłębiące się w głowach myśli. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu czuli się zjednoczeni. Sprawczyni zamieszania, Thulsa, maszerowała jako pierwsza, jakby chcąc odkupić swoje winy. Pozostali, którzy najwyraźniej wybaczyli wypadek przy pracy, podążali tuż za nią, sondując w skupieniu okoliczne domy.

Kiedy dotarli do poziomu, na którym chodnik odbijał w stronę czerni pustki, zauważyli, że nie ma z nimi Gwidona. Poczuli niepewność. Czyżby bestie dopadły go po drodze? Po krótkiej dyskusji uznali, że to mało prawdopodobne. Słyszeliby krzyk, cokolwiek. Zapewne wrócił po coś albo stchórzył. To nie miało teraz znaczenia. Wpatrzeni w ciemność przygotowywali się do bitwy. Bitwy o dom.

\* \* \*

Pierwszy ruszył Silanus niosący dwie deski, a za nim – pozostali. Szli w parach. Wąski chodnik nie pozwalał na więcej. Kiedy oddalili się od

kryształu na tyle, że po odwróceniu widzieli ciemność, krocząca za Silanusem Thulsa postawiła donicę i wytłumaczyła, że przedmiot posłuży jako punkt orientacyjny, na wypadek gdyby musieli uciekać. Po jakimś czasie na chodniku wylądowała kolejna donica. Thulsa przejęła od półelfa jedną deskę, stanęli ramię w ramię i poprowadzili grupę jako przednia straż.

– Ona tam jest – jęknęła Sue. – Na pewno! Właśnie próbowała do mnie mówić. Czeka na nas.

Zwolnili. Zacisnęli palce na niesionych przedmiotach. Bren obejrzał się, lecz dostrzegł tylko dwa ledwo dostrzegalne świecące punkty donic. Słowa Sue wibrowały w głowach, gdy sunęli milcząco przez mrok. Dziewięć żarzących się poświat płynęło wśród prastarej pustki niczym zagubione dusze poszukujące odkupienia.

Silanus i Thulsa znieruchomieli. Na końcu chodnika prężyło się i groźnie warczało sześć kolczastych stworzeń. Była też istota, której obawiali się najbardziej. Ukryta za bestiami czekała w bezruchu. Choć nie wychwycili szczegółów, byli pewni, że to ona mieszała w ich głowach.

Dwie kreatury stojące na przodzie ruszyły do ataku.

– Pomóż nam, Zatorze – wyszeptała Ines.

– Szyk! – krzyknęła Thulsa.

Silanus stanął bokiem i ugiął kolana, celując deską w szarżujące potwory. Usłyszeli płacz Avy. Dziewczynka odstawiła donicę i cofnęła się kilka kroków. Schowana za bestiami istota uniosła patykowate ręce. Złowili szept, który brzmiał jak ludzki.

Półelf jęknął i upadł na kolana. Z szaleństwem w oczach upuścił deskę, po czym objął dłońmi głowę. Pędząca bestia pochyliła łeb i wpadła w klęczącego. Jeden z kolców przeszył ramię, a przewrócony mężczyzna zawył, lecz wstał, chwycił górne kły potwora i znieruchomiał, siłując się z nim.

Thulsa zamachnęła się na drugiego zwierza, który nadbiegał ze skowytami. Głuchy trzask. Broń dosięgła celu, lecz pękła na zgrubiałej skórze. Usłyszeli chrobot szorujących po skale pazurów. Potwór wyhamował i zawył donośnie.

– Moc! – wybrzmiał stanowczy głos Evarda, jak za każdym razem, gdy mężczyzna rzucał zaklęcie. – Spróbuj uderzyć teraz! – krzyknął do Thulsy, która ugięła się pod ciężarem deski.

Bren dostrzegł kłapnięcie pyskiem. Potwór, którego Silanus wciąż trzymał za kły, napierał i szarpał się w uścisku. Thulsa spojrzała z zaskoczeniem na utwardzoną belę, po czym uniosła ją, klnąc pod nosem. Obrąła za cel bestię zwartą w uścisku z półelfem. Bren zebrał moc i próbował wycelować w drugiego potwora. Trafiony wcześniej kolczasty najwyraźniej dochodził do siebie, bo szykował się do następnego ataku.

Deska nacierającej kobiety spadła na łeb bestii, miażdżąc go z płaskiem. Półelf puścił kły i odskoczył. Upadł na plecy.

– Drugi! Za tobą! – krzyknął ostrzegawczo do Thulsy.

Ta obróciła się w kierunku nadciągającego potwora i schyliła po ubrudzoną pozostałościami mózgu belę.

*Nie zdąży* – pomyślał Bren.

Wycelował. Przesuwał dłoń razem z pędzącą bestią. Wziął poprawkę na prędkość, po czym wypuścił moc. Uderzony powiewem powietrza potwór zachwiał się i potknął. Rozstawił przednie łapy, usiłując wyhamować, lecz z dzikim kwikiem spadł w przepaść.

– Donice! Ustawmy je w linię! – wykrzyczała Ines.

Chwycili naczynia i uformowali świecący szlak w poprzek chodnika. Bestie, które wyrwały do przodu, zawahały się i stanęły.

Ranny Silanus chwycił dłoń Evarda i podciągnął się z sykiem.

– Potrzebuję tu kogoś! – krzyknęła Thulsa. – Popchnijmy naczynia w stronę tych cholerstw. Bren?

Skinął głową. Podbiegł i kucnął przy murze wypełnionych mchem pojemników. Wciąż kręciło mu się w głowie. Zaparł się stopami i pchnął donice barkiem. Drgnęły i zaczęły się przesuwac w stronę prychnających niespokojnie bestii.

Bren wychylił się i ujrzał w ścianie tunel, o którym opowiadał Silanus. Chodnik rzeczywiście wyglądał na urwany, a krawędź dzieliła od tunelu długa na sześć kroków przepaść.

Kolczaste potwory zawyły, lecz odgłos nie zawierał groźby, tylko obawę. Były w pułapce.

– Jeszcze! Dalej! Spadną w otchłań.

Donice z chrobotem zbliżały się do końca skalnego przejścia, aż w końcu rozświetliły tajemniczą istotę. Klękała na jednym kolanie, podpierając się z przodu kościstymi rękami. Głowa z galaretowatymi naciekami zwisała nieruchomo. Demoniczny twór bez twarzy rozchyłał umięśnione uda, robiąc miejsce na opadający, podobny do wielkiego jaja, połyskujący brzuch. Rozmiękłe błony łączyły tył głowy z chudymi łopatkami i ramionami. Istota naprężyła się, a pośród mięśni karku błysnęły ciemne końcówki przypominające czułki.

Usłyszeli krzyk Sue. Głośnie, pełne strachu wołanie. Kreatura zadrżała, a brzuch błysnął żółtym światłem. Bren zerknął na Sue. Klęczała w tej samej pozycji co obca. Był pewien, że obie toczą właśnie mentalny pojedynek.

Wyczuł znajomą energię.

*Tak szybko?* – zdziwił się.

Pchana siłami mięśni ściana donic była coraz bliżej przeciwników. Cztery kolczaste bestie zawyły, po czym podbiegły do mchu. Przez chwilę zdawało się, że zaatakują, ale zawróciły, nabrały rozpędu i odbiły się od krawędzi chodnika w stronę tunelu. Skok był niewiarygodnie długi. Łapy trzech bestii sięgnęły korytarza, a maskary wpadły do tunelu i zniknęły w jego wnętrzu. Czwartą pokraka miała mniej szczęścia. Spadła w czeluść.

Pozostała już tylko ona – obślizgła, ociekająca grudowatym świństwem nieznajoma. Bren wstał. Czuł w palcach wibrujące cząstki energii. Był pewien, że uda mu się zepchnąć paskudę w otchłań.

Ujrzał Allyen. Machnął głową, lecz wciąż ją widział. Smukła dłoń dziewczyny chwyciła pętlę i założyła na szyję.

– Nie! – krzyknął.

Złowił hałas za plecami.

– Sue?! – wrzasnęła Ines. – Wstawaj! Co ci jest, na bogów?! Pomóżcie!

Ponownie ujrzał Allyen. Zaciskała pętlę, a biała skóra szyi napięta się i zmarszczyła.

Opuścił ręce i wpatrywał się w lśniący brzuch istoty. Ujrzał oczy ukochanej. Był pewien, że to pożegnanie. Zrobił krok ku brzegowi chodnika, wystawił nogę poza niego i się przechylił. Poczł mocny chwyt w pasie. Ktoś złapał go i przewrócił na ziemię. Eward?

Twarcz Allyen zsiniała, piękne oczy rozszerzyły się, a usta stężały, próbując złapać powietrze. Ostatnie, co zapamiętał, to zatrwożony krzyk Silanusa:

– Thulsa! Nie zbliżaj się do tego demona!

\* \* \*

– Dochodzi do siebie.

Uderzenie w policzek ocuciło Brena. Ujrzał pochyłającego się nad nim Ewarda.

– Jeśli znów będziesz próbował skoczyć, ogłuszę cię...

Słowa mężczyzny z oklapłym nosem uświadomiły mu, że zanim stracił przytomność, chciał się rzucić w pustkę. Tak. Pamiętał to doskonale. Jeszcze chwila, a runąłby w dół.

Eward poluzował uścisk pięści na mankietach Brena i puścił koszulę.

*Uratował mi życie* – pomyślał chłopak.

Kiedy wstał, zorientował się, że kraniec chodnika ubrudzony jest czarną mazią. Obslizgłego potwora jednak nie było. Opowiedziano mu, że gdy on zemdłał, Thulsa przeskoczyła mur donic i ruszyła na wroga. Celny cios belą zamroczył istotę, a kolejny zrzucił w otchłań. Spadła bez najmniejszego dźwięku.

Z Sue nie było kontaktu. Nie została ranna, nie straciła przytomności. Siedziała na ziemi, lecz pomimo wielu prób nawiązania rozmowy nie odzywała się. Kiedy postanowili ustawić mur z donic na samym końcu chodnika, by uniemożliwić kolczastym skok z powrotem, kobieta nie wodziła oczami za uwijającymi się mieszkańcami. Jej wzrok był pusty, skierowany w otchłań poniżej.

Światło mchu z ośmiu donic rozświetliło odległy tunel. W okrągłej wnęce

ujrzeli tajemnicze inskrypcje pokrywające ściany. Dziesiątki pionowych linii poprzecinanych symbolami macek zdobiło boki oraz górę przejścia. Ines zaczęła nawoływać męża, lecz uciszyli ją i wytłumaczyli, że mężczyzna nie miałby szans doskoczyć do tunelu. Poza tym były gdzieś tam kolczaste stwory. Może czaiły się blisko, a może pobiegły w głąb szybu. Chociaż mieszkańcy rozstawili donice, nie chcieli ryzykować ponownej potyczki.

Postanowili wracać. Czas gonił.

Silanus okupił bitwę poważnym urazem ramienia. Pomimo owinięcia kilkoma paskami materiału rana obficie broczyła. Musieli położyć go w bezpiecznym miejscu i obwiązać lepiej.

Kiedy wracali otoczeni światłem mchu z jedynej donicy, którą zabrali, Bren rozmawiał z Lebą o tym, co się wydarzyło. Parkanin był pod wrażeniem odwagi chłopaka oraz szybkości, z jaką udało mu się zebrać drugi raz energię. Bren rozmyślał, gdzie podział się ten tchórz Gwidon oraz ile kolczastych stworów może wciąż buszować po mieście.

## Rozdział 17

# Nisko, coraz niżej

Dotarli do domów wyczerpani. Kiedy zadbali o Silanusa, postanowili, że tej nocy wszyscy będą spać w jednym budynku. Choć Thulsa zapewniała, że więcej potworów nie przedostało się przez bramę, woleli zachować ostrożność. Kto wie, co kryło się w budynkach na niższych kręgach.

Gwidona i Fausta nie było. Ktoś zasugerował, że otyły chłopak mógł udać się na górę, by dokończyć wartę, którą pełnił. Faust zaś prawdopodobnie nawet nie wiedział, z jakimi problemami mierzyli się mieszkający wyżej.

Uzgodnili, że następnego dnia przeszukają wszystkie poziomy miasta. Podzielią się kręgami, a jeśli ktokolwiek dostrzeże ruch, wróci po pomoc. Na górze mieli zostać jedynie ranny Silanus oraz Sue. Nie reagowała na nic, więc nie mogli brać jej pod uwagę przy podziale poziomów. Ava dostała do sprawdzenia kręgi pierwszy i drugi, kolejne dwa należały do Ines. Piąty i szósty zgodziła się przejść Thulsa, siódmy i ósmy wziął Evard. Brenowi zostały ostatnie dwa.

Chłopak wzruszył ramionami i położył się w kącie. Patrzył na Sue leżącą bez ruchu i gapiącą się w sufit. Zanim zasnął, pomyślał, że to chwilowe. Dziewczyna na pewno potrzebowała czasu. Nie wiadomo, co zaszło na tym przeklętym chodniku.

Wszystkich obudziło drżenie podłogi. Zerwali się z przerażeniem i spojrzeli po sobie. Budynek trząsnął się, a ustawione na parapecie donice podskakiwały. Wybiegli przed dom. Kryształ pulsował znacznie słabszym światłem. Twarze zaspanych wyrażały lęk i zaskoczenie.

W głębi rozpadliny gruchnął głuchy dźwięk. Dało się słyszeć tarcie

metal o metal, zgrzytanie napierających na siebie mas. Hałas dochodził z boku, jakby z miejsca, w którym niedawno walczyli.

Stali zasłuchani w brzęk, który odbijał się od ścian domów, wibrował. Po chwili umilkł, a jasność kryształu wróciła do pierwotnego natężenia.

– Czy to zdarzało się wcześniej? – wyszeptał przerażony Bren.

– Słyszemy to pierwszy raz – przyznał Evard.

Tajemniczy dźwięk się nie powtórzył, więc postanowili złapać jeszcze trochę snu i zastanowić się, co zrobią później, nad ranem.

\* \* \*

Nocny hałas stanowił główny temat rozmów podczas śniadania. Część mieszkańców przewidywała zbliżające się trzęsienie ziemi. Silanus stwierdził, że dosłyszał odgłos obijających się o siebie ogromnych łańcuchów. Evard przekonywał, że to pęknięcie skalnych ścian. Dyskusja szybko przerodziła się w sprzeczkę. Jedna strona przekonywała drugą, że nie są tu bezpieczni. Ponieważ nie mieli czasu, by ponownie udać się na poziomy chodnik, postanowili, że będą trzymać się planu i w pierwszej kolejności sprawdzą miasto.

Bren wyruszył samotnie. Im niżej schodził, tym bardziej zaskakiwała go obca architektura. Niższe kręgi charakteryzowały się większymi krzywiznami i pochyłością. Spiralny chodnik i wygięte domy opadały, wisząc na wąskich pierścieniach. Sprawdzenie najniższych kręgów mogło okazać się prostsze, niż z początku sądził. Każdy kolejny poziom był mniejszy. Przejrzenie budynków na dziewiątym pierścieniu zajęło Brenowi zaledwie połowę godziny. Na szczęście nigdzie nie dostrzegł śladu przyzwanych przez Thulbę bestii. Kiedy dotarł na najniższe piętro miasta, ujrzał zakończenie kryształu – imponujący trzon, ostatnie źródło światła.

Dziesiąty krąg wyglądał jak niewielki plac z okrągłą wyrwą pośrodku i jednym budynkiem ciągnącym się dookoła. Bren podszedł ostrożnie do dziury w centralnej części strefy. Zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie już nigdy nie znajdzie się tak głęboko pod ziemią. Kiedy otoczyła go cisza, jakiej



dotąd nie zaznał, poczuł przejmujący chłód bijący z prastarej pustki poniżej. Chłopak zamknął oczy.

*Nic dziwnego, że Faust wybrał właśnie ten pierścień. Z dala od zgiełku, durnych kłótni i problemów – pomyślał.*

Zlustrował budynek, który kształtem różnił się od pozostałych.

*Czy harakun będzie zły, jeśli złożę mu wizytę?*

\* \* \*

Bezszelestnie wsunął się do zaciemnionego budynku. Stojące w rogach donice z mchem rzucały blade światło, pozwalając dojrzeć kontury stołu i kamiennego łóżka.

Nasłuchiwał. Żaden dźwięk nie przerywał bezkresnej ciszy.

Zbudowany dookoła placu dom był duży. Porozdzielany skalnymi ścianami odstawał od tych, które Bren oglądał dotychczas. Miał znacznie więcej pomieszczeń połączonych wąskim korytarzem przebiegającym wzdłuż linii okien. Budowniczowie Yer Osti najwyraźniej nie uznawali wewnętrznych drzwi, dlatego z łatwością można było zajrzeć do każdej izby.

Obszedł korytarz i trafił do punktu wyjścia.

*Czyżby Fausta nie było?* – zaświtała mu myśl.

Na posłaniu leżały porozrzucone ubrania, a na kamiennym stoliku stała karafka pełna wody.

Wtem Bren usłyszał cichy zgrzyt jakiegoś mechanizmu. Coś zachrobotowało niczym beczki sunące po prowadnicach, które widywał w porcie przeładunkowym Janubyi. Pomieszczenie obok jaśniało. Wsunął głowę we wnękę wejściową i zamarł.

Wypełniona fetorem padliny izba miała uchyloną przeciwległą ścianę. Bren zobaczył za nią ukryte, dobrze oświetlone wnętrze, a w nim... Fausta. Harakun stał z rozłożonymi dłońmi i na coś patrzył.

Chłopak przełknął ślinę, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Za Faustem stał ludzki szkielet z przekrzywioną czaszką. Harakun przyciągnął palcami powietrze, poruszając prawą dłonią, a kościec ruszył za nim

i postukiwał kościstymi piętami. Rozdziawiona żuchwa maskary drgała, a czaszka obracała się w kierunku Fausta. Wiszące na żebrach kościotrupa resztki mięsa bujały się miarowo przy każdym kroku.

Kiedy obaj znaleźli się bliżej ukrytego za filarem Brena, ściana domknęła się i przesłoniła światło. W pokoju zapanował półmrok.

Faust uniósł ręce, a szkielet poderwał własne. Harakun zamarkował cios blisko ściany. Kościotrup naśladował go i wyprowadził swój, ochlapując wewnątrz śmierdzącymi kroplami tłuszczu.

– *Ten szkielet nie ma prawej dłoni* – wyszeptał Leba.

Bren oddychał szybko, czując słony smak skały, do której przycisnął wargi.

– *To Vator, mąż tej biednej kobiety. Wspominała, że nie ma dłoni, pamiętasz?* – kontynuował wewnętrzny głos.

Harakun zakręcił palcem, a szkielet posłusznie rozpoczął obrót.

– *Zrób coś! On go zamordował!*

– *Tego nie wiesz. Zresztą to nie nasza sprawa.* – Stopa Brena ostrożnie przesunęła się w tył.

– *Będziesz potrafił usnąć po tym, co tu widziałeś? Spojrzysz Ines w oczy?*

Chłopak przełknął ślinę i zacisnął zęby.

– *Dość!* – krzyknął, stając w progu pomieszczenia.

Mężczyzna i szkielet spojrzeli w jego kierunku. Faust zamarł z palcem w górze, a kościotrup runął bez życia i przewrócił się na ścianę.

– *A więc Vator się odnalazł.* – Do uszu Brena dotarł własny drżący głos.

## Rozdział 18

# Sekret za sekret

- Wszystko wyjaśnię! – Faust złożył białe dłonie w przeproszającym geście.
- Zamordowałeś go! Jak to możliwe, że szkielet wykonywał twoje polecenia?
    - To nekromancja. Magia, którą poznałem – odparł, poruszając na boki zuchwą.
    - Przecież znasz iluzję.
    - Iluzję również.
- Harakun wykonał krok w stronę Brena, powłócząc nogą. Złączył dłonie i przesunął sygnet wzdłuż kościstego palca. Jego delikatna skóra marszczyła się przy każdym ruchu.
- Nie próbuj niczego głupiego. Odpowiesz za morderstwo – powiedział Bren i zrobił krok w kierunku korytarza.
- Pochylony Faust bujał się na chudych stopach.
- Co tam jest? – Młodzieniec wskazał ścianę, za którą jeszcze przed chwilą widział pokój.
    - Ukryta komnata, odkrył ją ten nieszczęśnik. Przychodził tu. Twierdził, że na niższych kręgach łatwiej o sekrety. Och, naprawdę nie chciałem go zabić.
    - A jednak to zrobiłeś!
- Harakun przechylił głowę. Białe jak mleko włosy opadły na chude ramiona, a sylwetka zgięła się niczym strach na wróble miotany uderzeniami wiatru.
- Dopóki dawali mi zwierzęta w całości, to wystarczało. Co prawda

szkielety nie były trwałe, lecz pozwalały na ćwiczenia. Ale potem przybyło więcej mieszkańców i zaczęli wydzielać. Dostawałem kawałki.

– Potrzebowałeś szkieletu do ćwiczenia nekromancji – stwierdził ze wstrętem Bren.

– Nauka wymaga poświęceń. Naprawdę nie chciałem go zabić, ale on wciąż wracał. Przychodził tu, aż któregoś dnia odkrył komnatę.

Bren zacisnął pięści. Paznokcie przecięły skórę, zadając ból.

– Czy wiesz, co działo się na górze? Walczyliśmy ze świństwami, jakich nie zdołasz sobie wyobrazić. Silanus jest ranny, a Sue...

Harakun zerknął spode łba, lecz nie wyglądał na zaniepokojonego.

Bren westchnął i wrócił do poprzedniego tematu:

– Vator znalazł wejście. Co było dalej?

– Pokazał mi, jak tam wejść. Pomagałem mu. Z czasem odkryliśmy, że jeśli w środku ktoś jest, tylko on może otworzyć ścianę. To jak schowek na złe czasy.

– Który wykorzystujesz do ukrywania ciała.

Faust opuścił głowę, a ta zawisła, jakby trzymała ją tylko skóra karku.

– Kiedy pojawił się pomysł, nie potrafiłem przestać o tym myśleć. Mój Parkanin, on... – Przerwał, po czym podniósł głowę, wytrzeszczając zielone oczy. Kocie źrenice świeciły w półmroku, napełniając serce Brena strachem.

– Musieliśmy to zrobić, by ćwiczyć!

– *Muszę poznać jego Parkanina!* – Głos Leby zawibrował w głowie chłopaka.

Bren odchrząknął i wystawił oskarżycielsko palec.

– Na swojej drodze spotykałem morderców, gwałcicieli. Żaden z nich nie wywołał u mnie takiej odrazy jak ty!

– Też znasz magię. Nie chciałbyś się dowiedzieć, jak ją rozwinąć?

– Przestań bredzić!

Faust zadrżał.

– *Strzeż się go* – szepnął Leba.

– Mam dla ciebie propozycję – kontynuował harakun.

– Nie ustawiam się z mordercami.

- Może choć jej wysłuchasz?
- Najpierw opowiem mieszkańcom o znalezisku. – Bren ruszył w stronę wyjścia.
- Pójdiesz na górę, a ja schowam szkielet do komnaty. Nie zdołasz odkryć sposobu na przesunięcie ściany.
- *Nie słuchaj go!*
- Jeśli zatrzymasz dla siebie mój sekret, zdradzę ci ważniejszy. Powiem, jak możesz znaleźć się w świecie Parkan, by otrzymać kolejne zaklęcie.

\* \* \*

Serce Brena wybiło żywy rytm, napędzając organizm do działania. Chłopak poczuł ekscytację, choć wiedział, że nie pochodzi od niego.

– *Mój rodzinny świat. Czy to możliwe?* – Głos Leby brzmiał inaczej.

Bren zlustrował twarz Fausta, próbując ocenić, czy harakun blefuje. Pchnął go lekko.

– O czym ty mówisz?

– Jak myślisz: dlaczego znam dwa zaklęcia? Iluzji oraz nekromancji? To drugie poznałem w świecie Parkan.

– Kłamiesz.

– Powiedz... – Harakun złagodził ton głosu. – Czemu niektórzy magowie są potężniejsi od innych?

Bren poczuł, że ekscytacja Leby rośnie jeszcze bardziej. Obaj chcieli usłyszeć więcej.

– Odpowiedzią jest wizyta w świecie Parkan – wyjaśnił białowłosy.

– Dlaczego więc nikt o tym nie wie?

Faust skrzywił się i wsunął kosmyk włosów za ucho.

– Estepia rządzona jest przez Myrmidów, którzy podlegają Cesarzowi. Po jego śmierci najpotężniejszy z nich zajmuje miejsce władcy, a swoją pozycję oddaje wybitnemu magowi z Cesarskiej Łoży.

Białowłosy krążył wokół chłopaka, powłócząc nogą.

– Pomyśl. Jaki interes miałby Cesarz w tym, żeby każdy nowy mag rósł

w siłę? Z czasem zagroziłby tronowi. Cesarska Loża to miejsce kontroli wzrostu potencjału. Tylko pod okiem tamtejszych nauczycieli magowie mogą się rozwijać, żyjąc nadzieją, że dostąpią zaszczytu najwyższej władzy. Dlatego tak pilnie strzegą tej tajemnicy.

– Tajemnicy, którą jakoś poznałeś – prychnął Bren i skrzyżował ręce na piersi.

Faust posmutniał, a młoda twarz przeorały zmarszczki.

– O mało nie przypląciłem tego życiem – odparł. – Nie mam pojęcia, jak często można iść na pielgrzymkę. Udało mi się natomiast tam dostać i wrócić cało.

– *Rozważmy to* – szepnął Leba.

– *Chcesz negocjować z mordercą?*

– *Wiem, co czujesz. Moje serce również jest rozbite, ale to może być szansa, abys spytał o Bezsennych. Tak niewiele wiemy...*

– *Bezsenni to nie mój problem!*

– *Jeśli urośniesz w siłę, będziesz mógł się bronić. Może piewcy dadzą ci wtedy spokój. Pamiętasz, jak opowiadali, że polują tylko na słabszych?* – argumentował Parkanin.

Bren spojrział na zapadniętą klatkę piersiową Fausta.

– Czyli twierdzisz, że jeśli pójdę na pielgrzymkę, to wrócę z nowym zaklęciem?

– Tak! – Mag zatarł dłonie. – Świat skrzydlatych to miejsce, gdzie poznaje się nową magię. Pamiętaj, że wszystko, co tam zrobisz, wpłynie na rodzaj zaklęcia, które dostaniesz. Podobnie było u mnie.

– I mogę przenieść się do tego świata właśnie teraz?

Faust zawahał się i zmrużył oczy.

– Powiedz: czy widziałeś może błyszczący symbol? To mogło wydarzyć się wcześniej.

– Symbol?

– Figurę.

Bren zamknął oczy, po czym szybko je otworzył.

– Tak. – Przypomniał sobie szepczący trójkąt, który zobaczył tuż przed

tym, jak rozrzucił zakłębem pojemniki w domu myśliwego.

– To znak gotowości do podjęcia pielgrzymki. Podśluchałem, że... – Mlecznowłosy urwał i rozejrzał się po pomieszczeniu. – W każdym razie jesteś gotów.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

Mężczyzna ruszył chwiejnym krokiem w kierunku ukrytego przejścia, ciągnąc po ziemi nienaturalnie wykręconą stopę.

– Zdradzę ci sposób otwarcia pokoju. – Powiódł długimi paznokciami po chropowatej strukturze ściany. – Wejdziemy do środka i wytłumaczę, jak powędrować do świata Parkan.

– Jeśli powiesz, jak otworzyć komnatę, będę miał wszystko, czego potrzebuję, by dowieść twej winy – zauważył młodzieniec.

Faust obserwował go z uwagą.

– Wcześniej dasz mi słowo, że nie opowiesz o szkielecie. Wyglądasz na honorowego człowieka.

*Akurat honor nie jest moją mocną stroną* – zaśmiał się chłopak w myślach.

– Mam też warunek – dodał Harakun. – Decyzję musisz podjąć teraz, a pielgrzymkę odbędziesz po wejściu do komnaty.

– Czekają na mnie. Dlaczego teraz?

– Wiem, że kiedy stąd wyjdiesz, przestaniesz myśleć racjonalnie.

Bren pomyślał o Gwidonie.

*Gdyby tu był, miałby pełne gacie, ale na pewno wykrzyczałby, co sądzi o tym pomysle.*

– Co oznacza słowo „pielgrzymka”?

Faust pokręcił głową.

– Przekazuję słowo, które podśluchałem. Więc? Jaka jest twoja decyzja? Sięgasz po rozwój czy sprawdzamy, komu uwierzy społeczność Azyłu? Zaufaj mi, mam doświadczenie w odgrywaniu roli uciśnionego harakuna.

\* \* \*

Dając słowo zgarbionemu harakunowi, Bren nie był pewien, czy podjął decyzję sam, czy wymusił ją na nim Leba. Wiele razy wpadał w kłopoty z czystej, nieposkromionej ciekawości. Tym razem jednak czuł, że było coś jeszcze.

Faust otrzepał dłonie z niewidzialnego brudu i wytarł je o znoszone spodnie. Po chwili podniósł donicę z mchem i postawił pod ścianą po lewej. Tę samą czynność wykonał z pozostałymi trzema pojemnikami. Następnie okrążył pomieszczenie i docisnął skalny sufit. Usłyszeli odgłos odblokowywanego mechanizmu. Ściana przesunęła się, ukazując ukryty pokój.

– Nie pytaj mnie, jak to działa. Wiem tylko, że kluczowe jest ustawienie mchu.

Bren dotknął szyi mężczyzny. Poczul ból, a serce wypełnił mrok, który wciągał go w pustkę. Miał wrażenie, że coś bardzo złego patrzy na niego ze wściekłością.

– *Jak śmiesz przekraczać granicę ciemności?* – Warkot obcego Parkanina prawie wydrążył dziurę w głowie Brena. – *Nigdy więcej nie waż się ze mną kontaktować!*

Kiedy oderwał dłoń, Faust przewrócił białkami oczu.

– Raczej się nie polubicie – powiedział.

– *To nie był ten, którego szukam* – rzekł Leba. – *Poczułem czyste zło. Strach pomyśleć, że to ktoś z mego świata. Mimo to dziękuję, że sprawdziłeś.*

– *Kogo wciąż szukasz? Mordercy Bezsenego?* – spytał Bren.

– *Jego też, choć myślę, że ten nie pozwoliłby do siebie podejść tak łatwo. Szukam Yu. Rywalizowałem z nim podczas prób. Jestem ciekaw, czy ukończył ostatnią i trafił do tego świata.*

– O tym właśnie mówiłem. – Faust wskazał skalne podwyższenie przypominające łożo oraz drewnianą skrzynkę leżącą po drugiej stronie.

Ściany ukrytego pokoju były naturalną jasnością, iskrzyły się białym blaskiem i szarzały po dotknięciu. Bren ponownie poczuł fetor gnijącego ciała. Dobrze znał ten odór z cmentarzysk, gdzie żebracy rozkopywali groby



w poszukiwaniu biżuterii.

– Pomieszczenie nie jest ważne w tej podróży. Wybrałem je, bo czułem się tu bezpiecznie. Na pielgrzymki możesz wędrować z każdego miejsca, byleby nikt nie przerwał snu.

– Snu?

Harakun podszedł do skrzyni i wyjął suszony liść, po czym ostrożnie położył na dłoni Brena.

– Głęboki sen jest kluczowy. – Zmrużył oczy. – Wystarczy skruszyć i wsypać do ust, najlepiej już leżąc.

– Co to za roślina? – spytał nieufnie Bren.

– Zioło. W każdym kraju jego nazwa brzmi inaczej. W cesarstwie nazywają go liściem chrapacza. W Bolga krasnoludy zrywają go jako czystek. Gnomi lekarze ponoć otwierają za jego pomocą chorego, a ten śpi w trakcie zabiegu. Ze względu na ogromną moc usypiania jest bardzo drogi i trudny do zdobycia. Na szczęście mam zapas. – Uśmiechnął się.

Bren złapał liść za ogonek i powąchał. Roślina była niemal bezwonna i tak sucha, że dociśnięcie do nosa mogłoby ją złamać.

– A jeśli zabijesz mnie we śnie? Po jakimś czasie miałbyś dwa szkielety gotowe do tańca.

Faust wytrzeszczył oczy. Wyglądał na zdziwionego.

– Zanim zjesz chrapacz, opuść pomieszczenie. Dopóki nie wyjdiesz, ściana będzie zablokowana.

Chłopak zażądał próby. Wyszedł z izby, zostawiając w niej harakuna. Rzeczywiście, dociskanie sufitu nie dawało żadnych rezultatów. Po chwili ściana drgnęła i dostrzegł uśmiechniętego Fausta.

– A widzisz? Można ją otworzyć tylko od wewnątrz. Dlatego tak świetnie nadaje się na pielgrzymkę. To niezmiernie ważne, by nikt ci nie przeszkadzał.

– Niby dlaczego?

Białowłosa wykrzywił usta.

– Nie wiesz, ale podsłuchałeś. Mam rację? – zakpił Bren.

Faust przytaknął.

– Miłej podróży. – Pomachał chłopakowi i opuścił dom.

\* \* \*

– *Co o tym wszystkim sądzisz?*

Parkanin milczał przez chwilę, po czym odparł:

– *Nikt mnie nie uprzedził, że powrót będzie możliwy.*

W jego głosie Bren wyczuł melancholię i nutę niezrozumiałego smutku.

– *Bo to stek bzdur.*

– *Ale nikt też nie mówił o połączeniu z tobą, a tak się stało.*

– *Dlaczego wy, Parkanie, ślepo we wszystko wierzycie, podczas gdy znacie wyłącznie własny świat?*

Leba westchnął.

– *Niesienie wsparcia mamy zakorzenione od pokoleń. Wy, ludzie, poznajecie sztukę warzenia trucizn, my uczęszczamy na lekcje wiary. Dla was ważne jest zajmowanie większego terytorium, naszymi wartościami są honor i gotowość niesienia pomocy.*

– *Nawet czarni Parkanie niosą pomoc?* – ironizował Bren.

– *Wszyscy mamy jasne pióra do momentu rozpoczęcia prób. U niektórych zmiana pojawia się w trakcie wyzwań. Myślę, że zarówno biali, jak i czarni mają do odegrania ważną rolę.*

– *Nigdy nie zrozumiem twojego świata, tak samo jak ty nie pojdziesz mojego.*

– *Jesteśmy inni, to prawda, ale możemy współpracować.*

Bren westchnął i odłożył liść.

– *Nie zrobię tego.*

– *Dlaczego?*

– *Nie połknę czegoś, co może być trucizną.*

– *To sennik. Znam go z mojego świata. Jest bezpieczny. Dzięki tej podróży możemy dowiedzieć się więcej o morderstwie Bezsenego.*

Chłopak wzruszył ramionami. Czuł, że dłuższa rozmowa go osłabiła.

– *Ta opowieść nie różni się od historii o różowym kucyku.*

– *Nie ma różowych kucyków* – zaproponował Leba.

– *No właśnie.*

– *Bren...* – Głos skrzydlatego zadrżał. – *Wiem, że jesteś rozbity. Nie należysz do osób, które obchodzi los innych. To nic złego. Chciałbym cię poprosić, żebyś zrobił to dla mnie.*

Usiadł na podwyższeniu, które okazało się twarde i niewygodne. Wziął do ręki liść i pokręcił nim, oglądając układ żyłek. Podkulił nogi i oparł brodę na kolanach. Być może był teraz najgłębiej ukrytym pod ziemią człowiekiem w całym znanym świecie. Człowiekiem, który nie wiedział, co począć.

Po chwili westchnął i skruszył roślinę.

– *Jestem ci winien przysługę. Poza tym chyba poczuję się pewniej, jeżeli będę potrafił coś więcej niż popychanie przedmiotów.*

Przełknął liść. Poczuł palącą gardło goryczkę. Opadł bezwładnie na kamienny blat, z przekonaniem, że właśnie zażył truciznę.

Otoczyła go ciemność. Oderwał się od ziemi i uniósł, obserwując własną wychudzoną sylwetkę. Leciał coraz wyżej, oddalając się od ciała, które wyglądało na martwe. Wsłuchał się we własny oddech. Miarowy wdech, wydech. Chciał dotknąć głowy, ocenić, czy wciąż ma ciało. Wdech, wydech, uderzenie skrzydeł. Na starych bogów, miał skrzydła? Przyspieszał i nurkował w ciemnej spirali mroku rozrzedzającego się pośród brunatnych chmur. W oddali dojrzał plastry miodu. A może były to krainy w ich kształcie?

*Jednak żyję* – tę myśl zapamiętał jako ostatnią.

**CZEŚĆ III**

**PRZEMIANA**

## Rozdział 1

# Na spotkanie z losem

*Parkan*

– *Otruł nas, gnój! Wiedziałem! Wiedziałem, żeby mu nie ufać!*

Leba poczuł, że opada.

Otworzył oczy, rozwinął skrzydła i musnął nimi ciepłe powietrze. Białe pióra zalśniły w promieniach dwóch słońc.

– *To niebywałe!* – usłyszał w głowie głos Brena. – *Teraz ja jestem w twoim ciele.*

Poniżej rozciągała się zielona dolina. Potargane liściaste lasy, zapadnięte wąwozy, przesmyki, w których wiły się rzeki, niewielkie wzniesienia dające cień soczystym łąkom i granatowym jeziorom. Skąpana w ciepłych promieniach kraina była tak inna od podziemi i seledynowego światła kryształu, przy którym od dawna zmuszeni byli usypiać i się budzić. Parkanin wciągnął powietrze przepełnione zapachem świeżej trawy i kwitnących jabłoni. Uśmiechnął się, po czym pomknął w dół pochylony niczym drapieżny ptak.

– *To szaleństwo! Zwolnij, na bogów! Słyszysz?* – wrzeszczał Bren. – *Dobra, ale teraz lecisz jak staruch. Szybciej. Szybciej!*

Kiedy znaleźli się niżej, Leba wyhamował i rozejrzał się z zainteresowaniem po okolicy.

– *Nie mam wątpliwości, że to mój świat, choć jesteśmy w innym miejscu, niż się spodziewałem* – powiedział z ekscytacją, obserwując, jak pędzący wąwozami wiatr podrzuca liście.

– *Jak to możliwe, że świecą tu dwa słońca?* – spytał Bren.

Parkanin wzruszył ramionami.

– *Są z nami od zawsze. Jedno większe, drugie mniejsze, nie tak jasne jak to wasze. Jednia mówi, że krążymy wokół nich, a one dodatkowo krążą wokół siebie.*

– *Jednia?*

– *Nie opowiadałem ci? Każdym z plemion rządzi ręka boga. To istota, która czerpie moc z natury.*

– *Mag? To zupełnie jak cesarscy Myrmidzi.*

– *Nie sądzę. Bliżej jej do waszych kapłanów, których widziałem w świątyni Pilona.*

– *Kapłani, którzy mają władzę – prychnął Bren. – Brzmi jak szaleństwo.*

Leba obrócił się wokół własnej osi i wznosił wyżej, wywołując okrzyk radości Brena.

– *Dziwne. Mój świat, ale to nie tereny Yrga. Nigdy nie widziałem tak bujnej roślinności. Czy ktoś tu w ogóle mieszka?*

Skierował się w stronę najbliższego wzniesienia. Wiedział, że gdzieś musi być jego dom, że gdzieś tu są Eon i pozostali. Miał im tyle do powiedzenia.

*Z drugiej strony...* – pomyślał i skręcił, by lecieć z wiatrem. *Nikt nigdy nie wrócił do wioski po ukończeniu prób.*

Poczuł zmęczenie. Pomimo protestów zafascynowanego lataniem Brena wylądował na polanie i przyjrzał się skrzydłom. Słabł zdecydowanie szybciej niż normalnie.

*Coś się zmieniło? Czy możliwe, że to z powodu Brena?*

– *Jasne, zrzuć winę na mnie. I kto jest teraz pojemnikiem?* – Ironiczny ton przyjaciela wywołał uśmiech skrzydlatej istoty.

Usłyszał dziecięcy śmiech dobiegający z za pobliskiego pagórka. Podleciał wyżej i dostrzegł kopiec, na którego szczyt prowadziły popękane schody. Otoczony głazami narzutowymi i opleciony zgniłozieloną byliną z drobnymi fioletowymi kwiatkami wyglądał jak skierowana w niebo rozchylona dłoń zasypanego olbrzyma, która coś trzyma. Podfrunął bliżej. W centralnej części wzniesienia dostrzegł bryłę szerokości dwóch Parkan. Na pierwszy

rzut oka, podobnie jak schody prowadzące na szczyt, nie stanowiła dzieła natury. Wykonana z nieznanego Lebie kamienia mieniła się ziarnistymi drobinami przyczepionymi do boków. Jej węższe krawędzie były wydrążone w kształt półokręgu.

– *Ołtarz?* – spytał Leba.

– *Chyba ofiarny.*

Wylądował i obszedł bryłę. W zacienionej części z tyłu ujrzał dwoje parkańskich dzieci. Jasnowłosego chłopiec o pyzatej, zarumienionej buzi kładł płaski, oszlifowany kamień na szczycie pionowej wieżyczki. Zachichotał, kiedy po dołożeniu kamienia stos zachwiało się, lecz nie runął. Dziewczynka stała obok z zaciśniętymi pięstkami i dmuchała na kamień, chcąc wymusić upadek budowli.

– Miałeś szczęście – powiedziała do chłopca, poszukując wzrokiem innych otoczków. Zakołysała małymi skrzydełkami, a jej rozpuszczone długie włosy załopotwały na wietrze.

Dzieci zauważyły Lebę i przerwały zabawę. Podobne buzie świadczyły o tym, że muszą być bliźniaczym rodzeństwem.

– Witaj. – Chłopczyk pomachał do niego.

Leba podszedł do maluchów, czując, jak serce wypełnia mu się bezgraniczną radością.

– Z którego klanu jesteście, dzieciaki?

– Nie należymy do żadnego – odparła poważnie dziewczynka.

– A więc znowu widzę to, co mój umysł może pojąć?

– I tak, i nie – powiedział chłopiec, dotykając fragmentu ciemnych piór Leby.

– Za dużo myślisz – dodała płowowłosa. – Skoro już tu trafiłeś, postaraj się częściej używać serca.

Leba przyklęknął bliżej dzieci i omiótł wzrokiem okolice.

– Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie jesteś. – Chłopczyk nakreślił palcem koło. – To kolebka światów.

– Ależ to mój dom, Parkan.

Dzieci przytaknęły.

– Jest również podwaliną – wyjaśnił chłopiec.  
– Praźródłem – dodała dziewczynka.  
– To tu żyją pierwowzory wszystkich ras.  
– A tacy jak ty przybywają, by pomagać im mierzyć się z wyzwaniem.  
– Myślałem, że pomagam tam... – Leba wskazał niebo, nie wiedząc, jak oznaczyć Estepię, miejsce, z którego właśnie przybył.

Bliźniaki zaśmiały się radośnie.

– Tam pomagasz konkretnej istocie – podkreślił z uśmiechem chłopiec.  
– Tu możesz dać załazek nacji lub przyczynić się do jej upadku.  
– Rozwiniesz, oświecisz albo wręcz na odwrót: wpędzisz w mrok – tłumaczyła dziewczynka.  
– Zainspirujesz albo zgasisz zapał.  
– Jakim prawem miałbym robić takie rzeczy? – przerwał Leba.  
– Prawem wybrańca. Ukończyłeś próby.  
– *Czuję narastające zmęczenie.* – Leba usłyszał zatrwożony głos Brena. –

*Co się dzieje?*

– A wy? Kim... lub czym jesteście? – spytał dzieciaki.  
Te zerknęły na siebie, jakby właśnie zaczęły się nad tym zastanawiać.  
– Jesteśmy radą i odpowiedzią – odparły jednocześnie.  
– Ode mnie... – Chłopczyk uniósł palec. – Możesz otrzymać radę. Podaruję ci ją, lecz tylko raz, a wtedy stracisz szansę, by porozmawiać z moją siostrą.  
– Mnie możesz zadać jedno konkretne pytanie. – Dziewczynka trąciła chłopca barkiem. – Ale przez to nie uzyskasz rady od mego brata. Więc jak będzie? Ja czy on?

Dzieciaki stukały palcami w wypełnione powietrzem policzki, wydając zabawne odgłosy.

– *Poproś o radę* – zasugerował Bren. – *Ścigają nas, porywają magów, mój świat stanął na głowie.*

– *A może lepsze będzie konkretne pytanie?*

– *Masz takie?* – Ton głosu potwierdzał, że chłopak był zniecierpliwiony.  
– *No widzisz!*



– Wybieram ciebie. – Wskazał chłopca. – Potrzebuję rady.

– A to ci niespodzianka. – Dziewczynka wydeła policzki i odeszła w stronę wieży z kamieni.

Chłopiec dotknął Leby małym palcem.

– Jeśli mam udzielić rady, każdy z was musi pomyśleć o tym, na czym mu najbardziej zależy.

– *Czy on mówi też o mnie?* – upewnił się Bren.

– *Najwyraźniej.*

– Nie silcie się na wspólne ustalenia, to musi pochodzić z serca. Nawet jeśli wasze pragnienia się różnią, a zazwyczaj tak jest, dobiorę radę, by była im najbliższa. Widzicie? Nie było to takie trudne. – Chłopiec odsunął palec i utonął w myślach, a jego twarz spoważniała. Przypominała oblicze dorosłego Parkanina.

Po chwili westchnął i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Kobieta o imieniu Zadra umiera. Powstrzymajcie śmierć i przywróćcie jej zdrowie. Przebywa w Chegarze.

– *Słyszałem o tym miejscu, to przygraniczna miejscowość w Togli* – powiedział Bren.

– Kim ona jest? Jak mamy to zrobić? – Leba złapał chłopca za ramiona, lecz ten milczał.

– On nic ci już nie powie, otrzymałeś swoją radę – mruknęła dziewczynka, wysuwając płaski kamień z wieży. – Nigdy nas już nie spotkasz.

Bliźnięta chwyciły się za ręce i wzbiły wysoko, po czym odleciały bez pożegnania.

## Rozdział 2

# Odwieczna wojna

Leba leciał przed siebie. Przestał odzywać się do Brena, gdyż czuł, że każda chwila rozmowy kosztuje więcej energii niż kiedykolwiek wcześniej. Omiatał wzrokiem zazielenione wąwozy żłobiące okolicę i tworzące wymyślne wzory na mozaice pól oraz kwiecistych łąk. Po chwili zauważył, że jedna z gór tworzy swym kształtem łuk przypominający ogromny most. Obniżył lot i przemknął wzdłuż wąwozu w kierunku szczytu.

Kiedy się zbliżył, dostrzegł przytulone do skały zamczysko. Strzeliste wieże sięgające wierzchołków wzniesienia górowały nad budowlą, która wyglądała na opuszczoną. Wyszczerbione, nadgryzione zębem czasu baszty straszyły trzepoczącymi chorągwiami, a wszędobylskie pnącza wiły się wzdłuż ceglanych ścian.

*Wymarły i opuszczony* – pomyślał Leba, kołując nad dziedzińcem. Dzika przyroda wdarła się tu przez wyłom w bramie i pokryła plac kobiercem korzeni i chwastów.

Dostrzegł ruch, ledwo zauważalną grę cieni na przekrzywionej ścianie baszty. Zmrużył oczy. Trzy nieznane mu istoty szarpały inną, wyglądającą na kobietę. Obdarzona sporym brzuchem upadła, a najwyższy z napastników docisnął ją kolanem, podczas gdy drugi krępował sznurem nadzwyczaj długie ręce. Krzyk kobiety poniósł się po dziedzińcu. Pomiedzy skrzydłami wrót prowadzącymi do twierdzy ukazała się głowa kolejnej istoty. Wyglądająca na mężczyznę postać rozejrzała się, po czym ruszyła pędem w kierunku wzywającej pomocy.

Leba wylądował tuż przy ścianie baszty, lecz wleczona po ziemi

niewiasta była już pod łukiem bramy prowadzącej do mostu zwodzonego. Pędzący w jej kierunku nieznajomy dostrzegł skrzydlatego i zatrzymał się z przerażeniem na twarzy. Jeden z porywaczy uniósł i odsunął płytę brukowanej nawierzchni placu, odsłaniając ciemną dziurę. Wepchnęli do środka szarpiącą się kobietę, po czym również tam wskoczyli i zamknęli wejście.

Z fortecy wybiegło kilkanaście zaalarmowanych hałasem istot. Na widok Leby uskakiwały w bok i chowały się za zburzone ściany nieistniejących już budynków. Obserwowały go z obawą i szeptały. Parkanin również trzymał się z tyłu. Próbował ocenić, kim są mieszkańcy zamku i czy grozi mu niebezpieczeństwo.

– Hoji? Czy to Hoji?! – krzyknął jeden z nich.

– Tak, to on!

Kilkoro z nich podeszło bliżej, wciąż wlepiając wzrok w skrzydła i twarz Leby. Z daleka przypominali sylwetkami ludzi, lecz teraz, po dokładnym przyjrzeniu się im, skrzydlaty był pewien, że to inna rasa. Szare, smukłe ciała okrywali prymitywnymi chustami. Mieli krótkie, umięśnione nogi, wydłużony tułów i sięgające kolan ręce. Palce nóg połączone błonami pławnymi sprawiały wrażenie, jak gdyby naturalnym środowiskiem istot była woda. Długa szyja dźwigała niewielką bezwłosą głowę. Całości obrazu dopełniały szeroko rozstawione oczy, dwa otwory niewykształconego nosa i miniaturowe uszy, które przez cały czas się poruszały.

– Jesteśmy Qanotlari – oznajmiła kobieta, która podeszła najbliżej gościa.

– Jak to możliwe, że rozumiem wasz język? – spytał Leba, zerkając na wybiegające z zamku dzieci. Maluchy rozpierzchnęły się po placu, a jeden z chłopców podszedł do kobiety i uniósł rączki.

– My ciebie również rozumiemy, Hoji – odparła, podnosząc dziecko.

Miała szerokie biodra i krótszy tułów niż pokryci tatuażami mężczyźni.

– Hoji? – powtórzył Parkanin.

– Ten, który przybywa. Jak masz na imię?

– Jestem Leba.

Wokół zbierało się coraz więcej młodych mieszkańców i dzieci. Niektórzy dotykali go, najwyraźniej pierwszy raz widząc Parkanina. Najbardziej ciekawiły ich pióra, które co odważniejsi próbowali wyrwać. Zobaczywszy zakłopotanie Leby, kobieta odgoniła ich gestem dłoni.

– Wybacz im, rzadko miewamy gości. Jesteś trzecim pielgrzymem, którego poznałam, a większość z tu obecnych – rzekła, wskazując mieszkańców – pierwszy raz widzi kogoś nie naszej rasy.

Rozejrzała się po dziedzińcu i rozszerzyła nozdrza.

– Wejdźmy do środka, pielgrzymie. Tu nie jest bezpiecznie. Mam na imię Eonora.

\* \* \*

Prowadzili go zacienionym korytarzem zamku. Mijali podobne do drzew kolumny dźwigające zniszczone sklepienie. Leba przyglądał się pozostałościom rzeźb przedstawiającym postacie ludzako podobne do mieszkańców warowni. Na posadzce walały się belki oraz fragmenty kamiennych łuków, które musiały odpaść z sufitu. Zbutwiałe zasłony kołysały się popychane uderzeniami wiatru wpadającego przez wyszczerbione otwory okienne.

Kobieta z dzieckiem na ręku, która musiała pełnić tu ważną funkcję, rozmawiała z tym, który pierwszy dostrzegł Lebę.

– Jesteś pewien? Jeszcze rano była w uroczyńcu – dosłyszał głos.

Raportujący machnął długimi rękami.

– Musiała wyjść. Widziałem, jak ją wciągnęli.

Kobieta powiodła smutnym wzrokiem po zwałach gruzu i obejrzała się w stronę Leby. Jej twarz złagodniała, a usta wygięły się w serdecznym uśmiechu.

– Już prawie – wyczytał z ruchu jej warg.

Spodziewał się, że trafi do sali tronowej, lecz zatrzymali się w pomieszczeniu z dużym, okrągłym otworem. Okno, o ile nim było, zajmowało większość powierzchni ściany od podłogi aż po sufit. Osłonięte

rozerwaną siecią ukazywało przepiękny widok na zieloną dolinę. W rogu komnaty, na podwyższeniu, stał stojak, a na nim spoczywała duża zamknięta księga w purpurowej oprawie.

Liderka machnęła ręką, a po chwili zostali sami. Spojrzała na Lebę z uwagą i wskazała ławę obok dużej dziury w podłodze.

– Dziś straciliśmy kolejną ciężarną – szepnęła smutno, siadając obok Parkanina. Ucałowała czoło synka i zapatrzyła się w okno.

– Zapamiętałem, gdzie uciekli. Moglibyśmy podważyć tę płytę...

Pokręciła głową.

– Zginiesz w jednej z pułapek, od których roi się labirynt pod zamkiem. Zresztą... już za późno. – Westchnęła. – Do tego czasu nakarmili ją białymi jagodami.

Patrzyli w milczeniu na ciągnące się w oddali zielone pola i leśne połacie.

– Wypuszczą ją – dodała, zerkając na Lebę. – Wymienimy się na jednego z nich.

– Wyglądali zupełnie jak wy – rzucił.

Uśmiechnęła się smutno.

– Eskowie. To Qanotlari, tylko starsi. Jesteśmy z nimi w stanie wojny.

– Wojny?

Przytaknęła, obserwując, jak chłopczyk układa się na jej kolanach i cmoka. Odchyliła suknię przy dekolcie, ukazując nabrzmiałą pierś, po czym objęła synka kolebką rąk.

– Konflikt trwa od pokoleń. – Eonora poprawiła się, by dziecko mogło sięgnąć sutka. – Nikt nie pamięta jego początku, ale jesteś tu, by doprowadzić do zakończenia, doradzić, jak go przerwać.

– Walczycie o terytorium?

Zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy.

– Podobno wiele pokoleń wstecz wszyscy Qanotlari mieszkali razem, w fortecy. Dbali o zamek, uprawiali warzywa, owoce, wydobywali cenne złoża nikadu. Odkąd przekleństwo trawi nasz ród, nie potrafimy cieszyć się życiem. Starsi mieszkańcy zbiegli do labiryntu pod zamkiem, a my, młodzi,

zostaliśmy na górze. Staliśmy się dla siebie śmiertelnymi wrogami.

Chłopczyk oderwał się od piersi i zerknął zaczepnie na Lebę. Po chwili zeskokczył z zadowoleniem na podłogę. Ominął dużą wyrwę i zaczął bawić się kawałkiem drewna.

– Coś ci pokażę – powiedziała Eonora, wstając.

Podeszli do księgi w purpurowej oprawie. Kobieta chwyciła brzeg okładki i ostrożnie ją otworzyła. Na pożółkłych kartach zapisano kolumny liczb oraz niezrozumiałe wyrazy.

– Kiedy kobieta Qanotlari rodzi dziecko, po chwili umiera najstarszy mieszkaniec.

Nastała cisza. Leba analizował wyraz po wyrazie. Musiał coś źle usłyszeć.

– Nikt nie wie, kiedy to się zaczęło. – Przerzuciła kartkę i zastukała w kolejną stronę. – Przez długie lata przodkowie nie zauważali powiązania życia ze śmiercią. Z czasem jednak postanowili spisywać momenty narodzin i zgonów.

– To niemożliwe – wyszeptał.

– Spójrz. – Odwróciła kartkę. Następna była zapisana tylko w połowie. – Trzy lata temu urodziłam synka.

– Czy to oznacza dzień? – Wskazał skrzywiony napis.

– Tak, a tu zapisana jest dokładna godzina. Widzisz? Chwilę potem umarł Astep. Nie był chory, nic mu nie dolegało. Za każdym razem śmierć zabiera najstarszego z nas zaraz po tym, gdy noworodek złapie pierwszy oddech.

– Ale dlaczego jesteście w stanie wojny? – Głos Leby zadrżał.

Zamknęła księgę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej wzrok skrywał rozgoryczenie i strach.

– Starsi nie chcą umierać, a my chcemy mieć dzieci!

Usłyszeli hałas dochodzący z dziedzińca poniżej. Podeszli do okna. Troje młodych Qanotlari prowadziło kobietę. Powłócząca nogami staruszka była związana i ciężko pobita. Kiedy dotarli z nią do bocznej baszty, uchylili drzwi i kopniakiem wepchnęli pojmaną do środka.

– Jesteśmy niczym dwie podstępne armie pośród wiecznej wojny

domowej. Mało tego, skład tych armii się zmienia.

Zerknął na nią przez ramię i ponownie obiegł wzrokiem plac przed zamczyskiem.

– Chodź ze mną – powiedziała. – Pokażę ci nasz skarbiec.

\* \* \*

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że skład armii się zmienia? – spytał, gdy schodzili częściowo zawalonymi schodami.

Wygięła długą szyję, myśląc nad odpowiedzią.

– Kilka dni temu najstarszy z nas zbiegł do labiryntu pod podłogą. Nie miał kobiety i żadnych perspektyw na dziecko. Widocznie uznał, że bliżej mu do interesów Esków.

– Czyli na zamku przebywają tylko młodzi?

– W większości. – Pokiwała głową, oglądając się za synkiem, który zeskakiwał schodek po schodku. – Są z nami też starsi, pokładający wiarę w przewadze narodzin, oraz niektórzy rodzice. Na dole zaś trafiają się młodszy, którzy od początku nie chcieli mieć dzieci. Problem w tym... – Zawahała się. – Że coraz trudniej o zaufanie. Czasem nie wiem, kto z kim trzyma.

– Witaj, Eonoro – rzucił z daleka strażnik, po czym wraz z pozostałymi trzema odsunął się pod ścianę, odsłaniając masywne drzwi.

– Jesteś władczynią Qanotlari? – spytał Leba, przyglądając się jej twarzy.

– Powiedzmy, że słuchają mnie młodzi.

Pchnęła ciężkie drzwi.

– Oto najbardziej chronione miejsce na zamku: uroczyniec.

Ich oczom ukazała się duża izba bez okien. Wypełniona była rzędami łóżek, których większość zajmowały kobiety w ciąży. Niektóre spały z rękami ułożonymi na nabrzmiąłych brzuchach, inne spacerowały i rozmawiały szeptem, kolejne roznosiły wodę i pożywienie.

– Chronimy je z całych sił, ale bywa, że są zmęczone ciągłym zamknięciem...

– Wtedy wychodzą i narażają się na porwanie – dokończył zimno.

Pokiwała głową.

– Eskowie zabierają je do swoich podziemi i zmuszają do połknięcia białych jagód. – Spojrzała na uniesione brwi Parkanina. – Wiesz, co za chwilę powiem, prawda? Niestety. Owoce zabijają płód.

Leba czuł się przybity, bezradny. Jak mógłby zakończyć trwający od pokoleń konflikt? Wojnę, tak brutalną i bezkompromisową. W jaki sposób pogodzić młodych, którzy chcą mieć dzieci, z grupą Esków narażonych na śmierć?

– W głębi duszy ci współczuję – westchnęła, po czym zamknęła drzwi uroczyńca. Skinęła głową strażnikom i ruszyli z powrotem popękanym korytarzem. – Tak wielu Hoji przed tobą próbowało, a my wciąż rzucamy się sobie do gardeł.

– Co teraz? – spytał sucho.

– Powinieneś poznać drugą stronę. Eskowie cię widzieli. Na pewno czekają przy fontannie. To terytorium neutralne za murami. – Wskazała przez okno zniszczone budynki, które kiedyś zapewne stanowiły centrum miasteczka. – Aha, jeszcze jedno. Nie pozwól, by otruli twoje serce starczymi bredniami.



## Rozdział 3

# Zakłęcie z rady zrodzone

– *Co o tym sądzisz, Bren?*

– *Sądzę, że z każdą chwilą słabniemy. Jest mi duszno i ledwo łapię oddech. Przyszło mi do głowy, że Faust odciął dopływ powietrza do komnaty i powoli umieram.*

– *Pytałem o tych biednych Qanotlari i ich konflikt.*

– *Myślę, że to strasznie popieprzone.*

Leba zacisnął szczęki w odruchu złości i obniżył lot. Omiótł spojrzeniem okolicę. Cmentarzysko zapuszczonych budynków na obszarze podgrodzia wyglądało przygnębiająco. Zmurszałe konstrukcje się przekrzywiły. Zwalone, pokryte mchem fragmenty dachów, spleśniałe drzwi i piętrzące się w wielu miejscach bloki ścian z otworami okiennymi tworzyły istne gruzowisko. Parkanin wyobraził sobie, jak pięknie mogło tu być w przeszłości. Oczami wyobraźni widział wypełnione towarami taczki pchane przez Qanotlari, biegające po równym bruku dzieci. A wszystko to pośród zapierającej dech w piersiach przyrody: bukszpanowych krzewów, obsypanych słonecznikami łąk i szumiących, gęstych lasów.

Skręcił w kierunku wysokiej fontanny w kształcie konia, która jako jedyna dziwnym trafem ocalała od zniszczenia. Ujrzał cienie tkwiących za nią istot.

*Czyżby czaili się na mnie?* – zadumał się.

Napiął mięśnie i zapobiegliwie podleciał wyżej, po czym okrążył konstrukcję tryskającą krystalicznie czystą wodą. Trzech zgarbionych staruszków podawało sobie jakiś przedmiot. Wtem dostrzegł czwartego,

kryjącego się przy bocznej kolumnie fontanny. Kiedy Eskowie dostrzegli Lebę, pomachali serdecznie, zachęcając, by wylądował. Parkanin rozwinął skrzydła i opadł, by po chwili sięgnąć stopami podłoża.

– Witaj, Hoji! – zawołał jeden z nich.

Był naprawdę stary. Pomarszczoną, szara skóra wydawała się o kilka rozmiarów za duża. Zerkał na Lebę opuchniętymi oczami, pocierając dłonią suche, zapadłe policzki. Pozostali również wyglądali na wątłych i kruchych. Wsparci na drewnianych lagach patrzyli ufnie na przybysza.

– Co tu knujecie?! – huknął Leba, rozglądając się podejrzliwie na boki.

Stojący przy budowli uniósł dłoń, w której ścisnął kamień. Pozostali również trzymali niewielkie otoczaki, które jeszcze przed chwilą musieli sobie podawać.

– Naprawiamy fontannę – odparł słabym głosem jeden z nich, po czym wskazał niewielki ubytek w fundamencie.

Ktoś umiejętnie wcisnął w niego małe kamienie, by nadkruszona figura się nie przekrzywiła.

– Dlaczego to robicie?

– To spuścizna – rzekł starzec i zamrugał opuchniętymi powiekami. – Kamień po kamieniu odbudujemy najpierw miasto, potem zamek. Chcemy żyć jak dawniej, bez waśni.

– Który z was jest przywódcą?

Pokręcili głowami.

– Żaden z nas. Władzę piastuje Albah. Czeka na ciebie na dole.

\* \* \*

Jedno z ukrytych wejść ukazało drabinkę prowadzącą w dół. Leba schodził ostatni. Zasluchany w echo powielające metalowe odgłosy uderzeń stóp czuł się coraz gorzej. Zawroty głowy wracały z większą intensywnością, pocił się, a drżenie zaciśniętych na drabince dłoni nie oznaczało niczego dobrego. Unikał rozmowy z Brenem, a mimo to jego własny świat wysysał siły witalne niczym modliszka wnętrzości ukochanego.

Chociaż chodnik, na który zeskoczyli, znajdował się głęboko pod ziemią, nie było tu ciemno. System kanalizacji zamku doświewały szczeliny odprowadzające trujące opary ze składowanych nieczystości. Fetor rozkładających się resztek, zgniłych warzyw, kału i bóg wie czego jeszcze unosił się w labiryncie podziemnych korytarzy, którymi kroczyli. Fragmenty skrzyń i zwierzęce szczątki dryfowały w zażółconej rzece płynącej kanałem wzdłuż ściany.

Za zakrętem dwie starsze kobiety maskowały pionowe wnęki, w których tkwiły ostre haki zawieszane na przedziwnych mechanizmach. Na widok idących przerwały pracę, a jedna z nich nacisnęła wystający kamień. Haki wystrzeliły ze ściany, zalewając korytarz metalicznym dźwiękiem. Leba pomyślał, że gdyby przechodził tędy sam, zawisłby na nich jak pieczona gęś na rożnie. Gdy mijali pułapkę, niektóre bloki w posadzce opadały po naciśnięciu stopą. Ruszyli dalej. Parkanin odwrócił się i zobaczył, że kobiety wsunęły haki do wnęk i powróciły do maskowania.

Wydawało się, że labirynt smrodu nie miał końca. Na szczęście po jeszcze jednym zakręcie dotarli do szerszego korytarza, w którym się zatrzymali. Poproszono Lebę, by usiadł i zaczekał na Albaha. Nie widząc żadnego siedziska, Parkanin kucnął i oparł się plecami o ścianę. Słabł z każdym oddechem. Czekał, lecz przywódca nie nadchodził.

Po około godzinie usłyszał odgłosy wielu kroków. Zza zakrętu wyłoniła się grupa Esków. Na czele wolno stąpał bardzo stary, półnagi mężczyzna wsparty na ramieniu kobiety w średnim wieku. Ostrożnie stawiał kroki. Ubrani w dziurawe, brudne szaty staruszkowie mocno różnili się od młodszych Qanotlari, żyjących w twierdzy. Byli wychudzeni, pokaszliwali i słaniali się na nogach. Niektórzy nosili okrycia głów; mogły symbolizować władzę lub starszeństwo. Każdy z nich kłaniał się Lebie z szacunkiem, przyciskając dłoń do klatki piersiowej.

– Pozdrowiony bądź, mądry pielgrzymie. Nazywam się Albah – odezwał się pomarszczony starzec. – Wybacz spóźnienie, ale braliśmy udział w pogrzebie.

Oczy staruszka zalśniły. Obserwował Lebę z fascynacją.

– Musiałem pochować siostrę – dodał drżącym głosem.

– Zadźgali ją – huknęła kobieta podtrzymująca starca. – Dopadli ją i zadźgali!

– Młodzi? – upewnił się Leba.

Pokiwali głowami.

– Co jakiś czas próbujemy się pojednać, żyć w pokoju pomimo przekleństwa. Niestety, jak dotąd żaden z pomysłów Hoji nie powstrzymał wojny.

Leba przyjrzał się bacznie ich twarzom.

– On nam nie wierzy – wycodziła przez zęby kobieta. – Pewnie zatruli mu umysł tymi bajkami o wyższości narodzin.

– Uprawadziliście kobietę w ciąży! – obruszył się Parkanin. Zakręciło mu się w głowie, więc oparł plecy o ścianę.

Albah spuścił głowę, a jego ramiona zaczęły się trząść. Po nagim brzuchu pociekły łzy.

– Jestem najstarszy – powiedział. – Nic mi nie dolega i chciałbym wciąż żyć. Urodziłaby za cztery miesiące. Dzięki białym jagodom żyjemy ja i porwana. Czyż dwa istnienia za jedno nienarodzone nie stanowi korzystnego rachunku?

– Jesteś mordercą!

Pomiędzy nich wsunęła się kobieta w średnim wieku i zasłoniła mężczyznę.

– To ja podałam jagody! A co ty byś zrobił, wiedząc, że nadchodzi śmierć najbliższej ci osoby? – Spiorunowała Parkanina wzrokiem. – Nie próbowałbyś temu zapobiec? Albah to mój ojciec, kocham go nad życie.

Zrobiła krok w stronę Leby, a dłoń ojca zsunęła się z jej ramienia. Kobieta splunęła i spojrzała wymownie w górę.

– Poukrywali ciężarne, psie syny! Nie wiemy, ile ich mają i kiedy będzie najbliższe rozwiązanie. Popatrz na nas. – Wskazała zebranych. – Żremy resztki, tułamy się jak bezpańskie psy na górze śmieci, wśród kału i robactwa, które pije naszą krew.

– To wciąż nie tłumaczy mordowania nienarodzonych! – Leba podniósł

głos. – Zawsze istnieje sposób, by domówić się pokojowo.

– Czyżby? – warknęła.

– Spokojnie, Freso. – Staruszek dotknął czule ramienia córki, po czym złożył na nim pocałunek. – Hoji nie przybył nas skrzywdzić. Jest tu, by rozstrzygnąć spór.

Przysunęła twarz do Parkanina na tyle blisko, że poczuł smród jej potu.

– Wyobraź sobie, że musisz umrzeć, by ktoś mógł otrzymać życie.

Zgodzisz się?

– *Nigdy w życiu* – skwitował Bren.

– To zależy – odparł Leba.

Pokręciła głową i odwróciła się do ojca.

– Już ja wiem, jak rozstrzygali spór poprzedni Hoji – fuknęła. – Od pokoleń nic się nie zmienia.

Starzec dotknął ramienia Leby i się zamyślił.

– To trudne, wiem. Jesteśmy jak poróżniona rodzina, która nie pamięta, od czego zaczęły się właśnie. Nie będę cię przekonywał, która grupa ma rację. Prawdę mówiąc... sam tego nie wiem.

Stęknął i ponownie wsparł się na ramieniu córki.

– Wiem jednak, że podczas gdy młodzi okupują powierzchnię, nie pozwalając nam wyjść, my zjadamy resztki i umieramy w smrodzie. Kiedy oni skupiają się, by dopaść jednego z nas, my ryzykujemy życie i odnawiamy symbole dziedzictwa naszej rasy. Chcemy pokoju. Czy usłyszałeś to samo z ust młodszych?

Leba się zamyślił. Wspomnienia ostatnich zdarzeń wirowały mu w głowie.

– Hoji słabnie! – usłyszał alarmujący głos.

Osunął się na ziemię.

– Wołajcie o rokowania! Znaki dymne! Szybciej!

Słyszał stłumione nawoływania. Czyjeś ręce go dźwignęły. Po chwili świat realny zmieszał się z obrazami, które nie mogły być prawdziwe. Chciał coś powiedzieć, lecz nie miał siły.

\* \* \*

Pierwsze, co ujrzał po otwarciu oczu, to marmurowy koń, z którego pyska wypływała struga wody. Plac ze znaną mu fontanną zajmowały dziesiątki Qanotlari. Stojące wokół niego istoty milczały, wpatrując się gniewnie we wrogą grupę zebranych naprzeciwko.

Kiedy plac się zapełnił, Albah stuknął o podłoże lagą i oznajmił:

– Rokowania czas zacząć.

Leba nie miał siły siedzieć. Legł na piasek i obserwował naznaczone wściekłością twarze.

– Pierwsi swoje stanowisko wygłoszą Eskowie – zawyrokował Albah i wszedł do środka kręgu. – Wysłuchaj mnie, Hoji. My, starsi, wiemy, że naszym przeznaczeniem jest śmierć. O jej dniu jednak decydować powinni bogowie, nie inni Qanotlari.

Krąg szepczących zafalował, lecz nikt nie przerwał przemowy.

– Niewielu nas zostało. W rzeczywistości jestem następny w kolejce. – Starzec zrobił pauzę i nabrał powietrza. – Wieku nie da się oszukać. Jutro każdy z nas będzie starszy dokładnie o jeden dzień. Nikt nie wyprzedzi mnie w tym wyścigu. Chcę tylko w spokoju dożyć swoich dni. Jeśli przyjdzie na świat więcej dzieci, to w końcu zaczną umierać ci w średnim wieku, a potem młodszy. Chcecie żyć trzydzieści lat zamiast siedemdziesięciu? – Ostatnie zdanie skierował do mieszkańców.

Do środka zgromadzenia weszła Eonora.

– Wysłuchaj mnie, Hoji – powiedziała, składając pokłon. – To wszystko nieprawda. Jeśli zostaną sami młodzi, nie będą mogli się rozmnażać, dopóki nie osiągną wieku rozrodczego. Tym samym więc Qanotlari na jakiś czas przestaną umierać z powodu narodzin.

Kobieta chodziła wokół leżącego Leby, patrząc mu w oczy.

– Jeśli nie będziemy rodzić, dogoni nas czas i wszyscy się zestarzejemy. Dobrze wicie, że dwieście lat temu zostało tylko dwoje Qanotlari zdolnych dać potomstwo. Cała nasza rasa mogła przestać istnieć tylko dlatego, że starsi przejęli na dłuższy czas władzę w zamku.

– *Lebo, brak mi tchu* – jęknął Bren.

– *Wytrzymaj jeszcze.*

– *Nie dociera do ciebie, że umieramy?*

– Co radzisz, Hoji? – spytała kobieta.

– *Przez twą ciekawość i chęć powrotu* – kontynuował Bren – *zdechniemy tu razem!*

– Myślę, że nie ma rozwiązania – odparł Leba, a jego głowa opadła na ziemię. Rozżarzone niebo zawirowało, kręcąc kształtem fontanny. Otworzył usta, czując, że uchodzą z niego ostatnie siły. – Rozdzielcie się – wyszeptał.

Kobieta kucnęła przy nim, kołysząc obręczami.

– Wytłumacz nam to lepiej, Hoji.

Starzec również podszedł, by wyraźniej słyszeć.

– Rozdzielcie się. – Głos Leby był słaby. – Do pierwszej grupy trafią wszyscy, którzy mają zdolności rozrodcze, i młodszy. Do drugiej zaś pozostali. Żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o porody.

– To nic nie zmienia – powiedziała Eonora. – Dziś tak właśnie próbujemy żyć.

Leba oblizał usta. Poczuł w sobie narastającą, dobrze znaną energię. Będąc w Estepii, wyczuwał ją z zewnątrz, tu jednak dawała się poznać jako pulsujący żar, który wirował niczym huragan w jego ciele. Burza cząstek przemieszczała się gwałtownie, skręcała, zatrzymywała się nagle, jakby próbowała uformować jakiś kształt.

– Pozwólcie na porody – kontynuował. – Doprowadzi to do sytuacji, gdy zostaną tylko osoby z pierwszej grupy. Kiedy to nastąpi, zamknijcie podziemia i zamieszkajcie na górze. Od tego momentu pozwolenie na spłodzenie potomka otrzyma para z najstarszym mieszkańcem.

Qanotlari milczeli, analizując usłyszane słowa.

Brwi kobiety się uniosły.

– To będzie decyzja pary, czy chcą poświęcić ojca lub matkę przyszłego dziecka, by dać nowe życie – powiedziała z namaszczeniem.

– Ma to sens! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Bardzo mądre – dodał inny.

– Absurd – powiedział bez przekonania Albah. – A co z osobami, które nie zechcą mieć dzieci?

Kobieta go odepchnęła.

– Kiedy się zestarzeje, rozlosujemy jedną zgodę na nowe dziecko w zamian za jego śmierć!

– Nie – szepnął Parkanin. – Trzeba przemyśleć...

– Jak śmiesz dotykać mojego ojca! – Krzyk innej kobiety wmieszał się w rosnącą wrzawę.

Leba usłyszał szeleszczący szept. Ten sam, który dotarł do niego w komnacie myśliwego, gdy widział trójkąt, lecz tym razem rozpoznał słowa. Głos powtarzał ten sam zwrot: „Otrzymałeś zakłęcie, odkryj je”.

Rzucające się na siebie z pięściami sylwetki Qanotlari zmętniały, zakołysały się jakby wciągnięte w wir. Leba ujrzał ciemność, wciąż czując w ustach suche drobinki piachu. Pulsujący ciepłem trójkąt zaiskrzył żółtym blaskiem. Parkanin rozrzucił ręce i wypuścił ostatni oddech.



## Rozdział 4

# Podwójna strata

*Estepia*

– *Bren, otwórz oczy.*

– *Leba? Żyjemy?* – Chłopak uniósł powieki. Leżał na skalnym podwyższeniu w pokoju Fausta.

– *Znów jestem wewnątrz ciebie* – oznajmił Leba. – *Myślisz, że ta rasa przetrwa? Czy moja rada cokolwiek im da? A może wywoła zamieszki?*

Chłopak stęknął i się przeciągnął.

– *Nie wymyśliłbym niczego lepszego.*

– *To takie okrutne* – powiedział Parkanin ze smutkiem.

– *Nie bardziej niż wszystkie rady, do których stosowali się wcześniej.*

*Bogowie, jak wszystko mnie boli.*

– *Powinniśmy pomóc tej kobiecie. Ma na imię Zadra, pamiętasz?*

– *Ostatnie, czego pragnę, to wpaść w łapy piewców.*

– *Ale to nasz wspólny kolejny krok. Otrzymaliśmy radę, rozumiesz?* – naciskał Leba.

– *Mój kolejny krok brzmi: idź na górny pierścień, prosto do kuchni. Zjedz coś i opowiedz wszystkim, że mieszka z nami nekromanta morderca.*

– *Dałeś słowo...*

– *...które warto złamać dla ważniejszej idei.*

– *Obietnica to córka honoru. Zawsze jej dotrzymuj.*

Bren pokręcił głową i machnął ręką.

– *A nowe zaklęcie, które miałem dostać? Czujesz coś?*

Obaj skupili się na wewnętrznej energii, lecz ta, ukryta głęboko, nie

pozwoliła się wywołać.

– A to szarlatan. Urosnę w siłę, zdobędę nowe zaklęcie... Sam pewnie jest już daleko stąd! – wykrzykiwał Bren. Spojrzał na pojemnik z liśćmi chrapacza. – Będzie lepiej, jeśli zostaną ze mną, a nie z tym szaleńcem.

Kucnął i zamarł, sięgając po drewnianą skrzynię.

– Moja dłoń!

Palce: środkowy, serdeczny oraz mały były ze sobą zrosnięte. Spróbował je rozchylić, ale stanowiły zgrubiałą, połączony twór. Obejrzał lewą dłoń. To samo. Przesunął kciukiem po łączeniach i natrafił na grubą błonę, jak gdyby palce nigdy wcześniej nie były oddzielne.

– *Widzisz to?*

– *Tak. Masz teraz trzy palce, w tym jeden duży. Ale na jego końcu wciąż są te krótkie pazury.*

– *Mówimy na nie: paznokcie. Co mi się, do psiej juchy, stało?*

Pomyślał, że pokaże to pozostałym. Może ktoś będzie znał tę chorobę, o ile w ogóle jest chory. A może to wina chrapacza? Może zatruł się tym paskudztwem?

Chwytnął skrzynkę, po czym podszedł do ściany i docisnął sufit. Mechanizm brzęknął, powodując otwarcie przejścia. Na podłodze drugiego pomieszczenia leżał szkielet Vatora, Bren nigdzie jednak nie dostrzegł harakuna.

– Jesteś tu, Faust?

Obszedł budynek, lecz nie znalazł nekromanty. Przyszło mu do głowy, że spał dłużej, niż mu się wydawało.

– Do jadalni – powiedział, pospiesznie ruszając na górę.

\* \* \*

Znalazł się na kręgu Thulsy, ale nie zastał po drodze nikogo. Magiczne symbole wciąż połyskiwały na budynkach, odbijając zielonkawą poświatę kryształu.

*Pewnie skończyli przeszukiwanie i są na najwyższym pierścieniu –*

pomyślał.

Po połowie godziny dostrzegł budynek jadalni. Wciągnął nosem podziemne powietrze. Powinien czuć aromat bulionu, gotowanych warzyw lub intensywną woń tartych ziół. Do nozdrzy docierał jednak wyłącznie kwaskowy zapach skał. Nie słyszał brzęków misek ani odgłosów rozmów. Wpadł do środka, lecz nie zobaczył nikogo. Ujrzał porzrzucone miski, wiadra oraz złamany kij od szczotki.

– Jest tu ktoś?!

Cisza.

Ruszył biegiem. Wpadał do poszczególnych domów, lecz każdy okazał się pusty. Na skalnych meblach leżały rozrzucone w nieładzie ubrania i rzeczy osobiste magów, pojemniki z niedokończonymi przekąskami, wypełnione wodą karafki, jabłko Ewarda. Po mieszkańcach nie było ani śladu.

*Gdzie oni są?* – Czuł, jak jego serce przyspiesza.

Piewcy? Odkryli iluzję Fausta i dotarli na dół? Kolczaste stwory? Było ich więcej? Nie. Wtedy znalazłby ciała. A może to ten odgłos? Może bestie wbiegły do tunelu i obudziły coś, co okazało się znacznie gorsze?

Dotarł do swojego domu. Wnętrze budynku wyglądało identycznie jak w momencie, gdy je opuszczał.

– *Tu nie jest bezpiecznie* – usłyszał przestrożę Leby.

Przylgnął do zimnej ściany i poczuł, że drży. Znów musiał liczyć tylko na siebie. Jakże był głupi, wierząc w bezpieczeństwo Azylu i nowy dom.

– Przede wszystkim koniec z hałasem – szepnął, wyglądając nerwowo przez otwór imitujący okno. Wokół nie było żywego ducha.

Spakował rzeczy i wyszedł, przemykając wzdłuż budynków. W domu Sue również było pusto.

*Gwidon? Nie ma go.*

Podszedł do krawędzi pierścienia i spojrzał w dół, prosto w oczy pustki. Czerń połykała bladozieloną poświatę, wciągając ją w mroczną głębinę. Martwa, podziemna cisza. Ruszył ku pomieszczeniu z platformą. Kilka susów, przerwa.

*Tylko spokojnie* – pomyślał, lustrując nieruchome cienie na ścianach.

Wcisnął przycisk i przywołał platformę, a następnie ukrył się, obserwując wnękę. Usłyszał znany mu turkot przeradzający się w coraz głośniejsze szuranie. Winda przyjechała pusta. Wykonał sus i docisnął zrośniętymi palcami dźwignię w środku. Platforma zaklekotała głośno, sunąc jednostajnym tempem ku powierzchni.

*Może pojechali na górę, by przywitać nowych gości?* – analizował w myślach. W głębi duszy wiedział jednak, że podczas pielgrzymki wydarzyło się coś złego.

Platforma zgrzytnęła i zatrzymała się na poziomie górnego korytarza. Bren ostrożnie odsunął kratę i ujrzał porozrzucone części stołka, na którym zazwyczaj siedział dyżurujący.

– Gwidon? – wyszeptał, pamiętając, że towarzysz pełnił wartę jako ostatni.

Korytarz był pusty. W rogu dostrzegł figurkę wilka, pudełko trocin oraz nóż. Obejrzał zrośnięte palce i kucnął. Sięgnął po narzędzie, lecz nie mógł utrzymać go w dłoni. Usiłował zablokować krótki nóż między kciukiem a połączonymi palcami. Za każdym razem jednak ostrze upadało z brzękiem. Chłopak opuścił głowę i zaczął krzyczeć. Pełne bólu, żalu i zwątpienia wołanie rozniosło się po prastarym mieście.

– Już nigdy nic nie wyrzeźbię?! – Uderzał wściekle w skalne klepisko, kalecząc kostki.

Spróbował raz jeszcze. Tym razem zaparł drewnianą bryłę o kolana i złapał nóż. Dziobnął drewno, lecz toporny ruch tylko zaszkodził sylwetce pięknego wilka. Wsunął palce do ust z zamiarem przegryzienia błony. Poczul ból. Cokolwiek było wewnątrz dłoni, wyglądało na przytwierdzone do kości. Wtem dotarło do niego, że to cena, jaką zapłacił za wizytę w świecie Parkan.

– Oddajcie mi je! – krzyknął, unosząc ręce. – Błagam, to wszystko, co miałem. Chcę móc rzeźbić. Nie chcę zakłść. Nie chcę! Słyszycie?

Odpowiedział mu odgłos ściekających po ścianie kropel. Miarowe kapanie, które jakby odliczało czas. Oparł czoło o wilgotny chodnik. Miał ochotę płakać, lecz zamiast napływających łez poczuł ogromną złość.

– *To twoja wina, Leba!*

Wzberała w nim energia, gorące wiązki krążyły wokół karku, skręcając ku dłoniom. Ruszył w stronę drabinki, omijając porozrzucone fragmenty pękniętych donic. Powierzchnia przy wyjściu zajaśniała snopem promieni słonecznych. Usłyszał metaliczny dźwięk wjazdu i odgłos powolnych kroków. Przesunął w stronę nadgarstka wirującą pod skórą kulę energii. Mimo że była niewidoczna, doskonale czuł jej kształt. Przyłgął plecami do ściany. Skierował lewą dłoń w stronę drabinki, czekając w półmroku niczym cień. Po chwili na podłogę spadł wór. Zrosnięte palce drgnęły, lecz chłopak powstrzymał energię. Nieznajoma postać zeskoczyła obok worka.

– Powinniście być zadowoleni, udało mi się dostać perliczki.

*To Pieprz.*

Nadgarstek palił wewnętrznym ogniem. Bren miał ochotę roznieść worek, rozrzucić jego zawartość na pobliskie ściany. Czuł, jak narasta w nim ekscytacja, której nie potrafił powstrzymać. Oddech zwolnił, a mięśnie napięły się, stabilizując nogi, ręce i brzuch.

– Bren, to ty, chłopcze? – Gnom zmrużył oczy, zerkając na rozbite donice.

– *Powstrzymaj to, zrobisz mi krzywdę!* – zaszumiał w głowie głos Leby.

Chłopak jęknął. Targała nim fala euforii. Pierścienie przyjemności zataczały kręgi od klatki piersiowej po kolana. Słyszał, że gnom mówi coś jeszcze, lecz całą siłę koncentrował na rozproszeniu szalejącego ciepła.

– Wszystko w porządku? – W głosie Pieprza słychać było ostrożność.

Energia rozdzielała się na mniejsze części. Chłopak oddychał szybciej, czując, jak zanika uporczywe mrowienie. Odetchnął.

– Pieprz, to naprawdę ty! Nic nie jest w porządku. Wszyscy zniknęli.

– Ktoś was napadł?

– Na to wygląda.

– A jak tobie udało się przeżyć?

Bren pociągnął nosem, unikając wzroku gnoma.

– Ukryłem się. Czy iluzja na powierzchni wciąż istnieje?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Ktokolwiek za tym stoi, wciąż może tu być. Musimy wiać – powiedział Bren.

– Młodyś, ale racja po twojej stronie. Na górze stoi mój wóz.

– Chegara. Prowadź do Chegary.

## Rozdział 5

# Talent na wagę ziola

Kiedy domknęli właz, Bren pomógł zapakować wór z prowiantem. Następnie wrzucił na wóz drewnianą skrzynię z zieleńmi chrapacza. Iluzja głazu była wciąż widoczna, powierzchnia stała się jednak prześwitująca, a wprawne oko mogło dostrzec rosnące w jej wnętrzu kępy traw. Wokół kamienia ujrzeli wiele śladów butów i końskich podków, ale nie było czasu na domysły. Ruszyli.

– Nie jedziemy w stronę ostatniego magazynu? – spytał Bren, podskakując razem z wozem na wyboistej nawierzchni.

Gnom ścisnął mocniej lejce.

– Widziałeś ślady. Kimkolwiek byli, dotarli do Azylu właśnie stamtąd. Musimy unikać oczywistych dróg. – Zmierzył wzrokiem wystraszonego Brena i dodał z uśmiechem: – Mogłeś spotkać wiele osób, a los przysłał ci przyjaciela, w dodatku kartografa. Znam te tereny jak własną kieszeń. – Mrugnął okiem.

Bren pomyślał, że osoba z takimi zdolnościami faktycznie będzie na wagę złota. Ponadto raczej nie zażyczy sobie ani miedziaka. Słowo „przyjaciel” zignorował – jak dotąd nikt nie zasłużył na to miano.

– Rodzina Stonbittów od pokoleń tworzy mapy. Nadrzędna misja naszego rodu brzmi: zwiedzaj świat, ciesz oczy jego pięknem, a jak już gdzieś jesteś, udokumentuj wszystko na pergaminie. Dokładna mapa to skarb. Lubię wyobrażać sobie wygodnie siedzące osoby, które otwierają pojemnik oznaczony znakiem mojego rodu i wyciągają żółty pergamin. Ach, sam tak robię wieczorami, uwielbiam wspominać miejsca, w których byłem.

– Szarpnął lejce, by konie ominęły spore pęknięcie w skale. – Problem w tym, że zostaliśmy tylko ja i mój syn.

Bren westchnął, gdyż liczył, że opowieść dobiegła końca.

– Od wypadku, w którym zginęła moja Hralcia, minęło dziewięćdziesiąt siedem lat. Jakiś czas temu rozdzieliliśmy się z Wiktorem. On wyruszył, by naszkicować zachód, a ja tworzyłem mapy wschodu. Do dziś się szukamy.

– Zaginął?

– Och, pewnie trafił na ciekawe miejsce i robi mapę lepszej skali.

Po dwóch godzinach jazdy gnom zatrzymał wóz, wstał i spojrzał do tyłu. Bren również stanął na skórzanym siedzisku woźnicy. Daleko za nimi wzbijała się w powietrze chmura kurzu.

– Ścigają nas – powiedział bez emocji Pieprz.

W oddali widać było pędzących jeźdźców.

\* \* \*

– Musimy zostawić wóz! – krzyknął nerwowo Bren. – W siodle będziemy mieli większe szanse.

Pieprz docisnął czapkę, skoczył w stronę przywiązanych koni i ponacinał grotem bełta sznury łączące zwierzęta z wysuniętym dyszlem. Bren chciał pomóc przerwać wiązania, lecz nie potrafił przytrzymać lin zrośniętymi palcami.

– Weź swoje rzeczy i trochę jedzenia – zarządził gnom, patrząc na jego dłonie.

Chłopak zapakował chleb i kilka kawałków sera. Złapał też skrzynkę z chrapaczem i wsunął do pojemnego juku.

*Rzeźba wilka? Po co w ogóle ją brałem?*

– Wskakuj! – krzyknął Pieprz, po czym ruszyli w stronę odległego lasu.

Konie pędziły, czując dociskające buty jeźdźców, a kłęby wydychanego z chrap powietrza przemykały bokiem i rozpląwały się w chłodzie poranka.

*To muszą być piewcy* – myślał Bren, wycierając o ramię zaślinione usta. Odchylił głowę, próbując ocenić odległość.



*Wciąż mamy przewagę.*

– To granica z Togli! – zawołał Pieprz, zapierając się o masywny kłęb. – Za tym lasem jest Chegara.

Zdyszane konie wpadły między drzewa i przeszły w cwał. Promienie słońca utknęły w przepastnych koronach. Zrobiło się chłodniej. Zwolnili, zobaczywszy, że końskie kopyta ślizgają się na błocie, które w gęstym borze coraz częściej zastępowało śnieg. Ukryci w cieniu lasu jechali stępem, przeskakując nad pnączami i sterczącymi korzeniami. Nasłuchiwali odgłosów pościgu, ale kimkolwiek byli jeźdźcy, wciąż galopowali po spękanych terenach Yer Osti.

Po kolejnym skoku zwierzęta stanęły i zarżały z przerażenia. Bren nacisnął koński bok, lecz usłyszał tylko bojaźliwe parsknięcie. Rozejrzał się. Dookoła rozciągało się pokryte zastygłymi bąblami trzęsawisko. Próbowali się wycofać, lecz konie znieruchomiały i pokręciły łbami. Ochlapane błotem zgrzane ciała powoli zanurzały się w głąb mazi. Kilka kroków dalej powierzchnia bagna świeciła zielonkawym mchem. Dostrzegli spróchniały pień, który mógł oznaczać granicę trzęsawiska. Bren poczuł, że dotyka stopą zimnego błota. Uniósł nogi i dotarło do niego, że bajoro pochłonęło już końskie brzuchy. Usłyszał stłumiony tętent.

– Już tu są! – wrzasnął w stronę gnoma, który głaskał łeb zwierzęcia. Koń przymykał duże oczy i parsknął, rozszerzając chrapy.

Bren stanął na końskim grzbiecie, napiął mięśnie nóg, wybił się i skoczył w stronę zmurszałego pnia. Kolana wpadły z pluskiem w grząskie mokradło, ale zdołał zaczepić się o wystający korzeń. Podciągnął się i opadł na zбитy grunt.

– Pieprz! – krzyknął, dostrzegłszy, że towarzysz przyłgnął brodą do ganaszy i objął szyję zwierzęcia.

Bagno pożerało już półotwarte sakwy, wsysając je z bulgotem pod powierzchnię.

– Na starych bogów, skacz! – ponaglił Bren, czując energię kumulującą się w gardle.

Drobinki ciepła łączyły się w większe skupiska, a słodki smak malin

otoczył język, wywołując dreszcz rozkoszy. Chłopak chciał coś powiedzieć, lecz tylko wyciągnął przed siebie złączone dłonie. Dostrzegł, że gnom wreszcie wstał i skoczył w jego kierunku. Wiedział, że nie może dłużej więzić nagromadzonej energii. Nagle zrozumiał, że potrafi ją rozrzedzić, rozdzielić na części, przekładać.

Zamknął oczy i wypchnął z siebie uwięzioną moc. Spodziewał się gwałtownego ruchu powietrza, lecz efekt był inny. Buchnęło żarem i ujrzał miliony drobin tworzących wszystko, co widział dookoła. Białe łączyły się w końskie sylwetki, ciemniejsze formowały bagienną masę.

*A więc Faust nie kłamał. To kompletnie nowe zaklęcie – pomyślał.*

Obrócił głowę, wciąż nie unosząc powiek. Dostrzegł podłużny kształt wodzy, na który składały się szare punkciki. W odróżnieniu od czaru popchnięcia tym razem wciąż kontrolował krążącą wokół energię. Posłał ją do wnętrza bagna i ujrzał zapadające się końskie ciała. Chociaż wciąż leżał na skraju trzęsawiska, widział każdy szczegół pod jego powierzchnią.

*To niesamowite!*

Przesunął energię bliżej koni. Związał i zageścił drobinki, z których stworzone były zwierzęta. Próbował podnieść zebraną masę, lecz tylko stęknął, kiedy wyciekła z niego nagromadzona moc. Skierował energię do sakwy. Tak. Udało mu się dotrzeć do wnętrza torby. Dostrzegł zielonkawę plamki, z których składała się skrzynia z chrapaczem. Związał je, spróbował przesunąć. Poczul ból. Częstki skrzyni drgnęły i wcisnęły się pomiędzy inne.

*Bogowie! Ja mogę je przesunąć!* – krzyczał w myślach.

Drobinki ruszyły w stronę powierzchni, ominęły końskie łby z martwymi, otwartymi oczami, aż wreszcie wychyliły się nad powierzchnię bagna. Chłopak podniósł powieki i ujrzał lewitującą skrzynię. Pokierował nią tak, by opadła przy pniu.

Pieprz stał obok i patrzył z niedowierzaniem na ubłocony przedmiot.

– Próbowałem wyciągnąć konia, ale to było zbyt trudne – wytłumaczył Bren.

– *To chyba nowe zaklęcie* – usłyszał głos Leby.

– *Tak! Zamiast przesunąć przedmioty, potrafię rozdzielać i przesunąć*

*małe cząstki, z których są zbudowane. Nie wiem, jak to wytłumaczyć.*

*– Podczas pielgrzymki moje rady również dotyczyły rozdzielenia. Młodzi, starzy, pamiętasz? Zdobyłeś je na pielgrzymce. Harakun nie kłamał! – Leba był podekscytowany.*

*– Tu są nasze ptaszki! – krzyknął obcy mężczyzna, zeskakując z siodła. Po drugiej stronie bagna stały cztery zakapturzone postacie.*

*– Okrążyć moczary!*

*Bren złapał skrzynię i ruszył za uciekającym towarzyszem.*

*– Szkoda, że straciłem kuszę – wydyszał Pieprz. – Najbardziej jednak żałuję koni. Nikt nie zasługuje na taką śmierć.*

## Rozdział 6

# Pułapka wśród martwych

Biegli po zwalonych drzewach, unikając pokrytych zielonym kożuchem terenów. W pewnym momencie Pieprz stracił równowagę i wpadł w mech, który okazał się bagienną czapą. Bren puścił skrzynię, chwycił dłoń starca i przeciągnął go na stabilny grunt. Uratowany kiwnął głową z wdzięcznością i wykorzystał chwilę przerwy, by złapać oddech. Popędzili dalej. Zbita, zmroźona nawierzchnia, śpiew ptaków i przedostające się przez chmury promienie słońca potwierdzały, że martwe bagno zostało z tyłu. Po drugiej stronie rozległego pastwiska majaczyły pierwsze miejskie zabudowania.

Chegara okazała się zatłoczonym miastem wypełnionym straganami i stosami towarów. Brukowanymi ulicami ciągnęły pod górę wozy z żywnością, a w stronę granicy z Kindik zjeżdżał sznur furgonów obładowanych rudą żelaza i czerwonymi bryłami miedzi. Szczekanie psów mieszało się z dźwięcznymi głosami kobiet niosących tace. Okryte grubymi skórami przeciskały się przez tłum, zachwalając smak prażonych migdałów oraz toglijskich deserów miodowych. Na kamiennym moście, pod którym przeszli, turkotały pchane przez kupców taczki pełne dyń, a kręconymi schodami wchodził tłum pragnący dostać się do wyższych partii miasta.

Choć miejscowość leżała tuż przy granicy trzech państw, większość budynków wzniesiona była w charakterystycznym dla Togli górniczym stylu. Budulec ścian stanowił pozyskiwany z okolicznych kopalni kamień. Domy miały niewielkie okna i szerokie, dwuskrzydłowe drzwi. Każdą z posesji odgradzały wysokie kamienne mury poprzecinane kolumnami, podkreślając cenioną przez mieszkańców chęć izolacji. Za wyjątkiem strzelistej świątyni

Yerna w centralnym punkcie miasta pozostałe budynki sięgały maksymalnie jednego piętra, choć te w oddali, położone na górzystym terenie, mogły wydawać się wyższe.

– Szukam Zadry. – Bren zaczepił mężczyznę otwierającego wór z mąką.

Wysoki chudzielec wzruszył ramionami i kontynuował rozmowę z kompanem wiążącym dorodnego prosiaka. Przechodzący obok kupiec w podartym kubraku machnął ręką i odparł:

– Otruli, panie. Ponoć zadrą w wielu tyłkach była. Rympać ją.

– Gdzie ona?

– A gdzie ma być? W kostnicy, tu, za rogiem.

Na plac targowy wpadło paru mężczyzn. Popychali kupców i wymachiwali im stałą przed oczami. Jeden pilnował objuczonych koni, gdzie pośród sakw spoczywał związany człowiek.

Pieprz pchnął Brena i popędzili labiryntem uliczek.

*Już po mnie, na sralnik Cesarza!*

Bren przyspieszył i prawie wpadł na stragan pełen słoików z toglijskimi jagodami.

Budynek kostnicy różnił się od pozostałych. Był niższy i szerszy, prawdopodobnie podpiwniczony, gdyż tuż nad poziomem gruntu widniał rząd okienek. Tablica z napisem „Ostatnia podróż” chybotwała się na porannym wietrze, skrzypiąc ponuro. Minęli kamienny łuk bramy i zanurkowali w chłód korytarza, przeskakując po kilka schodów prowadzących w dół.

Za masywnymi drzwiami ujrzeli wysoką piwniczną salę. Zakratowane lufciki przy suficie wpuszczały promienie słońca. Przy przeciwległej ścianie stały szafy z kwadratowymi szufladami i nieliczne pokryte tkaninami łóżka. Powietrze dźwigało cierpki zapach substancji zabezpieczającej zwłoki i przyjemny aromat olejków kwiatowych. Dwa kroki od wejścia dostrzegli odgradzony murkiem brodzik służący prawdopodobnie do obmywania ciał.

Mężczyzna stojący przy szafach chrząknął. Opierał się o łóżko, na którym leżały przykryte zwłoki, i patrzył na gości. Zlepione brudem siwe włosy opadały w nieładzie na okryte fartuchem ramiona. Wtykał palce

w dziury kitla i drapał się po udach, mrużąc do siebie.

– Dlaczego w ogóle szukamy trupa? – wydyszał Pieprz, zamknął drzwi i zablokował je plecami.

Bren chciał opowiedzieć o radzie, którą otrzymali wraz z Lebą, lecz tylko przygryzł wargę.

– To skomplikowane – odparł i podbiegł do mężczyzny w fartuchu. – Ponoć są tu zwłoki Zadry.

– Ach, pokonana niepokonana. – Mężczyzna potarł obsypane białym proszkiem dłonie. – Zaszczycem jest gościć ją w mym domu.

– Gdzie ciało?

– A czegoż pragnie od mojego gościa?

– Słuchaj no. – Bren zlustrował nieznanego. – Możesz być wariatem, prowadzić hotel dla trupów, ba, nawet przebierać sztywne w odświętne sukienki. Ale dziś. Po prostu. Wydaj. Mi. Truchło!

Pracownik kostnicy posmutniał.

– Słyszycie, jak na was mówi? „Truchło”. Czyż nie lepiej brzmi „laleczka”?

– Dlaczego to właśnie ja spotykam wszystkich czubków Estepii? – Bren ukrył twarz w dłoniach.

– Albo „pysiole” – kontynuował nieznanemu, gładząc wystającą spod tkaniny męską stopę. – Co mówisz? Dobrze prawie?

– Miły waćpanie... – Pieprz chrząknął.

– Powinni rychło stąd zacinać, mam to samo zdanie, pysiolku. – Mężczyzna oglądał znamie na stopie umarłaka.

– Toż pragniemy kupić jedną laleczkę – powiedział gnom i wykonał głęboki ukłon, dociskając dłonią drzwi.

Na ustach pracownika kostnicy zagościł skromny uśmiech. Koścista postać rozchyliła nozdrza haczykowatego nosa i nabrała powietrza.

– Nareszcie ktoś, kto warchołem nie jest. Kiedy waryjat mądrym się wspiera, rzadziej umiera – wyrecytował.

– Bren! – warknął ostrzegawczo gnom, zobaczywszy, że chłopak zaciska pięści.

– Z dwóch powodów cena będzie specjalna. Po pierwsze... – Gospodarz uniósł patykowaty palec. – To znana najemniczka, nie byle baba. Po drugie... – Zawahał się, patrząc na dwa palce, jak gdyby zamierzał wsunąć je do nosa. – Nie chcę was oceniać, panowie, ale za wciąż ciepłą, młodą kobietę muszę policzyć więcej.

– Jak to: wciąż ciepłą? – spytał Pieprz.

– Otruta glisberem. Paskudna trucizna, kompletnie niewykrywalna. Bez smaku i zapachu, przez to pieruńsko droga. Co to ja miałem? – Powąchał dłoń, po czym zbliżył nos do pięt nieboszczyka. – Grzybowy zapach, jak nic. Zachęcam, by poniuchać.

Goście pokręcili głowami, więc sam przejechał nosem po pięcie.

– Ten tutaj za długo pływał w Bełtawie. I patrzcie no, trzy godziny we wodzie, a grzyb jak nic – powiedział, po czym wyprostował się i powędrował wzrokiem po sali. – Glisber, glisber, dawnoć nie widziałem. Krzta tyle co duża wioska kosztuje. Mocno za skórę zaleźć musiała, że tak skończyła.

Wytarł w tkaninę zakatarzony nos, przez co odsłonił siną kończynę trupa.

– Zabija powoli. Po połknięciu kropli jużci nie ma odwrotu, choć ciało ciepłe, a oddech brzuch unosi. Doba mija i wszystko się kończy. Nie sposób odróżnić takiego od reszty gości. – Wskazał szafy. – A odtrutki brak. Brak i tyle.

– Toż czysta przyjemność interesy z uczoneym robić. Jak cię zwa, panie? – Pieprz pochylił spoconą łysinę. – Znać od razu, że waszmość dużo czyta, a wie nawet więcej, niż czyta.

Szpakowatą twarz wykrzywił groteskowy uśmiech. Mężczyzna gapił się w podłogę, najwyraźniej analizując komplement.

– Mówią na mnie: Wielki Kostniczy. – Oblizał usta. – Nie praca to, lecz pasja. Otwieram trupy niczym górnik rudę. Każdy zawiera inną tajemnicę. I żeby nie było... – Zniżył głos, rozglądając się. – Nie wszystkich gości sprzedaję. Niektórzy są... naukowo ważni.

– Na pewno dobijemy targu. Wszak utrzymanie nowych gości kosztuje – powiedział ciepło gnom, zerkając kątem oka na pukającego się w czoło

Brena.

Pracownik zlustrował Pieprza łagodniejszym wzrokiem.

– Pięć złotych monet.

– Mam tylko dwie.

– Trzy i odcugam szafę.

– Niech będzie. – Gnom rzucił sakiewkę i choć pierwszy raz słyszał to słowo, miał nadzieję, że w gwarze Togli oznacza otwieranie.

Mężczyzna zważy się Wielkim Kostniczym przeliczył zawartość, podszedł do jednej z szaf, po czym odwrócił się w stronę gości i uniósł dłonie niczym maestro zapowiadający najniebezpieczniejszy występ wędrowniej trupy. Po chwili wysunął podstawę i powąchał kobiece stopy.

– Laleczka wciąż ciepła – wyszeptał, gładząc swoje tłuste włosy.

\* \* \*

Bren szarpnął tkaninę i spojrzał na ciemnowłosą kobietę o tak samo ciemnych oczach. Patrzyła nieobecny wzrokiem na piętrzące się przy suficie pajęczyny. Miała łagodny wyraz twarzy, równe, białe zęby i półotwarte usta niczym w trakcie przerwanej przemowy. Klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo, powodując skrzypienie zacisków popularnej wśród najemników ćwiekowanej kurtki. Znoszone skórzane spodnie były przecięte na udzie tuż obok kieszeni, w których wystawały rękojeści sztyletów. Kobieta obejmowała dłońmi trzon zakrzywionego miecza. Nienaturalnie wygięte nadgarstki sugerowały, że oręż został przesunięty wzdłuż ciała już po otruciu.

– Kim była ta ślicznotka? – spytał Bren.

Pracownik splunął na dłoń i przeczesał flegmą włosy.

– To jedna z najlepszych najemniczek Togli – odpowiedział, lecz patrzył na gnoma. – Mściwa i nieustępliwa bestia. Czy to... śpiew?

Zamarli. W rzeczy samej, z oddali dochodził męski głos, któremu wtórowała grana na flecie smutna melodia.

Wielka strata, wielka strata



Będziem krzywdzić swego brata  
Czyż to brat jest? Powiedz, flecie  
Zdrajca, zdrajca zwykły przecie!  
Go-tuj się!

Ostatnie zdanie wyrzucane przez kilka gardeł zagłuszyło melodię.  
A może grajek przestał grać i również krzyknął?

– Znaleźli nas – powiedział gnom, lecz zamiast strachu w jego głosie  
słyszeć było zawziętość.

Bren zerknął w stronę okien przy suficie i wytarł spocone dłonie  
o tkaninę otrutej kobiety. Piewcy. Mordercy, zwiadowcy, truciciele.  
Wojownicy melodii. A więc daleko im nie uciekł.

Pierwsze danie: skórowanie  
Wprzód jednak gotowanie  
„Czemu?”, pytasz, młoda dziatwo  
Wtedy skóra schodzi łatwo  
Go-tuj się!

Drzwi kostnicy zadrżały pod naporem uderzenia. Naciśnięta klamka  
wróciła do pierwotnej pozycji, po czym ukrywający się w środku usłyszeli  
basowy śmiech. Bren przypomniał sobie, jak jednej nocy w siedzibie  
piewców wybudzono wszystkich, by zaprezentować spektakl z rozgrzanym  
żelastwem wtapiającym się w oczy złapanego uciekiniera. Wtedy śmiali się  
podobnie. Pamiętał przerażenie i ciepło dłoni Rubii. Miał wrażenie, że od  
tego czasu minęły wieki.

Drugie danie: rozciąganie  
I linami zwiazywanie  
Kołem kręcim dla zabawy  
Aż zatrzeszczą zdrajcy stawy  
Go-tuj się!

Wybijany rytm nadał piosence jeszcze surowszego brzmienia.

– Co to to? – wyszeptał właściciel kostnicy. – Zamknięte, już zamknięte jest – powiedział głośniej.

Pieprz docisnął drzwi i zaparł się o podwyższenie, rozstawiając szeroko nogi. Gnomie oczy skrywały wiele pytań, lecz Bren tylko zwiesił głowę. Czuł zbliżający się atak paniki.

*Więc tak wygląda koniec?* – pomyślał i szarpnął za klingę miecza Zadry, lecz ta tkwiła nieruchomo w żelaznym uścisku.

– *Leba? Słyszysz mnie?* – zawołał skrzydlatego.

Trzecie danie: zapraszanie

Głodnych szczurów na śniadanie

Gdy nagrzana klatka parzy

Te wgryzają się do twarzy

Go-tuj się!

W pomieszczeniu rozniósł się odgłos pięści uderzających w drewniane wrota. Napór odrzucił zaskoczonego gнома, lecz ten szybko przywarł do skrzydła plecami.

Muzyka umilkła.

– Wiemy, że tam jesteś, Bren – usłyszeli rozbawiony głos. – Śledzimy was od Yer Osti.

– Czy można stąd wyjść innymi drzwiami? – wyszeptał Pieprz do drapiącego się po głowie właściciela kostnicy.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Jeśli otworzysz po dobroci – warknął głos po drugiej stronie – gwarantuję szybką śmierć.

Gwałtowne uderzenie uchyliło drzwi. Właściciel naprężył się, pchnął łóżko ze zwłokami i uniósł jego przednią część. Trup usiadł, a głowa przechyliła się do przodu, po czym ciało runęło do brodzika.

– Podewrzyj klamkę – sapnęła Wielki Kostniczy, blokując tył łóżka o murek odgradzający zbiornik.

Prowizoryczna przeszkoda przyjęła siłę kolejnego uderzenia.

– A więc wszyscy wybraliście śmierć! – wrzasnął obcy.

Bren ponownie spojrzął na ciemnowłosą i dotknął ciepłego policzka.

– *To musi się stać teraz* – powiedział Leba.

– *Co masz na myśli?*

– *Ożyw ją.*

Przez okno z sykiem wpadł dymiący zwitek. Stuknął w przeciwległą ścianę i opadł na łóżko. Poczuli delikatny, kwiatowy zapach. Pracownik kostnicy podbiegł do niewielkiej paczki i wrzucił ją do basenu.

– Chcą nas uśpić! – krzyknął.

– *Teraz!* – Bren usłyszał stanowczy głos Leby.

Poczuł znajome ciepło i poszukał energii. Niewidzialne iskry strzeliły w okolicach klatki piersiowej. Napiął mięśnie brzucha, pozwalając kolejnym drobinkom nadciągnąć z okolic podbrzusza i tworząc wirującą kulę ciepła. Wyrównał oddech i złowił stłumiony odgłos uderzenia czymś twardym w drzwi. Chciał się odwrócić, lecz głową szarpnął gorący wąż tańczącej po wnętrzościach energii. Rozchylił dłonie i czekał.

– Nie macie szans. Otwórzcie drzwi, a zginie tylko mag!

– *Lebo, jeśli masz mi kiedykolwiek pomóc, zrób to teraz.* – Bren wydobył swój wewnętrzny głos.

– *Jestem z tobą, przyjacielu. Na dobre i złe.*

– *Tak się boję.*

– *Ona jest prawie martwa, bardziej jej nie zaszkożysz.*

Chłopak zamknął oczy, koncentrując się na pulsującej w dłoniach energii. Rozdzielił ją i przemieszał. Huk buchającego żaru rozsadził skronie. Poczul euforię. Ujrzał, że otaczający go świat tworzą różnokolorowe drobinki. Skierował moc w głąb ciała nieznajomej. Szare powierzchnie zafalowały, wzlatując i opadając tysiącami drgań. Białe ziarenka tworzyły skomplikowane kształty, które połączone z innymi przybliżyły się i oddalały, ocierając się o siebie. Okruszki poruszały się w różnych kierunkach, ciągnęły wąskimi korytarzami i oplatały twór doskonały – żywy organizm. Broda Brena opadła na szyję, a on zanurkował energią głębiej. Zbliżył się do serca

kobiety. Gwiazdozbiór drobin składający się na kształt wielkiej róży pulsował, plując strumieniami jasnych punktów i zasysając inne.

Bren usłyszał huk uderzenia i trzask pęknięcia łóżka blokującego drzwi.

– Jeszcze raz! – krzyknęło jednocześnie paru mężczyzn.

Zanurzył energię głębiej i popłynął nią labiryntem wąskich korytarzy wśród niesionych silnym nurtem wirujących cząstek. Te przyspieszały i zwalniały popychane przez wciąż żywe serce Zadry.

Wtem dostrzegł elementy, które nie pasowały do układanki. Smoliste rozpryski płynęły wolniej, unikając pozostałych. Drobiniki trucizny odbijały się od ścian żył i dryfowały w stłoczonej rzece krwi. Zaciśnął palce i złapał czarny element, po czym przesunął go ostrożnie. Inne podobne mu punkciki przyklejały się do niego, tworząc skupisko mazi.

Huk uderzenia go zamroczył.

– Nie utrzymamy ich! – usłyszał głos Pieprza. – Gdziekolwiek są moje konie, nie czekały długo.

– Natnijcie jej lewą rękę! – ryknął Bren.

Pracownik kostnicy zareagował pierwszy. Podbiegł, zostawiając przy drzwiach gnoma. Wysunął ze spodni Zadry krótki myśliwski nóż i bez pytania naciął skórę kobiety. Rzeki gwiazd przyspieszyły, kierując się w stronę ujścia. Bren pchał czarną kulkę zlepionych drobin ku nacięciu. Po chwili przez ranę wypłynął smolisty zlepek, zostawiając ślad na przedramieniu.

Chłopak powrócił do szukania. Bliżej pulsującej róży dostrzegł kolejne obce drobiny. Zbierał je i przesuwał, łącząc w większe zbitki. Odkrył, że może podzielić energię i robić to samo w innym obszarze. Kiedy zebrał resztki glisbera z okolic głowy i karku, poczuł, że opuszczają go siły. Stał nad nieznaną z rozłożonymi rękami niczym fałszywy prorok i bujał się jak smagane wiatrem drzewo.

– Pochodnie! – pochwycił zatroskany krzyk Pieprza, a pomieszczenie wypełnił śwąd dymu. – Tam. Zgaś jeszcze tamtą!

Po chwili rozległ się plusk wrzucanych do wody przedmiotów, a zaraz po tym – odgłos uderzeń w drzwi i heroiczny krzyk gnoma.

– *Miej wiarę!* – Bren rozpoznał niosący siłę głos Leby.  
Kiedy skończył, otworzył oczy i zobaczył mnóstwo kłębow dymu.

## Rozdział 7

# Zadra śmierci

Kobieta wciąż spała. Bren uderzył ją w policzek. Nabrała haust powietrza i spojrzała na dłoń, którą cofał. Po chwili skoczyła na równe nogi, wyciągając sztylet, i pchnęła chłopaka barkiem. Gruchnął o ścianę i upadł na podłogę. Podniósł się i poczuł zimno ostrza na szyi. Stała tuż za nim, zaciskając pięść na kołnierzu jego koszuli.

*Nie mam już sił* – pomyślał i opadł na kolana.

Dziewczyna kucnęła wraz z nim, nie odrywając sztyletu.

Drzwi kostnicy wpadły do środka, a w progu pojawiło się dwóch odzianych w czarne stroje mężczyzn. Rzucony siłą uderzenia gnom pokoziołkował obok pękniętego łóżka.

– Laleczki pobudzicie, waryjaty przebrzydłe. – Pracownik kostnicy ruszył w kierunku obcych.

Zamaskowani zlustrowali pomieszczenie i zatrzymali wzrok na kucającej kobiecie.

– Muzyka ładna, ale hałasu nie lubią – kontynuował rozeźlony gospodarz.

Jeden z nowo przybyłych chwycił go za szyję, wbił mu sztylet głęboko w serce i przekręcił niczym klucz w zamku. Usłyszeli charkot. Wielki Kostniczy osunął się na posadzkę. Obcy wytarł ostrze o nogawkę, po czym ruszył ku Zadrze i Brenowi. Kobieta zwolniła uścisk, przytrzymała chłopaka i oparła o ścianę. Trzymając w lewej ręce myśliwski sztylet, prawą sięgnęła po zakrzywiony miecz. Zdmuchnęła z oczu kosmyki grzywki i przesunęła bosą stopą po podłodze, najwidoczniej sprawdzając, czy nie jest ślisko.

Piewca podbiegł do niej z wyprostowaną dłonią. Wysunął prawą nogę i przerzucił na nią ciężar ciała. Zamarkował cios pięścią i pchnął sztyletem w stronę serca. Skręciła ciało, a jej dłoń wystrzeliła i odbiła cios krótkim ostrzem. W drugim takcie zamasyście cięła mieczem, a pieśń stali rozharatała napastnika od pachwiny po żebra. Zawył, gubiąc fragmenty jelit. Choć nie mógł tego wiedzieć, był już trupem. Zadra zaczęła kolejny półobrót i przesunęła się ku drugiemu przeciwnikowi.

Do pomieszczenia wpadł trzeci mężczyzna. Zakapturzony, ubrany na szaro nieznajomy skierował półtoraręczny miecz ku leżącemu pod ścianą gnomowi. Spojrzał na kompana, który odbił cios, gdy Zadra wychodziła z półobrotu. Mężczyzna na środku sali zdołał uniknąć także cięcia sztyletem. Dopiero kopnięcie nagą stopą w nogę postawną wybiło go z równowagi. Bren dyszał, siedząc oparty o ścianę, i oglądał taniec ciemnowłosej, która przewróciła nieprzyjaciela silnym uderzeniem nogi w podbródek. Wśród wirujących ciemnych włosów dostrzegł, że ostrze sięgnęło karku wroga i skruszyło kościste wypustki kręgosłupa. Nieznajomy osunął się martwy.

Zadra złowiła wzrok stojącego w progu mężczyzny. Obserwował jej broń w milczeniu, pozwalając, by Pieprz przemknął obok i wybiegł na zewnątrz. Barczysty nieznajomy wysunął przed siebie miecz i podszedł do najemniczki na odległość trzech kroków. Zadra poprawiła włosy ręką i zwilżyła językiem usta.

– Odłóż broń, a pozwolę ci żyć, matkojebco – powiedziała sucho.

Ubrany w skórzaną zbroję napastnik odpiął i odrzucił płaszcz.

– Nie pamiętam, by ktoś wcześniej tak bardzo mnie znieważył – odparł, wystawiając do przodu lewą nogę.

Rozbudowane ramiona prężyły się pod skórzanymi paskami opinającymi imponujące bicepsy. Wielka jak bochen dłoń ścisnęła rękę miecza zakończoną zdobieniem w kształcie lutni. Wielkolud patrzył beznamiętnie na przeciwniczkę.

Krążyli wokół siebie niczym obwąchujące się, walczące o terytorium bestie. Piewca zamarkował cios i skoczył, tnąc drugą ręką z przedramienia. Najemniczka sparowała uderzenie, choć siła natarcia odrzuciła ją na dwa

kroki. Kopnął stołek, ścinając dziewczynę z nóg, a ta przeturlała się pośród trzasku przeciętego mieczem siedziska. Przeciwnik stęknął i ciął z góry, używając obu rąk. Ostrze odcięło pukiel włosów i odskoczyło od kamiennej posadzki.

Kolejny cios minął bark Zadry, gdy przetoczyła się w stronę szaf. Wstała osłonięta stołem ze zwłokami i czekała, dysząc. Uderzenie miecza piewcy rozplątało trupa i popchnęło stół, dociskając dziewczynę do ściany. Wojownik wyprowadził szybkie pchnięcie i odłupał sztychem fragment kamienia za najemniczką. Zadra wykorzystała moment, kiedy czubek ostrza przeciwnika wkłuł się w ścianę. Zaatakowała lawiną razów, lecz mężczyzna odparł je, wycofując się w kierunku brodzika.

Rzuciła się na kolana, próbując wbić sztylet w nogę przeciwnika, lecz piewca odbił się od podłoża, po czym wykonał obrót i znalazł się na jej flance. Skoczyła jak struna, obróciła nadgarstki, kierując broń w dół, i wsunęła głownię zakrzywionego miecza pomiędzy oręż wielkoluda a wystającą spod maski brodę. Napięła ramiona i pchnęła mosiężnym trzonem broni, gruchocząc szczękę przeciwnika.

Zawył, złapał jej szyję i szarpnął brutalnie. Uścisk zelżał, gdy zgięła piewce kopnięciem w genitalia. Upadł na nią, nie upuszczając broni, i nakrył ją potężnymi ramionami. Uderzył głową, celując w nos. Raz, drugi. Najemniczka zalała się krwią. Zobaczywszy, że ma przewagę, ponowił cios, lecz Zadra wciąż była świadoma. Odchylił głowę, by zgruchotać kości i zakończyć pojedynek. Nie zdążył.

Kostnicę wypełnił odgłos soczystego mlaśnięcia wbijanego pod zebra sztyletu. Zadra szarpnęła głową, ochlapując posadzkę sączącymi się z nosa kroplami krwi, i całą siłą przedramienia pociągnęła wbity oręż. Piewca krzyknął, wypuścił miecz i chwycił jej nadgarstek, by nie poszerzyła rany. Sapał, napinał policzki i zerkał to na nią, to na powiększającą się pod sobą ciemnoczerwoną kałużę. Kościste palce zacisnęły się na szyi dziewczyny, drżenie ręki jednak mogło oznaczać tylko jedno – słabł.

Kiedy docisnęła sztylet, mężczyzna wygiął się z krzykiem i runął na plecy. Najemniczka wstała i uderzeniem kolana w brodę odebrała



napastnikowi przytomność.

Dostrzegłszy, że ostatni wróg został obezwładniony, Bren osunął się na podłogę. Po chwili stracił świadomość.

## Rozdział 8

# Zdrada boli podwójnie

Ocuciło go siarczyste uderzenie w policzek. Dziewczyna ponownie uniosła rękę, lecz zobaczywszy, że jest przytomny, opuściła ją.

– Jeśli chodzi o strzały w mordę, jesteście kwita – powiedziała.

Bren rozejrzał się po zadymionej kostnicy. Wstał, stękając, i oparł się o najbliższe łóżko. Pod ścianą leżał ciemno ubrany napastnik. Miał związane ręce i prowizoryczny opatrunek. Ktoś zerwał mu kaptur oraz maskę. Wykrzywiona gęba wścicza zdradzała, że cierpi, lecz z ust nie wydobywał się żaden jęk. Obok siedział nieznajomy chłopak, którego Pieprz poił wodą z bukłaka. Pozostali napastnicy leżeli martwi w kałużach zastygłej krwi.

– Ponoć przywróciłeś mnie do żywych. – Zadra stanęła przy Brenie, patrząc prosto w jego oczy.

Chciał coś powiedzieć, lecz tylko wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to uczyniłeś, ale jestem ci winna przysługę.

– Zdaje się, że już ją wyświadczyłaś. – Wskazał trupy.

– Wierz mi, broniłam siebie. Jak cię zwał?

– Bren.

– Dobrze więc, powiem to, jak na najemnika przystało. Będę ci służyć do momentu pierwszego uratowania życia. Potem uznam dług za spłacony i nasze drogi się rozejdą. – Kobieta wyciągnęła dłoń. – Co jest nie tak z twoimi palcami? – spytała, a on zawstydzony wsunął dłonie do kieszeni.

– Kim jest ten drugi? – Spojrzał na mężczyznę ze spękanyimi ustami.

– Chyba ich więzień. Gnom znalazł go na zewnątrz przewieszzonego przez konia. Był jeszcze czwarty napastnik, lecz zbiegł.

Bren ruszył w stronę rannego piewcy, po czym kucnął przy nim i spytał:

– Czy to wy porwaliście magów w podziemnym mieście Yer Osti?

Obcy oparł głowę o ścianę.

– Zdrada zabolci cię podwójnie – powiedział, akcentując ostatni wyraz.

– Najpierw musicie mnie złapać.

Mężczyzna zaniósł się śmiechem.

– Po waszej ucieczce z siedziby długo szukaliśmy śladów. Wolkery kilkakrotnie łapały trop. Dopiero nocolot dostarczył wieści, że jesteście pod granicą. Podejrzewaliśmy, że uciekliście do krainy trzęsień, lecz ślad się urwał.

Przechylił głowę i kontynuował, obserwując reakcję Brena:

– Pewnie szukalibyśmy do dziś, gdyby nie grubas.

– O czym ty bredzisz?

– Gwidon. – Mężczyzna uniósł brwi. – Znaleźliśmy go w pobliżu kryjówki, choć tak naprawdę... to on szukał nas. Powiedział, że jeśli darujemy mu ucieczkę i wypuścimy go na wolność, zdradzi miejsce, gdzie przebywa wielu magów.

Bren wstał i odszedł w stronę szaf z ciałami.

– Nie wierzę ci! – Uderzył dłonią w ścianę.

Piewca wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Zwiedziliśmy całe miasto, wiele poziomów tego demonicznego tworu. Wytropiliśmy i zabraliśmy wszystkich. Tego dnia zarobiłem więcej niż przez ostatnie dwa lata.

– Łżesz! Gwidon nigdy by tego nie zrobił!

– Mówiłem, że zdrada zabolci podwójnie. Próbowali się bronić, lecz prawdę mówiąc, byli bez szans. Nie mogliśmy tylko znaleźć ciebie, ptaszyno. Aż w końcu podczas patrolu trafiliśmy na pędzący wóz. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Gdzie magowie?

– Przekazani temu, który płaci – odparł i odwrócił wzrok. – Są tacy niedoświadczeni, wprost idealni.

Bren doskoczył do niego. Mocny cios w twarz na moment zamroczył

wielkoluda.

– Trafiają do zbira o imieniu Styks – szepnął siedzący obok nieznajomy chłopak.

– Zamilcz, kupo łajna! – warknął piewca i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

Zadra docisnęła kciukiem obandażowaną ranę agresora, a ten wrzasnął z bólu.

– Jestem magiem, zostałem porwany w Bozorze – wyjaśnił uwolniony więzień.

Bren przyjrzał mu się uważnie. Krótko przystrzyżone włosy, szpiczasta broda, wąskie usta. Chude, kościste ręce, którymi gestykulował przy każdym słowie. Po chwili dostrzegł coś, co mogło potwierdzać jego opowieść. W miejscu prawego ucha znajdowała się w połowie przestłonięta włosami dziura.

– Kiedy zebrali nas więcej, zawieźli do portu w Shamol, a potem do tego Styksa. Przez cały czas towarzyszył nam piewca z niebieskim kryształem. Nie chcecie wiedzieć, co potrafi ta błyskotka. Byliśmy bezbronni.

– Kim jest Styks? – spytał Pieprz.

– Nie słyszeliście o skórowcu? – Uwolniony chłopak uniósł brwi. – To największy bandzior Estepii.

– Mag, który uciekł z podniebnego więzienia – wyszeptał Bren, przypomniawszy sobie opowieść zbiega usłyszaną w siedzibie piewców.

– Porywa niedoświadczonych magów. Zależy mu na takich, którzy nie zadali pytania bliźniacze... wiecie, tam, po drugiej stronie.

– *Dzieci, które spotkaliśmy na Parkan* – podchwycił Leba.

– Skąd wiesz o pielgrzymkach? – zagadnął maga Bren.

Chudzielec uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dłuższa historia – odparł i poprosił gestem ręki o bukłak.

Pił długo i łapczywie. Gdy skończył, oparł się o ścianę i spojrzał na Brena.

– Dzieciaki można spotkać tylko raz. Podejrzewam, że Styks zadał już swoje pytanie, a teraz zmusza innych...

– *To dlatego nie interesuje go porywanie doświadczonych magów. Nie potrzebuje ich. Spotkanie z bliźniakami mają dawno za sobą* – zauważył Leba.

Mag spojrział z obawą na siedzącego obok piewcę.

– Nie wiem, do czego mu ta wiedza, ale mnie również wysłał z pytaniem – oznajmił.

– Jak brzmiało?

Więzień wydał policzki i wypuścił wolno powietrze, jakby przypominał sobie wszystko dokładnie.

– Było zupełnie bez sensu: „Gdzie można spotkać tych, którzy nie śpią?”. Czy jakoś tak...

– Bezsennych?

– O właśnie, Bezsennych. Po przebudzeniu Styks wypytuje o wszystko, a jego pomocnica spisuje każde słowo.

– Trzeba było skłamać!

Zaśmiał się, choć nerwowy chichot wypełniony był żalem.

– Dotknął mnie. Lepiej nie wiedzieć, co za demon w nim siedzi. To ten Parkanin w środku mnie przesłuchiwał. Wierście, nie sposób mu odmówić.

– Czy wiesz, o co Styks kazał spytać innych? – Bren oparł się o szafę.

Mag przychylił głowę i pokręcił nią stanowczo.

– Nie wiem. Nie sposób z nikim porozmawiać. Kiedy ten szalenciec dostaje odpowiedź, niektórych morduje, innych zabiera ze sobą. – Chudzielec ukrył twarz w dłoniach, przez co jego głos stał się zniekształcony. – Żyję tylko dlatego, że upadłem na stos ciał i schowałem się między nimi. Gdy pozbywali się zwłok, uciekłem. Widocznie ktoś mnie dostrzegł, bo byłem na wolności tylko pół dnia. Gdyby nie wy, wróciłbym tam znowu.

Zadra chrząknęła i wszyscy spojrzeli w jej kierunku.

– Wspaniała historia – rzekła. – Ujmująca i tak dalej, ale czekam na informację, gdzie jest siedziba niejakiego Styksa.

Uwolniony mag oddał Pieprzowi bukłak. Ranny piewca rzucił się na kolana chudzielca. Docisnął brodę do swego obojczyka, a spod szyi

wystrzeliła chmura żółtego dymu. Mag zacharczał i złapał się za gardło. Napastnik kaszlnął, jego ciało zwiotczało. Wypuszczony przez Pieprza bukłak z wodą upadł, rozlewając zawartość obok krztuszącego się gnoma.

– Dwuząb! – krzyknął Bren i pociągnął Zadrę w tył.

Niewielka chmura popłynęła w górę, ulatniając się przez otwory okienne. Mag siedział oparty o ścianę, z wykrzywionymi w przerażeniu ustami. Zimne oczy patrzyły w stronę leżącego na kolanach piewcy. Obaj nie oddychali.

Bren pobiegł w stronę Pieprza, podniósł bukłak i chlusnął wodą w twarz gnoma. Ten otworzył oczy i zaniósł się długim kaszlem. Po chwili wstał i splunął.

– Co za świństwo. Czuję, jak wypala mi gardło.

– Dobrze się czujesz?

Gnom założył czapkę, która spadła przy upadku.

– Wielu próbowało, lecz zasadniczo to trudno mnie zabić, chłopcze. – Spojrzał w kierunku kruczowłosej. – Wybacz, pani, że się nie przedstawiłem. Jestem Pieprz – rzucił z uśmiechem.

– Zadra – odparła, zerkając na jego zaczerwienione nozdrza.

– Wydaje mi się, że o tobie czytałem. Czy mawiają na ciebie: Thorn? – Przeczesał brodę.

– To jakaś inna baba – odparła, wsuwając sztylet do kieszonki w nogawce.

Rozejrzeli się po pomieszczeniu. Pięć trupów wyścielało podłogę niczym porozrzucane elementy paskudnej układanki.

Po krótkiej naradzie dosiedli koni piewców, by ruszyć na północ, w głąb Togli. Uznali, że potrzebują schronienia, a łatwiej będzie im zgubić ślad w dzikim, niebezpiecznym terenie, niż wędrować szerokimi traktami Kindik czy wracać do zdemaskowanej kryjówki w Yer Osti.

\* \* \*

Cztery godziny jazdy później powitały ich wzniesienia i wiatr, który

przypomniał Brenowi chłód ostatniej zamieci. Tuż przed zapadnięciem zmroku znaleźli pustą grootę, w której postanowili przenocować.

Zadra chciała pełnić wartę przez większość nocy. Dodała, że jest najbardziej wypoczęta, gdyż wystarczająco długo spała w trupiarni. Wciąż słaby i kaszlący Pieprz nie protestował. Wyglądało na to, że przed śmiercią uratowała go spora odległość od dwuzębu. Szukając dogodnego miejsca na sen, powtarzał w kółko: „bez szczęścia lepiej nie wychodzić z domu”.

Bren oparł plecy o twardą ścianę i wpatrzył się w płomienie ogniska. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Ignorował nawet próby kontaktu podejmowane przez Lebę. Czuł, że rodzi się w nim coś, czego dotąd nie znał. Gniew? Bunt?

*Czy Gwidon rzeczywiście zdradził? – zastanawiał się.*

*Podniósł niewielki kamień i cisnął nim o ścianę.*

*A może to blef i również został porwany? W takim razie jak odkryliby Azyl?*

Pomyślał o magach, których poznał, i pierwszy raz poczuł, że stali się mu bliscy.

*Dołączki w policzkach uśmiechającej się Sue.*

*Czy doszła do siebie po starciu z grzebiącą w myślach paskudą?*

*Garbaty Silanus głaszczący czule mech.*

*Czy wydobrzeł po szarzy najeżonego kolcami potwora?*

*Westchnął.*

*To przeze mnie trafili do tego Styksa. Byliby na wolności do dziś, gdybym nie dotarł do Azylu.*

Wspomniał zawziętą Thulbę, która zataiła rzucone zaklęcie, lecz odkupiła winę walką ramię w ramię i zrzuconiem w otchłań mentalnej maskary. Pomyślał o Ewardzie, który uratował mu życie.

*Na bogów! Nawet mu nie podziękowałem!*

Splunął. Był na siebie zły. Ponownie wymknął się śmierci, a oni? Czy wciąż żyją? Pobiegł myślami do Avy, a potem do Ines poszukującej męża. Przypomniał sobie komnatę Fausta. Zacisnął pięści. Wciąż nie wiedział, co myśleć o mordercy Vatora. To dzięki niemu zdobył zaklęcie, którym

uzdrowił Zadkę.

Spojrzał na krzątającą się dziewczynę. Sięgała po kij z mięsem upolowanej wiewiórki i pogwizdywała wesoło. Powrócił do wspomnień z Azylu. Oczami wyobraźni dostrzegł martwego Hugona wpatrującego się w kryształ.

Odmówił, kiedy Zadra przysunęła do niego pieczone mięso. Jego oczy płonęły złością, a strach, który narastał przed nadchodzącą konfrontacją, tym razem ukrył się w czeluściach duszy.

Styks – to imię zawładnęło myślami Brena. Przestępca. Mag, który porywa innych władających mocą, by poznać tajemnice świata i zgładzić Bezsennych. Co planuje ten szaleniec? Jakiż demon podżega go do tych czynów?

– Po moim trupie – powiedział głośno i poczuł w swoim wnętrzu wodospad dumy tryskający z serca Leby.

Położył się na boku i wsunął dłonie pod policzek. Kiedy zamknął oczy, ujrzał świetlisty trójkąt. Symbol rozbłysnął, wypełniając wszystko jasnym światłem. Świst wiatru okazał się rzeką szeptu wpływającą wprost do uszu chłopaka.

– *Jesteś gotowy do podróży* – oznajmił głos. – *Odszukaj nowe zakłęcie.*

Trójkąt zgasł, zostawiając pod powiekami ledwie dostrzegalną poświatę. Bren podniósł głowę i spojrzał na stojącą przy jukach skrzynię z chrapaczem.

*A więc jeszcze wrócę na Parkan* – pomyślał.

Sen nadszedł szybko, obiecując lepszy dzień.

## Koniec księgi pierwszej



## Od autora, czyli „co z tym Brenem...”

Świat anomalii dojrzywał w mojej głowie od czasów wczesnej młodości. Do dziś trzymam szkolny zeszyt z opowiadaniem opisującym przywrócenie do życia najemniczki, której dorosły ja nadałem imię Zadra. Co więcej, choć nigdy nie potrafiłem rysować, znalazłem też naszkicowaną wiele lat temu scenę z kostnicy.

Kiedy stałem się dorosły, podążyłem tam, gdzie inni: w poszukiwaniu dobrej pracy i godnego życia. Mijały lata, a ja czułem, że czegoś mi brakuje. Wiedziałem, że mam w sobie niejedną fantastyczną historię do opowiedzenia. Iluż z Was pisze do szuflady, nie wierząc we własne możliwości? Byłem taki sam. *Kto zechce poznać historię Brena i Leby?* – myślałem.

A jednak potrzeba podzielenia się nią była silniejsza, a chęć tworzenia nowych światów przypominała o swoim istnieniu częściej, niż chciałem. Któregoś dnia spojrzałem w lustro i ujrzałem twarz nastolatka. *Co tak naprawdę mnie powstrzymuje? Dlaczego mam powielać to, co robią inni, skoro marzę o pisaniu?*

Tego samego dnia powstał pierwszy rozdział, a potem kolejne. Kiedy na kartkach rozgościli się Leba, Bren, Pieprz oraz Zadra, wiedziałem, że zostaną ze mną na dłużej. A ja z nimi. I z Tobą, czytelniku. Jeśli zapytasz mnie, czemu piszę – nie padną odpowiedzi: „dla pieniędzy” ani „dla sławy”. Piszę dla Ciebie i dla siebie. Nie ma większej przyjemności od usłyszenia lub przeczytania opinii: „podało mi się, chcę więcej”. Nic tak nie cieszy jak błysk oka nastolatka, którym ponownie mogłem się stać.

Na koniec chciałbym Cię o coś prosić. Jeśli piszesz, nie trzymaj tego dla siebie. Pokaż tekst światu. Gwarantuję, że znajdzie się co najmniej jedna osoba, której przypadnie do gustu (a to dużo lepsze niż chowanie historii w katalogu lub szufladzie). Jeśli spodobała Ci się pierwsza część *Daru*

*anomalii*, zostaw, proszę, ślad na moich social mediach. Będzie super, jeśli ocenisz książkę na [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl). Dzięki Tobie dowiedzą się o niej inni, a moja misja dzielenia się historiami będzie mogła być kontynuowana. ♥

W ostatnim akapicie chciałbym wyrazić wdzięczność. Na początku pragnę podziękować żonie. Dziękuję Ci, kochana, za wiarę we mnie, nieustanną motywację i dobre słowo. Wielkie podziękowania należą się również tym, którzy zagłębili się w powieść jako pierwsi: Patrycji, Mateuszowi, Arturowi, Piotrowi oraz Kindze. Bez Waszych uwag *Dar anomalii* nie stałyby się tak ciekawy i lśniący. Kłaniam się Magdzie, która wypchnęła dryfującą łódź fabuły z niejednej płycizny, oraz Paulinie, Ani i Andrzejowi w podziękowaniu za obfite żniwa składniowych i stylistycznych niezręczności, a także profesjonalny skład tekstu.

Na koniec chciałbym podziękować sobie. Dzięki, że odważyłeś się zmienić swoje życie. Tak trzymaj!

## Znajdziesz mnie:

[www.facebook.com/frazyfantasy](https://www.facebook.com/frazyfantasy)

[www.instagram.com/frazyfantasy](https://www.instagram.com/frazyfantasy)

[www.tiktok.com/@frazyfantasy](https://www.tiktok.com/@frazyfantasy)

[www.elfickie.pl](http://www.elfickie.pl)

<https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>

# Spis treści

## Część I. Samotność

- Rozdział 1. Anomalia
- Rozdział 2. Zamieć
- Rozdział 3. Ręka boga
- Rozdział 4. Kto jest kim?
- Rozdział 5. Najmłodszy w historii
- Rozdział 6. Podróż mimo woli
- Rozdział 7. W szponach melodii
- Rozdział 8. Wyspa Prób
- Rozdział 9. Po zwycięstwo
- Rozdział 10. Czas decyzji
- Rozdział 11. Pierwsze zlecenie
- Rozdział 12. Ryzykowna gra
- Rozdział 13. W terenie
- Rozdział 14. Wyspa Mostów
- Rozdział 15. Zajazd Cztery Korony

## Część II. Więź

- Rozdział 1. Ktoś tu jest
- Rozdział 2. Poznajmy się
- Rozdział 3. Dar anomalii
- Rozdział 4. Niema tajemnica
- Rozdział 5. Bez wyjścia
- Rozdział 6. W objęciach śmierci
- Rozdział 7. Szczęście w nieszczęściu
- Rozdział 8. Kto mówi prawdę?
- Rozdział 9. Na rozstaju dróg
- Rozdział 10. W nieznane
- Rozdział 11. Azyl

Rozdział 12. Nie ma to jak w domu  
Rozdział 13. Magia niejedno ma imię  
Rozdział 14. W kręgu podejrzeń  
Rozdział 15. Jest tam kto?  
Rozdział 16. Bitwa o dom  
Rozdział 17. Nisko, coraz niżej  
Rozdział 18. Sekret za sekret

### Część III. Przemiana

Rozdział 1. Na spotkanie z losem  
Rozdział 2. Odwieczna wojna  
Rozdział 3. Zaklęcie z rady zrodzone  
Rozdział 4. Podwójna strata  
Rozdział 5. Talent na wagę ziola  
Rozdział 6. Pułapka wśród martwych  
Rozdział 7. Zadra śmierci  
Rozdział 8. Zdrada boli podwójnie

Od autora, czyli „co z tym Brenem...”

Znajdziesz mnie: